PO JANTAR

(BURSTYN)

WYPRAWA RZYMSKA DO UJŚCIA WISŁY

Z ROZKAZU CEZARA NERONA

NAPISAŁ

SZCZĘSNY MORAWSKI.

KRAKÓW.
NAKŁADEM WALEREGO CIESIELSKIEGO.
1894.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

Z Rzymu do Karuntu.

Do Juliusza, rządcy igrzysk mieczowych, wszedł młodzian dorodny, którego szata ozdobiona była pręgiem purpurowym.

— Witaj mi Aeliuszu Auguście! Jakaś ważna sprawa niedała ci dospać, sprowadzając do mnie tak rano...

— Sprawa żywotna!

— Ciekaw jestem.

— Przychodzę zaciągnąć się w twoje mieczniki (gladyatory).

— Co? ty, syn dostojnych rodziców, syn mego przyjaciela przezacnego, chciałbyś się bratać z podłym tłumem?

— Zniewolon jestem...

— Jakto? czy wszystko już...

— Wszystką już spuściznę po ojcu straciłem! Za nagrodą cesarską gotów jestem walczyć z ludźmi lub zwierzętami, jak padnie! Wyrób tylko dla mnie hojny dar cesarza!

— A siostra? przecież majętna!

— I ona już biedna... biedniejsza odemnie — bo niewolnica!

— Jakto?

— Majątek jej przepadł też w moim ręku: mało co pozostało. Więc z rospaczy poślubiła niewolnika swego i pracuje z nim pospołu.

— To pewno będzie niewolnik nauki tego Chresta żydowina...

— Zgadłeś, ale szwager mój nie Żyd jeno Trak macedoński, wojak dzielny, człek sprawiedliwy; nie da jej przynajmniej z głodu ginąć. Dla mnie zaś niema już ocalenia prócz śmierci na igrzyskach z ręki miecznika jakiego, równie jako ja nieszczęśliwego, albo od pazurów lwa... niedźwiedzia... Prawdę mówiąc: nie zasłużyłem na śmierć lepszą, bo lekkomyślność moja była bez miary... ale trudno! zaraza szła z góry!

— Jakto?

— Ot! szaleje Nero, więc szalałem też i ja... On sobie, ja sobie hulałem, i przehulałem szczęście swoje i siostry nieszczęśliwej!

— Żałuję was serdecznie, biedna dziatwo przyjaciela mojego!... Nie! nie dam wam ginąć! Nero zgubił cię przykładem, Nero ocali!... napowiódł do upodlenia i ubóstwa, dopomoże do czci i bogactwa! W szczęśliwą chwilę udałeś się do mnie, słuchaj: — Cezar pragnie błyszczeć igrzyskami, pragnie świat olśnić ozdobami okola *(circus)* igrzyskowogo swego za Tybrem. Wszystkie naczynia od złota, srebra, kryształu i kamieni drogich kazał tam poznosić i powystawiać; mianowicie wszystkie z kamienia zwanego murha, nieocenionego! znachodzonego tylko w Persyi i Karamanii... nawet ono, za które Pompejusz Wielki zapłacił tak ogromną sumę (38.313 dukatów [1]). Niedawno, gdy powozić miał uprzężą koni zieloną, kazał wygon cały posypać zieloną barwą *Chryzokollon,* wcale nie tanią. Obecnie zapragnął jantaru, bacząc niedostatek naczyń i ozdób jantarowych; a tu jak na złość jantaru nikędy dostać nie można, bo Germany toczą z sobą bój zacięty i żaden kupiec nie śmie kra-

---

[1]) Tacyt II. Dodatek 18. — Plin. 37, 2. — Plin. 33, 5.

jem ich zdążać na Pomorze jantaru. Na twoje szczęście! właśnie odebrałem rozkaz, żeby innemi cesty dotrzeć do tego morza i koniecznie dostarczyć jantaru jak najwięcej. Biłem się z myślami: kogoby wysłać a ty nawijasz mi się od niechcenia, jak gdyby cię przysłali bogowie; jesteś jak gdyby stworzon do takiej posyłki... Pojedziesz więc po jantar?

— Choćby na koniec świata, choćby do podziemi piekieł dotre i przywioze!

— Słuchaj bratku! podjąć się łatwo, ale dokonać trudno, bardzo trudno. Przeszkody są niezmierne: okolice nieznane, ludy i narody dzikie, jak zwierz on dziki, z którym pospołu żyją...

— Toć będę się bił z nimi i wolę gdzieś za światem niż tu w Rzymie walczyć na zabój! Przynajmniej że mi się opłaci! A bylem tylko wiedział, w której stronie świata rośnie, to przezwycięże trudności wszystkie, przebęde wody, góry i pustynie, a nabiore jantaru ile będzie można udźwignąć, oczywiście, mając podostatkiem niewolników.

Będziesz ich miał ile zechcesz i to doborowych, i dozorce wojenne; a co do cesty — tej musisz sam śledzić za wskazówkami, które otrzymasz. Pieniędzy, oręża i wszelakich potrzeb będzie podostatek.

Przywołan potem kupiec syryjski rodu fenickiego, który krążąc po świecie z kupią swą, dostarczał dotąd jantaru. Juliusz zagadnął go z góry:

— Cesarz musi mieć jantar, skąd wziąść to wziąść! choćby z samego Pomorza jantarowego!...

— No! tam dostanie go z pewnością, bo on tam rośnie w morzu i morze wyrzuca go na ląd; ale kto pojedzie po niego, kiedy te Germany głupie wolą bić się pomiędzy sobą, aniżeli za jantar brać pieniądze.

— Kto pojedzie? ty pojedziesz z tym panem dostojnym: cesarz tak nakazuje!

— Cezar nakazuje? toć trzeba być posłusznym! czemużbym ja, biedny kupiec, nie miał być posłusznym?

— Opłaci się posłuszeństwo cezarowi!

— Ja wiem, ja wiem.

— Więc jedziesz?

— Jadę.

— Żona i dzieci zostaną w Rzymie... ja będę pamiętał o nich.

— Jużcić niewiasta rozumna i dobra jest podporą męża zawsze i wszędzie a szczególnie w podróży między obcymi, bo strzeże mienia, pielęgnuje w chorobie, pocieszy w smutku — ale dzieci? co po dzieciach w drodze niebezpiecznej? A jakże drobne dzieci zostawić bez matki? pod twoją opieką nie zaginą tutaj, podczas gdy ja będę szukał dla nich zarobku. Chłopaka tylko najstarszego wezmę z sobą, bo on już podróżował i bardzo mi usłużny.

— Czegoż ci potrzeba do drogi?

— Pieniędzy! i jeszcze pieniędzy! w złocie cokolwiek, w srebrze więcej, a najwięcej w przekazach do skarbników pogranicznych w Noryku i listów polecających dowódcom wojskowym i władzom; niewolników też silnych i zdrowych pod kupią...

— Pod jaką kupią?

— Pod rozmaite wyroby, które będą w zamian za żywność, podwody i sam jantar.

— Będzie wszystko. Idź gotuj się do drogi!

— To pójdę najpierw kupić niewolniki, bo to nie każden dobry do takiej wyprawy. Ale bardzoby się przydało choć dwu łowiec zwierząt dzikich...

— Idź do oddziału łowów wybierz sobie dwóch, których zechcesz i przyprowadź mi ich tutaj.

Poszedł Fenik do Okola igrzysk wybrać dwóch wprawnych w łowienie niedźwiedzi, których już niemało dostarczyli będąc w służbie cesarskiej. Za-

stał ich właśnie przy ćwiczeniach wielce zabawnych: Małpa wyćwiczona ujeżdżała niedźwiedzia!

Niedźwiedzia z kagańcem na pysku uwiązanego za koluszko przez nos, wprowadzono na ujeżdżalnią, gdzie już nań czekała małpa z biczem w ręku i niebawem skoczyła mu na grzbiet, popędzając biczem i piętami po bokach. Niedźwiedź ryknął przeraźliwie i jął się kręcić w miejscu, chcąc zrzucić jeźdźca, ale małpa trzymała się doskonale, waląc biczem po łbie z boku i zniewalając do biegu, a gdy chciał stanąć dęba, biła po łbie z góry i zniewoliła do posłuchu.

Fenicyanin uśmiał się do syta, a obaj łowce rozradowali się, słysząc o wyprawie w góry północne. Udali się do Juliusza, rządcy igrzysk, z Fenikiem wraz.

Nazwiska ich były: Ursyn i Sylwan; oba pochodzili kędyś z Sarmacyi, lecz już przywykli do Rzymu.

Aeliusz pod ten czas udał się do siostry, objawiając powołanie swe do wyprawy ku morzu jantarowemu.

— Weźm mnie z sobą! mnie i męża mojego: lepszych i wierniejszych drużbów nie znajdziesz na świecie.

To samo powtórzył mąż jej Makedon.

Następnie naradzono się co do drużyny. Makedon pragnął rodaka i krewnego swojego, skazańca na bój śmiertelny w igrzyskach. Zwie się Gaj.

— Za cóż on skazan?

— Za to samo, za co ja popadłem w niewolę: za wiarę naszą świętą!

— Przecież za to śmiercią nie karają...

— On był w wojsku i bez pozwolenia oddalił się od chorągwi, aby drużbić apostołowi wiary naszej. Wojak dzielny i nieustraszony, przytem prawy i uczciwy. Bardzoby się przydał i koniecznie proszę o niego, zaręczając głową własną.

Aeliusz uwierzył i zarządał, by mu go przydano jako bardzo pożytecznego.

Zdziwił się Juliusz i rzekł:

— Dziwna rzecz z tym człowiekiem! Musi on być niezwykłym człowiekiem, skoro się za nim wstawia także Pompeja Grecyna żona tryumfatora Plaucyusza... Prawda, że i ją sądzono o jakieś zabobony, ale ją uniewinnili krewni i mąż [1]). Muszę mu się bliżej przyglądnąć... Przywołać mi tu Gaja skazańca!

Przywołanego zapytał:

— Tyś wojak?

— Byłem wojakiem odszczególnionym.

— Zbiegłeś z pod chorągwi?

— Nie zbiegłem. Wydaliłem się w dobrej wierze i wróciłem dobrowolnie.

— Opowiedz jak to było?

— Staliśmy załogą w Efezie, dokąd przybył mąż święty, Paweł, znany mi z Macedonii, z Filipopolu, gdzie w domu Lidyi fenicyanki, kupczącej purpurą, opowiadał boską naukę Jesusa Chrysta, i gdzie go Żydzi oskarżyli przed starszyzną o obrazę religii, więc bez sądu usieczon rózgami i uwięzion pospołu z Sylasem, pomimo, że byli obywatelami Rzymu. Trzęsienie ziemi otworzyło im więzienie, z którego nie chcieli wyjść, aż ich jako Rzymian urząd miejski przeprosił i wywiódł. W Efezie przez dwa lata nauczając, przekonywał i nawracał ludzi uczonych, którzy uznali marność mądrości swej, palili księgi swe jako nierozumne i niepotrzebne. Przypadł strach wielki na wszystkie Greki i wszystkie Żydy tamtejsze. Największy jednak strach padł na złotniki, co zyski wielkie ciągli z wyrobu posążków cudownej bogini Dyany efeskiej. Paweł bo jawnie nauczał, że wyrób ich rąk zupełnie nie jest świętym ani boskim. Demetryusz, złotnik, który

---

[1]) Tacyt XIII, 32.

wyrabiał srebrne kapliczki Dyany, bacząc upadek rzemiosła, podburzył naród, że Paweł poniża cześć bogini. Krzycząc przypadli, porwali dwu drużbów jego, przywiedli przed sędziego, który obydwu uwolnił. Żydzi podczas tego porwali i bili Aleksandra, Żyda, ucznia Pawłowego, aż go też uwolnił sędzia. Pawła w domu ukryli uczniowie, a potem wszystkich wraz wyprowadzili za miasto, dążących do Macedonii. Żydzi rozwścieklení robili nań zasadzki; niebezpieczeństwo było wielkie, więc poczułem się do obowiązku obrony życia dwu rodaków swoich i mężów świętych, nauczających słowo boskie Jezusa Chrysta. Odprowadziłem ich do Macedonii i oddawszy opiece rodaków sławiańskich, wróciłem pod chorągiew. Nieraz tak czynili starzy wojacy rzymscy, oddalając się czasowo, bo zwykle kupczyli krążąc po kraju: a nikt im tego nie brał za złe. K o r b u l o n dopiero, nowo nastały wódz wojsk azyatyckich zaprowadził surowość w ten sposób, że za karę poodpędzał starych wojaków służałych rzymskich. Że ja zaś nie byłem starym ani Rzymianinem, skazano mnie pod miecz, od którego mam ginąć na igrzyskach w przeciągu tego roku.

— I ty to opowiadasz uśmiechnięty?

— A cóż, mamże płakać? Oddano mnie w wojaki, abym się bił z nieprzyjaciołmi... biłem się... odznaczono mnie za waleczność... I tutaj mam się bić — z przyjaciołmi, którzy mi nic nie zawinili... mam zginąć z ich ręki, a pewna nagroda czeka mnie.

— Gdzie?

— W niebie!

— Zkądże ta pewność?

— Z nauki świętej naszej, którą wykonując, mam sumienie czyste! Spokojnie mogę umierać jak umierał Jezus na krzyżu, odpuszczając swoim nieprzyjaciołom!

— Dziwny człowiek jesteś. Pojedziesz z Aeliuszem i Makedonem w świat daleki?

— Jeżeli rozkażesz, toć będę posłusznym.

— A nie opuścisz ich? nie zdradzisz?

— Nie!

— Tobie z ócz nie patrzy gladyatorstwo! tybyś się dał zabić byle komu...

— Na igrzyskach...

— A w potrzebie?

— W obronie przyjaciół nim się dam zabić, zabiję pierw niejednego nieprzyjaciela.

— Teraz pojmuję wstawianie się za tobą. Bierzcie go sobie na moją odpowiedzialność! Dać mu zbroję gladyatorską i miecz, bo mu się może przydać.

Stało się po ukazie! Skarbnik koronny wydał pieniądze, z urzędu wydano listy polecające, a podwodnicy skarbowi wedle rozkazu zabrali podróżnych i przewieźli na brzeg morza Sinego, do przystani, w której stały okręty wojskowe.

Dowódcą korabiów wszech był Pliniusz, sławny i nieskończenie pracowity uczony, mianowicie na polu przyrodnictwa, o którem napisał 37 ksiąg, czerpiąc naukę z przeszło dwu tysięcy rękopisów greckich i łacińskich. Jantar wielce go zajmował i wypisał o nim wszystko, co tylko wiedzieli uczeni.

Z polecenia Juliusza, więc niejako imieniem cezara, udał się do niego Aelius Augustus, prosząc o wiadomość co do jantaru, mianowicie kędy go śledzić, skąd go przywieść. Otrzymał wiadomości następujące:

— Homer i Hezyod opisują już naszyjniki złote osadzane jantarem. Eshylus i Sofokles pisali o nim. Eshylus zasłyszał, iż go czerpią w jakiejś rzece zwanej Roduna i był pewny, że to w Rodanie czyli Erydanie iberyjskim. Herodot już sprostował myłkę zapewniając, iż jantar pochodzi z morza północnego. Filomen twierdził, iż go kopią w Skityi w dwu miej-

scach: jeden biały i woskowobarwny, zwan elektron, drugi w innem miejscu, żółty, zwan subalternicus t. j. mieniący się. Pytheas, który (r. 380) na okręcie fenickim z Massylii pławił na morze Północne, pisze: Gutony zamieszkują zalew morza Wielkiego, zwany Mentonomon, długi 6.000 staj. O dzień drogi stamtąd leży wyspa Abalos, kędy jantar morze wyrzuca. Jest to rodzaj kału morskiego stężałego. Mieszkańcy okoliczni używają go na paliwo, albo sprzedają Teutonom sąsiednim. Timeus (r. 280) powtarza to samo, ale wyspę zwie Bazylea; Niceas, że go wyrzuca morze Germanów; Mitrydates, że w pomorzu Germanii jest wyspa Ozerykta, zalesiona cedrami, z których jantar spływa na skały; Xenokrates, że jantar w Italii zwan *succinum* albo *shion*, a Scyty gdzie rośnie, zwą go *sacrium*. Najpewniej zaś rodzi się na wyspach północnego morza, a Germany zwą go *glesum*, więc Rzymianie jedną z wysp nazwali Glessaria gdy tam wojowali, pławnicząc z Germanikiem cezarem; wyspę oną mieszkańcy zwali Austrazya.

Tyle wiadomości dostarczył uczony Plinius, dodając od siebie: że Germany przywożą jantar do Panonii, mianowicie Wenety, których Ajnetami zwą Grecy, że oni mieszkają nad morzem Adryi, jakoteż wedle Pannonii.

Nie wiedział, że *Ainetai* greckie jest gallickiem *Ventents*, a sławiańskiem Sławianie.

Fenik z ciekawością wysłuchał tych wywodów naukowych i rzekł:

— Wcale dobrze napisał! to mądry człowiek! Najpierw popłyniemy do Wenetów, stamtąd krajem Wenetów wedle Panonii zdążymy do Germanów — a tam dalej będziemy się wywiadywać, w czem już moja głowa.

Wsiedli na okręt i pławili Sinem morzem

Adryi ku północy do kraju Wenetów czyli Ajnetów t. j. Sławian.

Fenik wieczorami ciągle spoglądał ku niebu, śledząc gwiazdy północnej (w końcu dyszla Wozu małego) wiedząc iż tam leży pielesz jantaru, kędy morzem Fenicy pławili od wiek wieków.

Wylądowali w przystani Akwilei (na zachodzie zatoki Tryesteńskiej) ówczesnej stolicy spławu Sinego morza, dokąd zdążali wszyscy kupcy od Dunaju i Illyryi, dokąd wiodły wszystkie cesty z Panonii dolnej i górnej. Tutaj pobierano cło, a po wybrzeżu roili się mnodzy celnicy.

Po desce okrętowej przeszedł najpierw feniczyk młody, niosąc na ramieniu żerdź, na której trzepotały się i wrzeszczały papugi łańcuszkami za nogi przywiązane; wiódł za sobą psa ogromnego kudłatego, na którym jak na koniu siedziała małpa. Sobaka nieco mniejsza, ależ potężna szła z tyłu, poprzedzając obydwu łowców niedźwiedzi, obwieszonych powrozami silnymi, obciążonych orężem łowieckim. Dalej szła siostra Aeliusza prowadzona przez brata i męża, a za nimi Fenicyanin stary poprzedzał niewolnicę służebną. Stanął on na brzegu, spojrzał po celnikach, poczem gwiznął na palcach.

Celnik młody, czarniawy, stał opodal, uważnie przypatrując się papugom i małpie; posłyszawszy świst, skokiem przybliżył się do lądujących, a poznawszy Fenika, witał z radością ale uniżenie, obyczajem afrykańskim.

Fenik zagadnął go:

— Mój ty Filagryppie! Przewodnicz tym państwu do Hormusa purpurnika, oswiadcz, że to moi goście wielce mili i drużyna podróżna; ja przyjdę zaraz, jak skoro odbiorę brzemiona.

Młody afrykanin (bo był rodem z Kapity afrykańskiej, poddany cezara i strażnik celny) uprzejmie

ukłoniwszy się, wiódł ich ku miastu obmurowanemu silnie. Straże w bramie bacząc go, pozdrowiły drużynę, przepuszczając wolno. W ulicach pochodowi ich z ciekawością przyglądały się mnogie rodziny Greków tamże osiedlonych,

Przybycie gości podróżnych wywołało radość całego domu Hormusa purpurnika i pokrewnych jego spólników Pulliów braci, też purpurników i siostry ich Pullii Primy.

Strażnik ów młody dał też znać opiekunowi swemu Heliodorowi, olejkarzowi (aptekarzowi), także z Afryki, z Kapito, który pospieszył na przywitanie i wiadomości rzymskie. Przybieżał też wyrobnik maści wonnych Felix i przekupień kadzideł Eutych, wyzwoleniec: więc sam dobór kupiecki.

Fenik miał się z kim naradzić co do drogi dalszej, bo to byli kupcy bywali, obeznani z ludźmi. Wszyscy zgadzali się na to, że nad Dunajem górnym w Lechii Wendów *(Vindelicia)* da się odszukać stary Jantumar, kupiec jantaru, który się tam schronił z Germanii, uchodząc przed Niemcyma. On da najlepsze wskazówki, a może i sam będzie przewodniczył do morza jantarowego.

Filagryp zaś, celnik afrykański przebiegły i przemyślny wywiedział się, że przybyły niedawno starosta miast Pogórza nadmorskiego Kajus Bebius, pułkownik zastępu ósmego, a przedtem setnik piorwszorzędny pułku piątego macedońskiego [1]) przybył do miasteczka górskiego Julium Karnikum (dziś Zuglio) oczywiście ze strażą Macedonów, między którymi obadwaj Macedonowie podróżni mogą znaleść znajomych rodaków.

— To mój setnik były — zawołał uradowany

[1]) Regio X, N, 1838—9. — Momsen Corpus inscriptionum.

Gaj, macedoński skazaniec — ja pod nim służył, on mnie sądził, ja go muszę widzieć!

— Byle on ciebie nie ujrzał, boby cię kazał ściąć bez wszelkich korowodów.

— Wcale nie! bo ja nie zbieg, mogę się wyświadczyć; a pomoc jego może się przydać wielce nam wszystkim.

— Gdyby jej użyczył taki wojak surowy...

— Użyczy, bo to wojak surowy, ale sprawiedliwy sługa cesarski.

— Można spróbować!

Radzono nad podróżą dalszą i trudną przeprawą przez Alpy.

Żelazo z Noryku słynęło w Italii. Kopano go tam, gdzie i dziś, najwięcej w Hüttembergu dzisiejszym, w Karyntyi, kędy ruda wydaje żelaza pół na pół, a dostarcza trzy czwarte części wszystkiego żelaza karynckiego. Do Italii wożono go przez Virunum do Akwilei, więc też taki przewoźnik żelaza był urzędnikiem w Akwilei.

W on czas Palatina Alfius[1]), przewoźnik norycki, nietylko że był sędzią przysięgłym, ale nawet wójtem w Akwilei i od rządu cesarskiego odznaczon darowizną konia rządowego; był więc mężem dostojnym i wpływowym. Córkę Sabinę wydał za Licyna kowala, syryjczyka w Noryku, dostarczającego żelaza rzekami przez 1200 stajań [2]).

Do niego więc udali się. Na wstępie obaczyli otwartą szopę przestronną, w której wyrabiono powidła z fig, dowożonych okrętami. Figi zmiażdżone tłoczono w naczyniach okrągłych, z których wyjmowano je jako powidła gęste, twarde, gotowe do przesełki. Jakość onego znaleziono znakomitą, a gdy to oświadczono wójtowi, rzekł z uśmiechem:

---

1) Momsen Noricum 4788. 2) M. N. 4877.

— Dobroci wyrobu powideł zawdzięczam mój dobrobyt, moje dostojeństwo, a nawet nazwisko moje zwykłe. Właściwie bowiem zowię się ja: Marek Trebus, a mieszkańcy tutejsi greccy, główni kupcy wyrobu mojego, zwą mnie z grecka Palatina, t. j. powidlarz, a że mam opryszczoną twarz, dodali przezwisko Alphios, t. j. pryszczowaty. Jestem zaś z rodu Feników panońskich... Cóż powoduje odwiedziny domu mojego? powidła czy żelazo może.

Fenik wyłuszczył mu sprawę poselstwa po jantar dla cezara i potrzebę podwód, a powidlarz z całą chęcią i uprzejmością obiecał dostarczyć i dodać polecenia od siebie zięciowi i znajomym, gdyż i on był Fenikiem z rodu.

Feników takich czyli Punów, do niedawna panów Panonii, a w ondy jeszcze panów Dacyi niemało było w krainie alpejskiej hen hen! aż po Dunaj, a mnogo też po za Dunajem w pogórzu Tatr i Beskidów, dokąd ich wparli Jacygi.

Wszędzie kupczyli, górniczyli, odlewali, kowali kruszce, tkali wełnę i len, barwili rozmaicie, sporządzali odzienia, ozdoby i cacka, z któremi to wyrobami zapuszczali się w świat daleki, ufni w opiekę Boga swego Baala Bellena.

W Akwilei, Bellen bóg słońca miał dwie świątynie, uczęszczane też i od Rzymian, którzy w Bellenie czcili Apollina swego. Puny wszystkie podróżne, wierne obyczajowi praojców, nie zaniedbali nigdy, wyruszając w podróż, składać objatę, błagajac Boga o pomyślną drogę. Tak też uczynił i nasz Fenik wraz z Punami miejscowymi, a to tem uroczyściej, gdyż święcono wielkie święto wiosenne.

Po nabożeństwie załatwiono sprawy podróżne: zakupywano najpierw zapasy żywności, do której zaliczono i powidła figowe, którego kupiono kilkanaście

»klocków«, bo w takiej postaci dogodnej do pakowania, sprzedawano go.

Purpurnicy Fenika kupię przywiezioną z Rzymu zamienili za purpurę prawdziwą, dodali barwionek wełnianych i bawełnianych, lekkich, lichych, ale jaskrawych, wystarczających dla dziczy północnej.

Zamianą też wziął olejków wonnych i maści od ojejkarzy i smaroniów, a kadzideł u korzennika.

Zaopatrzeni we wszystko wyruszyli ku Alpom, czyli Górom białym, oddając się opiece bożyszcza Bellena noryckiego, w świątyni niedaleko od Akwilei (dziś *Beligno).*

W podgórzu Alp zdybali drużynę wojaków, jadących w zbrojnym poczcie za przewódcą swym statecznym i okazałym, na którego widok Gaj Macedończyk skazaniec, wzruszył się cały i postąpił naprzód, pozdrawiając po wojskowemu.

Przywódcą tym był Kajus Baebius, przedtem pierwszy setnik pułku piątego macedońskiego, obecnie wódz zastępu ósmego, starosta miast w Alpach pomorskich. Spojrzał on ostro na pozdrawiającego, poznał i zapytał:

— Czyś to ty Gaju?

— Ja mój setniku, mój ojcze!

— Przecież nie zbiegłeś z mieczników, w któreś skazan?

— Nie zbiegłem! jadę w poczcie Aelia, kędyś na koniec świata, na morzu zbierać jantar dla Najjaśniejszego Cezara.

— Więc za Białe góry nasze?.. Gdzież twój Pan?

— Anoli zbliża się... atoli jest...

Zbliżyli się ku sobie, przywitali przedstawiając się wzajemnie i jako przystało wiernym sługom cesarza, naradzali się nad wypełnieniem obowiązku. Baebius człek doświadczony i świadom miejscowości, doradzał którędy przeprawiać się przez góry, ofiarując

pomoc; poczem zapytał, jakie dary wiozą dla onej dziczy północnej, dla dostojników i królików ich?... Aeliusz wyliczył mu kupię wszelaką, wymieniając w końcu pachnidła i maści woniejące. Bebius uśmiechnął się i rzekł:

— Nie bywałeś znać między góralami dzikimi, skoro nie znasz potrzeb ich, które i tobie będą niezbędne, aby się ochronić od utrapienia.

— Cóż takiego? jakie utrapienia?

Jużcić góry przed nami są takusieńkie, jak góry za nami; górale północy podobni onym, co zamieszkują Hemus... Wszędy pełno owiec, a w każdej owcy podostatek kleszczów, które się wpijają w skórę, wiercąc ciało ryjaczkiem i ssąc krew, co sprawia świerzbienie i ból nieznośny. Na pierwszym noclegu w nędznej góralskiej kuczy, oblezie cię plugawstwo wraz z rojem robactwa czarnego i białego, będzie kąsać i kłuć, aż się życie sprzykrzy. Otóż przeciw temu szukaj środka i maści.

— Kędyż go znajdę?

— Nieopodal od cesty. Skoro się przeprawisz przez góry one pierwsze, skoro miniesz góry gruszek dzikich, zboczysz w lewo w dolinę rzeczki Hydryi. Tam przewodnicy moi wskażą ci miejsce, gdzie kopią w górze rtęć, wyglądającą gdyby srebro wodne i prześliczną barwę czerwoną. Tej rtęci i tej barwy nakup ile zdołasz, bo to tego trudno dostać wiele. Rtęci kilka kropel z tłuszczem wieprzowym utartych dobrze, dadzą maść szarą, zabójczą dla robactwa wszelakiego: byle namaścić nią włosy lub cokolwiek pomazać ciało. Można też pomazać nią odzienie codzienne, a nie chwyci się ciała ani robak, ani brud. Dla siebie lub dla dostojników możesz tej maści rtęciowej cokolwiek dodać do wonnej maści na włosy, a wystarczy. Barwa rtęciowa przepięknie zabarwia: płótno, bisior i wełnę, chroniąc też od plugawstwa, a dzikie narody przeno-

szą ją nad purpurę nawet, bo to taka czerwień, że aż oczy rwie. Owoż tkaniny nią barwione, najmilszą są ozdobą tych niewiast dzikich. Masz z sobą kobiety?

— Mam siostrę moją i niewolnicę jej.

— To bardzo dobrze, bo mi trzeba opieki niewieściej nad dwoma chłopaczkami małymi, danymi w zakład wojenny. Mam ich odstawić do Emony, do sotni zakładniczej, a żal mi malców tęskniących za rodzicami w Illyryi. Nie chciałbym ich powierzyć opiece wojaków samych. Siostra twoja zamężną?

— Zamężna, jedzie z mężem Macedonem.

— Przecież nie z onym skazańcem?

— Nie z nim, lecz z przyjacielem jego, wyzwoleńcem.

— Rozumię! Poszła za skłonnością serca i uchodzi przed surowością prawa!.. A pewno mąż jej jest Chrestosa nauki wyznawca?

— Tak jest!

— Dobrzy to ludzie ci wyznawcy Chrestosa! miłują się wzajemnie, nie krzywdzą nikogo i dziwno, że ich tak nienawidzą Żydy, których rodakiem był Chresstos. Ot ten Macedończyk Gaj, skazaniec, to najlepszy mój wojak w całej sotni, nawet w całym zastępie moim pierwobojowym: najodważniejszy w bitwie, najwierniejszy, najposłuszniejszy! Ale Boga swego miłuje nad swe życie, i dla ocalenia apostoła Chrestosowego, na którego życie dybali Żydowie, naraził się na najsroższą karę, opuszczając dobrowolnie chorągiew, do której, gdy niebawem powrócił, oddan pod sąd wskutek donosu Żydów. Gdyby był schwytan, byłby zginął pod kijami, tak zaś miał być ścięt. Żal mi było biedaka i wziąłem go w obronę. Zasłyszawszy że ten Szaweł czy Paweł apostoł jest synem urzędnika cesarskiego, i obywatelem rzymskim, żądałem darowania życia podsądnemu, który w dobrej wierze

acz nierozmyślnie pokwapił się bronić obywatela rzymskiego przed zasadzką żydowską. Ocaliłem go od miecza i raduję się, żeś go ty ocalił od zwierząt dzikich na igrzyskach.

— Właśnie dla dzikich zwierząt przydan mi.

— Pojmuję! nie zawiedziesz się, będzie cię bronił do ostatniej kropli krwi swej poczciwej i będzie się opiekował malcami danymi w zakład, których mową mówi, bo illyrska a tracka to prawie jednaka mowa, a panońska wielce podobna. Czata też, którą wam przydam, złożona przeważnie z Traków i z Wenetów mezyjskich: nie będziesz potrzebował tłumacza, bo dziesiętnik stary, co ją powiedzie, włada dokładnie narzeczami tych Wenetów, czyli jak się sami zwą Sławian.

Dziesiętnia wojaków konnych przybyła wraz z wozem dwukołowym wojskowym, na którym siedziało dwóch malców zapłakanych. Dziesiętnik stary osiwiały przystanął, oświadczając, iż gotów jest do podróży.

Aeliusz udał się ku swej drużynie, opowiedział że uprzejmy t r i b u n k o h o r t y śle czatę wojskową i dwóch chłopaczków powierza opiece siostry, która uradowana, chcąc okazać uznanie swoje, wysiadła z wozu, aby się przedstawić.

Uprzedził ją uprzejmy i grzeczny wojownik, spiął konia, przyskoczył właśnie gdy wysiadała i bacząc białą drobną nóżkę w sandaliku ozdobnym, uśmiechnął się smutnie i przedstawiwszy się, uprzejmie zagadał:

— Więc jedziesz z bratem i mężem na koniec świata?

— Jadę!

— W tych trzewiczkach ładnych? w tych szatach ozdobnych? Czem dalej tem zimniej będzie, będą wiatry, będą słoty, trzeba będzie brodzić w błotach i śniegu; biednaś ty niebogo!

— Mam w Bogu nadzieję, że przetrzymam.

— Tak wy mówicie wszyscy zwolennicy Chresta, narażając się na niebezpieczeństwa oczywiste. Ja wojak stary i doświadczony w trudach, z przykrością słucham mowy tej z ust Rzymianki wypieszczonej — bo i moja żona była taką i zmarniała w górach... Hej ty Gaju! pójdźno sam! Umiesz ty robić chodaki opanki trackie?

— Umiem!

— Pamiętajże, nie czekając słoty, z pierwszej skóry, która ci się nawinie, wykroić opanki głębokie i dobrze je wymoczyć w olchowych lub dębowych skaruchach, poczem wymiąć doskonale i uszyć gęstym ściegiem rzemykowym i naucz tę panią jak ma wzuwać i opinać, bo zaziębienie nóg pieszczonych — to śmierć! A płaszcza od deszczu pewno nie masz?

— Kabanica moja nowa została przy pułku, gdy mnie uwięziono.

— Toć ci się należy zwrot! Dziesiętniku! kabanicę nową i dobrą temu chłopu dać, a drugą też nową wziąść na okrycie dzieciaków aż do Hemony, poczem jej nie odbierać lecz zostawić temu drugiemu! Zda się zamiast namiotu. — Weźcie mi w opiekę chłopięta, żeby dojechały zdrowe i sami jedźcie zdrowi a wracajcie szczęśliwie.

Pojechali, a stary podpułkownik długo i smętno poglądał za nimi, dopokąd nie znikli w wąwozie.

Wąwóz kręty zwężał się w miarę, jak się wznosiły jego ubocza wapniste. Wojaków trzech jechało przodem, za nimi wozy dwukolne i dwukonne, ale konie obydwa jeden przed drugim w pojedynkę. Za wozami jechał dziesiętnik stary, a wedle wozów szli woźnice i niewolnicy.

Czem wyżej tem kamienistsza była droga; wozy podskakiwały i chybały się po kamieniach, grożąc wywrotem. Rzymianka i chłopcy, nie mogąc dosie-

dzieć pozłazili, krocząc zwolna i przystawając. Ku wirchowi góry, było najgorzej: bo trzeba było okrążać skałę szczytową, której okruchy wietrzejące staczając się ku dołowi, tworzyły ubocz zdradliwą, usuwającą się pod nogami i kołami. Las i zarośla otaczały drożynę dołem, a z pomiędzy drzew sterczały skały nagie i czarne. Wszystko wraz nadawało się na kryjówkę zasadzki zbójeckiej, a na domiar zgrozy, na szczycie góry wznosiły się dwa krzyże ponure z drzewa nieciosanego.

Rzymianka z wielkim trudem wydostała się na wirch i usiadła pod krzyżem, mąż jej zaś i drużba jego nabożnie zdjęli kapelusze...

— Co znaczą te krzyże? — zapytała dziesiętnika.

— To na postrach zbójców, którzy tu napadają. Gdyby którego przychwycono na uczynku, zaraz byśmy go tu przybili; gwoździe i młotek mam w torbie.

Rzymianka zadrżała od zgrozy i szepnęła:

— Chrysta tak ukrzyżowali ze zbójcami wraz!

Dziesiętnik stary dostrzegł wzruszenie jej i zapytał nieśmiało:

— Dostojna pani zna naukę Chresta?

— Znam!

— Piękna to nauka! Słyszałem ją z ust tego apostoła, za którego obronę skazan nasz rodak Gaj.

— Pawła apostoła?

— Pawła!

— Cóż się z nim stało? kędyż on się obraca?

— W więzieniu nieborak w Cezarei syryjskiej. W Jerozolimie pochwycili go Żydzi i chcieli zabić! Ale im go z rąk wyrwał setnik załogi Klaudius Lizyasz. Żydzi oskarżyli go, że to zbrodniarz srogi, że podżega przeciw Rzymowi. Paweł zapierał się, Żydzi wpierali. Lizyasz, niewiedząc co robić, chciał chłostą przyniewolić go do przyznania się. Już go chwycono chcąc bić, ale rzekł uroczyście: »Jestem obywatelem

rzymskim«. Siepacze odskoczyli, Lizyasz nie śmiał się tknąć i oddał go staroście Feliksowi w Cezarei, u którego dotąd zostaje w więzieniu, czekając na sąd. Znajomym wolno go odwiedzać i rozmawiać z nim; więc też w więzieniu naucza swobodniej niż w kościele. Zwolennicy jego czczą krzyż i po tem poznają się.

Pustaciami górzystemi zdążali dalej, czatując ostrożnie w wąwozach i dolinach kamienistych: bo lud tamtejszy pozbawion ziemi urodzajnej, a nawet wody, kamienie jeno ma przed oczyma i umie nimi rzucać celnie i donośnie. Więc też bacząc podróżne bogate, rad je obrzuca skalem, czyhając na zdobycz. Wojaków lśniący oręż i znana zaciętość rzymskiej zemsty, hamowała zapędy rozbójnicze. Bez wypadku przybyli w dolinę rzeczki Idrycy.

W wądole głębokim kopano tam kruszec, między którem zjawiało się żywe srebro czyli rtęć i czerwona barwa rtęciowa (cynober). Jedno i drugie w odrobinach skąpych kupili od górników wybladłych i chorowitych z zarazy wyziewami rtęci i... od głodu. W piórach ptaków dużych sprzedawali rtęć, a cynober w pęcherkach.

Do Wrchnika liublańskiego zdążyli potem — wówczas osady rzymskiej Nauportus, z urzędem cła wodnego od kupi italskiej. Bo dotąd z Akwilei i Tergestu (Tryestu) na wozach dostawiano kupią morską i lądową: tutaj zaś opłaciwszy cło, ładowano ją w brodi (okręta rzeczne), a brodiaki spławiali ją, rzeką Lublancą, wówczas zwaną *Korkora,* do Sawy, a z niej w Dunaj.

Nad przystanią rzeczną wzniesiono też świątynię Neptunowi i bogini wodnej *Aequorna.*

Właśnie miały odpływać brodi do Celei. Korzystając ze sposobności dogodnej, przesiedli się podróżni aby pławiąc, wypocząć z trudu podróży górami

i bezdrożami. Dziesiętnik czaty pozostał, chcąc wypocząć koniom i chłopakom, aby okazale zajechać do Lublany, gdzie o przybyciu jego uprzedzić mieli podróżni.

Rzymianka uścisnęła i ucałowała chłopczyków obydwóch, którzy ją bardzo polubili — szczególnie młodszy.

Lublana *(Laibach)* była wonczas miastem Panońskiem, a Panoni ówcześni byli Sławianami, którym przez kilka wieków panowali Puny czyli Fenicy. Oświata Panonii była wielka, pisemna i naukowa, tak iż w podziw wprawiła ongi Juliusza Cezara. Rzymianie po ciężkich wojnach urwali kęs Panonii południowej i zachodniej, obyczajem swoim zakładając grodki i obozy obronne.

Grodek taki założyli w Lublanie i nazwali go Julia Emona albo poprostu Emona — w miejscu dzisiejszego przedmieścia Hradysz, nieopodal od dawniejszego fenickiego grodka Krakowo.

Na onej Emonie rzymskiej była szkoła wojenna, gdzie zakładników miast podbitych zaprawiano do posłuchu i służby wojennej rzymskiej; boć to były same dzieciaki podrostki. Było ich tu niemało, skoro podzielono ich na setnie *(centuria)*.

Ładowanie ciężarów do spławu na Sawie zabrało tyle czasu, że nadjechała czata z obydwoma zakładnikami, których dziesiętnik stary natychmiast po ukazie oddał do zakładu. Setnik drugiej setni przyjął ich szorstko, po wojskowemu, zapowiadając kary na wszelaki nieposłuch. Poczem dano im odzienie wojskowe i nakarmiono wraz z drugimi. Chłopaczek młodszy, dziesięcioletni Likawić Hozef, z pokolenia Undiów, z krainy Amantinów (u ujścia Bakunta do Sawy, nieopodal Syrmii), stęskniony za swemi nie chciał jeść. Setnik srogi ofuknął go, więc chłopczyna prze-

lękły silił się do jadła, a łzy gorące kapały mu na miseczkę ze strawą. Po jedzeniu zatrąbiono pobudkę i porządkiem wojskowym wyruszono na ćwiczenia nad rzeką Sawą.

Stanęli szeregiem, a setnik donośnie zawołał:

— Baczność!

Wtem ruszył okręt od przystani, a papugi kołysząc się na żerdzi, zawrzeszczały przeraźliwie.

Likawić mały stał na samym końcu w drugim rzędzie. Słysząc głos papug, z któremi się zabawiał w podróży, oczęta łzami zaszłe zwrócił po za siebie, śledząc swej opiekunki podróżnej. Obaczył ją stojącą na pokładzie i zasełającą mu ucałowania. Rozpłakał się na dobre i ani słyszał rozkazu do pochodu, ani widział kiedy setnia ruszyła, zostawiając go samego.

Setnik srogi dostrzegł płaczącego. Oburzony krzyknął, przywołując go, a bacząc iż się ociąga, sam poskoczył ku niemu, złorzecząc. Okręt właśnie przypłynął uniesion szybkim prądem. Dziecko słysząc groźbę, obejrzało się a widząc pędzącego ku sobie setnika, ujęte trwogą uciekało ku rzece — sądziło iż się schroni na okręt. Ale okręt był już opodal! Chłopczyna spostrzegł to, a zarazem obaczył czółenko wyżłobione z drzewa jednolitego, stojące nieprzymocowane u brzegu. Bez namysłu uchwycił oburącz, zepchnął na wodę, pochwycił wiosło i odbił od brzegu; prąd porwał go, unosząc szybko.

Setnikowi w pomoc przybiegli podwładni; skoczyli w czółno drugie, ruszyli w pogoń, a silnie wiosłując dognali i już... już... chcieli zatrzymać rękoma czółenko małe, na którem stojąc pławił dzieciak płaczący w niebogłosy. Nie mogąc ręką, chcieli wiosłem zatrzymać czółenko, które się zachwiało nagle. Chłopczyna wpadł w wodę... utonął.

Na okręcie myślano, że go pochwycili wojacy. Rzymianka płakała, papugi wrzeszczały.

Dowódca zakładu doniósł o nieszczęściu, a stroskany ojciec Likaw wraz z krewnymi: Lorykiem i Likaicem postawili topielcowi nagrobek w dzisiejszych Putyńcach koło Petrowic, ówczesnej osady Bassiana [1]). U ujścia Saanu do Sawy istniała tu świątynia rzymska na cześć Sawy i »Doliny szczęścia« jak zwano dolinę Saanu, której opiekunką była Salus, bogini zdrowia i powodzenia, zwana tu *Adsaluta*.

Powyż ujścia na brzegu Saanu stała jej świątyńka osobna, wzniesiona przez jakiegoś Cycynę, szczęśliwego, że w górach tych odzyskał zdrowie i powodzenie. Była to kapliczka niewielka, z posągiem niewiasty uwieńczonej ziołami lekarskiemi, z kubkiem w ręku, siedzącej na tronie obok ołtarza, który wokoło poasuje wąż, podnosząc łeb do góry [2]).

Nieopodal stał ołtarzyk skromny, wzniesiony przez biednego niewolnika, też poświęcon bogini onejże, aby go chroniła od chorób i przygód [3]).

Bo to pław pod wodę rzeki Saanu nie był łatwy, zwłaszcza w obec wiatru przeciwnego. Wtedy niewolnicy na długiej linie uwiązany okręt ciągli, utykając po ścieżkach nadbrzeżnych z całem natężeniem sił swoich, czasem aż do samej Celei. [4]).

W połowie drogi (wedle Tüffer) były zdroje wzmacniające. Tam wykąpali się biedacy, nabrali sił i podziękowawszy modlitwą króciuchną Nimfom, świętym boginiom zdrojów, holowali dalej okręt.

W Celei zastali na brzegu czekającego, do wszelkich usług gotowego pomocnika kupieckiego, którego oblicze ciemne świadczyło, iż jest obywatelem Afryki. Przedstawił się jako Aureli, kupiec afrykański [5]), polecając się do usług. Z Fenikiem porozumiał się nie-

---

[1]) Corpus inscriptionum, Momseni, Panonia inferior N. 3224. — [2]) Mom. Noricum N. 5135 — [3]) N. 5136. — [4]) N. 5144. — [5]) N. 5230.

bawem mową punicką i zapytany: czy zna Licyna, kowala z Norei — odrzekł, że zna.

— Gdzież on mieszka?

— Daleko stąd, ale właśnie jest tu obecny wraz z żoną swoją młodą Sabiną Alfiowną z Akwilei.

— Prowadź nas do nich!

— Czemuby nie? Ale czy mogę zapytać o godność tamtych państwa, bo w tobie baczę krajana lub rodaka i kupca... Możebym mógł usłużyć w czem? nie oddal mnie od zysku! Pewno chcecie zakupić żelaza w drągach? a może wyrobów żelaznych?.. to ja wam dostarczę wszystkiego. Ja wam będę pośredniczył z Licyniuszem, bo to z nim niełatwa sprawa... to bogacz wielki... to zięć Palatina Alfiego, dostojnika cesarskiego z Akwilei! Ja i onemu załatwiam sprawy i jego córce Sabinie Licyuszowej... Ot! tutaj ich gospoda! Pobiegnę zapowiedzieć gości dostojnych! Jak mam zapowiedzieć?

— Znajomi Palatina Alfiego i Alfii Dafny.

Oboje Licyuszowie wybiegli na powitanie. Aeliusz okazał ułamaną połówkę tabliczki glinianej z nazwiskiem Alfiego, a Licyusz głęboko się pokłonił, witając gości teścia swego [1]).

Tabliczki takie z wypalonej gliny z nazwiskiem dawcy, były tem, czem dzisiejsze bilety wizytowe: używano je za dowód przymierza gościnnego, który zawierając, łamano przez połowę, aby gdy wypadnie po długich latach, dać się poznać przez zetknięcie rozłamanych połówek. Zwano je *tesserae hospitalitatis* t. t. tabliczki gościnności.

Obaczywszy taki odłamek, uznał Licyusz podróżnych za gości teścia swego, więc i za swoich: prosił do gospody swej na wypoczynek z podróży.

---

[1]) Noricum N. 4877.

Młodziutka jego żona Sabina witała ich serdecznie, wypytując zaraz na wstępie o zdrowie ojca i matki, radując się, że gości rodziców może ugościć sama. Klasnęła w ręce, przywołała służebnicę Albanę [1]), oddała na usługi Rzymiance, wskazując komnatkę gościnną i prosząc, by gospodę ich uważała za swoją.

Mężczyżni nie tracąc czasu przystąpili do rzeczy. Aeliusz z Fenikiem i gospodarzem samotrzeć w pogadance poufnej naradzali się względem jantaru. Licyusz wysłuchał bacznie i rzekł:

— Szkoda, że nie wiem, kędy stary Jantumar żyje! on nieraz docierał do morza jantarowego, skąd nabył bogactwa wiele. Onemu to było nietrudno, gdyż był wnukiem rezimara [2]) t. j. rządcy dóbr nad Dunajem, kędyś w pogranicznej krainie za czasów Tyberyusza, gdy wojska rzymskie zapuszczały się w głąb północy a narody dzikie szukały przyjaźni Rzymian. Rodzice też jego: Urban Rezimar 70 letni ojciec i 61 letnia matka Rezilla Adnamatowna, wznieśli mu pomnik za życia gdy liczył lat 30, za to, że zbogacił onych i siebie. Skoro jednak nastały te wojny Niemiec między sobą, ustały podróże ku północy i kupia, Jantumar przyjął służbę w wojsku, a synowie jego rzucili się na przedsiębiorstwa inne: Silvan [3]) rąbie lasy, dostarcza drzewa na okręty, kędyś niezbyt daleko ztąd, idąc za przykładem szwagra swego Alventina [4]), który po ojcu Jutumarze objął tracze w górach zwanych Pinneth, czyli Pagórki *(Pinzgau);* Mascius zaś Jantumarowicz [5]) osiadł kędyś w porzeczu Dunaju w Wendolechii. Żaden z nich nie podróżował ku północy dalekiej, ale może zachowali podania jakie po ojcu: kędy to rośnie jantar i jakie narody tam mieszkają. Zawsze

---

[1]) Noricum N. 5061. — [2]) N. 5496. — [3]) N. 5290. — [4]) N. 5522. — [5]) N. 5637.

oni będą pośrednikami najlepszymi, byle odszukać którego z nich, czem się zajmie służba moja.

Afrykańskiemu pomocnikowi kupieckiemu rozkazał dowiedzieć się, kędy między Celeją a Petowem rąbie lasy Jantumarowicz leśnik. Poczem zamyślił się, potarł sobie czoło, jakby dla przypomnienia czegoś... zatarł ręce radośnie i przywołał niewolnika Uppona.

— Znasz ty jantar?

— Znam.

— Skąd znasz?

— Bo to są okruchy naszej bogini morza zwanej *Jura* karmiącej się rybkami zwanemi *wienpusse* (t. j. flądra) które zjada rozdarte przez pół.

— Dlaczegoż to okruchy?

— Bo Perkun piorunem skruszył jej pałac podwodny jantarowy.

— A to za co?

Że Jura pokochała rybaka prostego.

— Kto ci to opowiedział?

— A jużcić: ojciec i matka i dziadek i wszyscy, bo tak uczy *kriwekriwejto.*

— Któż to taki?

— To nasz *Pontifex maximus.*

— A cóż wy robicie z jantarem?

— Kadzimy, ofiarując *Atrymposowi* bożkowi morza i wody.

Rozmowę badawczą przerwał wesoły cieńki głos niewieści:

— Nieprawda! bo Uppon jantarem kadzi wężowi...

— Albana! chodź tutaj! Skąd ty wiesz o tem?

— Bo widziałam na moje oczy!

— Gdzie? kiedy?

---

[1]) Encykl.: Litwa p. 182.

— W szopie, gdzie skład żelaza; ale nie tutaj jeno doma. On tam chowa węża wodnego w cebrze napełnionym wodą, przykrytym snopem zboża; modli się do niego, paląc dwie świece woskowe i kadzidło jantarowe. A pod starym dębem tuż obok szopy, są węże, które wyłażą z dziur gdy zapali świecę woniejącą jantarem. Mleka im daje pić z miseczki.

— Upponie! prawda to?

Uppon milczał. Dziewka rzekła:

— On nie powie nic, bo się boi.

— Czego się boi?

— Rzymian! żeby go nie karali, iż czci bogi swoje.

— Skądże ty to wszystko wiesz?

— Od tej młodej pani, co przyjechała i od jej męża i od tego drugiego, co mówi po macedońsku. Opowiadali, że Rzymianie karają zabobonnych, ale że tutaj nie ma obawy, i że po jantar wysłał ich cezar; więc myślałam, że można zdradzić tajemnicę dla dobra Uppona.

— Czy ty go kochasz?

— Ja kocham bardzo Kaluppę, w której on się kocha... a ona teżby nie pisnęła ani słówka, bo to krajanka jego?

— Zkądżeś ty rodem Upponie?

— Ja *Letuwininkass* z *Letuwy*.

— Kędyż to ta Letuwa?

— Tam! pod oną gwiazdą północy... za temi górami, za Dunajem i za drugiemi górami, gdzie mieszkają Sarmaty i za rzekami, co płyną do Wislaby i za Wisłabą aż ku morzu, w którym boska Jura mieszka w przybytkach z jantaru.

— Jakżeś się ty dostał tutaj?

— Będzie temu lat dziewięć, kiedy na naszego starego króla Wajneksa, przez Rzymian postanowionego nad Dunajem w miejsce Marobuda, zwy-

ciężonego od German, uderzyli Hermodury, poburzając nań siostrzeńce jego, zwabiając wszystkie Liegi i Poleki: Wajneks starzec zawezwał pomocy Letuwy starej i wszyscy mężowie i młodzianie wyruszyli mu w pomoc. Ja, już dorostek, ruszyłem za ojcem i stryjcami. Była zima; Wislaba okryła się białą *wislą* lodowatą, lśniącą; po lodzie więc puściliśmy się. Kto miał sanki, to sankami, kto konia tylko, to konno. Tak bez przeszkody przebyliśmy Polieków puszcze, zapuścili się między góry sarmackie, przebyli je, przyszli jednak za późno; bo jazda jego litewska, którą wy Jazygami zwiecie, czując wiosnę w polu, wypadła z zamków, starła się, porażona; a zdążający jej w pomoc król Wajneks też porażon i ranion, schronił się na okręta rzymskie i do Panonii. Nasz zastęp rozbity, mnie imano i sprzedano w niewolę wraz z tą dziewką Kaluppą.

— Dlaczegoż wy Litwini tak bezmyślnie opuszczacie ziemię waszą, zaganiając się daleko?

— *Letuwa żeme* to dżdżysta ziemia i biedna ziemia, a właściwa ojczyzna nasza była pod gorącem słońcem, gdzie są *lutasy* (lwy) mocniejsze od niedźwiedzi, a po drzewach skaczą *bezdejony* (małpy) takie jak ona co z wami przyjechała na psie. Wajdeloci głosili, że wolą bogów jest, abyśmy ciągli do ciepłych krajów na pomoc staremu królowi naszemu, który nas powiedzie do ziemi wschodniej! Ojciec mój był też wajdelotą i ja miałem chadzać w wieńcu zielonym wajdeloty. Wajdeloci ruszyli przodkując wojsku, ja ruszyłem z nimi wraz. Ale *Kawas* bóg wojny odwrócił oblicze od nas, bacząc nieposłuch Jadzygów. Ojciec mój zginął, ja popadłem w niewolę.

A czy ci krzywda u mnie?

— Krzywda mi nie jest, ale niewola zawsze niewolą... nie zrodziłem się w niej.

— Chcesz zarobić na wolność, to ci się nadarza sposobność... Znasz pomorze jantaru?

— Wiem kędy leży.

— Przewiedziesz tych podróżnych przez one góry i rzeki?

— Aż do morza?

— Aż do morza! Jeżeli przewiedziesz i dopomożesz do nabycia jantaru, złożą okup za ciebie i jeszcze wynagrodzą... Cóż? namyślasz się? nie trafisz?

— W nocy trafię! ale...

— Cóż za ale? mów!

Wesoła Albanka roześmiała się, mówiąc:

— Powiedz śmiało, że ci żal kochanki!

— O to chodzi? to i za Kaluppę złożymy okup.

— Przystajesz?

— Przystaję! ale...

— Żadnych »ale«! Ona tu zostanie przy mojej żonie jak dotąd. Po powrocie szczęśliwym, obojga was dam za odkupem.

— A odkup?

— Dam ja, Aeliusz, poseł cezara Nerona!

Fenicyanin bacznie przysłuchiwał się rozmowie całej, poczem wyszedł i zagadał afrykańskiego kupca, żeby pokazał kupię swoją, co tenże uczynił z radością. Z większą jeszcze radością Fenicyanin dostrzegł tam i kupił piękne skóry lwa i leoparda; więc też kupił mnóstwo nożyków żelaznych, wyginanych, długich, fenickiego wyrobu i siekier żelaznych, stalonych rębalnic.

Litwin zaś Uppon z swoją Kaluppą udali się do szopy pod dębem rosochatym; on jął wiązać brzemiączko przyodziewy i rzekł:

— *Użdek żalcze zwaki!* (t. j. zapal świecę wężową).

Kaluppa zapaliła woskową żółtą świecę, a nie-

bawem sycząc wypełzał wąż, poświęcony Atrymposowi, bóstwu wody i ziemi.

Nabożnie modlili się oboje: krótko a szczerze; a gdy się śradali, ona pełna wiary rzekła uroczyście:

— *Kas Diewo żadeta, bus ir attesseta* (komu Bóg przyrzecze, temu dotrzyma).

Wąż syczał wesoło, jak gdyby chciał stwierdzić słowa wiary i smacznie jął zapijać podane mleko kozie, ku wielkiej radości Uppona, baczącego wróżbę pomyślną.

Dziwną mu się jednak zdała ta podróż, tak niespodziana, i dziwną cała jego dola. Więc wyruszając w drogę, szeptał sobie:

— *Gienis margs, żmogaus giwenims dar margesnis* (Pstry dzięcioł, a życie ludzkie pstrzejsze jeszcze).

Dzięcioły pstre właśnie pukały w drzewa nad drogą leśną, którędy ciągli.

W górzystem porzeczu Drawy, naprzeciwko Patavium *(Pluj, Petau)* zjechali się z Silvanem Jantumarowiczem [1]). O wyprawie po jantar nie chciał on słyszeć, zrażony opowieścią ojca swego o niebezpieczeństwach podróży; szczegółów jednak dotyczących i wskazówek nie taił przed podróżnymi, którym przewodniczył fenicki kupiec. Wskazał im pochód od Dunaju ku północy: doliną rzeki uchodzącej w Dunaj u Celemancyi, aż do jej źródlisk w górach Sarmatów, które przeszedłszy, zdybią rzekę inną, co płynie do Wistuli, a Wistula sama płynie do morza jantarowego. Tyle opowiedział dodając, iż po drodze, przebywając ostatnią górę przed Dunajem, niechaj się spytają o Syryjczyka Klaudiusza i o Licynia Sylwia, którego żona też Jantumarówna [2]). Oni do ostatka kupczyli jantarem i najlepiej im wiadoma ścieża jantarowa.

---

[1]) Momseni, Noricum N. 5290. — [2]) N. 4548—4549.

W Patawii obozował pułk trzynasty, dwoisty, utrzymując związki z Wendolechią naddunajską. Pułkowniczył Fabius Fabullus [1]), przedtem podrzęczy cesarski w Afryce. Przeniesion w góry chłodne, nabawił się gośćcu i leczył w cieplicach przy dzisiejszym Waraždynie. Doznał tam ulgi, więc boginiom cieplic Nimfom świętym wzniósł pomnik.

Za jego pomocą, podwodami wojskowemi po cieście wojskowej puścili się podróżni dalej przez Sabaryą (*Stein am Anger)* i słynną Pustynię Bojów, którzy wyparci ongi z Italii, obsiedli porzecze Raaby, obyczajem swoim napadając i łupiąc sąsiednie kraje. Połączeni z góralami niemieckimi, wpadli do Pannonii pod wodzą króla Kritisara (roku 48 przed Chrystusem).

Berebista, rodu fenickiego król Daków i Gotów, połączony z Skordyskami, wyruszył przeciwko nim, poraził w porzeczu Raaby, wpadł na ich siedziby i wszystkie Boje łupieskie przepędził aż za Dunaj, a to tak do szczętu, iż w sto lat później kraina owa nazwaną została Pustynią Bojów.

Przez owe więc puste błonia i połoniny jechali podróżni do Skarabancyi, Oedenburgu, który minąwszy, odszukali w podgórzu Śnieżnej góry owych wskazanych w Petawii: Syryjczyka Klaudiusza i Licyna Salvina z żoną Jantumarówną [2]).

Szczęście zdarzyło, że zastali tam ojca jej Jantumara. Od niego zasięgli wiadomości dokładniejszych i nazw stannic podróżnych, które sobie zapisać nie omieszkali.

Jantumar, rodu fenickiego z Syryi, służył ongi wojskowo i to w konnicy, ale przedtem jeszcze, nim Korbulo objął dowództwo: więc pod pozorem wojskowości kupczył z drugimi wojakami starymi. Z Syryi

[1]) Momsen. Noricum. N. 4118. — [2]) N. 4548—4549.

przybył do Germanii, służąc w legii XIII i jako wojak stary, wysłużony, śmiele kupcząc jantarem, dorobił się bogactwa i nieodłączny od swego pułku, wraz z nim przybył do Panonii, osiadł pod Śnieżną górą przy dzieciach, spędzając wiek starości w spokoju, opodal od zgiełku obozowego, wolen od trudów kupieckich.

Jako wojak stary, radził on wyprawie po jantar o ile możności nadać pozór wojskowy, gdyż wojaków cezara rzymskiego wielce lękają się narody one północne, dzikie.

Od Dunaju do morza.

K a r u n t o — właściwie *Karra-nams* (łotewskie): wojenny przybytek, gród, — z czego urobiono Karnus *(genitivus Karunti)* i Karuntum.

R. P. 6 dotarli tu Rzymianie. Tyberyusz obległ Starygród sarmackich Azów i chciał ruszyć za Dunaj do Moraw, na Marobuda, króla Sławian czeskich, któremu od strony Niemiec z potężnym wojskiem zachodził Sentius Saturnin. Powstanie Sławian panońskich zniewoliło Tybera do odwrotu, aby obronić zagrożoną Italię. Marobud ciągnął w trop za Rzymiany, zajął całą pustynię Bojów, wyczekując pomocy Niemiec u Błotnego plosa, gotów do pochodu na Rzym. Niemce jednak zawiodły; Marobud zawarł mir z Rzymiany i wrócił za Dunaj.

Rzymianie roku 10 wrócili, zdobyli Starygród (Hainburg dzisiejszy), a na obozowisku Tybera wznieśli bramę tryumfalną na onegoż cześć. Wedle obyczaju, wojacy służali kupcząc, osiadali na obozowisku i obok Staregogrodu sarmackiego powstało miasteczko obozowe rzymskie z łotewska zwane K a r r a n a m s.

Niemce zaś na przeprawie błotnej znieśli trzy pułki rzymskie, zabili dowódcę Wara, rozjątrzając Rzymian do żywego.

Roku 16 Rzymianie pomścili się klęski, porazili Hermana niemieckiego, a imaną żonę jego Tusneldę z dzieckiem wraz wiedli w tryumfie.

Marobud, pomny miru zawartego, nie pomagał im. Herman więc odmawia mu sojuszniczą Łotwę, podburza kmiecie sławiańskie w Łużycach, poraża w bitwie. Marobud z Moraw, kędy się cofnął, obesłał Rzymian, prosząc o pomoc. Tyber podrożywszy się, posłał Druza do Illyryi onym Sławom przeciw Heruskom w pomoc zdradziecką.

Bo Druzus pobudził Goty skandynawskie, najezdniki Pomorza, poskromione, których król Gotwalt wpadł do Czech i zdobył Pragę.

Marobud musiał się schronić na korabie rzymskie, które go przeprawiły do Noryku. Rzymianie osadzili jeńca w Rawennie. Uradowany cezar w senacie rozwodził się nad potęgą jego i nad dzikością narodów, którym panował, radził nie uwolnić go mimo przyrzeczenia. Więc Marobud posiwiał, więzion przez lat 18; wyprowadzano go tylko na postrach Sławianom, gdy się burzyć poczęli.

Sławianom onym czyli Sławom, Suawom (Tacyt ich mieni »Swewi«), naznaczono siedzibę w międzyrzeczu Morawy i Waagi, którą krainę lud po dziś dzień zwie ziemią słowacką, siebie zaś Słowakami. Królem zaś tych Sławów mianowan królik Kwadów łotewskich W a n n o, a właściwie zwan W a j n a k s t. j. uwieńczony, ukoronowany.

Gotów z Pragi i Moraw wypędzili Czechowie, Gotwalda w Friulu osadzili Rzymianie, a Skandynawce jego osadzono nad Dunajem, poddając pod władzę Wajnaksa. Od swych ogromnych kapeluchów nazwani z łotewska *Wacyt* albo *Waceet,* osiedleni w dzisiejszem mieście Wajcen. Wacusami wszech Niemców zwie Łotwa po dziś dzień (z czego powstał wyraz »facet«).

Wanno, król Sławian [1]), przez lat trzydzieści

---

[1]) Tacit. II, 29.

zdzierał Sławiany poddane, a ile razy powstawali, donosił Rzymianom, którzy na postrach wyprowadzali Marobuda, znękanego niewolą.

Roku 37 umarł Marobud w niewoli, ale dopiero r. 51 powstały narody Wannowi poddańcze: najpierw Niemce zmawiając się z Wybilem, królem czeskich górników Hermundurów, więc i Sławianie przywabili Lechy rolniczące nad Wartą i Wisłą z łotewska zwane *Lieki*, z rzymska *Ligi*.

Wanno z piechotą swych Kwadów i jazdą Jacygów zawarł się po grodach i zawadach *Kaweszana* łotewskich, ale konnica litewska nie dotrwała, wypadła zagonem, starła się z Hermundury i Lechy. Musiał wyjść na pomoc i rozgromion, wręcz się ścinając, ranion w oblicze, zniewolon schronić się na korabie rzymskie, które nań czekały na Dunaju.

Wangio i Sydon, siostrzeńce jego, odzierzyli królestwo onegoż podzielone i pospieszyli oddać wiernopoddańczą czołobitność wielkorządcy panońskiemu Attelemu Histra.

Roku 54 Górniki czeskie Hermundury rozgromili niemieckich Kattow w bojach zaciętych, które przerwały wszelki związek z pomorzem bałtyckim i spowodowały oną naumyślną wysełkę po jantar.

Illyrami albo Sławami zwali Rzymianie mieszkańce naddunajskie, a Karnus zwali miastem Illyrów, według mowy narodowej, podobnej do narzecza Illyrów, niewymawiających zgłoski *l*, ale zamiast niej mówiąc *u* albo *o* — podobnie jak lechickie Mazury, pogromce Wanna.

Taką była kraina ona sławiańska, takiem obozowe miasto Karnus.

Stała tam załogą część pułku 13-go, który z dawnych swych legowisk w Petowii illyrskiej, posuwał się ku północnym miedzom państwa.

Przodowały »zwiady wojenne« w osobnym oddziale, złożonym z mierników, budowniczych i rzemieślników wojskowych: zwiady takie zwane *speculatores*. Zadaniem oddziału przybyłego było rozpocząć wymiar pańtwa rzymskiego. Rozpoczęcie pomiaru odbyło się z uroczystością wielką, a całe miasteczko było ożywione wielce, gdy doń zdążali podróżni nasi.

Nieopodal od bramy tryumfalnej stał dwór gościnny z wystawą kupiecką żywności, napitku i narzędzi przerozmaitych.

Przed wystawą, otoczon gronem słuchaczy, stał właściciel, rozprawiając żywo. Była to osobistość okazała. Chłop ogromny jak dąb! rumiany jak jagoda i okrągły na twarzy zarośniętej bujnym włosem białym jak śnieg. Wąsy owisały na potężną brodę, a czupryna kudłata jeżyła się kędziorami. Starzec ten był jednonogi, zamiast drugiej miał szczudło drewniane; mimo to ruchy jego były szybkie, zwroty zwinne. Rozmawiając, machał rękoma, a na prawej ręce lśnił pierścień złoty, na ramieniu zaś dwie obręcze, a raczej skręty grube i ciężkie brązowe, na szyi też lśniła obrączka brązowa, zakończona w kulki, zwana *torques*, naramiennik zaś taki zwan *armilla*. Były to ozdoby wojskowe, tak jak dzisiejsze ordery. Szczytniejsza jednak od nich ozdoba: włócznia z proporcem, stała oparta o ścianę, a najszczytniejsza, koń wierzchowiec, dar państwowy, stał uwiązany u koluszka i wesoło potrząsał głową bujnogrzywą. Stary wojak mimo jednej tylko nogi dosiadywał go i powodował nim jak młodzik. Był to wojak stary, wysłużony i ozdobiony odznakami wojennemi — ale nie Rzymianin.

— *Kara wira kungs Leitis* (wojak, pan Litwin!) — mimowoli jakoś zawołał Uppon, obaczywszy go.

— *Burus ne Leitis* (Prusak, nie Litwin!) — z niezadowoleniem odrzekł starzec, i prawił słuchaczom swym:

— ...Jakto nie pamiętam? doskonale pamiętam, bo nietylko widziałem, ale i pomagałem przy murowaniu tej bramy cezara Tybera... Byłem wtedy już podrostkiem i z starszymi wraz znosiliśmy kamienie, wapno, piasek, wodę, aby okazać życzliwoć Rzymianom... Stał jakiś pomnik staroświecki, — trzeba było głazu kamiennego: skoczyłem, wyrwałem głaz napisowy pomnika. Wołają na mnie: »Nie rusz! bo to pomnik starożytny panoński«. Ale ja śmiejąc się, zaniosłem i podałem murarzowi. Opatrzył go z lewej strony, a że był gładki, narzucił wapna, przylepił go pismem do spodu... Pamiętam jak dziś: siedm stóp od dołu wmurowan, widzę go stąd![1]) Ale tam na Starogrodzie, tam wmurowali głazy jeszcze starsze, z napisami punickimi... bo te Puny panońskie były bardzo mądre i piśmienne.

— Więc to za ono wyrywanie głazów pomnikowych panońskich i za pomoc murarską dał ci Marobud odznaki wojenne na ramionach?

Słuchacze rozśmiali się, a Prusak rozsierdzony do żywego zwrócił się ku szydercy, zmierzył go okiem gniewliwem i zaklął z litewska:

— Perkunby cię zabił!

Bacząc jednak szyderczy spokój wojaka rzymskiego z blizną na obliczu, zamilkł i zwrócił się do podróżnych, zapraszając do swej gospody.

Upponowi polecono rozglądnąć się, czy będzie wygodnie, więc zagadnął po litewsku:

— *Kungs Burrus!* (Panie Prusaku!) a pomieścimy się tam wygodnie?

— Jak możesz pytać się braciszku? A gdzież znajdziesz gospodę wygodniejszą, albo czy widziałeś nawet wspanialszą jak moja? co? Osobna izba dla państwa, osobna dla czeladzi, stajnia końska, a nawet

---

[1]) J. G. Kohl. Die Dunau, p. 206.

dla psa waszego, i na tę *bezdejonę* brzydką znajdzie się chlewek. Czegoż więcej zapragnąć można?

— A są węże w izbie?

— Braciszku! dlaczego się pytasz?

— Bo pani nasza bardzo się boi wężów, a pan zarazby je pozabijał!

— Nie zapalę świecy wężowej, to nie powyłażą z dziur... Albo jeszcze lepiej: pozatykam dziury.

— Ale ich wpierw nakarm, żeby nie syczały.

— Dam im koziego mleka.

— Daj zaraz i pozatykaj dziury! Ja tymczasem zabawię podróżnych.

Wyszedł z gospody, oznajmił, że będzie nieźle, lecz kazał wyczyścić izbę gościnną, co potrwa chwilkę. Tłum ludzi ciekawych otoczył ich, gapiąc się na małpę i papugę, śmiejąc się z całego gardła.

Z boku stał brodacz smagławy, przyglądnął się gościom każdemu z osobna, najbardziej zaś Fenikowi, ku któremu się zbliżył i niby w przechodzie szepnął po fenicku:

— *Salom ahi!* (spokój z tobą bracie!).

— *Ahi salem!* — odrzekł tenże, dodając: *Gune Bel balsamim!* (na wysokość Boga niebios!) *giddenoam!* (będzie szczęście!).

— Zajedź do mojej *magurki!* tam, na końcu ulicy stoi mój *bit kleb be izeb b-haresz* (moja kleta z izbą i harownią czyli pracownią).

— Cóż harujesz?

— Obrabiam kruszec... brąz.

— Nam potrzebne obszerne *tuuleh* (przytulisko, gospoda).

— To bądź ty sam moim gościem, jeżeli nie lubisz wężów, bo ten stary wojak jednonogi jest czcicielem wężów, jak cały jego naród.

— My także przecie czcimy węże, poświęcone Tautowi Surmubalowi, ale w świątyni jego, nie w izbie.

Więc pójdę do ciebie, ale sam tylko; może się dogadamy czego jako rodacy i pobratymce. Co to zacz ten wojak stary?

— To *Burrus* z dalekich krajów północnych, hen za górami sarmackiemi. Jako młodzian służył onemu Marobudowi, królowi Sławów, co się mienią Czechami i z nimi wraz schronił się do Rzymian, za co dostał naszyjnik i naramiennik brązowy. Potem służył Wannowi, królowi Sławów tutejszych, i jako jeździec dobry odznaczon naramiennikiem drugim, przyjęty do straży przybocznej. W wojnie ostatniej obok króla wyruszył w pomoc Jacygom sarmackim, bijącym się z Ligami i z nami Hermundurami; po porażce nie odstępował króla, zasłaniał go w przeboju rannego, przyczem pewien nasz Hermundur punicki jednem cięciem zamaszystego miecza brązowego odciął mu nogę powyż kolana. Że to zaś było już na samym brzegu Dunaju, Rzymianie przypadli w pomoc królowi, Burrusa wzięli na okręt, pęcherzem owiązali nogę, wyleczyli. Król Wanno obdarzył go włócznią z proporcem i konia swego mu darował; dla konia wyprosił mu u Rzymian łąki na Dunajach, dla onego samego zaś pole orne i miejsce pod dwór gościnny, który mu kazał wystawić. Młody jednak król Sydon nie lubi go, więc on się dzierży Rzymian i schlebia się im, ale oni też go nie bardzo czczą, jako głuptaka dzikiego i nieuka... A z kimże to i dokąd podróżujesz ty bracie?

— Jadę za jantarem aż do morza!

— Dla kogoż to?

— Dla cezara Nerona!

— A znasz ty drogę?

— Nie znam jak tylko dotąd.

— Ja znam dalej, bo aż do Sarmackich gór. My Hermundury żyjemy w zgodzie z Rzymiany, przebywamy swobodnie Dunaj tam i sam, chadzamy z kupią

po wsiach i miastach, a w górach kopiemy kruszec i wytapiamy nienapastywani od tych góralów dzikich a głodnych, bo i my ich nie zaczepiamy, lecz owszem, dajemy zarobek. Królikom też łotewskim opłacamy się i mamy spokój od nich. Zapuszczamy się więc głęboko w góry, a są między nami tacy, co dotarli aż do morza. Nie mogłeś lepiej trafić jak do mnie.

— Cóż ty tu *harrujesz* w wyrobni twojej?

— Brązowe ozdoby: pierścienie, naręczaki, naramienniki, naszyjniki, spinki, zauszniki, iglice... a są też koziki, nożyki, noże, sierpy, i miecze nawet, ale tych niewiele, bo Rzymianie nie radzi widzieć ich w ręku dziczy. Bardzoby ci się to wszystko przydało na zamian za jantar.

— Bardziejby się przydała dobra rada i wskazówka drogowa.

— Będzie w dodatku!

Zakupił Fenik ozdób mnóstwo i nożyków cokolwiek. Poczem zasiedli do przzakąski i pogadanki, której wynikiem było: że trzeba podróż zwrócić najpierw na stolicę króla Sydona, bo onegoż dzielnicą wiedzie cesta ku górom sarmackim. Złotnik gospodarz chciał się przyłączyć do wyprawy, ale nie dalej jak pod Białe góry sarmackie, gdzie Hermundury kopali kruszec, którego zasób świeży chciał stamtąd przywieść, obiecując, iż tam dostanie przewodnika do przeprawy dalszej.

Na tem stanęło, poczem wrócili do gospody Prusaka, który niemiłem okiem spojrzał na Hermundurę, a słysząc, iż tenże ma przewodniczyć za Dunaj, wpadł w gniew okrutny i srodze jął przeklinać Hermundury wszystkie, że to rozbójniki! że to łotry nad łotrami, niegodni, jeno żeby ich powyzabijać.

— Za co zabijać? za to, że wam odcięli nogę? a małoż wy ich pozabijali, porąbali, pokłuli? A gdyby wam był nogę odciął tępym mieczem jaki niezgrabny *Facet*, to byłoby wam milej?

— Nie wspominaj mi o tych *Wacetach* niemieckich, bo to jeszcze gorsze złodzieje! Oni was namówili na naszego króla, oni sprowadzili *Lieków*, oni wszczęli bitwę... Oni i teraz wpadają na moje łąki, wypasają trawę albo wyrzynają...

— Ny! to oni lepsi? bo nam także sól kradną nad Łabą...

— Ej! niech którego dopędzę na koniu, to przebiję na wskróś włócznią, co mam od króla Wajneksa i wezmę go na plecy i przyniosę do Karmusu gdyby wiązką siana na postrach wszystkim Wacusom i Ermundurom...

— Hermundurów nie zaczepiajcie, bo macie jeszcze jedną nogę, a nuż wam odetną, któż będzie straszył Faceetów niemieckich? My się wam jeszcze przydamy jak młody król Sydon będzie chciał starego Burrusa odznaczyć trzecim naramiennikiem...

Burrus rozbrojony udobruchał się i jako wierny przymierzeniec rzymski, radził we wszystkiem znosić się z Rzymiany, co też uznano w zupełności: boć to była wyprawa rzymska i z nakazu cezara samego.

— Po krótkiej chwili wytchnienia wybrał się Aeliusz do naczelnictwa wojskowego, a Burrus stary nie dał sobie odjąć zaszczytu przewodnictwa. Mimo jednej nogi dosiadł swego wierzchowca pięknego, ujął dzidę z proporcem i w gotowości bojowej jechał przodem, dumny z posłannictwa swego.

Właśnie starszyzna wojskowa wiecowała w grodzisku obozowem.

Poczet Aeliusza stanowili: Uppon, Makedo, Gaj i łowce obadwa.

Przydoń legii trzynastej przewodniczył radzie wojskowych mierników i badaczy: bo cesarz nakazał pomiar państwa ku zachodowi, poczynając od obozowiska Trajana w Karnus. Naradzano się pod namiotem obszernym rozbitym na wyżynie okopanej i utwier-

dzonej, siedząc w około stołu obozowego, zbitego z desek prostych. Na stole stały zegary wodne i piaskowe, więc też i słoneczne składane, leżały zwoje pism i tablic pochodu wojskowego od obozu w Petowii, aż do Wendowbądzi czyli Wiednia.

Wywiązała się sprzeczka co do sposobu wymiaru. Miernicy starzy, osiwiali w mierzeniu świata krokami, obstawali za swoim sposobem dawnym, dodając z naciskiem, iż obecnie o wiele dokładniej mierzają, przyjąwszy od ludów wschodnich sposób liczenia na różańcach: jakoż każdy z nich miał w ręku różaniec potężny. Okazywali jak się liczą kroki na dziesiątki, setki i tysiące, jak nieomylne jest liczenie takie!

Z uśmiechem lekceważenia odpierał młody Spekul, miernik i badacz uczony, iż to sposób zastarzały, nudny i już nie używany, wobec zegarów wydoskonalonych. Wiemy dokładnie, wiele kroków wojskowych uchodzi się w godzinę: pocóż liczyć kroki pojedynczo? Wojsku nie zależy na wiedzy: ile kroków ulezie, jeno w wielu godzinach, w wielu dniach przebędzie przestrzeń?

— A jeżeli słota? Jeżeli błoto? pochód powolniejszy, kroki mniejsze...

— Kwintyl Warus porażon od Germanów na błotach pewno dlatego, że sobie zmylił liczbę kroków... co?

— Mowa taka lekka obraża cześć wojska poległego chwalebnie.

— A wasza mowa obraża cześć nauk wojennych postępowych, które odmładzają siły państwa zamierającego staroświecką ociężałością bezmyślną.

Sprzeczkę zaostrzającą się przerwał dziesiętnik straży, donosząc, że stary Burrus jednonogi przyjechał przewodnicząc posłowi Najjaśniejszego cezara.

Wszyscy obecni zerwali się na nogi. Przydoń pułkowy kazał dziesiętnikowi prosić posła do siebie.

Podczas gdy Burrus, nie zsiadając z konia, z całą napuszystością lśnił odznakami swemi i wywijał proporcem dla okazania zręczności i siły wobec gapiących się wojaków rzymskich, Aeliusz wszedł do namiotu, witając i przywitan uroczyście. Wykazał się pismem jako poseł cezara po jantar i poleceniem do władz wojskowych i cywilnych, aby mu użyczali pomocy potrzebnej.

— Jakiejże pomocy żądasz? — zapytał przydoń pułku.

— Podróżować mam ziemią króla Sydona, proszę więc o pośrednictwo, żeby od niego uzyskać pozwolenie i polecenie do królów sąsiednich, a w razie potrzeby o pomoc poddanych jego.

— A maszże tłómacza?

— Mam niewolnika wiernego, Litwina, jeńca z wojny ostatniej.

— A nie ucieknie on? nie zdradzi?

— Nie! bo kochankę ma w niewoli, której na bogi swoje poprzysiągł miłość, i jeżeli powróci, otrzyma wolność dla siebie i dla niej.

Przydoń pułkowy uśmiechnął się i zwrócony do miernika młodego, postępowego, zagadał żartując:

— Panie *spekulator!* jak się panu zdaje? nie zdradzi taki niewolnik zakochany, nie sprzyniewierzy się?

— Sprzyniewierzyć się od czasu do czasu wolno zakochanym, ale zdradzić nigdy!

— Tak stoi w Amorach Owidiusza?

— Tak pułkowniku! w Amorach Owida, które całe umiem na pamięć i w Amorach legii trzynastej, w której mam zaszczyt służyć pod rozkazami twemi pułkowniku! Drużbowie moi starzy chybaby byli

w stanie policzyć kroki ubocznej miłości legionistów naszych.

— Dobrze już, dobrze... więc i ja ufam w wierność kochanka tłumacza... każ go przywołać!

Przywołano Uppona.

— Znasz ty *kałbę* (mowę) króla Sydona?

— Znam.

— A będziesz mówił bez zająknienia? bo on srogi!

Kałbesiu, będę mówił bez bojaźni, gdyż na głowę włożę wieniec zielony...

— Cóż to znaczy?

— Że jestem wajdelotą, to jest *flamen dialis*, kapłanem.

— Tak?

— Wajdelotą, synem wajdeloty, królowie nasi czczą wajdelotów.

— To dobrze! śmiało więc powtórzysz mu słowa, które po rzymsku wygłosi z ramienia mego wysłany wojskowy: nie ujmiesz słowa, nie dodasz słowa!... Odstąp.

— Spekulatorze młody! popłyniesz z posłem do Celemancyi do króla Sydona: on będzie albo w grodzie swym stołecznym u ujścia rzeki Waagi, albo na wyspie wielkiej będzie łowił dzikie wieprze i dozierał płuczni złota [1]). Pozdrowisz go odemnie i oświadczysz rozkaz cezarski, żeby posłowi dał wolne przejście, bezpieczeństwo i pomoc wszelaką w podróży przez jego kraje, oraz żeby go polecił opiece Sarmat i Ligów, a szczególnie swych Hermundurów.

— Wypełnię rozkaz, ośmielając się przedstawić, iżby może było miło cezarowi, gdybym ja sam jako badacz wojskowy drużbił posłowi do morza, mierzając przestrzenie — byle nie krokami — i spisując nazwy miejsc.

---

[1]) J. G. Kohl: Die Donau, p. 234.

— Pomysł wyborny! natychmiast otrzymasz rozkaz pisemny i pieniądze; idź, gotuj się do drogi, a wybierz sobie rzemieślnika obrotnego do posług. Jutro rano wyruszycie. Do pomocy dam ci Skribę, co będzie zapisywał i pilnował zegarów. Jest on zarazem zdunem znakomitym, może się wam przydać, a jako rzemieślnik jest posłuszny i poradny.

Nazajutrz rano wsiedli na okręt i ruszyli Dunajem w dół.

Minęli Starygród olbrzymów azyjskich *(Hünneburg, Heinburg)* z mogiłami ogromnemi i fenickiemi napisami wmurowanemi w bramę.

Minęli naprzeciwko wedle ujścia rzeki Morawy sterczący nad Dunajem skalisty gródek D z i e w i n *(Teben)*. Stroża to i patrzyja samorodna na skale spadzistej ku obu rzekom, wyniosła do 500 stóp — grodek niezdobyty! W uboczy onegoż sterczą iglice granitowe, a na jednej, najbliższej wznosi się wieża zwana Wieżą zakonnicy *(Nonnenthurm)*. Ongi — wedle podania — kapłanka słońca z dziewiczej świątyni Starogrodu wykradziona, mieszkała tam z dostojnym swym zwodzicielem. Ojciec jej kapłan słoneczny obległ i zdobył gród Dziewin, a nie mógł dobyć wieży onej niedostępnej jak tylko kozom; utracił już wielu przyjaciół. Rozjątrzony tedy, sam stanął na czele poskoku i koziemi pyrciami wdrapawszy się na skałkę, zdobył wieżę. Książe uwodziciel chciał go przeprosić, lecz ugodzon śmiertelnie, padając zawołał: »Ocal się luba!« »Ocalę się! złączę z tobą!« odrzekła kochanka i skoczyła w Dunaj, wyrywając się z rąk ojca mściwego. Iglica skalna odtąd po niej nazwana »Dziewiczy kamień«, gród zaś Dziwin. O klasztorze słońca i o Dziewicach słońca lud opowiada po dziś dzień.

Roztoka wód po fenicku zwie się *cel-main*, a C e l e m a n c y ą zwali Rzymianie ogromne wyspy, dziś

zwane z niemiecka *Schütt* t. j. nasypisko, a z madiarska *Czallo-köz,* utworzone rozciekiem odnóg Dunaju po prawej i po lewej stronie łożyska. Nasypy piasczyste zawierają pył i ziarnka złota, którego płucznią trudnili się Fenicy, panując w Panonii. Namuliska takie wodne zwali *celemanil.*

Łożyskiem Dunaju głównem przepławili pomiędzy obie wyspy i zarzucili kotwice u Komorna w ujściu Waagi.

Komorno było ówczesnem łotewskiem *Kungswarras-nams* t. j. króla groźnego dworem, stolicą Wanna, a po nim Sydona. Oblane Waagą i Dunajem, okopane od lądu, wonczas już było twierdzą niezdobytą, bo samorodną, a Wanno bezpiecznie mógł w niej przetrzymywać oblężenie i byłby zużył siły Germanów i Ligów i Hermundurów, gdyby go nie byli wywabili w pole Jacygi niecierpliwe.

Spekul rzymski wiódł posła do dworu królewskiego, a zielenią uwieńczony szedł obok nich Uppon jako tłumacz. Fenicyanin szedł za nimi, niosąc w darze dla króla: małpę i papugę. Psa pozostawił, by go nie rozszarpały psy dworskie. Straże przepuszczały ich z czcią, a przystawy podprowadzały.

Król Sydon zdziwiony widokiem niezwykłym, wyglądnął ciekawie, wysłuchał mowy Rzymianina i przekładu tłumacza, któremu krzykiem przeszkadzała papuga. Poczem zapytał Uppona:

— Tyś wajdelota?

— Wajdelota z dziada pradziada! Niemce wzięli mnie do niewoli i zaprzedali wraz z oblubienicą, której obiecano wolność, jeżeli powrócę, pomyślnie odbywszy poselstwo.

Pokiwał głową, przypatrując się papudze, która się popisywała wszystką swą umiejętnością, mianowicie łażąc i przewieszając się po berle, a powtarzając raz poraz: »Nero cezar!« czego ją wyuczono. Imię

cesarskie widocznie robiło wrażenie na króliku łotewskim i usposabiało go jak najlepiej.

Nie tak zachwycone były sokoły królewskie.

Krogulec prześliczny zakapturzony siedział na berle zaperzony i milczący; gdy go doleciał wrzask papugi, wygładził pierze i wyprostował się, zaskomlił głośno i gniewnie. Odezwały się mu sokoły i drzemliki, spokojnie drzemiące po berłach swych wiszących jęły się trzepotać niespokojnie. Sokolniczy nadworny chcąc zabawkę wyprawić, zdjął z berła krogulca, wziął na palec, trzymając jednak za łańcuszek od nogi: przystąpił bliżej.

— *Bel-nazor! bel-nazor!* (piękny krogulec!) — z podziwem zawołał Fenik, znawca ptastwa, a sokolniczy potakując, powtórzył:

— Białozor!

Poczem zdjął mu kapturek z głowy, a krogulec migiem chciał się rzucić na papugę, która w przerażeniu raz poraz wołała: »Nero cezar! Nero cezar!«, w największy niepokój wprawiając sokoły wszystkie.

Łoskot i skomlenie zaniepokoiło znowu małpę Oburącz mocno chwyciła się szaty pana swego i groźnie szczerzyła zęby krogulcowi. Fenik głaszcząc uspokajał ją, a król Sydon śmiał się z jej trwogi i groźby. Przybliżył się i chciał ją też pogłaskać, ale małpa rozdrażniona chwyciła go łapką za rękę i byłaby ukąsiła, gdyby nie był wyrwał ręki podrapanej do krwi. Oburzony zawołał:

— Nie chcę takiej złośnicy, weź ją sobie napowrót! Ptaka przyjmuję!

Fenik ułagodził go darem skór lwa i pantery, objaśniając, że to zwierz Wschodniej ziemi — pieleszy Litwy. Król przyjął dar, przyglądając się mu ciekawie.

Sokolniczy wziął papugę, a Fenika syn zmięszany, wyniósł się z małpą cichaczem.

Sydon przyzwolił wszystko, czego żądano: podwody, żywność i opiekę nad podróżnymi aż do krańców państwa swego, zwanego »Państwem Sławów« i polecenie opiece sąsiednich Ligów. Wszystko to żeby dogodzić woli Nerona cezara, którego ciągle nawoływała lśniąca papuga.

Wyruszyli więc ziemią Kwadów, Gawadów. *Gowiada* (illyrsko-rossyjskie), *howada* (czeskie) znaczyło: bydło rogate. Gowiady, Kwady to chodowce bydła, tacy sami jak Wołosza chodująca woły, jak fińskie plemię *Sar-mat* t. j. wołów krainy.

Sarmaty roku 633 przed Chr. z Wołynia swego nad Donem uciekali porzeczem Dniestru, uchodząc nawały Skolotów i parcia swych panów Kimrów, z którymi zwiedli bitwę zaciętą nad Dniestrem. Stamtąd ruszyli dalej ku zachodowi, zajmując pogórza żyzne Wołoszczyzny i północną krainęBojków.

W obec powracającej nawały Skolotów i wyprawy na nich Dariusa, pomykali się dalej na zachód, nadając nazwy górom i rzekom, a po części mieszając się z pielemi mieszkańcami Panonii. Krainę, w której pasali woły swe długorogie, po staremu zwali *Sar-ma*, t. j. wołów ziemią, Wołyniem; że zaś obsiedli góry, nazwano je Sarmackiemi górami, których szczyty najwyższe po swojemu nazwali *Tout-ur*, t. j. góry śnieżne, Tatry.

Opuszczone ich stepy nadmorskie zajęte od Skolotów (Tatar) nęciły Litwę północną do zagonów jezdnych, przed którymi cofały się tatarskie hordy ku rdzennemu koszowi. Jazda więc łotewska przebyła Wołoszczyznę, dotarła do Dunaju, Istru, i przyzwana od króla Zyraxa, po lodzie wtargnęła do Dacyi, której mieszkańce porażeni w bitwie nad Cissą, umykali ku górom. Jazda zaś ona: *jatneksy*, *jaszusy*, gnali dalej równinami panońskiemi ku zachodniej północy.

Sarmaty parte od Daków i zatrwożone wieścią nawały jezdnej, zerwały się i uciekały dalej na zachód na Szląsk i ku Niemcom, którzy w nich widzieli strasznych Azów· olbrzymich! Część jednak narodu tego fińskiego pozostała w Podgórzu panońskim, łącząc się z Sławiany pielemi i po staremu chodując bydło czyli gawiadę, więc zwani Gawiadami, Kwadami.

Roku 6 mieli oni króla swego Tudra, sojusznika Marobudowego. Po upadku Marobuda, Rzymianie nadali im króla Wanna, Litwina, który na starość przed siostrzeńcami swymi musiał uciekać do Rzymian.

Dorodny to lud te Kwady półkrwi fińskiej, a pół sławiańskiej; po dziś dzień zachowali znamiona pochodzenia swego: oblicze niezbyt okrągłe, raczej czworokątne, ale nie szpetne, włos bujny, czarny, usta małe...

Łotwa ówczesna wyraz »kwady« brała po swojemu od swego *wadet* (wodzić tam i sam). Jakoż uprząż wołami sarmackimi była powszechną i wspomina o niej Owid w listach z wygnania.

Sarmackich też wołów uprzężą jechali podróżni nasi, wzdłuż rzeki Waagi ku górom za wskazówką Hermundury fenickiego, zmierzając do Tręczyna dzisiejszego.

Spekul rzymski pierwszą całą godzinę szedł piechotą za wozami, licząc kroki wraz ze Skribą, swym pomocniczym. Po godzinie kazał stanąć, zapisał ilość kroków i zwrot drogi przebytej, poczem się przysiadł i ubezpieczył *klepsydrę* t. j. zegar swój wodny wiszący, spoglądając od czasu do czasu na oznaki godzinne. Popasu chwile notował też troskliwie, a po popasie znowu liczył kroki godzinę całą, aż dokładnie zbadał ile kroków w godzinę przebywa uprząż wołów sarmackich. Liczył zaś kroki odwiecznym sposobem wschodu, zapomocą różańca potężnego, co setka przekładając kulkę jednę za drugą. Przekonawszy się do-

kładnie, uradowany schował różaniec i zanucił ulubioną zwrotkę z »Miłostek Owida«:

Ile w Frygii kłosów, latorośli w Lesbos,
Ile ryb w wodzie, a w zaroślach krzaków,
Ile gwiazd na niebie — tyle dziewcząt w Rzymie!

Lecz nietylko w Rzymie były dziewczęta. Były i w krainie Kwadów i to wcale dorodne, jak zauważył po drodze i na popasach. A nadto jeszcze nie były lękliwe, i były ciekawe; ciekawie przyglądały się podróżnym, szczerząc do uśmiechu białe zęby drobne, błyskając w spojrzeniu ciemną źrenicą dużą; w poskoku okazując zgrabną kibić jędrnego ciała.

Rzymianin młody wpadał w zachwyt sielankowy!

Słońce zapadało gdy dobili do wioseczki, kędy przypadał nocleg. Przywitały ich najpierw potężne, białe psy kudłate, potem chłopi długowłosi, przez pół nadzy, a w końcu nieśmiało zbliżały się niewiasty, dziewczęta i chłopacy. Przystaw królewski przywołał głowara wsi, okazał mu znak królewski wypalony na deszczułce, rozkazując dostawę żywności i podwód. Głowar stary pokornie uchylił głowy i odszedł pełnić rozkaz. Za chwilę przyprowadzono barana tłustego i prosię kwiczące; dziewczyna zaś dorodna i uśmiechnięta przyniosła w konwie mleka świeżego, a pod pachą placków podpłomyków.

Spekul młody zachwycił się jej wdziękiem i podczas gdy ona podawała mleka Makedonce i jej niewolnicy, on ją samą niejako pożerał oczyma. Gdy odchodziła, posłał za nią Skribę swego na zwiady, kędy mieszka i czyby tam nie było dlań kwatery dogodnej.

Obrotny i poradny sługa wojskowy w powrocie oświadczył, że mieszka nieopodal i że ich tam zapraszają na nocleg,

Rzymianin lekkoduch z radości palnął go ręką w kark, co jako dowód życzliwości pańskiej ze śmiechem przyjął sługa lekkiewicz zarówno z swym panem. Poczem obadwa udali się do chałupy onej; sługus jednak pamiętał wziąść kawał baraniny i kawał prosiaka, które piekł i gotował przy pomocy hożej dziewoi. Pan jego przyglądał się, pomagał i przeszkadzał na przemian, a niezadługo już ściskał dziewczynę śmiejącą się i w oczy mu patrzącą. Bardzo mu było na rękę i podobało mu się, że nikt z rodziny jej nie był obecny i nie podglądał zalecanek jego, a gdy wyszedł na pole, obaczył starą jakąś niewiastę, która się doń uśmiechała, witając ukłonem i odchodząc ku pobliskiej szopie. Domyślił się, że to matka ciesząca się względami swej córki dorodnej. Chwalił sobie w duszy obyczaj taki, wprawdzie dziki, lecz wygodny.

Ze snu porannego zbudził go Skriba, oświadczając, że wszyscy gotowi, nań tylko czekają.

— Cóż robią?

— Hermundur sprzedaje wyroby swoje krajowcom, a oni się przypatrują.

— Biegaj kup obrączkę naręczną dla dziewczyny! rozumiesz? tylko wytarguj! Ja tymczasem pośniadam.

Za chwilę przyniósł sługa obrączkę, którą Spekul uradowanej dziewczynie włożył na rękę, poczem wyszedł.

Dziewczyna pobiegła do rówieśniczek swych pochwalić się podarunkiem; zazdrościły jej wszystkie, a matki zazdrościły jej matce, że córka doznała łaski u takiego pięknego Rzymianina dostojnego.

Ruszyli wybrzeżem rzeki Waagi, którą Rzymianie zwali A u c h ą. Litwin tłumaczył, iż to nazwa łotewska od nagłego wzbierania, bo *augt* znaczy rosnąć, wzbierać.

Spekul już nie liczył kroków, ale spał na wozie

wysłanym słomą i co chwila poskrobywał się, bo go jakiś świąd opanował. Sługa zaś jego od czasu do czasu spoglądał na zegar wodny kapiący kropelkami i liczył znaki godzin odsłaniane ubytkiem wody i zapisywał godziny.

Przed zachodem słońca stanęli na nocleg wczesny, bo Hermundur zwrócił uwagę, że tam jest *synagune*, t. j. skalne błoto, gorące, bardzo zdrowe na kąpiel. Były to Piszczany.

Wszyscy pragnęli kąpieli gorącej, najbardziej zaś Spekul młody, trapiony świądem, z powodu robactwa, które oblazło go na noclegu. Czemprędzej się rozebrał i wlazł w cieplicę gorącą, kąpał się i rozkoszował, chwaląc, iż przyjemniejsza nad wszystkie łaźnie w Rzymie, twierdził, iż teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Hannibal zwycięski, kąpiele ciepłe Kapuy przeniósł nad zdobycie Rzymu.

Pokrzepiony, rozgrzany, śmiejąc się, rzekł słudze swemu:

— Hej! żebyś ty dziś wyszukał takiej kwatery jak wczoraj!

Sługa domyślny i przebiegły wyszukał mu znów gospodę, gdzie obsługiwała dziewucha jeszcze dorodniejsza! Rzymianin i onej kupił obrączkę brązową.

Na wyjezdnem jeszcze się wykąpał i wyparzył tak, iż wyszedł czerwony, gdyby ugotowany rak.

Zapisał sobie nazwę fenicką cieplicy Synagune, przerabiając na milej rzymskiemu uchu brzmiące: *Singone*.

Nieopodal stamtąd był maleńki grodek punicki Krakowan, Hermundurów schronisko, cel podróży Hermundury, który tu miał się rozłączyć od podróżnych. Fenikowi pobratymcy wskazał on nazwy stacyj, które ma przebywać aż do morza u ujścia Wisły, wypływającej z północnej uboczy Białych gór sarmackich, do których zdążą przez *Dir-Sine* (Tręczyn), gdzie

jest też cieplica wytryskająca ze skały, i przez *Arsikue* zamieszkałe od kowali punickich i łotewskich woźnic, którzy ich przeprawią do zagórskiej Parienny.

W Tręczynie znowu kąpał i parzył się Rzymianin młody, chwaląc sobie cieplice, milsze nad rzymskie łaźnie.

Cieplice te stanowiły jeziorko małe w pośród przecudnej kniei dębowej, przez którą płynie rzeczka Ciepła. Kto więc chciał kąpieli gorącej siarczystej, miał ją w jeziorku, kto chłodniejszej, miał ją w rzece.

W kniei zwanej Dębnicą pasali Sławianie, a bydło zbiegało do jeziorka pić wodę ciepłą, słonawą, która je tuczyła. Bydło to nawiodło ród ludzki na te zdroje kojące boleści, wzmacniające siły.

Sławianie ci żyli w mirze z górnikami fenickimi, ktorzy w niedalekich miastach bańskich kopali kruszce, wytapiali i rozwozili po świecie, to jako wyrób gotowy, to jako surowiec.

Niezbyt daleko stamtąd jest ona przesławna Szemnica i Krzemnica.

Tatry i Podhale.

Waagi rzeki dolina wiedzie przerwą poprzecz gór zwanych dziś Fatra mała, płynąc rozdołem pomiędzy Tatrami a Fatrą wielką, zwaną też Kruszcowemi górami, których kończyną południową są żyzne pagórki Matry.

Tatra, to sarmackie *Toit-ur:* Śnieżne góry. Fatra, sarmackie *Woach-t-ur:* Kruszcowe, Żelazne góry. Matra, sarmackie *Ma-t-ur:* Ziemne, orne góry [1]).

---

[1]) Schöning p. 310.

Tak daleko sięgały wołynie t. j. wołowe pastwiska Sarmat fińskich. Tędy posuwając się od Dniestru, przebywali oni kilkaset lat, aż w końcu Daki uchodząc z równin Panońskich przed jazdą Jacygów, spłoszyli ich i wyparli dalej na zachód w Szląsk i aż ku Danii. Pozostało po nich cokolwiek plemienia zlanego z Sławiany pielemi, pozostały szczątki mowy i nazwy miejsc.

Plemienne szczątki pozostały mimowoli, bo od północy odcięte zagonami Łotwy, dążącej ku ciepłym krajom panońskim.

Łotwa zdążała w porze łowów, po lodzie Wisłą, łowiąc zwierza i rybę w przeręblach lodu.

Wisła w łotewskiem znaczy: lśniąca lodem.

Z Wisły puszczała się Dunajcem sarmackim ku również sarmackiemu Dunajowi górnemu (bo *Don*, *Dun*, w sarmatów mowie znaczył rzekę), dokąd też zdążała porzeczem Raby i Wisły górnej.

Dunajec jednak był jej cestą główną, bo najłatwiejsza przeprawa po lodzie jeziorami, a po lądzie Magurami, na których przebywali panońscy wygnańce feniccy.

Przez Magurę zachodnią przesmyk był doliną potoka Orawicy i rzeki Orawy, uchodzącej do Waagi, tam, kędy obiedwie złączone, przerywają przełęcze Fatry kruszcowej.

Orewadz t. j. wozy wiodącą, nazwała Łotwa dolinę oną: jest to dzisiajsza Orawica i Orawa, od której kraina cała przybrała nazwę.

Zamek orawski, ongi zwan *Arsi-kua*, zamieszkany był przez panońskie *hermundury* czyli punickie kowale. Sprowadzany z gór kruszcowych Fatry kruszec surowy, wyrabiali oni w gródku bezpiecznym, kując, wiercąc, krając; więc od nich nazwan grodek kuźnią wyrobników kruszcowych, Arsikua; fenickie *arsi*: wyrobnik kruszców; *kua:* kuć, rzeźbić, wiercić.

Z wosku, łoju i żywicy urobione ciasto, gniótł w ręku rzemieślnik i wytaczał kiełbasy grubości palca i na cieńsze, grubości pół palca i jeszcze cieńsze, gdyby pióro młodej gąski, a nawet drut. Najgrubsze zwijając, urabiał w naramienniki męskie, potężne; cieńsze zwijał w naręczaki niewieście, nasiekując nożykiem we wzory kłoskowate, lub w prążki podobne pręgom, jakiemi znaczone są pijawki. Jeszcze cieńsze zwijał dośrodkowo, tworząc głowę iglicy potężnej do wpinania we włosy. Z drutu cieńkiego robił spinki zwijane w koło, a zgiętym końcem zapinane wzorem *fibuli* rzymskiej. Wygniatał też urobione kulki, tworząc maleńkie tarczki, a raczej guziki wypukłe, ale zamiast uszka przyczepiał druciki zakrzywione w haczek, wytwarzając tak zamkle czyli zapony do zapinania przyodziewy. Skrętki też druciane urabiał mnogie.

Wszystkie te wyroby woskowo-żywiczne układał troskliwie na przygotowanej warstwie pyłu glinki wapiennej, zmieszanego z popiołem; układał je zaś tak, iż się łączyły z sobą, stykając końcami, albo za pomocą drutów woskowych.

Poczem wetknął jeszcze kilka woskowych drutów grubych, żeby sterczały do góry i przysypał całkowicie pyłem z wierzchu, ugniatając pomaleńku i obkładając bokiem deszczułkami, aby się to wszystko kupy trzymało, leżąc na miedzianej blasze, pod którą rozniecił ogień coraz mocniejszy, tak, iż się topiło ono ciasto woskowo-żywiczne i dziurkami zostawionemi kapało i wyciekło wszystko.

Forma leizny była więc gotowa!

Poczem przygotował kruszec. Do garnka z gliny ogniotrwałej drużba jego nakładł miedzi siekanej i pokruszonej 80 części, a 20 części *kadmey,* t. j. cynku niebardzo czystego.

Ogień drzewa cisowego, najgorętszy z paliwa wszelkiego, rozżarzał dmuchając skrzydłem, urobionem

z piór ptasich wplecionych w szczeble drewniane z rękojeścią. Powiewał, machając skrzydłem, dopóki nie stopiła się kadmia, a za nią miedź, dopóki nie zlało się to wszystko w brąz.

Wymieszał, przekonał się o dobroci leizny, co oznajmił twórcom wzorów. Więc wypaloną formę przysunęli, a leja świadom rzeczy wylał stop kruszcowy, w mgnieniu oka wypełniający formę.

Gdy kruszec ostygł, wydobyto leiznę. Wszystko udało się najzupełniej: naramienniki, naręcząki, szpilki, spinki, zapony — zgoła wszystko.

Więc znowu z ciasta woskowo-żywicznego urabiano wzory, obsypywano pyłem i wytapiano, a leja świadom sprawy, topił kruszec i odlewał dalej i dalej, i dalej.

Leiznę gotową brali drudzy, oddzielali jedno od drugiego, a gdzie wypadło przypiłowali, przywinęli, przykręcili, aż do ukończenia dzieła.

Na toporki, dłuta, siekiery i groty dzid mieli gotowe formy brążowe, w które lano stop kruszcowy.

Miedzi lanej w bryłach bochenkowych dostawali z niedalekich kopalń Fatry, w okolicach Bystrzycy, Lubatowej, Tajowej, Pańskiej doliny. Ztamtąd dostawali też i korali szklanych.

Górnicy feniccy znali wyrób szkła, które przy topieniu kruszców spływało po wierzchu zabarwione kwasem metalicznym: miedzią, kobaldem, żelazem lub cynkiem. Fenik bacząc stop szklany maczał weń patyczek i obracał, aż się osadziła kulka modra na miedzi, błękitna od kobaldu na srebrze. Poczem w cynku maczał patyczek drugi i na kulce błękitnej pisał zygzaki białe na gorąco. Kulkę czyli koral taki ostygły przycierał na kamieniu bokiem, równając i nasuwał na drut jako ozdobę cenną.

Korale takie fenickie są bardzo rzadkie i bardzo starożytne.

Kadmii czyli cynku dostarczali im pobratymce, górnicy puniccy ze Szląska, którzy tam samopas z psami swymi ogromnymi chadzając po górach i dołach, śledzili za kruszcem. Bywało kopią go, żarzą *(zaref)*, kurzą w piecach *(kur)*, znani pod nazwą Fenes *(Puny)* karły górnicy w czapeczkach szpiczastych i butach dziubiastych, zjawiają się z wiosną, odchodzą na zimę, ku zimowiskom swym, do których nąleżał i grodek Arsykua. Łatwiej im było donosić piątą część kadmii niż cztery piąte miedzi wlec przez góry śnieżne, chociaż nie obeszło się i bez tego.

Mieli tam dwie cesty, a obie schodziły się w Arsykua t. j. na Orawskim zamku; jedna porzeczem Wisły wprost ku jej źródliskom, druga porzeczem Dunajca.

Porzeczem Dunajca było bezpieczniej i więcej na rękę.

Orawy doliną zdążali podróżni aż do ujścia Orawicy potoka i doliny kamienistej ścieku wód Magury tatrzańskiej orawskiej. Była to cesta główna punicka czyli fenicka, łącząca fenicką Arsykuę z przybytkami ich nad Dunajcem.

Magura była jako zwykle stannicą podróżną, schroniskiem podróżnych.

Orawa i Orawica (łotewskie *ore-wadz,* wozy wiodąca) wskazują, że tędy do Panonii przybyła Łotwa w pomoc Marobudowi i jego następcom, królom Sławów czyli Słowaków.

Cestę oną, wychodźce puniccy dążąc do krainy jantarowej, udeptali jeszcze pod zaborem rzymskim Panonii i Illyryku z Wendowlechią.

Fenicy od wiek wieków chodowali konie, zaprzęgali je do swych wozów wojennych, ujeżdżali pod wierzch. Mowa ich posiada wyrazy dotyczne, które też znachodzą się w mowie polskiej:

rumak, to fenickie *rumed*, kobyła, klacz w liczbie mnogiej *rumekim;*

parepa, to fenickie *pare*, rodzić mająca, źrebna;

miśkować, to *miszkim*, dryganty, ogiery;

naszelnik czyli ściągalnik, fenickie *naszel*, odciągać;

szle, śle, fenickie *ślel*, splatanka, plecionka, parcianka;

kabłąk, fenickie *kabeb*, wygięte w okrąg;

chomąto, fenickie *hama*, zwarte, zgięte, stulone; *mote*, jarzmo; więc chomąto to zwarte jarzmo.

Orawa słynęła z koni górskich, a jest po dziś dzień pieleszą i szkołą miśkarzów.

Wozy znane Fenikom od czasów niepamiętnych, skoro w czasach Mojżesza 900 wozów miał król Kananeitów — a brązowe wózki ofiarne na ołtarzach były sprzętem obrzędowym. Znalezion wózek taki na Szląsku w powiecie Trzebnickim w Ober-Kehle, znalezione po cestach ich kupieckich w Niemczech i na Węgrach [1]).

Hermundury, t. j. brązownicy z Arsykuy, przyłączyli się do podróżnej drużyny zbrojnej, bacząc w tem bezpieczeństwo dla siebie. Nabrali wyrobów brązowych, szklanych i żelaznych, pokupnych na Powiślu; nie zapomnieli uzbroić się należycie i zaopatrzyć w odzienie i żywność, dostarczyli podwód i ruszyli przewodnicząc.

Wozy były o dwu kołach wysokich i o dwu dyszlach, połączonych kabłąkiem, pod którym szedł koń w chomącie przymocowanym ściągalnikami czyli naszelnikami. Przed nim w śle parcianej plecionej szła kobyła czyli rumak, a jeżeli do góry było zbyt ciężko, przyprzęgano jeszcze jakiego konia wyrżniętego,

---

[1]) Luchs: Schlesische Vorzeit I.

z fenicka zwanego *muł*, tak, iż czasem trzy konie kroczyły jeden za drugim, ciągnąc kolasę ciężką.

Prócz wozów były też konie juczne i wierzchowce, zwane z fenicka *ferd*, zawsze trzebione, podczas gdy konie dyszlowe bywały dryganty — *miszkim*.

Woźnice bywali Słowacy, panońscy górale, lubujący się w swych *parepach*, uprzężonych do kolas. Idąc zwykle piechotą obok, czasami tylko z góry przysiadali się.

Rzymianie obadwa i Makedony jechali konno, Fenik z synem i małpą jechali kolaską, a kolasą okazałą jechały kobiety.

Powoli i dość mozolnie przebyli Fatry, zdążyli do ujścia Orawy i do przydrożnego zameczku, osadzonego przez Łotwę i z łotewska zwanego Orawa t. j. podwodowy.

Niedźwiedzia. — Regle tatrzańskie.

Gdy się zbliżali do ujścia Orawicy, na Krasnohorce, stado bydła pasące się, zbiło się w gromadę i wszystko wraz zbliżyło się cwałem, rycząc niespokojnie i nie ustępując.

Woźnica przewodniczący, starzec białowłosy a rumiany jak malina, przystanął i gromkim głosem zawołał:

— Raby! bierzcie ratiszcza do rąk!

Parobcy wydobyli oszczepy i kosy najeżone, a niektórzy potężne dłuta tak zwane *kelty* na wzór siekiery, osadzone na sęku żerdki zamaszystej.

Spekul zdziwiony pyta:

— Czy to bydło napadnie nas?

Macedonie rozumiejąc mowę słowacką, pytają starca, który im odpowiada:

— Nie bydło, lecz niedźwiedzie blisko!

— Kędy?

— Ot tamta góra zwie się Niedźwiedzia, tam ich pielesze i gawry, a bydło spłoszone ucieka do ludzi, znak, że czuje blizkość niedźwiedzi... Ot biegną i pastuchy!

Pastuchy opowiedzieli, że para niedźwiedzi przypadła i porwała parę bydląt.

— Ha, no! wasza szkoda, a nam spokój, bo jak się nasycą, to nas nie zaczepią może.

— A kędyż podróż?

— Na Magurę.

— Potokiem Orawicą będzie ciężko i daleko, lepiejby było reglami po nad Skaruszynę.

— Tak też zamyślamy...

— Ale strzeżcie się od Habówki, bo tam mają gawry, a lubią przechadzać się skaruszynami (jarzębinami) i maliniakami; mogą napaść!

— Może Jesse bóg obroni!

Gaj Macedończyk przysłuchiwał się rozmowie, lecz nie wszystko wyrozumiał; pytał więc, co znaczy Habówka.

— Niedźwiedzia zwą Sarmaty *hoba*, a Habówka to matecznik niedźwiedzi.

Gaj opowiedział rzecz niedźwiednikom, którym z radości błysnęły oczy. Wydobyli przyrządy swe łowieckie: oszczepy ciężkie o cisowych ratyszczach, arkany silne i długie, sieć z powrozków silnych, i opatrzyli ostrza nożów swych krzywych, które nosili za pascm. Gaj z upodobaniem przyglądał się ich gotowości do walki z groźnym przeciwnikiem.

Spekul słysząc o co chodzi, rzekł:

— Tutaj znać tak jak w Tracyi, o której pisze Herodot, że lwy w jasny dzień napadały Persów, porywając im woły... Skribo, podaj mi dzidę i miecz, sam także uzbroj się!

Z porzecza Waagi ruszono w prawo, doliną Orawicy, z której wyjechano na pochyłość położystą, pustą i kamienistą, dalej zieleńszą, okrytą ziołami, później krzaczystą, porosłą jałowcem; aż w końcu Regle tatrzańskie roztoczyły przed nimi całą swoją wspaniałość.

Nizinami kobielistemi w sparze wilgotnym rosły cisy, podobne sosnom, ale o jagódkach podługowatych czerwonych. Z pomiędzy lub obok nich wznosiły się wspaniale lipy rozłożyste, nad lipami jawory olbrzymie tworzyły knieje zwarte, podszyte kaliną, a miejsca odkryte owładała z rzadka jarzębina, wznosząc się nad krzewy malin i ostrężyny. Górą zaś po nad tem wszystkiem ciągły się głuche bory modrzewia i szumiały prześliczne bory cedru zwanego limbą, uwieńczone kosodrzewiem, pełzającym po uboczach źródlistych.

Wszystko to oblane światłem słońca południowego, grzejącego silnie, sprawiało widok przecudny, powabny, nęcący.

Bywały też regle one przybytkiem zwierza najmilszym, mianowicie: jeleni, sarn, kozic, prócz mnóstwa zwierza drobniejszego, żyjącego leśną tą przyrodą. Mięsożerny zaś zwierz drapieżny czychał na nich, jako na swój żer zwykły. Czyhało też i ptastwo drapieżne: orły i sokoły olbrzymie, gardzące drobnem ptastwem śpiewnem, którego dźwięki głośne i gwizdania rozlegały się wokoło szczytów drzew niebotycznych.

Niedźwiedzie przedewszystkiem miały tam swe mateczniki, bo miały zdobycz w jeleniach, sarnach, kozach, miały żer pewny w bydle, którego stada tuczne z gór widziały pasące się po połoninach niedalekich, a na domiar dobrobytu miały ku przysmaku maliny, jarzębinę i kalinę.

Takiem tedy podgórzem Tatr, czyli r e g l a m i, ciągła drużyna podróżna przez polany, krzaki, zarośla, okrążając górę, którą potok Orawicy blisko źródlisk swych oddzialał od wirchów naddunajeckich, na których była m a g u r a górników i kupców punickich.

Tam wśród zarośli s k o r u s z y n y czyli j a r z ę b i n y rozłożyli się wypoczynkiem, aby nabrawszy sił, za słońca jeszcze wyspinać się do magury gościnnej, dokąd posłano o pomoc w przyprzęży.

Wyłożono konie od wozów, woźnice powiedli je na paszę nieco opodal. Spekul rzymski konia swego oddał słudze, aby go też popasł, sam zaś strudzony jazdą górską, rozścielił płaszcz swój wojskowy w cieniu kolasy wysokiej i ułożył się do snu, zanim go obudzą do obiadu. Bacząc to feniczyk młody, co znaczną część drogi odbył piechotą, położył się też na wozie, a małpa po krótkim namyśle, pobawiwszy się batem krótkim a potężnym, bo ze skóry hypopotama rżniętym, położyła się obok chłopca. Reszta drużyny zabrała się pod las, skąd płynęło źródełko i kędy podostatek było gałęzi suchych. Niebawem rozniecono ogień, zawdziano na rożeń barana całego, nabytego na noclegu i przywiezionego, a ponieważ psy jęły szczekać i ujadać zwracając się ku lasowi, łowcy spodziewając się niedźwiedzia, uzbroili się i nawołując psy, jęli tropić krajem lasu jaworowego, skąd też ku górom pociągał wietrzyk południowy.

Psy wietrzyły niedźwiedzia, niuchając świeży onegoż ślad i wahając się gonić w gąszcza. Ale niedźwiedzia tam już nie było: przeszedł z gawry swej, napił się wody w źródle i poszedł lasem ku niższym polanom.

W gawrze było ich czworo; dwoje starych a dwoje młodych półroczniaków. Z tego stare i jedno młode wybrały się w las, drugi zaś młodziak, czy leniwy czy zaspany, pozostał jeszcze drzemiąc i przeciągając

się na barłogu. Byłby leżał jeszcze dłużej, gdyby nie świeży powiew wiatru z dołu. Zaleciała go ponętna woń baraniny pieczonej; podniósł łeb, założył łapę na łapę, obliznął się łakomie, wstał i wyruszył pomaleńku krok za krokiem, ostrożnie, gdyż słyszał szczekanie psów na dole.

Za węchem prosto idąc, doszedł do wozów, którym się przyglądnął ciekawie, a bacząc na ziemi coś leżącego w prądzie woni baraniej, obliznął się znowu i zbliżał krok za krokiem.

Trzasł pod nogą patyczek suchy, Spekul śpiący tego nie słyszał, ale dosłyszała małpa na wozie, wyglądnęła ostrożnie, obaczyła niedźwiadka, chwyciła bat, skurczyła się w pogotowie, a gdy się zbliżył, jednym skokiem siadła mu na grzbiet i kropnęła batem po zadzie.

Niedźwiedź przejęty trwogą śmiertelną, skoczył przed siebie wprost na Rzymianina śpiącego, przeskoczył go, a ze strachu upuścił z siebie strawiony żer wcale nie wonny i chciał zawrócić ku gawrze swej. Ale nie na to małpa brała w Rzymie nauki ujeżdżania niedźwiedzi, żeby się poddać ich woli: batem kropła go przez łeb z boku, poprawiła drugi raz z tyłu, więc zawróciwszy, pędziła gdyby jeździec na koniu rozhukanym — wprost na ludzi i ognisko.

Wrzask i krzyk w mgnieniu oka zwabił psy i łowce, a małpa z powagą zwycięzcy harcowała, zawracając w koło, aż niedźwiedź ze strachu i rozpaczy upadł, dając się psom targać za kudły. Przykryto go siecią, związano, skrępowano, a nim się spodział, miał koluszko żelazne przeciągnięte przez nos i kaganiec na pysku. Rad nie rad musiał iść za łańcuszkiem, a małpa dosiadła go znowu, lecz nie biła już i nie pędziła, ale jechała z miną tryumfatora, ku powszechnej radości wszystkich — krom Spekula.

On ze snu smacznego zbudzony nagle jakiemś szturknięciem w głowę, otworzył oczy, lecz je musiał zawrzeć natychmiast, bo go zaćmiło coś niemile woniejącego, ronionego na całą twarz i piersi i żywot. Zerwał się, przetarł oko, zerknął i obaczył małpę jadącą na niedźwiedziu, więc odgadł zajście.

Złorzecząc i wzywając Herkulesa, zgartywał nieczystość rękoma, a potem liśćmi paproci i trawy, ani bacząc, że feniczyk młody, obudzony poskokiem małpy i świadek wypadku całego, że nań zerka z kolasy, że się śmieje, że złazi i w podskokach wesołych biegnie ku ognisku rozbiegłej drużyny.

Ojciec pyta go o powód śmiechu, on opowiada co widział i do śmiechu rzewnego pobudza słuchające kobiety obie i ojca, który go napomina żeby milczał i śmiechem nie drażnił wojskowego dostojnika.

Pieczeń była gotowa, zwołano się do jedzenia. Przyszedł i Spekul zachmurzony i markotny, siadł naprzeciwko siostry Aeliusza, zajadając milczkiem. Wedle niego siedział stary Fenik, a za nim kucząc syn jego rozchichotany ogryzał żeberka baranie, zerkając na Rzymianina. Wtem Spekul czy z przypomnienia niemiłego, czy że go doszła niecałkiem pozbyta woń niemiła, skrzywił się, zwrócił głowę i splunął z odrazą. Chłopiec nie mogąc powstrzymać śmiechu, krztusił się, zatykając ręką usta i kołysząc ciałem to w jednę to w drugą stronę. Niewolnica Makedonowej bacząc to, zaraziła się śmiechem, jęła chichotać i mrugała na swoją panią Rzymiankę. Chwilę powstrzymywały się, ale gdy Spekul jął się krzywić bardziej i spluwać kręcąc głową z obrzydy, zachichotała niewolnica, zerwał się chłopiec, mimowoli roześmiała się i Makedonowa.

Rzymianina obraziło to do żywego; dorozumiał się, że zdarzenie wstrętne nie jest tajemnicą, że się z niego śmieją. — Powstał, gniewnym okiem rzucił

na obie Rzymianki i chcąc się zemścić, śpiewał odchodząc:

Ile w Frygii kłosów, winnych jagód w Lesbji,
Ile ryb w wodzie, a ptastwa na drzewach,
Ile gwiazd na niebie — tyle w Rzymie kobiet!
A gdy tylko zechcesz, to każdą z nich złowisz.
Bo pierw latem polne zamilkną koniki,
Ogar arkadyjski zemknie przed zającem,
Nim kobieta się oprze młodziana pokusie!

Odszedł na bok daleko, a niewiasty śmiały się swobodnie, wraz z feniczykiem hultajem; małpa też się śmiała!

Konie się napasły, stary woźnica zaprzągł, zaprzęgli i drudzy, chciano ruszyć, ale okazał się kłopot z niedźwiedziem. Nie chciał iść w żaden sposób; bity i szczuty boruczał, przewracał się, i ani rusz z miejsca. Ostatecznie musiano go okręcić siecią gdyby pieluchami, obwiązać i włożyć na wóz w miejsce zjedzonego barana: poczem ruszono. Spekul niechcąc jechać z tyłu za niedźwiedziem, jechał między wozami i miał też kłopotu niemało z koniem, który brał na kieł ile razy niedźwiedź ryknął lub zaskomlił. A skomlił bez przestanku niemal, bo go bolał nos zraniony i krępowały więzy.

W połowie niemal drogi przybyły z Magury przyprzążki pod wodzą górala doświadczonego, który słysząc skomlenie ono bolesne, a bacząc zaniepokojenie koni, poskrobał się za oba uszy i spytał:

— Kiegoż to biesa wiezieta, że tak jojka i jęka?

— A niedźwiedzia młodego złowionego.

— A dyć było zabić, bo nam zwabi wszystkie misie całej Habówki!

— To będziemy łowić i bić!

— Chyba że tak?

— A takci, tak!

— A to hej!

O zachodzie słońca wspinali się na Magurę.

Magura orawska — fenicka gospoda dorażna — składała się z przybytków kilku w oborze ogrodzonej.

Buda izba (fenickie *bet izeb*) t. j. przybytek mieszkalny, była najokazalszą, zbudowana z okrąglaków w zrąb, aż po szczyt z fenicka zwan *kanef*, przykryty *kalejem* t. j. kalenicą, z drzwiami (fenickie *tere*: dwery) i okienkiem zakratowanem rzeszotem (fenickie *reszet*: kratka siatkowa), z przybudowaną *kletką* czyli komorą ciemną (fenickie *kelot*: zamknięcie, więzienie).

Tam przebywali i chowali dostatki.

Obok była koliba (fenicka *kaleb*: chałupa), w ciepłych krajach z chrustu pleciona, tutaj z kamieni na mchu ułożona, przykryta korą drzewną; przybytek czeladzi, schowek nabiału, sprzętów i małych koźląt, capiąt, jagniąt.

W oborze (fenickie *hebron*) stało bydło, owce i kozy, a w hotarze (fenickie *kotur*) t. j. w poddaszu stały konie.

Obora cała była ogrodzona wielkiemi głazami kamiennymi, na których leżały potężne ostrwie sękate, po prostu całe drzewa z przyciętemi konarami.

Liczna zgraja psów owczarskich i górniczych strzegła obory, bresząc i szczekając zajadle: a psy górnicze wilczate i bardzo silne, zjadliwiej warczały niż białe psy owczarskie.

Gdy przez wchód wąski prowadzono niedźwiedzia, cała zgraja rzucała się ku niemu i z trudnością opędzono się jej: byłaby go żywcem rozszarpała. Umieszczono go w małej przystawce izby pod okapem dachu.

Wozy zostały na polu, boby się nawet nie zmieściły w wąziuchne wejście, obejmujące tylko pojedynczego człeka, konia lub bydlę; a złodzieja nie trzeba się było obawiać w tych górach pustych.

Rozgościli się tedy podróżni jako można było i podczas gdy jedni zajęli miejsca przy ognisku, łowce przygotowywali łowy niedźwiedzie.

Przypuszczali, że niedźwiedzie stare śledzić będą porwanego młodziaka, że znajdą ślad na polanie popasowej w miejscu kędy przeskakiwał Spekula, że się domyślą, iż podróżni zabili lub porwali go, więc wietrząc, będą tropić drużyny pochód do Magury, że obwąchają wozy i znajdą trop świeży, wiodący wrotkami wchodowemi. — Tamtędy będą chciały wtargnąć do obory!

Przygotowano więc kłodę ciężką przed wrotami, dźwigniono ją w górę i podparto drągiem nieco z ukosa, tak, iżby spadła za lekkiem poruszeniem. Niedźwiadka zaś umieszczono w owej budzie pobliskiej, aby się odzywał i był słyszan od starych. Przygotowano też oręż najpotężniejszy: dzidy ciężkie, oszczepy na ratyszczach cisowych jeszcze cięższe i ogromne *kielty* dłutowate, przymocowane do sęka konarowego, tak, iż tworzyły topór lub motykę do kopania ziemi i kamieni. Prócz tego niedźwiedziarze przygotowali swą matnię czyli sieć łowiecką i arkany, powrozy do chwytania zdobyczy.

Domysły łowców sprawdziły się!

Mrok ciemny ledwo dobrze zapadł, wszystkie psy poczęły ujadać straszliwie; nawet obadwa psy podróżnych wypuszczono bez obawy, że ich kąsać będą domowe, bo ujadanie sierdziste wskazywało bliskość nieprzyjaciela wspólnego.

Cała zgraja zwracała się ku drodze, którędy przybyła drużyna, a niezadługo rozległ się w wąwozie ryk niedźwiedzia.

— To niedźwiedzica! idzie za tropem świeżym.

Tej chwili niedźwiadek żałośnie zaskomlił w swej budzie, bo go zabolało w nosie gdy się zerwał i szarpnął za łańcuch. Niedźwiedzica przyskoczyła; w mgnie-

niu oka była u wozów, obwąchała niedawną pielesz dziecka swego i znów ryknęła straszliwie, a z drugiej strony od góry słychać było boruczenie groźne.

— To niedźwiedź!... idzie w pomoc. Baczność! i oręż w pogotowiu! — rozkazał stary gospodarz magury.

Niedźwiedziątko zaboruczało i zaskomliło boleśnie; niedźwiedzica zeskoczyła z kolasy wprost ku wrotkom i byłaby je wyważyła prąc całą siłą, ale uderzyła o stąpor, który się przewrócił, a kłoda ogromnym ciężarem przywaliła niedźwiedzicę, przygniatając do progu samorodnego.

Uderzona w kłąb, straciła siłę nóg przednich, a grzebanie zadniemi nie pomogło; w niemocy swej boruczała jeno straszliwie, co do tem żałośniejszego ryku pobudzało niedźwiadka, a do ujadania i srożenia się wściekłego, całą zgraję psów zajadłych.

Niebawem odezwał się ryk od góry, coraz bliżej, a za chwilę tuż u wrót. Niedźwiedź bacząc samicę swą w paści, zaryczał groźnie i chciał ją wyciągnąć, szarpał za nogi, czem tylko wzmagał jej boleść, pobudzając do ryków tem przeraźliwszych. Tak boruczało wszystko troje wraz, a psiarnia sierdziła się aż do wściekłości.

Łowce chcieli uchylić wrot i dźgać dzidami.

Gazda stary zabronił, że jeszcze czas i kazał baczyć pilnie, bo to nie koniec.

Jakoż wkrótce odezwał się ryk głuchy na jednej górze — i na drugiej — i na trzeciej. Gazda zawołał:

— Baczność! bo niedźwiedzie idą w pomoc!

Łowce drgnęli lękiem; tego nie spodziewali się.

Ryki dalekie zbliżały się, ucichły tuż blisko i rozpoczęło się szamotanie ciężkie, któremu wtórował bolesny ryk niedźwiedzicy samej.

Wtem dwa psy górnicze jęły wyskakiwać na ostrwie, tworzące zagrodę obory.

— Niedźwiedź wspina się na ostrwie! zabronić mu... Zawołał gazda stary.

Poskoczyło dwóch łowcow, wdrapali się na ogrodzenie jeden z oszczepem, drugi z siekierą motyczną.

Niedźwiedź ogromny, drapiąc się w górę, chwytał za konary zasieki, wstrząsał całemi drzewami i kto wie, czyby nie był zerwał, ale obaczywszy ludzi, zwrócił się ku nim.

Łowca chciał go ugodzić oszczepem, ale niedźwiedź umknął łba, łapą przednią odbił oszczep i wyciągając szyję, chciał pyskiem dosięgnąć nogi jego i byłby pochwycił; łowca jednak drugi całą mocą rąbnął go swą siekierą motyczną... odleciała odcięta paszczeka z nosem, niedźwiedź spadł w tył i zaryczał jeszcze groźniej, jeszcze boleśniej niż niedźwiedzica; zerwał się z upadku i uciekając boruczał, aż się ziemia trzęsła. Wszystkie niedźwiedzie pobiegły za nim.

— Teraz czas! — zawołał gazda stary, odchylił wrotka i dźgnął dzidą... Niedźwiedzica umilkła na zawsze.

— Będzie spokój teraz, możemy iść spać.

Udali się na spoczynek, psom powierzając straż.

Nazajutrz rano Spekul rzymski wierny powołaniu swemu rozglądał się po okolicy, wypytując o nazwy, a Fenik odpowiadał mu półgębkiem.

— Jak się zwą te góry?

— *Toit-ur* t. j. Śnieżne góry zwą je Sarmaty; wy zaś Rzymianie zwiecie je Sarmackiemi.

— A wy Fenicy?

— My po prostu zwiemy je *Turim* t. j. góry, a największe zwiemy *Repe* t. j. olbrzymie, groźne. Tamtę wielką zwiemy *Dumeh* (Tomanowa) t. j. cichą, bo tam jak na cmentarzu; za nią *Bab-nogot:* brama

wirchowisk, sterczy gdyby czoło ziemi. A tamta najwyższa to *Kariban* (Kriwan): baranów tuczność, bo one tuczą się na jej holach. A z wirchów tych płynie wodospad biały, po naszemu *Sik-laben* (Siklawa) bardzo cudny!

— A kopalnie gdzie?

— Jakie kopalnie? tu niema kopalni jeno odrobinę żelaza grzebią po górach... nie ma o czem mówić!...

Zbył Rzymianina niczem i nie powiedział mu, że na Ornaku w dolinie kopią srebro. Fenicy taili przed Rzymiany kopalnie kruszcu, nauczeni doświadczeniem, że ich podglądają i odbierają im.

Litwa po wychodźcach Sarmatach przybłąkana w Podhale, przejmowała stare nazwy lub nadawała swoje i docierała do kopalń fenickich.

Dunajca nazwę sarmacką ustaloną przyjęła równie jak i nazwę Tatr. Kopalnie zaś fenickie nazwała *Urnaka* t. j. rozkopaną ziemią, a górę, kędy pasano bydło nazwała *Ganeklis* (Ganek) t. j. pastwisko. Gerlach nazwała *Geru-lajgit* t. j. upodobane bujanie jałownika; Gewont zaś *Gywenti* t. j. mieszkanie — znać, że zamieszkała Zakopane dzisiejsze i dolinę Porońca wówczas już ożywioną.

Feniccy górnicy szukali kruszcu w górze Piro, właściwie *pe-jar* t. j. otwór, usta sztolni.

W Magurce pieczarze, w kończynie Jaworynki doliny, mieli schronisko nad kopalnią rudy żelaznej. Magurka ta jest w uboczy góry zwanej dziś Kopa Magurka, z fenicka *gob-maguret* t. j. szczyt nad schroniskiem.

Naprzeciwko, przedzielona potokiem Porońcem, bieleje góra Koszysta, zwana też Żółtą turnią. Nazwy

to fenickie: *Kojsef:* białe, *tur:* góra. Za przełękiem jej Granatem jest Siklawa, wodospad, też z fenicka nazwany *sik-laben* t. j. wodospad biały.

Łotwa panująca Słowakom mieszkała pod Gewontem, a w uboczu Sarniej skały miała strażnicę samorodną w Dziurze czyli jaskini wapiennej, którą Fenicy nazwali po prostu *Dziur* t. j. rozpadlina, dziura, nazwana Madejową chatą, *math-aj*, bo *math* fenickie znaczy wojaka. Byli to poborce zbrojni.

Właściwymi mieszkańcami Podhala po odejściu Sarmat byli Sławianie skotopasy, plemienia Sławian z rowien, chodowców bydła, bo wyrazy dotyczące chowu bydła a nawet uprzęży bydlęcej, wszystkie są swojskie.

Przeciwnie zaś wyrazy dotyczące chowu owiec są przeważnie fenickie. Punowie panońscy znać zaprowadzili tu chów owiec i kóz, uczyli Sławian pielich gospodarstwa skotu i skotopasu.

Skot, skotnica, skotopas czyli skotak, wzięte z fenickiego *khot*, trzoda owiec;

Kerdel (niemieckie Herde) z fenickiego *ker*, baran; — od tegoż:

Karpaty: *ker-bet*, owcza pielesz;

Skop: fenickie *kobsz,* cap tęgi;

Gelątka, skopiec do podoju: fenickie *gel*, *gelat,* naczynie okrągłe;

Obora: fenickie *hebron.*

Chotur, kotar: fenickie *kotur,* poddasze;

Koliba: fenickie *koleb,* chałupa, chlew,

Wilk, najsroższy nieprzyjaciel owiec po fenicku zowie się *zub*, a matecznik *suche;* — znali oni też dobrze:

Zub-suche — naprzeciw Poronia matecznik wilczy.

Poronin — u ujścia Porońca w Dunajec biały, był siołem tych Sławian plemienia Lechów, jak uczy

nazwa, wzięta od poronienia t. j. wpadnięcia wód potoku w rzekę.

Pariena zwali go Rzymianie.

Po nocy niespokojnej zaspali podróżni: obudziło ich szczekanie psów i tętent kopyt koni wracających z rannej paszy. Żętyca była już gotowa i wcale smakowała wszystkim, mianowicie kobietom. Małpa i niedźwiedź nie mogły się jej odpić.

Słoneczko świeciło jasno i ciepło, a widok z Magury był cudowny. Tatry niebotyczne szczytami rumiano bielejące, niżej niebieskie, bławatne, fioletowe; zdało się, że wyrosły z regli swoich modrych i zielonych, świeżych, rosą lśniącyeh, woniejących. A tam w dołach migała rzeka wpadająca w jezioro; lśniło się jezioro ogromne po obu stronach kończyn odczochu Tatr, na którym stała Magura.

Jezioro wokoło było uwieńczone zielenią, wyżynami kosodrzewiem, a po pagórkach i urwiskach limbą; podobnie też obrosłe i porosłe były mnogie wyspy i daleko sięgające przylądki.

Limba czyli cedr, panowała po reglach od strony północnej, od wschodu zaś i południa w pełni światła słonecznego bujały jaworzyny i modrzenice. Limby rosnące przeważnie po górach skalistych i urwiskach, wystawione były na skutki lici naremnych; obrywały się pod niemi brzegi skaliste, zwalały się na nie kamienie oderwane ze szczytów, gruchotały, powalały je w rzekę, która szalonym pędem unosiła je na jezioro, przymulając i zatapiając brzemionem iłu i ziół błotnych jeziora samego.

Po mieliznach jeziora rosła trzcina i szuwary, a rokicina kąpała się w wodzie ponad gniazdami kaczek i innego ptastwa wodnego, chmurami całemi krążącego nad jeziorem.

Taki widok mieli, spuszczając się w dolinę Jarzębca potoka, cienistą ścieżą jaworową, która ich wiodła w dolinę Dunajca czarnego, do dzisiejszych Kościelisk.

Pstrążki pluskały, gdy przebywali Dunajec czarny, i wyspinali się na dział między nim a Dunajcem białym. Szczekanie psów i klekot dzwonków drewnianych zapowiadało bliskość kierdela owiec i kóz.

Dudek (łubek) ptaszek przeleciał wedle nich ku lasowi, krzycząc: hup! hup! hup!

Woźnica stary, przewodniczący, stanął blisko gąszcza limby i ciągle obzierał się po za siebie w dolinę Dunajca czarnego, t. j. Kościeliska.

— Czego się oglądasz?

— A nie widzieliście go, jak uciekał do lasu prosto, jak krzyczał: łup! łup! łup!

— To cóż to znaczy?

— Będzie deszcz ulewny! spodziewałem się tego już po tych pstrągach, co pluskaly w rzece... będzie lić!

— Ależ niebo pogodne, jasne!

— Ba, jasne! a hen co?

— Mgły odrobina nad górą daleką!

— Dobrze, dobrze! ot i kierdel umyka!

Kołatając we dzwonki drewniane przywieszone u szyi, zbliżało się spore stado kóż i owiec, a na górach nad Upłazem zadudniało, mgły odrobina w uboczy Czerwonego wirchu, rozrosła się w chmarę potężną, zwieszając się nad doliną Kościelisk, i jasny piorun uderzył w skałę nadrzeczną, odwalając kamień ogromny. Bydło i ludzie, wszystko co tchu chroniło się w gąszcza cedrowe. Deszcz lunął jak z cebra, na rzece widać było falę, jak pędząc ławą, rwała brzegi, obalała cedry odwieczne, łamała je w kawały, unosząc w dół ku jezioru. Dunajec wezbrany nagle, zalał dolinę żółtą wodą spienioną i szumiąc, hucząc kamieniami rozbijanemi jeden o drugi, stał się nie do po-

znania bystry i groźny. Lić nawalna przeistoczyła się w deszcz drobny, od gór zawiało chłodem zimnym, deszczyk zwalniał, ustał... słoneczko zabłysło jakby nigdy nic.

— Już po wszystkiemu! — zawołał woźnica stary — już odbyło swoje! ono tu nie daruje co dwa trzy dni! Na całym świecie pogoda, a tu zakurzy się kędy po nad Szczotyma, grom trzaśnie, zadudni i lić się wyleje z oberwanej chmury. Szczęście, że nas nie dopadło w dolinie, boby się nie obeszło bez wypadku; a tak słoneczko nas osuszy nim popasiemy i ruszymy dalej.

Owczarze rozłożyli ogień, a baca strążył t. j. strzykał, doił kozy i owce do gelatki, którą trzymał między kolanami kucząc; owczarz zaś zarznął i sprawił skopa tłustego.

Baca był zamożny; prócz kóz, owiec, psów, posiadał jeszcze siekierkę brązową i kociołek miedziany i nóż stalowy ostry, a nawet owczarz i pogońce jego mieli toporki i nożyki; wszystko nabyte od górników fenickich, z którymi z dawien dawna żyli w mirze i zgodzie.

Do kociołka więc nakładli pokrajane mięso barana, zalali mlekiem świeżem i warzyli na powolnym ogniu aż było ugotowane; resztę piekli na rożenkach nad żarem.

Małpę deszcz złapał na kolasie, przemokła nieboga i zziębła. Radaby była ogrzać się przy ognisku, ale się bała obcych psów sierdzistych, zaczepiających nawet znajome jej psy podróżne. Siadła więc na rogu kolasy, grzejąc się do słońca i uważnie przyglądając się wszystkiemu.

Baca stary strążając zagrzał się, zdjął więc z siebie serdak (fenickie *saar:* runo, płaszcz) barani i powiesił na kolasie, śmiejąc się do małpy i mówiąc:

— Pilnuj ta serdaka, by go psy nie potargały.

Małpa wyszczerzyła zęby, porwała serdak, zawdziała kładąc głowę w otwór naręczny i otulając się, poczuła ciepło i cieszyła się po swojemu ku wielkiemu rozradowaniu wszystkich.

Baranina w mleku była już gotowa, baca gościnny z całą obyczajowością poważną prosił by jedli, popijając mlekiem, i wziął kawałeczek, ostudził dmuchając, podszedł do kolasy, podając małpie i mówiąc:

— Pożywże się i ty niebogo, boś zziębła i zmokła.

Małpa pochwyciła skwapliwie, powąchała, skrzywiła się i rzuciła mięso precz. Zwrócono uwagę jego, że ona nie jada mięsa, ale mleko pije. Przyniósł jej mleka świeżego, podał w czerpaku i cieszył się, że piła, patrząc nań wdzięcznemi oczkami. Poczem otuliła się znów serdakiem i siadła, obracając głową to w tę to w ową stroną.

Nad stierminą prostopadłą na tysiące stóp w głąb, na kamiennych szczytach niebotycznych, gnieździły się orły i wysiedziały dwoje orląt. Pisklęta chowały się zdrowo, gdyż orłowie dostarczały im żeru posilnego: bobaków (świstaków) tłustych, koźlątek kruchych i jagniątek pulchnych. Więc obrosły w bujny, ciepły mech, a za czasem i w pierze, a żarły co wlazło. Gniazdo niezgrabne usłane z gałęzi suchej kosodrzewiny, otoczone było zbiorowiskiem kości i kosteczek i kłębami pierza niestrawionego; czaszki z rożkami i bezrogie, żebra, grzbiety, piszczele i raciczki zwierząt pożartych były ich księgą życia, na którą patrząc bez ustanku, pojmowały przeznaczenie swoje i udział w gospodarstwie wszechświata, wzrastały w poczuciu zboju wszystkiego, co żyje, co się da rozszarpać i pożreć.

Ranek był na szczytach mglisty; orlica siedząc na gnieździe. wygrzewała dzieci, drzemiąc; orzeł też drzemał na skale w pobliżu. Ocuciła ich burza, du-

dnienie grzmotów, jasność błyskawic; przypatrywały i przysłuchiwały się burzy i tylko głowy wtuliły w pierze, gdy deszcz lunął i grad sypnął. Tać im to nie pierwszyna!

Przeszła burza, słońce zajaśniało, ptaki się strzepały, otrzęsły z wilgoci, spojrzały w doliny i po turniach niższych. Nic się nie ruszało: świstaki siedziały jeszcze w norach, ostrożnie tylko wychylając główkę, kozic ani śladu, znać leżały jeszcze w kosodrzewinie, sarny też nie wychylały się z gąszcza cedrowego. A tu jeść się chce po nocy i burzy, a orlęta poczynają skomlić z głodu. Więc zaklekotał orzeł, strząsł się i wzbił w górę, za jego przykładem poszła orlica; oboje krążyły, krążyły, rozdzielając się: orzeł szybował ku Panonii, orlica ku północy po nad Upłaz. Orlęta spoglądały na nich w górę, potem w dół, aż ich straciły z oczu.

Orlica krążyła nad reglami, śledząc, kędy się pasie kierdel na Kościeliskach; nie bacząc nic żywego, krom kilku ptasząt drobnych, niegodnych rozpędu, zwróciła się pod Upłaz, okrążała raz i drugi, dostrzegła konie pasące się, ale nie dostrzegła ani owiec, ani kóż, bo to wszystko jeszcze kryło się w gąszczu. Wreszcie dostrzegła, iż się coś rusza na wozie, a to coś kudłatego i żywego... może koźlątko?

Bliskość ludzi przy ognisku nie podobała się jej, płoszyła cokolwiek ale nie zatrważała, jednak pobudzała do ostrożności. Zerkła na ludzi, zniżyła lotu, zdala już wyciągając i stulając szpony to jednej nogi, to drugiej. Tak przelatując po nad małpą niebaczną, chwyciła szponami serdak barani, w którym tkwiła małpa.

Przerażona małpa chcąc się bronić, chwyciła ręką na oślep i dopadła ogona, a bacząc, iż ją ptak podnosi, nogami trzymała się wozu, wymknęła głowę z otworu kożucha, wyrwała pióro z ogona i padła

na plecy, wrzeszcząc przeraźliwie. Zerwały się psy i ludzie przyskoczyli, ale orlica z kożuchem była już nad lasami i górą, a małpa w ściśnionej pięści trzymała pióro wyrwane z jej ogona. Ledwie przeledwie uspokoiła się, rzuciła pióro i porwała bat swój zawiesisty, jakby chciała się bronić napaści dalszej.

Spekul rzymski zamyślił się nad nagłem zjawieniem orła po piorunie. W piorunie, że jasnym głosem zagadał Jowisz Bóg: o tem nie wątpił, ale co zagadał? czy ostrzegał, czy szczęście przepowiadał? a po co zesłał ptaka swego? Orzeł krążył w około, poczem przyleciał od zachodu, więc od prawicy — to zły znak; uchwycił zdobycz a nie zdobył, jeszcze pióro utracił — to też znak nie poczesny! Lecz któż odgadnie znak niebieski i znak ptaka Jowiszowego? Ej! święcili się Etruskowie i ich kapłani: oni umieli odgadnąć dolę i niedolę patrząc na one znaki; bez nich nie rozpoczynano ni wojny ni podróży.

Tak dumał i marzył Rzymianin młody.

Baca zaś uradowany, że mu orzeł nie porwał jagnięcia lub koźlęcia, a rozweselon wypadkiem, wziął sobie pióro orle, wpiął za kapelusz, a wynagradzając małpie jej waleczność, wydobył skórkę baranka zdechłego, wytarł ją na miękko, odciął łebek a wykroił dwie dziury na ręce i zrobił z niej serdaczek na małpę, która zaznawszy już ciepła kożuchowego, dała sobie przywdziać i bardzo się cieszyła ciepłą przyodziewą.

Baca zaś dziękował jej, że orłowi wyrwała pióro z ogona, to już teraz będzie się lękał dzieci; bo dotąd porywał dziecko ludzkie, gdy się dało. Baca zapewniał, że wedle orlego gniazda na szczotach widział główkę dziecka między kościami zwierząt.

Przypatrując się Spekulowi chudemu, pokręcił stary góral głową i rzekł:

— Onemuby się też przydał serdak ciepły! kieby

chciał, tobym mu przykroił ze skóry barana bakiesistego, a ciepłoby mu było, bo to jakieś biedactwo nijakie! uskwirknie gdzie z zimna.

Wytłumaczono rzecz, ale Spekul rzymski obrażony, zadąsał się i rzekł:

— Co? jabym miał wdziewać na siebie skórę baranią? a tobym pięknie wyglądał: jak ta małpa, albo jak Skita jaki. Rzymianie w kożuchach nie chodzą, a tem mniej wojskowi. A pięknie bym wyglądał, wszyscyby się śmiali ze mnie!

— Kiedy nie, to nie — odrzekł góral i przykroił serdak dla siebie, w miejsce porwanego przez orła; zaświstał na palcu, ruszył przodem, a za nim poszedł kierdel i pogońce i psy.

Ruszyła też i drużyna podróżna wspaniałym borem cedrowym, który jednostajnie okrywał regle od północnej strony. Sojki i orzechówki pokrzykiwały; skakały i nadszczekiwały wiewiórki, a między skałami na wirchach od czasu do czasu odzywało się gwizdanie przeraźliwe, przerywane: był to świst świstaków bobaków.

Fenik słysząc go, poskrobał się za ucho, spojrzał ku górze i rzecze:

— Ej! żeby też to dostać kilka takich bobaków tłustych!

— A na cóż to?

— Dla sadła! bo to lekarstwo nieocenione na choroby wszelkie: na kaszel i krztusiec i na wszystko.

— Mniejsza o to! — odrzekł Gaj — wezmę łuk i strzały, wyjdę na wirch i zastrzelę kilka.

— Pójdziemy z tobą — rzekli oba łowce: Ursyn i Sylwan — może dostaniemy koziorożca, albo kozicę...

— Oj! koziorożca, koziorożca kieby dostać! — rzecze Fenik — kupiłbym go od was.

— A na cóż ci go to?

— Na łój i rogi i skórę! Łój na lekarstwo, rogi na trąbę Żydom do świątyni, a skórę na trzewiki.

Nad Porońcem potokiem rozłożyli się na nocleg, aby być w pobliżu gór. Cedr odwieczny rozłożysty służył za namiot obszerny, a Rzymianie rozkoszowali się wonią jego. Spekul uczony objaśniał, że to drzewo nieocenione, najlepsze na okręta i na pokrycia dachów, bo niemal wieczyste; w skrzyniach cedrowych nie butwieją szaty, a olejem cedrowym napuszczonej księgi nie chwyci się mol ani robak żaden. Olejek ten cedrowy dziwnie miłej woni tak dalece opiera się zgniliźnie, iż w Egipcie używają go do napuszczania zwłok ludzkich, przemieniając one w mumie wiecznotrwałe.

Był też zachwycony noclegiem pod takiem drzewem sławnem, zbierał żeń żywicę i rozkoszował się wonią palonych gałęzi cedrowych. Późno w noc rozprawiał o cedrach i sprzeczał się z Fenikiem, że nie fenickie cedry Libanu wonniejsze, lecz cedr wyspy Kypros, który tam bywa największy, dosięgając 130 stóp gonności, a nie mniejsze na Krecie.

O świtaniu pobudził ich przenikliwy chłód. Spekul aż dygotał od zimna i gdyby nie wstyd zarozumiały, byłby się sam przymówił do jakiego kożuszka. Z zazdrością spoglądał na małpę otuloną w serdak.

Łowce zabierali się w góry z przewodnikami miejscowymi.

Spekul ciekawy przyłączał się do wyprawy, rad sposobności obaczenia czegoś nowego. Przekąsił cokolwiek na prędce, usłuchał Fenika, wziął do torby kawał mięsa pieczonego, i uzbrojony w rzymską dzidę krótką i miecz, zdążał za łowcyma, przykazawszy słudze zgotowanie wieczerzy dostatniej i łożyska wygodniejszego.

Łowy w Tatrach.

Długo szli cieniawą boru cedrowego. Spekul ledwo zdołał zdążyć za przewodnikiem góralem.

Ścieżka wznosiła się w ubocz góry, bór zrzedniał, kosodrzewu zarośla zjawiły się.

Pyrciem krętym wspinali się pomiędzy skały, coraz wyżej i wyżej. Rzymianinowi zapierało dech, serce biło jak młotem, pot ciurkiem lał się z czoła, opadał z sił, ustawał, ale wytchnąwszy chwilę i odsapnąwszy, szedł dalej.

Pyrć zwracał się w bok, wedle turni niebotycznej, wspinał się wyżej i wyżej, stawał się coraz węższy i niebezpieczniejszy, bo po nad nim wznosiła się turnia prostopadła a pod nim przepaść bezdenna z której tylko gdzieniegdzie sterczała skałka daleka lub iglica granitowa. — Nagły załam turni, nagły zwrot pyrcia i byli u celu! Przewodnik stanąwszy, rzecze:

— Tutaj staniecie! ja pójdę dalej; wyspinam się na wirchy, stanę nad grapem, co łączy turnie obiedwie. Tam zatrąbię na rogu, a odezwie się róg łowcy waszego Sylwana, który z przewodnikiem naprzód, przededniem jeszcze, udał się na tamtą turnię. Przed onego trąbieniem i głosem kozły i kozice będą zmykać ku tej turni, a ja im wzbronię; więc pójdą z grapu na wasz pyrć i dostaniecie je z pewnością.

Rzekł i pobiegł dalej.

Został łowca Ursin i Gaj samotrzeć ze Spekulem, któremu jako dostojnikowi naznaczono miejsce przednie.

Stanął na pyrciu wąziuchnym, z jednej strony mając turnię niebotyczną, z drugiej przepaść bezdenną. Krajem pyrcia zieleniał obrąbek kosodrzewia, zwieszając się w przepaść, z której w oddaleniu może dwudziestu kroków sterczała samotna iglica granitowa, wysoka a cieńka.

Spekul wziął pod pachę dzidę, oparł się ramieniem o skałę i czekał. Na górze wysoko zabrzmiało jasnym cieńkim głosem trąbki cedrowej hasło umówione, na które w oddaleniu odpowiedział huczący gruby głos rogu bawolego, w który trąbił Sylwan.

Na szczotach skał zerwały się orły z gniazda, krążąc niespokojnie i chciwie — przeczuwały żer.

Od turni dalszej zaś, w poskokach lotnych zerwały się kozice i koziorożec wspaniały stary. Spoglądały przez grap, ku turni swej zmierzając, ale spłoszył je dźwięk trąbki, świst głośny, okrzyk i grad kamienia. Więc zboczyły na pyrć!

Kozierożec przodował przeskakując zawady, czując za sobą popłoch całego stadka kozic. Na skręcie, za załamem turni nagle obaczył człowieka! Bez namysłu, bez zatrzymania się, mknął dalej całym pędem, nadstawiając czoła twardego orężowi onegoż; uderzył, ale tejże chwili rozpaczliwie skoczył w bok ku przepaści, bo za drugim załamem obaczył wychylających się jeszcze dwu ludzi.

Nie spadł jednak w przepaść, ale równemi nogami skupionemi stanął na oddalonej iglicy skalnej, prawdopodobnie chcąc przed sobą przepuścić stado kozić spłoszone.

Gaj, bacząc go stojącego tak jak gdyby wyrósł z granitowej iglicy, naprężył łuk, wypuścił strzałę, trafił w bok.

Kozierożec wziął łeb pod siebie, skoczył w przepaść, jako zwykle rogami potężnemi chroniąc się od upadku.

Tej chwili zadudniło na pyrciu: kozice pędziły.

Obaj łowcy stanęli za załamem plecyma do skały i przypuszczając zwierza na miejsce obszerniejsze, dźgali z boku... ubili capa i kozę — reszta uszła.

Podbiegli potem ku Spekulowi i przelękli się, widząc stanowisko jego próżne.

— Hop, hop! — Hop, hop!
— Pomocy! na Boga, bo zginę!
— Kędyżeś ty?
— A tutaj wiszę nad przepaścią! koziorożec mnie zrzucił.

Wisiał istotnie, rozpaczliwie trzymając się kosodrzewiny krzaka, z którego mu tylko głowę widać było!...

Wyciągli go drżącego od trwogi śmiertelnej. Przeklinał wszystkie kozły dzikie. Zapewniał, że woli wojować Germany i Skity, niż brać na oszczep koziorożca.

Oszczep ten, a raczej dzida wojenna, nie spadła w przepaść, leżała na ścieżce. Podjął ją rad, że przynajmniej z czcią wyszedł z tej walki, nie utraciwszy oręża. A przydał się mu bardzo, bo go boki bolały: miał się czem podpierać.

Łowce obadwa wzięli na siebie kozice ubite, przewodnik jeden poszedł szukać koziorożca. Zboczywszy na upłaz położysty nieco, urąbał ogromny konar kosodrzewiny, siadł nań jak na konia i spierając się na piętach, zjechał na dół tak spadzisty, że każden inny byłby kark złamał. Onemu nie było nic zgoła i niezadługo wołał z głębi, że koziorożca znalazł i że go dołem poniesie ku stannicy.

Przewodnik drugi zaś zapytał:

— A my? czy pójdziemy już za nimi, czy może przechybniemy przez gronik na Magurkę, do kopalni? świstaków zdybiemy po drodze!

Gaj mówiący po tracku wyrozumiał górala, objaśnił Rzymianinowi o co chodzi, dodając, że nie zawadzi obaczyć kopalnie fenickie i przeglądnąć te góry tak piękne jak Hemus tracki w ojczyźnie jego.

Spekul pięknością gór nie zachwycał się wcale, mianowicie po ostatnim wypadku bolesnym i upokarzającym, ale kopalń fenickich był ciekaw wielce;

widokiem i podglądem ich chciał sobie wynagrodzić; więc przystał chętnie i chociaż z trudem i boleścią nawet, jednak zdążał za przewodnikiem i. Gajem, podziwiając i zazdroszczając im szybkości nóg. Zadumany i markotny kroczył spierając się na swej dzidzie i ledwo okiem rzucał na nagie skały Szczotów, gdzieniegdzie przerosłe kosodrzewiem, i na upłazy gór okryte żółtym mchem, ani nawet na czyste jasne niebo, roztoczone po nad skałami szczytów i hen hen! nad zieloną równią dolin.

Gwizd silny, przerywany, zbudził go z zadumy. Gaj chwycił za łuk i strzałę, przykucznął wraz z przewodnikiem, więc i on przykucznął, poglądał. Obadwaj tamci chyłkiem po za kamienie skradali się z jakie staje; wtem Gaj naciągnął łuk, wypuścił strzałę, a świst on odezwał się ponownie, widocznie trwożliwy; stworzenia małe ruszyły się i znikły, a przewodnik skoczył, pochwycił jedno przeszyte strzałą, umykające ku dziurze.

Był to bobak tłusty! chciał jeszcze zębami mścić się krzywdy mu wyrządzonej, ale nie mógł dosięgnąć ręki trzymającej go za nogi zadnie, więc go też i siły opuszczały i krew go uszła po wydobyciu strzały.

Przebywszy groń, znowu zbliżyli się do turni wysokiej, a przewodnik wskazał otwór pieczary, mówiąc, że tam jest magura górników. Ku niej zdążali krętą ścieżką pomiedzy zwaliska skał i kosodrzew.

Była to pieczara, a raczej kilka jaskiń, jedna za drugą obok siebie.

Wchód do nich był obszerny i równy. Pieczara główna na lewo od wschodu, długości 100, szerokości 50, a wysokości 40 stóp, miała za sobą kilka pieczar mniejszych. Na prost wchodu były też pieczary, z których pierwsza zimna, lodowata, druga o słupach skamieniałej cieczy wapiennej. Z zakamieniałej cieczy tej w jednym boku sterczała ogromna czaszka przedpo-

6*

topowego niedźwiedzia, o wiele większa niżeli głowy niedźwiedzi żyjących; ściany były białe od wapiennej cieczy, której sople potężne zwieszały się z powały, dosięgając podłogi i tworząc słupy wspaniałe,

W pieczarze głównej było ognisko, kilka naczyń i nieco przyodziewy, a raczej okrycia fenickiego wełnianego. Były okrycia zwane *gun* (gunie), były *glimy* (kilimki) i obszerne *koten* (koce), w których *zakutani* sypiali, więc też pomniejszych kilka *łot* (łata) czyli chustek.

Ludzi nie było, a przewodnik rzekł:

— Muszą być na dole w kopalni! chodźmy, bo i tak nam droga tamtędy.

Zeszli w dolinę i zdala posłyszeli szczekanie psów, które jednak nie nadbiegały ku nim. Zbliżywszy się, poznali przyczynę tej nieruchliwości psów, których głos potężny świadczył o sile i sierdzistości odważnej.

Zeszli do kopalni zwanej dziś: Stara robota.

Fenicy nie bili studni głębokiej, lecz pochyło wkopywali się w ubocze góry albo ślimakowato zazapuszczali się w głąb.

Powodem było, iż do pomocy używali swych psów górniczych ogromnych i silnych, które rudę wykutą, na wózeczki małe ułożoną, wyciągały po chodniku spadzistym. Na wierzchu czyli *firście* sypano rudę w wory ze skóry świńskiej, przytraczano psom za pomocą śli na karku, i zwlekały ją z uboczy góry, aż na dół, gdzie stały kolasy o uprzęży końskiej, mulej lub oślej, według kraju i obyczaju.

Owoż z worami takiemi przytroczonymi, szły z góry psy jeden za drugim pod dozorem i sprawą psiarza górniczego, który ich wiódł na smyczy, bo inaczej zwietrzywszy zwierza, rwałyby się do łowów — jakoż rwały się ku przychodniom nieznanym. Batem i wołaniem uspokajał je psiarz.

Górnik stary słysząc zawzięte szczekanie, domyślił się odwiedzin ludzi obcych; wyszedł więc na piargi, ciekaw kto to taki. Miał na sobie serdak barani bez rękawów, spodnie opięte z łatami skórzanemi na kolanach, a zapaską skórzaną z tyłu; na nogach miał krypcie przywiązane rzemykami, a na głowie czapeczkę małą pilśniową czarną. Przywitał przychodniów, a słysząc, iż należą do drużyny Fenika przybyłego z Arsykuy i radziby oglądać kopalnię, okazał im uprzejmość, wprowadził i okazywał ciężką pracę górniczą, pokazując twardą rudę żelazną, którą kopali.

Z ciekawością przyglądał się Spekul robocie mozolnej, przypatrywał się, jak rudę w worach skórzanych wywłóczyły psy, warcząc i mrucząc niechętnie i rzucając się na przybyszów, a nasycon widokiem mniej zajmującym, aniżeli się spodziewał, podziękował górnikowi starszemu i rad był, że się wydostał na świeże powietrze.

Psy w dół ciągły rudę w workach, więc za nimi schodzili i oni, rozmawiając z psiarzem. W pół drogi obskoczyły ich psy pierwej wysłane i wracające luzem. Każdy niósł swój świński wór przytroczony do grzbietu gdyby siodło. Że zaś były próżne worki, było psom lekko i swobodnie; biegały w około przyskakując i nasiadając; ledwie im się obegnali.

Kolasy obciążone rudą, ruszyły w dół ku hamrom, które po fenicku zwano *hameh* t. j. przepalające.

Tam był *mezaref kur* t. j. żarzący kureń czyli piec, w którym żarzony *(zaref)* kruszec topiono za pomocą wę-gla zwanego po fenicku *gel* i miecha, *mefe* fenickiego.

Piec otoczon był mezuchem, chodnikiem zwanym po fenicku *mesuke*. *Zaleif* t. j. ocyl, stal, zwał się kruszec stopiony.

W pobliżu była kuźnia, po fenicku zwana *kunia*, gdzie pracowali kowale, co umieli *kun* t. j. kuć, obrabiać kruszec, i piłować go, po fenicku *peil*.

Bryły kruszcu zwali Fenicy *matil* t. j. metal.

Wyrabiano z nich rzeziwo rozmaite:

Siekin (siekacz) nóż duży do cięcia i kłucia;

Siekir (siekiera) wojenny, zwykły oręż fenicki, od którego wojacy zwani *Siekirim* t. j. Siekiernicy. Salomo żydowski z *siekirimów* miał straż przyboczną, a po dziś dzień na wschodzie wodza wojaków zwą głową siekierników *ser-as-skier;*

Kordom (kord) szablę krótką zamaszystą;

Kosy, kosaki, koziki do koszenia i krajania, którą czynność Fenicy zwali *koses;*

S-waw-der (świder), właściwie: gwóźdź obracany;

Massore (niemieckie *Messer*) noże zwykłe;

Szydeł (szydło).

Nie wszystkie jednak narzędzia te wyrabiano tutaj, jeno niektóre; większą część surowicy żelaznej sprzedawano w kawałkach, po staremu, jak na Lesbos w czasach Homerowych.

Spekul rzymski przyglądał się wszystkiemu, badał wszystko, wypytywał się o szczegóły, w przekonaniu, że bada tajemnicę państwową, że wojsku rzymskiemu otwiera wrota do zaboru północy całej! Myśl ta pokrzepiła siły jego zwątlone nieco, zdawało mu się, że skrzydła bożka Merkurego wyrosły mu u nóg, tak lekko i swobodnie szedł z powrotem do stannicy nocnej.

Łowce dawno już wrócili ze zdobyczą. Fenik uradowany odkupił od nich skóry wszystkie, łój i wnętrzności z wątrobami wymówił sobie — i rogi kupił.

Wątrobę jedną zaraz ugotował i zjadł; drugą schował na śniadanie, a trzecią posolił na schowanie. W wnętrznościach szukał i szukał, ale tylko w żołądku

koziorożca znalazł czego pragnął: kulę dużą, twardą, woniejąca, którą oczyścił troskliwie, obwinął i schował jeszcze troskliwiej, tając przed okiem obecnych.

Zataił przed okiem mężczyzn, lecz dostrzegło oko niewieście.

Niewolnica Makedonki, ciekawa kucharka, ciągle zerkała z boku, dostrzegła i powiedziała swej pani, która zasię powiedziała bratu. Aeliusz rozciekawiony przystąpił do Fenika, zapytał co takiego znalazł w żołądku kozierożca?

— Cicho! cicho! żeby nie usłyszał Spekul; znalazłem *bezoar!*

— Co to jest?

— To kamień taki rosnący w żołądku zwierząt niektórych w Azyi a także w tych górach. Chroni on od wszelkiej zarazy i leczy wszelkie choroby. Ja wam dam po kawałku, tylko cicho sza! żeby on nie dostrzegł, boby mi odebrał.

— A ta wątroba kozicy, czy taka dobra, że ją sam zjadasz?

— Wątroba jak wątroba! smak nie osobliwy, ale to lekarstwo na oczy, a ja już się starzeję, wzrok mam przytępiony, a taka kozica i kozioł taki widzą we dnie nieskończenie daleko, a w nocy widzą jak koty lub sowy. Wątroba ich zjedzona zaostrza wzrok i dlatego jem ją tak chętnie. Jeżeli chcesz, dam ci kawałek.

— Nie potrzebuję, dzięki Bogom widzę doskonale.

— To przynajmniej schowaj sobie kawałek łoju koźlego, bo to lekarstwo dobre; jak stopię i ochłodzę, to ci dam kawał. Tylko temu podglądaczowi nie dawajcie, bo to łakomiec wielki i zazdrośnik. Nie gadaj mu nawet nic.

Łowce sprawili zwierzynę, a bacząc się powalanymi, bez namysłu skoczyli w potok, płukali, kąpali się.

Spekul rozmarzony wielkością domniemanych odkryć swoich, obaczył ich pluskających się w Porońcu bystrym, wspomniał sobie obrzydły wypadek z niechlujstwem niedźwiedzia na Chabówce czyli Niedźwiedzy, poczuł też cokolwiek bolu w łopatce zbodzionej przez koziorożca; zebrało mu się na chętkę kąpieli, która go tak orzeźwi i oczyści, jak ona w Piszczanach i Tręczynie. Nie myśląc wiele, zrzucił z siebie przyodziewę, spocony jako był skoczył w Poroniec i krzyknął w niebogłosy, bo potok był zimny jak lód. Ochłonąwszy z wrażenia pierwszego, bacząc śmiech łowców, zacisnął zęby, przemógł się i pluskał po wodzie, aż zdrętwiał. Wyłażąc dzwonił zębami, trząsł się cały dygocąc od zimna, a na piersi poczuł, gdyby ciężar jaki. Jadło nie bardzo mu smakowało.

Przewodnik spozierał ku niebu i na ostatnie promienie słoneczne i rzekł:

— Będzie słota, zabierajmy się co tchu! Nim się sciemni będziem w Poroninie, siole sławiańskiem i pod strzechą.

Zerwali się i za pół godziny byli już pod strzechą, właśnie gdy deszcz się opuszczał.

Pariena.

Spekulowi dostała się izbina mała i niska z polepą w pośrodku, na której płonął jałowiec wonny. Szczęście, że jałowiec, bo dym woniejący niebardzo gryzł w oczy, szukając sobie wyjścia szparami ścian i dziurą w powale, a czasem maleńkiemi dwoma okienkami. Duszno było i gorąco, tembardziej, gdyż w kącie stało w zagródce na podściółce z mchu i paproci, kilka jegniąt niedawno narodzonych.

W drugim kącie kupa mchu i liści jaworowych wskazywała legowisko przygotowane dla gościa.

Posiedział chwilkę przy ognisku, grzejąc się i dumając, poczem położył się na legowisku, a strudzony jako był zasnął niebawem. Sen miał ciężki i niespokojny, zdawało mu się, że go coś gniecie i gryzie. Przebudził się w końcu, czując, że go swędzi ciało, że robactwo jakieś oblazło go, a na piersiach poczuł ciężkość, tamującą oddech. Zawołał na sługę chrapiącego, żeby rozdmuchał ogień i zobaczył co go tak gryzie.

Skriba rozdmuchał płomień i wyśledził, że to mrówki pewno z mchem przyniesione, oblazły pana jego; na co nie było rady. Więc nieborak Spekul skrobał się i niecierpliwił tak, aż mu się duszno robiło. Przeklinał chwilę nieszczęsną, w której mu się zachciało podglądać góry obmierzłe. Powietrze duszne izby i dym tamowały mu oddech, pobudzały do kaszlu; powstał, okrył się płaszczem, wyszedł na pole, a przydaszek chroniący od słoty nadał mu się lepiej na leżysko, niżeli izba. Położył się na kupie jakiegoś barłogu i usnął, ale przez sen poczuwał chłód. Gdy się obudził rano poczuł ogromną ciężkość na piersiach i porwał go kaszel, a zdawało mu się, że go wzrok myli, gdyż mu się wszystko wydawało białem. Po chwili dopiero poznał, że śniegiem pokryły się góry i pagórki. Wszedł zasię do izby i grzał się przy ogniu i dumał, aż go ocuciło wołanie głośne do broni.

— *Madeim! madeim!* — wołając, wpadł Fenik do izby, kończąc łacińskiem:

— *Milites armati veniunt!* t. j. wojacy zbrojni nadciągają!

Wybiegli na pole, gdzie stała już cała męska drużyna podróżnych i gromadka wieśniaków Poroninian.

G ł o w a r poroniński uspokajał, że to nie napad, nie zagon rozbójniczy, jeno czata z niedalekiego gród-

ka Sofetlar, wybierająca daninę od owiec na rzecz żupana łotewskiego.

Tak też było istotnie. Kilkunastu jazygów czyli *jezdneków* (jeźdźców), zbrojnych w czekany, dzidy, a niektórzy i w strzały, wjechało do wsi za poborem, a słysząc o jakichś podróżnych dalekich, zbliżyli się zdjęci ciekawością. Siedzieli oni na konikach małych, burych, bystrych, o bujnej grzywie i kiściastym ogonie, z drewnianem wędzidłem w pysku. Odziani byli w siermięgi grube, przez pół wełniane, przez pół konopne, na głowach mieli czapki spiczaste z zawojkami lisiemi lub wilczemi, spuszczonemi dla słoty; na nogach chodaki plecione z kory lipowej, a przez plecy torby borsucze.

Przywódca wyprostował się na drewnianym łęku swym, ujął silnie dzidę swą, na której zamiast grota było zawdziane brążowe dłuto i za uszko rzemykiem przywiązane. Dłuto takie po łotewsku zwało się *kalts*. Na dowód swej zamożności odwinął poły siermięgi, aby okazać, iż pod spodem onej miał na sobie kaftan ze skóry łosia. Poczem rzekł uroczyście:

— *Esmu karra kungs!* (jestem wojenny pan t. j. oficer).

Wszyscy spojrzeli na Uppona, żeby doń zagadał, więc on z zieleni uwity wianek włożył sobie na głowę i rzekł bardzo uroczyście:

— Jestem wajdelotą! a to jest poseł cesarza Rzymu, wiozący dary królom Litwy i Prus, a król Sydon na Kungswarrasnams rozkazał, żeby nam wszędzie dawano pomoc i dostarczano potrzeb.

Oficer jazdy łotewskiej słysząc to, zmalał, spuścił głowę i odrzekł pokornie, że natychmiast da znać o tem *Kunigasowi* swojemu na Soflarach. Wyprostował się znowu, zawrócił konia i głośno zawołał:

— *Karra wira malsz!* (wojacy w pochód!) — Ruszył z kopyta, a *jazdeki* za nim.

Po ich odjeździe Spekul na wszystko ciekawy, wypytywał się, co oni zacz i kędy pojechali. Gdy mu powiedziano, że to Jezdeki czyli Jazygi łotewskie, pytał się, zkąd tutaj przybyli. Odpowiedział mu głowar sioła Poronina:

— Od siewiernej strony; przybyli sankami i konno po lodzie Wisły i Dunajca.

— Przecież takie same Jazygi są w Panonii, dokąd przybyli od południa Dunajem... Zwą ich też Sarmatami.

— O nie! Sarmaty to co innego! Sarmaty byli tu w górach naszych przed nimi, a nawet przed Punami. Mój ojciec zapamiętał ich dobrze, bo nam panowali i wybierali od nas pobory tak jak teraz Jazygi. Mój ojciec stary powiada, że był dzieckiem małem, kiedy Sarmaty uciekali stąd na zachód, przed jakimś narodem Jazygów konnych przybyłych od morza, którzy porazili Daków na Pocisiu panońskiem i wparli ich w góry nasze tak naremnie, iż Sarmaty nasze zatrwożone musiały się wynosić. Dakowie z Punami zajęli ich siedziby, ale na krótki czas i pamiętam ich dobrze, bo nas uczyli uprawiać pola, uczyli i rzemiosł i zaprowadzali lepsze sądy i rządy żupańskie. Żupan taki, którego Puny zwali *suffet*, rządził i sądził na Skałce, którą oni nazwali *Sofetlar*.

— Co to znaczy? — pytano Fenicyanina.

— To znaczy: Sufeta powiat, sędziego powiat, sąd powiatu całego.

— Takim sędzią łotewskim jest teraz ten *kunigs* łotewski, przybyły przed kilku laty na pomoc królowi Wajneksowi, którego wojował król Sydon z bratem Wango.

— Jak on się zwie? — z ciekawością zapytał znów Uppon.

— *Warrenais!*

— *Warrenais* to znaczy bohater... to będzie

tylko przydomek wojskowy, ale jakie nazwisko jego właściwe?

— Tego nie wiem, wszyscy zwą go *Warrenais* albo *kunigs*.

— Na każden sposób, będzie to wojownik znakomity, którego trzeba uczcić darem wojskowym: możeby naramiennikiem brązowym?

Sławianie zaś z Tracyi macedońskiej dopytywali się o Sławian pobratymców, mianowicie o Ligów.

— Ligi? Ligi?... to Łotwa tak zwie Lechów z równin, bo *ligus* znaczy u nich kraj równy, a *łauka* pole. Nas zaś góralów zwą *Koralis*, co przyjęli od nich Rzymianie [1]).

Światły i po świecie bywały głowar poroniński wiele rzeczy opowiadał o Lechach rolniczących czyli uprawiających l e c h ę t. j. grzędę, o ich zamożności i liczbie wielkiej...

— A kędyż kończą się górale, a poczynają Lechy?

— O! niezbyt daleko; za słońca można tam dobiedz górami do miejsca, kędy się Dunajec zwraca na zachód. Tam pierwsze Lachy. Łotwa zwie ich *Lankas* a wieś ich Lanko; my zwiemy Łącko. W Łącku są już Lachy i tam dalej same Lachy aż ku Wiśle i nad całą Wisłą. My się tam czasem zapędzamy do nich po zboże, bo tam chleba moc... Oni też do nas przychodzą po barany, które im odganiamy przez góry.

— A Łotwa czy panuje Lachom?

— Broń Boże! Lachy nie poddają się im, biją się z nimi ciągle i bronią w swych grodach, twierdzach, zamkach, po swych chronowach i zawadach mnogich, okopanych po tarnowcach i tarnogrodach, obsadzonych cierniem.

— A czemuż wy się nie bronicie?

---

[1]) Flaccus vers. 88.

— Dokąd my mieli żupana i Punów co nas bronili od zwierza dzikiego i napaści ludzkiej, to my byli swobodni, ale teraz musimy słuchać Łotwy i opłacać się za obronę od zwierza.

— To tu tyle zwierza dzikiego?

— Wilków roje całe, a niedźwiedzi też podostatek. Ot hań! za rzeką zaraz one pagórki pełne onych gadów, więc Puny nasze po swojemu nazwali je *Zubsuche,* co ma znaczyć: zwierza dzikiego matecznik; a tam niżej nad jeziorem w lasach Sarmaty jeszcze mówii, że to Majruszyna i Huba, legowiska niedźwiedzie. Łotwa, nie ma co mówić, tępi wilki dla skór, a niedźwiedzi dla skór i mięsa, więc im chętnie dajemy barany i pomagamy w łowach. Inaczejby człowiek nie zebrał tej garstki owsiku, aniby się wychylić mógł z chaty.

— A żupan i Puny kędy się wynieśli?

— Po grodach siedzą, na Corstynie, na Sącu, bo to ich grody, i na górach: Gorcza, Mogilicy i Modyni. W Pieninach też wedle Szczawnic zdrojów, trzymają się jeszcze wraz z Lechami, którzy tam mają wieś Lechnicę nad Dunajcem.

— A skądże to i jaką jest nazwa Poronina waszego?

— Jużcić roni się woda z Tatr, tu Porońcem, tam Dunajcem, a obie rzeki poronią się tutaj razem.

Zapytanie to o nazwę wioski wniósł Spekul i zapisał sobie do tabliczek swych składanych, ale zapisał po swojemu, przekręciwszy na Pariena, dodając, że od Arsykuy czyli Orawy odległą jest na tyle godzin drogi, iżby według teraźniejszej miary wynosiło 6 mil, a od Dunaju i Celemancyi mil 27.

Od promieni słońca zgorzał śnieg w dolinach, acz jaśniał na Tatrach, a bielił się po pagórkach.

Drużyna ruszyła do niedalekich Szaflar.

Szaflary.

Kunigs szaflarski przyjmował ich uroczyście, wychodząc naprzeciw i witając u wchodu do gródka samorodnego na odosobnionej skałce obronnej.

Był to chłop jak dąb, rosły i barczysty, jak gdyby stworzony do zapasów z niedźwiedziem i żubrem. Oblicze rumiane z wyrazem zarozumiałości dobrodusznej, zarośnięte było wąsami ogromnemi szczeciastemi i jaśniejszemi od potężnej gęstej brody i długich gęstych kudeł czupryny; brwi duże i obwisłe były jaśniejsze nawet od wąsów; więc chociaż je zmarszczył, nie przejmował trwogą, zwłaszcza, iż głos miał łagodny i miły. Odzian był w kożuszek wspaniały ze skórek kun leśnych, włosem do góry, woniejących jeszcze piżmem; spodnie pół wełniane, u dołu opięte, przytroczone były do *klumpi* t. j. trzewików ze skóry świńskiej o podeszwie z drzewa lipowego. Na głowie miał ogromną czapkę rysią spiczastą z zawojką potężną. W dłoni szerokiej jak łapa niedźwiedzia, miał ulubiony oręż narodowy *czekan* t. j. młot ciężki kamienny z ratyszczem cisowem.

Zaraz na przywitaniu wyprostowany dumnie rzekł:

— Jestem kunigs! Mam *wergsów* (niewolników) 150, a *karrawirów* (wojaków) 300; koni 50, krów 20, baranów stado, a świń moc niezliczoną! Mam oręża podostatek: *kaltsow* (keltów, dłut), czakanów, łuków i strzał; własnego *kalleisa* (kowala), własną *kallums* (kuźnię), a na *Didle balus* (wielkiem jeziorze) mam *waltyse* i *waltute* (czółna) i *lajwa leela* (czółno wielkie, okręt) z *ajrisami* (wiosłami).

Wyliczywszy potęgę i skarby swoje, wyprostował się jeszcze dumniej i podparł bok czekanem, czekając odpowiedzi.

Uppon przetłumaczył mowę jego, a Fenik doświadczony bez namysłu kazał mu odpowiedzieć:

— *Warrens!* (bohatetze!) a słyszał ty co to *ciecor romaneeks* (cesarz rzymski)?

— Pa! jakoby nie słyszał, wszakoż uwieńczył koroną naszego *rikisa kunigasa* (króla) Wajneksa, a po nim uwieńczył bratanki jego Sydonisa i Wangia.

— A wiesz ty jak się zowie cesarz?

— Nie wiem.

— To ja ci powiem: zowie się Nero Augustus! A wiesz ty jak on wygląda?

— Nie wiem, bom go nie widział.

— Ot tak wygląda! widzisz? tak jak na tem pieniądzu srebrnym. Ot, to on! a tu napisane jak się zowie, oto czytaj: »Cezar Augustus Nero!« Otóż widzisz, on nas posłał do króla, co mieszka tam, kędy jantar rośnie.

— Jantar? ten co się pali woniejący?

— Ten sam!

— On nie rośnie; morze go wyrzuca, a ludzie zbierają i palą, gotując sobie przy nim jadło. Sam zbierałem, sam gotowałem, bom tam był *basteenem* (zagonem).

— A wielkie to kawałki tego jantaru?

— Jak pięść, jak głowa.

— A którędy tam najbliżej?

— Nam było blisko; stąd daleko, ale woda rzeki sama was zaprowadzi, bo to u ujścia Białej rzeki, w którą wpływają wszystkie rzeki i Dunajec.

— A kędyż stanie najbliższe podróżnym?

— Trzeba płynąć jeziorem, ale nie docierać do Corstyna, bo tam siedzą złe Puny i napadną na okręt; najlepiejby było przeprawić się za jezioro do lasu *Hubele* (turkawka), gdzie jest stannica wojaków naszych w starej stannicy Punów (Madejówka). Oni przeprowadzą was na wirch *Aws-tryt* (Ustrzyk) kędy owce

doją i wskażą którędy *tekka* (ścieżka) przez Tokarnię, na Magorzycę, Modyń i t. d. i t. d.

Na to odrzekli przez tłumacza, iż się nie boją Punów, ale owszem Puny boją się obrazić posłów cesarza Nerona, boby on kazał wyścinać wszystkie Puny w cesarstwie.

— Jeżeli tak, to pławcie do Punów na Corstyn. Ja wam dam okręt i wioślarzy, jeżeli mi ich zwrócicie.

— Nietylko że zwrócimy, ale nie żądamy za darmo! Ot, jesteś *warneeks* dzielny, nosisz wonny kożuszek ze skórek kunich i *klumpie* wspaniałe na nogach, a ramię twoje i szyja twoja nie ma ozdoby żadnej. Otóż na! tobie ten naramiennik błyszczący, wspaniały, jak przystoi wojakowi, co się nie boi wojny, ani się lęka niedźwiedzia, żubra lub wilka.

— Co wilka? jabym się lękał wilka? *Wilkeemap-edams* (wilcy by cię zjedli) za taką mowę. Ja żubra brał za rogi.

— Nie wątpimy, nie wątpimy!.. ale młodego żubra?

— No! jużcić nie bardzo starego, bo bardzo stary to taki mądry, że szczwany psami, uciekając, upuszcza gnój swój gorący i racicami go rzuca po za siebie, prosto w oczy łowcom, a gnój to tak gorący, że zaraz ślepną od niego! A z przodu zaczepiony bodzie tak silnie, iż przewraca stare dęby! Ale tutaj nie tak częsty żubr jak tur; a tur to wół dziki, rogi ma stojące, a takie ostre i twarde, iż nieraz przebije na wskróś świerka i nie może wyciągnąć rogu. A przecież ileż ja ich już ubiłem, a ile niedźwiedzi i łosiów? Z niedźwiedziem, bywało nieraz, trzeba się mocować i powalić go i zdusić! a łoś to mnie raz podeptał okrutnie, gdyż mi się oszczep złamał w jego cielsku; szczęście, że to było na błotach i że psy przypadły, boby mnie był zgniótł na cienki listek.

— To my też słyszeli o twoich czynach i imieniem cezara dajemy ci te odznaki dzielności: ten naramiennik brązowy, zważ no go na ręce, jaki ciężki... A jaki lśniący.

— Prawda że lśniący.

— I ten naszyjnik z wisiorem szklannym... oh! ledwie, że ci objął szyję...

— Nawet mnie gniecie ten drut.

— Nie szkodzi! bo ci w nim bardzo ładnie... Otóż znaj, jak cezar wynagradza waleczność przyjaciół swoich.

— To dajcież mi tego cezara przyjaciela, bo mi nie będą wierzyć.

— Na! masz ten pieniądz srebrny z napisem: »Augustus Nero cezar«.

— Spamiętam sobie: *Auksztyskis nerus ciecier!* oh! ja mam pamięć dobrą!... A co to za stworzenie brzydkie, co jedzie na tym niedźwiedziu młodym?

— To *bezdejona* (małpa), przeznaczona na dar królowi.

— To to *bezdejona?* a umi ona gadać?

— Nie umi!

— A czemuż? przecie podobna do człowieka; jest tu niedaleko stara baba punicka, podobna do niej jak gdyby siostra, a gadatliwa strasznie. A skąd ona, ta bezdejona?

— Stamtąd, skąd naród Litwy przybył w te kraje zimne: z *Austro zeme.*

— Wajdelota ciągle nam prawi o tych krajach ciepłych. Czy te kobiety także stamtąd?

— Nie! to Rzymianki.

— A to niechże wejdą do mego domu, bo u mnie jeszcze nigdy nie była Żmijanka.

Przyjęto zaprosiny, acz przeczuwając, że pod gołem niebem na wyżynie skałki, w okolicy uroczej,

przy pogodzie po deszczu, będzie nieporównanie przyjemniej, niż w ciasnej kurnej izbie.

Tak też było po części; ale za to przyjęcie gościnne przeszło oczekiwanie: jadła i napitku zastawa była ogromna.

Prócz chłodnej szczawistej polewki z jajami ptasiemi i zieleniną, zastawiono: łapy niedźwiedzie pieczone, podobne do rąk ludzkich, z palcami, więc i szynki niedźwiedzie i wędliny z tura i żubra i półgąski tłuste i jeleninę, kozinę i łososia świeżo złowionego w własnym tłuszczu smażonego, a na popitek był miód słodziuchny a wystały przez lat kilka.

Niewiast kilka obsługiwało gości, ale tylko mężczyzn — bo kobiety zostawione same sobie. Taki obyczaj Łotwy: niewiasta była do usług mężczyzn.

Rzymianki nie zazdrościły doli Łotewkom, słysząc o ich niewoli, i że mąż włada nawet życiem żon swych, zniewolonych ciągle nań pracować.

Po uczcie i wypoczynku wyruszyli nad jezioro bliskie, gdzie czyniono przygotowania do przeprawy.

Jezioro tatrzańskie było ogromne: od Pienin hen! hen! aż za Orawę zalewało wzdłuż mil kilka, to szerzej to wężej; najszersze na zachodzie, od Piekielnika i Morawczyzny, sięgało aż ku Chochołowu Cichemu i Bystremu. Dunajec czarny, płynął tam prądem środkowym, a Rogoźnik bokiem jako struga mielizn zarośniętych rogóżą, wzdłuż przylądku utworzonego kończyną działu wód między Dunajcyma oboma.

Dział on lesisty po dziś dzień nosi nazwę od Sarmat nadaną: Maruszyna, t. j. leśna (kondyjskie *ma* ziemia, *ajruch* las). Za tem działem od wschodu mielizny skrzypiem porosłej, Skrzypne potok był strugą, podczas gdy Dunajec biały, płynął prądem głównym wpadając w jezioro powyż Szaflar jeszcze, łącząc się z Dunajcem czarnym i opływając kilkoro

ostrowia (Gronków, Ostrowsko). Dalej ku wschodowi zwężone jezioro, wiło się krętem korytem Dunajca złączonego, pomiędzy skały Corstyna i Niedzicy i parło w Pieniny, rozrywając je i krusząc skały wysokie. Okruchy Grabczych i Sokolicy, tworzyły kamienną groblę zatykającą ujście, podnosząc stan wody i tworząc wodospady wspaniałe.

Takiem było ongi jezioro tatrzańskie, a raczej dunajcowe.

Wypelniając ogromną kotlinę gór, było miejscami bardzo głębokie, a głębinę powodzie naremne zawalały skalem, iłem, łomami drzew i zielskiem, tworząc dla późniejszych pokoleń ludzkich zasoby opału i nawozu. Są to b o r y dzisiejsze orawskie i nowotarskie — nieprzebrane torfowiska.

Głębiny były rybne, a mielizny były tarłem dogodnem; więc też pieleszą ptactwa wodnego, mianowicie kaczek snujących się pasmem nieprzejrzanem i hulających po głębinach, a gnieżdżących się w rogozinie i skrzypiu.

Łopały się kaczki po wodzie, lecz łopały się i ludzkie niewiasty.

Ludzie zamieszkiwali niskie wybrzeża jeziora, nie tak gęsto jednak jak dzisiaj.

Rodzina pojedyncza, upatrzywszy miejsce dogodne, kleciła kletę drewnianą z okrąglaków, dosadnie przekładając mchem, pokrywając skaruchami drzewnemi, albo trzciną lub rogóżą. W klitce takiej tulili się przed zimnem, chronili przed słotą, ludzie i bydło razem. Z boku był schowek na tę odrobinę owsa zebranego i na len, który uprawiano dla ziarna i włókna doskonałogo.

Płótno i sukno tkać nauczyli ich Puny, wyrabiając płótno cienkie i białe przez bielenie i pranie w jeziorze. Otóż łopaniem płócien ożywiało się jezioro w miejscach odpowiednich, mianowicie po błotach wa-

pnistych, gdzie bielenie lnu, przędzy lub płótna gotowego było skuteczniejsze.

Zajmowały się tem niewiasty punickie, od Magur zwożąc ku jezioru, płótna surowe lub len nie roszony jeszcze. Stanowiły odrębną drużynę rękodzielniczą, a od błotnistych moczydeł zwane *bogunim* t. j. błotnice *(b-agunim:* na błotach) z czego powstała nazwa polska: bogunki, boginki.

Bogunki te czarnowłose, w bieli płóciennej, w czapeczkach czerwonych, na wózeczkach małych wioząc płótna surowe i lny, zjeżdżały od Magury spiskiej aż ku dzisiejszemu Piekielnikowi potoku. Tam pierały płótno i chusty, machając to o wodę, to o skałę i susząc na brzegu. Zazdrosne o swój przemysł popłatny, nie dopuszczały niewiast pielich, góralek rodowitych, podglądających jak to się bieli len i płótno. Porywały im dzieci, a nawet porywały góralki brzemienne same, aby im odmienić niemowlę dorodne.

Ale co do tego porywania dzieci i kobiet młodych, straszniejszemi były dziwożony, góralki od Cederma.

Tutaj nad Piekielnikiem nie było mieszkańców, więc też i dzieci; była tylko mielizna jeziorna wyścielona piaskiem białym, czyściuteńkim, gdyby przesiewanym, boć go płukały i siały fale jeziorne, nim go osadziły na dnie. Lądami zaś były zarośla cisowe, których szczątki twarde jak góźdź t. j. jak żelazo ówczesne, przetrwały lat tysiące i teraz jeszcze nie dadzą się ani urąbać, ani z ziemi wyciągnąć.

Dziwożony — zalotnice punickie, właściwie zwane *dewa-zona* z punickiego: *dewa,* dziewa; *zona,* zalotnica, nałożnica, były to pasterki górskie, swawolne i zalotne.

Skotopasami byli Sarmaci, po nich pozostały nazwy miejsc i wyrazy rzeczy.

Przybyli górami z Beskidu, wyparci przez Daków, których roku 45 przed Chr. królewicz Żyrax z pomocą Jazygów (przybłędów z porzecza Dunaju) poraził nad Cissą i wparł w góry Sarmatów.

Sarmaty spłoszeni uciekali na zachód od Szląska najpierw, a potem dalej, siejąc trwogę jako groźne A z y t. j. Azyaty.

Ślady po nich pozostały w nazwach gór i rzek, od Dniestru aż po Dunaj, w nazwach zwierza dzikiego i oswojonego, w nazwach odzieży, i w obyczaju.

Dunajcowi i Tatrom nadali nazwę, przebywając tam długie lata, pasając po *rapach*, stawiając *hotary* i *chaty* w ciepłej i pięknej dolinie Ochotnicy, oganiając się niedźwiedziom pobliskiej Huby, łowiąc i strzelając głuszce i cietrzewie na Tokoniu i po Tokarniach. Świadczą o tem pozostałe dźwięki mowy ich, którą dotąd mówią w Azyi pobratymce ich Woguły i Kondy: *Dun, don*, rzeka; *toit-ur,* śnieżna góra; *raep*, góra; *chot, ar-chot, i-chot,* stajnia, chata; *hoba*, niedźwiedź; *tokuch,* kogut — i t. d.[1]).

Nie mało czasu upłynęło, nim te wyrazy obce przylgnęły do ziemi i gór, zanim się zlały z mową krajowców pielich.

Krajowców tych sławiańskich była garstka jeno; biedacy górale w pośrodku pobratymców zamożnych między Sławianami panońskimi, a Lechami nadwiślańskimi.

Ulegli przybyszom mocniejszym, radzi łączyli się z nimi, wytwarzając pokolenie odmienne, ród półkrwi sarmackiej.

Jednych i drugich było niewiele, a od Sarmat rzeszy oddzieleni górami i wodami jeziora tatrzańskiego, nie wiedzieli nawet, że Azy ze Szląska dawno już

[1]) Schlözer. Nordische Geschichte, p. 308.

pomknęli dalej na zachód północny. Oni sami dotrwali i zdziwili się, gdy do nich zaczęli przybywać Punowie, dotychczasowi panowie Panonii, uchodzący przed potęgą Rzymian. Chętnie przyjęli ich zwierzchnictwo i oświatę wyższą, uczyli się wyrobu nabiału, płótna, sukna i rzemiosł wszelakich.

Dziewczęta przyodziewały się w białe płótno, a na głowy bujnowłose rade kładły fenickie czapeczki czerwone. Były one nie tak smukłe jak góralki czysto sławiańskiej krwi.

Punowie radzi im się przyglądali z bliska, wchodzili w zażyłość miłosną, a bacząc iż są zalotne i nieoporne, nazwali je dziwożonami (fenickie: *dewa*, dziewica, dziewka — i *zona*, zalotna, wszeteczna).

Najpiękniejsze były Ochotniczanki, pasterki owiec i kóz po hotarach górskich Ochotnicy. Schodziły w lecie nad jezioro prać płótno uprzędzone i utkane podczas długich wieczorów zimowych i suszyć go na murawie zielonej. Cuda opowiadano o ich piękności, o ślicznych oczach, bujnej piersi i długich ciemnych włosach rozpuszczonych i o puchu miękkim porastającym na ich obliczu! Czapeczki swe zdjąwszy, kładły na brzegu, a same łopały się po wodzie swawoląc rozkosznie w miejscu od tego nazwanem Łopuszną. Nad Łopuszną w Małej górze miały one schronisko w jaskini obszernej, rzekomo pełnej skarbów, pełnej cudów [1]).

Góra cała porosła cedrami zwana też Cedermo, t. j. cedrów krainą (*sarm: ma*, kraina).

Wyżyny i szczyty Gorczów pokrywał odwieczny las jaworowy, knieja jeleni, łosiów, sarn, a poniżej Łopuszny cienisty las dębowy opuszczał się z uboczy wzdłuż potoków rojnych od knurów, knuryków i samur dzikich świń. Knieja ta olbrzymia i przecudna, że

[1]) Podanie ludowe, Seweryn Goszczyński.

była też matecznikiem niedźwiedzi, poucza sarmacka nazwa *Huba* i polska nazwa pasma całego: Niedźwiedzia.

Na brzegu mielizny leżała ogromna tratwa z drzew cedrowych, zbita kołkami drewnianemi. Podczas burzy wiatr i powódź wyrzuciły ją na brzeg i z trudnością przychodziło zepchnąć i ściągnąć na głębinę. Za dwie liny z łyka lipowego ciągło chłopów kilkunastu, podczas gdy drudzy z tyłu popychali drągami. Stary Łotysz, *laiwneeks*, pławnik doświadczony, dowodził pracą, wołając głośno:

— *Wiraj traukite juga!* — co miało być po łotewsku, a było kiepsko po rzymsku i znaczyło: chłopy, ciągnijcie jarzmo.

Chłopy brodząc w błocie, ciągli co sił stało, on sam nie żałował kości własnych, podsadzał się, dźwigał, aż przecie tratwa spłynęła. Więc się wyprostował i obcierając pot z czoła, rzekł:

— *Aj! diewas, diewas!* (oj! Boże, Boże!).

Spekul z zajęciem przyglądający się wszystkiemu, uderzony dźwiękiem wyrazów, pytał:

— Po jakiemu on gada?

— A po naszemu, po łotewsku, ale zacina trochę z rzymska, bo służył pod Rzymianami nad Dunajem!

— Przecież on wyraźnie wołał: *viri trahite iuga,* a często powtarza: *deus, deus!*

— A tak!

Rrzymianin zdziwił się i postanowił badać człowieka tego; podmówił Uppona, żeby go zagadywał podczas przeprawy i wypytywał, co on gada z wioślarzami.

— O pogodzie rozmawiają, wróżą burzę i powódź, bo glon zielony okrył kamienie, ślisko było pod nogami a kaczki myją się i łopocą po wodzie.

— Cóż poczniemy, gdy będzie burza?

— Przybijemy do lądu.

— Gdzie?

— Byle kędy!

— A cóż będziemy jedli, jeżeli przyjdzie czekać kilka dni?

— *Diewas dawe dentis, diewas dus ir dunas* — śmiejąc się, odrzekł stary pławca, a Spekul zdziwiony, pytał się, czy on mówi: *Deus davit dentes, deus, dat... quid dat?* (Bóg daje zęby, to daje i... cóż daje?).

— *Dus ir dunas*... daje i chleb! — śmiejąc się, uzupełnił Uppon, a Rzymianin uczony nie mógł wyjść z podziwienia, że mowa Jazygów taka podobna do rzymskiej.

Pławili spokojnie pomiędzy wysepki sterczące, minęli Ostrów wielki i za prądem ubocznym od brzegu Cederma i ujścia potoka Łopusznej, zbliżeni do brzegu usłyszeli głośny plusk i łopot. Zdziwiony Spekul zapytał:

— Co to, kaczki?

— Kaczki dzikie, będziemy łapać!

Wtem minęli przylądek, a Spekul aż gębę rozdziawił z podziwu. Kilkanaście dziewic hożych i dorodnych pluskało się po wodzie machając płótnem. Obaczyły tratwę i dostrzegły mężczyzn młodych, więc nuż wołać na nich, nuż przywabiać, śmiejąc się rozkosznie i nie zakrywając wdzięków bujnych, tak że się aż odwróciła zgorszona i zasromana żona Makedona...

Mężczyźni zaś nie odwracali ócz, śmiejąc się i wołaniem wabiąc ich ku tratwie mijającej Łopusznę.

Stary pławca hultaj wołał na Spekula, że to kaczki, żeby chwytał. Fenik zaś z lekceważeniem spoglądając, wyjaśnił mu, że to *dewe-zonaim* (dziwożony) zalotne i bezwstydne.

Wtem od szczytu góry rozległ się odgłos trąby potężnej, hucząc raz po raz!

— To Madeje trąbią pobudkę! — zawołał pławca

stary, nagląc wioślarzy do oddalenia się od brzegu, bo oto wojacy puniccy, z którymi nie ma żartów, są-sądzą, że napadamy na ich dziwożony.

— A gdzież oni są? — pytał ciekawy Spekul.

— Ot! widzisz ten szczyt wysoki tam ku wschodowi? To Runek, a wedle niego Madeje mają legowisko na górze nad tym lasem wielkim, który z sarmacka zwan Hoba t. j. niedźwiedź, gdyż tam niedźwiedzi matecznik. Za tą górą ciągnie się pasmo Gorczów, na których Ochotniczanie pasają i mają swe Kotelniki; więc też Madeje wojacy mają tam swe zawady i zaręby, a Puny mają magurkę na polanie, niedaleko Ustrzyku, kędy doją kozy i owce, a jeszcze dalej mają obszerną kiczorę t. j. polanę zamieszkałą, a za nią, na trzeciej gorze mają *mogil*, t. j. obóz otoczony nasypem kamiennym i zasiekami cisowemi, bo cała ta góra Mogilica porośnięta lasem cisowym [1]). Ja tam nie był, bo gdybym się tam pokazał toby mnie zabili, ale z gór sąsiednich przyglądałem się nie raz tym *madejom* punickim.

— Za cóżby cię mieli zabić?

— Bo tamtędy granica nasza i miedza ich *modyni* t. j. powiatu, który się poczyna od góry, zwanej też Modyń.

— *Modyna* po naszemu znaczy powiat, a *megil* to obóz okopany, *magurka* to schronisko, a *kiczora* to polana — objaśniał Fenik zdziwiony, że Łotysz tak dokładnie zna okolicę całą.

Podczas tej rozmowy nie ustawało po górach huczenie trąb i ligawek, niepokojąc Łotysza starego, podejrzywającego zasadzkę wojenną Punów, którym nie dowierzał. Tratwa szybko minęła Łopusznę i Dębna knieję dębową, pomykając na wschód. Wtem Łotysz spojrzał ku Tatrom i obaczył chmurkę jasną wyrasta-

[1]) Pniaki cisowe do niedawna znajdowano tam i sam je widziałem.

jącą gdyby słup światła. Wskazał ją wioślarzom, raz po raz powtarzając:

— *Waj djewuli, djewuli!* (oj boziu, bozieńku!). Wioślarze wiosłowali całą siłą.

Spekul po staremu zerkał ku Łopusznie i dziwożonom, ni z tego ni z owego jął klaskać w ręce i śmiać się na całe gardło, wskazując ku górze Cedermu. Dziwożony półnagie i całkiem nagie pędziły ku górze jedna ze drugą, kryjąc się w jaskini.

Łotysz stary zamiast się śmiać, szepnął kłopotliwie swoje: *waj djewuli djewuli!* — plunął w dłonie i sam chwycił za wiosło, rozkazując przygotować kotwicę.

Chmurka ona cieńka rozrosła się nagle po nad głowami pławiących; była cisza zdradliwa, aż naraz uderzył piorun niespodzianie tuż w pobliżu. Wicher zerwał się i lunęło jak z cebra.

Teraz dopiero pojęli wszyscy ono trąbienie po górach, że nie było wojenną pobudką, lecz hasłem bacy na Runku, ostrzegającem przed burzą, której zbieranie się nad Tatrami spostrzegł on najpierw: więc też i dziewki co tchu umykały do swej pieczary ochronnej.

Tratwą miotała fala, chybając i grożąc zatopieniem, zwłaszcza, że konie przywiązane jęły się niepokoić.

Szczęście, że wicher pędził ją prosto w zatokę, bo gdyby prądem głównym, byłaby albo zatonęła, albo się rozbiła o skały Corstyna.

M a n i o w y dzisiejsze były jeziora tatrzańskiego przystanią wschodnią o dwu zatokach.

Ztąd nazwa fenicka: *maim-aj* t. j. wód kraina.

Odnoga góry Runku wysunięta ku południu, tworzy przylądek kabłąkowaty i groblę nad jeziorem, ścieśniając go w poprzecz tak dalece, iż między nią

a przeciwległą skalistą odnogą Magury spiskiej, nie zostaje jeno przesmyk kręty dla wód Dunajca, którem jezioro upływało. Kabłąkowato zakrzywione lądy przyladka tego nad głębiną, wytworzyły zatokę obszerną, do której od Runku wpada potok rwiący, wyżłobiając zatoczkę mniejszą w głębi onej większej.

Dziś zatoczka mniejsza pokryta mieszkaniami ludzkiemi, wielka zaś zatoka jest prześliczną łąką dworską i polem, a ląd jej wysoki po części porosły lasem jodłowym.

Ongi nie tak było!

Runek cały i odczochy jego, okryte były jaworami, dębami, cedrem i cisem, tworząc puszczę ogromną i wspaniałą, pielesz i matecznik zwierza, a tylko na brzegu zatoczki małej była zagroda nie wielka, z mieszkaniami ludzi: sioło utwierdzone z dwóch stron jeziorem, od północy potoka głębiną znaczną, a od wschodu przekopem, nasypem i zasiekiem.

W południowym lądzie nad zatoką dużą, były pieczary mieszkalne wydrążone ręką ludzką w brzegu gliniastym, z przystępem od jeziora wprost.

Po nad temi pieczarami, na wyżynce przylądka wznosił się żertwiennik (czyli ołtarz) bóstwa opiekuńczego, a wokoło niskie chatki sioła. Od wschodu były pola uprawne, w obrębie zagrody.

Wedle świątyni mieszkali dostojnicy z kapłanem, a w pieczarach nadbrzeżnych rybacy i pławce, boć to była osada punicka, — a Punom woda żywiołem wtórym.

Ku onym pieczarom nadbrzeżnym w zatokę wielką pędziła burza tratwę, miotając i chybając straszliwie. Rybacy i pławce spostrzegli z góry, znakami i wołaniem wskazywali, aby się mieć na prawo, w głąb zatoki, a bacząc niebezpieczeństwo, skoczyli w czółna, podpławili, rzucili na tratwę powrozy długie z lipowego łyka i holowali w głąb zatoki, kędy prąd nie

wirował. W kącinie tam u dębów olbrzymich przycumowali tratwę pomagając wysiadać.

Najpierwszy wyskoczył Fenik, wołając:

— *Baal han* (Bóg łaskaw), *Baal azar* (Bóg pomaga) *Baal szamar* (Bóg chroni)! — rozglądając się po rybakach, z których najstarszy odrzekł:

— *Baal szillek ahia* (Bóg oswobadza brata mego).

Za nim skoczył stary Łotysz ciągnąc linę swą, okręcając koło drzewa, szeptając raz po raz:

— *Waj djewuli djewuli! waj Atrimpos! waj Ortus!* (Atrimpos bóg mórz, Ortus bóg jezior) — poczem na wioślarzy, aby ciągli za linę, wołał po staremu:

— *Wiraj traukite juga!*

Z kolei wszyscy wysiedli na ląd, a w końcu sprowadzono konie, którym podczas powstającej burzy pozawiązywano oczy, przytrzymując krótko i ośmielając mową głośną i głaskaniem po łbie, że stały spokojnie, drżąc, gdyby osikowe liście. Małpa też siedząc na niedźwiedziu, śmigała go batem, psy zaszczekały — wszystko wyskoczyło na ląd bezpieczny, ciesząc się i radując, iż uszli zguby.

Fenik pokrótce porozumiał się z Maniowianami, którzy zaprosili podróżnych do swych pieczar mieszkalnych, a przybyły na miejsce *sufet* czyli *żupan* (wójt, starosta), Fenika i Rzymian zaprosił do gródka, gdzie ich ugościł jako mógł najlepiej.

Pogadanka żwawa toczyła się między Punami maniowskimi a Fenikiem: boć chodziło o jantar i zwiedzenie pomorza jantarowego, kędy były stare osady fenickie jeszcze przez Kartagów założone. Były głosy potępiające podróż oną, lecz umilkły w obec uwagi, że chodzi o dogodzenie cezarowi rzymskiemu, w którego ręku los tylu tysięcy biednych Punów rozproszonych po całem państwie, żyjących z kupi i rzemiósł a prześladowanych przez Żydów, nieprzyjaciół swych odwiecznych, i od Niemców zazdrosnych o sól

i kopalnie kruszcu, więc też i od Łotwy gromicieli sprzymierzeńców Sławian dackich i morawskich. Wobec tego nie wypada, jak tulić się pod możną opiekę Rzymu! Zresztą o co idzie? o zbadanie i ustalenie cesty kupieckiej do morza północnego, kędy jantar rośnie. Wiedzie ona przez ziemie nie podległe Rzymowi, a kupiectwem tam zawładnąć, byłoby zdobyć ją dla siebie i dla Daków pobratymców. Więc uradzono wspierać wyprawę, przyłączając się do niej i wiodąc ją przez osady bratnie, wprowadzając do magur swych gościnnych.

W pieczarach nad zatoką rozprawiano niemniej żywo, ale o czem innem: o łowach.

Fenik skończywszy rozmowę i układy, poszedł zajrzeć do czeladzi właśnie rozmawiającej o jeleniach, że ich tam jest takie mnóstwo, iż całe podgórze Runka nad zatoką i Dunajcem zowie się *Alith* t. j. jelenie (dzisiejsza L i t a).

Podchodzą pod samą zagrodę i jest się czemu napatrzeć jakie to wspaniałe zwierzęta, kiedy gromadkami przychodzą wodę pić w potoku lub w jeziorze. Nawet nie bardzo lękają się ludzi, bo rzadko wyprawiamy łowy, przenosząc rybołostwo, woląc łowić łososie, niż uganiać się po górach i kniejach za jeleniem.

Fenik rozporządził co miał rozporządzić i odszedł. Ale utkwiły mu w pamięci jelenie: w nocy śniło się mu o nich wszystko, co tylko wiedział, co kiedy słyszał. Zdawało mu się, iż widzi jelenia starego pod drzewem starem wietrzącego węże, widział jak wąchając zwietrzył dziurę, jak w nią włożył pysk i nos, parskając i wdmuchując parę swego oddechu. Poczem wąż syczący wyskoczył z dziury, a jeleń racicą zabił go, zdeptał a w końcu zjadł całego! Znać miał robaki w jelitach i aby się ich pozbyć, aby ich otruć, zjadł węża. Dalej widział Fenik we śnie tegoż jelenia

starego, biegnącego do wody krynicznej; skoczył w krynicę, zanurzył się cały aż po pysk i leżał tak zanurzony. Woda wyciągnęła zeń jad trucizny wężowej, a z ócz kapały mu łzy takie duże jak orzech laskowy albo żołądź; łzy te twardniały zaraz i kamieniały. Bacząc iż woda zeń już wyssała jad, wyskoczył jeleń i trąc łbem o drzewo, pozbywał się onych łez skamieniałych. Fenik przez sen przyglądał się mu lepiej i zdziwił się, że jeleń stary odmłodniał po spożyciu węża...

Zadziwienie przerwał bek niedaleki, bo gdzieś tuż obok zagrody nad potokiem. Był to bek jelenia prawdziwego, który go obudził.

Zbudzony, jeszcze bardziej myślał o jeleniach, pragnął dostać jelenia dla skóry i racicy, które powieszone na drzwiach, domu, nie dopuszczają wnijścia żadnego gadu trującego. Był o tem przekonany, bo czytał w księgach greckich; więc też i dla rogu, który narzeczonym przy sobie nosić każe jeszcze Orfeusz wieszcz, zapewniając, iż to utrwali miłość obopólną... Z fenickich zaś pism Dioskoridesa wiedział, że róg jeleni tarty i warzony gubi glisty w człowieku, a palony, wonią swą wypędza węże. Zawszeby więc opłaciło się dostać jelenia, choćby już nie liczyć dobrej z onegoż pieczeni.

Tak zamyślonemu i obliczającemu zyski możliwe zdało się, że znowu słyszy beczenie jelenia. Zebrał się, wyszedł z zagrody ku lasowi nad potokiem. Słońce świeciło już jasno i ciepło; przyroda cała po burzy piękna i woniejąca wabiła do przechadzki, więc się przechadzał i rozglądał, aż tu naraz niedaleko beknął jeleń na całe gardło: A-hua-hua!

Fenik aż się przeląkł i zadrżał, począł cicho skradać się za głosem i niezadługo obaczył jelenia z ogromnemi rogami, pod jaworem nad potokiem. Z bijącem sercem podkradał się Fenik, aby go nie płoszyć i przy-

glądnąć się z bliska, czy ma one skamieniałe łzy wedle oczu, a może czy będzie węże jadł.

Jeleń szukał czegoś po ziemi, coś tropił, coś wietrzył, koło drzewa chodził, poczem tarł łbem o drzewo.

— Oho! — pomyślał Fenik — zapewne ociera łzy... żeby tylko nie zaginęły w mchu. — Chcąc się przyglądnąć lepiej, postąpił bliżej, odsłonił się z po za krzewów; jeleń obaczył go, beknął, schylił łeb, nadstawił ostry koniec jednego rogu i poskoczył ku niemu.

Fenik przerażony uskoczył za krzak i za drugi i za trzeci i w około, a jeleń pobekując tropił i szukał w widocznej chęci przebicia go rogiem.

Już nieborak zadyszał się od strachu i biegu, już mu się jęło mącić w głowie, bo jeleń zawzięty tropił dobrze i doganiał. Wtem furkła strzała, jeleń beknął, przewrócił się, jął bić kopytami, zrywając się, a nie mogąc uciekać.

Z po za drzew wychylił się Ursyn śmiejący, zatrąbił na rogu i znowu się zaśmiał i znów zatrąbił. Odezwał się mu łowca drugi, Sylwan, a w końcu głosy ludzkie i szczekanie psów. Radość wielka z ubitego jelenia.

Ursyn zwycięski ciągle się śmiał, wskazując na Fenika i mówiąc:

— Nie wiedziałem do kogo mierzyć, do jelenia czy do człeka, bo oba gonili się po za drzewa i po za krzaki. Jako żywo nie widziałem takiej gonitwy. O cóż to wam poszło?

— O co poszło? mądryś ty! Zawsze gadacie, że jeleń płochy, że ucieka przed każdym, że najpłochliwsze stworzenie. A to nieprawda! wy łowce łżecie! kłamiecie zawdy! wam nigdy nie można wierzyć! Jeleń boruczał i beczał w nocy, aż nie dał spać, więc ja wyszedłem rano, chciałem się mu przypatrzyć; jeleń beknął nad potokiem aż mnie przestraszył, ja szedłem bliżej ku niemu cichuteńko, żeby go nie spłoszyć.

— A on ciebie spłoszył.

— Mądryś ty, bardzoś mądry! A żeby on do ciebie był tak skoczył jak do mnie, z rogiem najeżonym jak dzidą, mierząc prosto w brzuch, to nie byłbyś uciekał? Czy ja wiedział że jeleń ludzi bodzie, kiedy ludzie gadają, że on ucieka przed lada czem, że się lada czego lęka?

— Widać że nie jesteś lada co, skoro się ciebie nie boją jelenie! To jeleń stary, on beczał na swoją łanię a o drzewo rogi ostrzył na swego współzawodnika; aż tu ani łania ani jeleń drugi nie wychodzi, jeno ty Feniku! więc on buch w ciebie! Dobrze, żeś umykał po za krzaki, boś jelenia na mnie naprowadził, a z pewnością byłby jelita wysnuł z twego brzucha! bo zakochany stary jeleń nie zna żartów! Za tę przysługę należy ci się coś z niego; cóż wolisz: mięsa kawał, czy skórę i rogi?

— Skórę i kawałek rogu, ten kawałek od końca co mnie chciał nim przekłuć i...

— I co?

— I to od oka: te łzy skamieniałe...

— To łzy skamieniałe? tać to kość!

— Czy kość czy kamień, daj mi to.

— Bierz sobie i cały łeb, tylko język zostaw, bo to bardzo smaczne, to będzie dla pani.

Tak się odbyły łowy na Licie maniowskiej. Beczenie jelenia na bekowisku nie dało spać i łowcom; wybrali się nań cichaczem, nie wiedząc nic o Feniku ciekawym i — szczęście sprzyjało.

Łotysz stary uśmiał się, słysząc o strachu Fenika, śmiali się wioślarze jeszcze na tratwie, gdy odbijała z powrotem. Na Szaflarach opowiedział swemu *kunigsowi*, który zachodząc się od śmiechu, powtarzał raz po raz:

— *Kal tau Perkunas ringti!* (oby cię piorun zabił).

Corstyn. Pieniny.

Brzegiem Dunajca, krajem puszczy jeleniej Lity, przebywając potoczki górskie i głęboki parów zdążyli na Corstyn, mozolnie spinając się po skałach sterczących, od których fenicka nazwa: *Cor-tyne*, skały wzniesione. Tam Puny mieli grodek niezdobyty, samorodny, główną twierdzę okolicy tej górzystej.

Nieco dalej ku Pieninom mieli na szczytach skalistych pracownię rzemieślniczą *Feil-kil* nazwaną od piłowania i kucia (dzisiejsze Flaki) i drugą *Fal-tyn* (dzisiejszy Falstyn), a pod nimi na dole, za Dunajcem, mieli gospodę Magurkę, na cescie ku wielkiej swej Magurze spiskiej.

W Pieninach zaś samych było pełno schronisk ukrytych i bezpiecznych, między innemi on szczyt, na który w tysiąc dwieście lat później schroniła się Kinga, królowa polska.

Z Corstyna spuścili się w dolinę Krośnicy, którą zdążyli do Dunajca, przebyli go i brzegiem skalistym ciągnąc przybyli do Szczawnic.

Spekul stękał przez drogę, jazda konna po tych górach męczyła go, czasem złaził i szedł piechotą i popijał wodę; toć się znów wnet zadyszał, zakaszlał, brakło mu tchu. Puny corstyńskie którzy im drużbili, opowiadali: że w Szczawnicy jest woda bardzo zdrowa na płuca, poprawiająca oddech, więc jej zapragnął szczerze.

Nasłuchał się wiele o zaporach kamiennych rzeki Dunajca w Pieninach, że aż wytworzyły ono ogromne jezioro tatrzańskie, słyszał o wodospadach wspaniałych wpośród skał niebotycznych, więc chciał to sprawdzić naocznie.

Za pomocą przewodnika miejscowego wydrapał się na górę porosłą lasem cisowym i aż struchlał patrząc w otchłań głęboką, gdzie po skałach huczał wodospad, pieniąc się i szalejąc w poskokach prądów

wirujących. Myślał, że to wszystko, lecz przewodnik wskazywał, żeby iść dalej, i zaszli w zakręt pomiędzy prostopadłe ściany skał ogromnych, wpośród których widzieli zielono-modrą rzekę płynącą tak spokojnie, iż zdawało się, że stoi, ale trudno było odgadnąć, w którą ona stronę płynie, a dołem huczał wodospad za skałą, z poza drugiej turni zaś, dochodził ich głuchy huk wodospadu drugiego wyższego. Szli za głosem coraz potężniejszym, obchodząc dziwne załomy skał, nadsłuchując wokoło jednej najwyższej niemal, okrągłej, nad którą skomliły roje krążących sokołów (Sokolica).

Huk wzmagał się coraz bardziej, w końcu przeszedł w dudnienie gdyby od gromów strasznych, nie było już słychać skomlenia sokołów, ani nawet ludzkiej mowy. Wystąpili za świeży przełom gór i osłupieli.

Między dwiema turniami ogromnemi leżała zapora kamienna, znać skała podmyta i oberwana, tworząc groblę olbrzymiej wielkości i wysokości, przez którą waliła się woda z wysokości kilkudziesięciu łokci.

Oto zapora, oto próg jeziora tatrzańskiego: tutaj spierały się wody Dunajca, tutaj wzbierały, cofały się, zalewały dolinę obszerną między górami, wytwarzając jezioro ono ogromne w Podhalu.

Przewodnik palcem wskazywał na wodospad; Rzymianin z początku nie pojmował wskazówki, wkońcu jednak dostrzegł ptaszęta małe wlątujące w środek wodospadu i wylatujące napowrót z maleńką rybką w dzióbku! Własnym oczom nie wierzył i przecierał je, spoglądając na to dziwo, na ten niewypowiedzianie silny lot drozda wodnego, który jak kula wpadał w wodę spadającą, nie dał się porwać i wylatywał zdrów i cały.

Przewodnik wskazał jeszcze palcem na skałę wapienną, czerwoną niby wypaloną. Spekuł oczy wytrzeszczył na ślimaki ogromne zakamieniałe w skale,

skręcone jak róg barani, a niektóre tyle jak małe koło wozowe. Przyglądał się, tłukł kamieniem, ale nie mógł odgadnąć co to znaczy, więc tylko z podziwem patrzył na te turnie wapienne, górą białawe, dołem czerwonawe, leżące na skale piaskowca gruboziarnistego.

Nie wiedział, że ten piaskowiec przed miliony lat był piaskiem wyścielającym dno morza, które tam było, a to wapno, że było namuliskiem morza tego tak głębokiem, jak one skały wysokie; a te ślimaki, że żyły w tem mule wapiennym pod wodą, w głębi ogromnej, jak pouczają, silne przegrody ich skorup potężnych. I żyły te skorupiaki Bóg wie jak długie wieki, dokąd nie przyszła na nie chwila zniszczenia przez ogień podziemny.

Pod dnem tego morza rozniecił się straszny pożar, a raczej wydobyła się z pod skorupy ziemnej wewnętrzna ognista ciecz, stanowiąca wnętrze ziemi; rozsadziła skorupę ziemską i trysła w górę tam, kędy dziś w Szczawnicy wznosi się góra B r y a r k a. Ciecz ta ognista tryskała w górę szczeliną milową od Bryarki aż do Szlachtowej dzisiejszej. Najgorętsza była w otworze głównym Bryarce i stygła w krzysztełach trachitu, a czem dalej tem chłodniejsza nie mogła się zkrystalizować i w Szlachtowej stygła już gdyby szkło nie krystaliczne.

Gorąco niewypowiedziane rozpiekło dno morza tego, piasek na dnie morza spojony wapnem zsechł się w kamień piaskowy, na nim leżąca ogromna warstwa iłu, wypaliła się na skałę wapienną; wraz z wszystkiemi żywiątkami i wielkiemi ślimakami. Woda wyparowała i gorąca chmara pary zawisła nad gorejącą kotliną morską a ostygła pierw, nim jeszcze ostygły gorejące wapienie i piaskowce. Woda opadła deszczem, wapienie jęły się gotować, pękać, rozsadzać, pochłaniając wodę. Gdy wiatry rozwiały chmary, tęcza za-

8*

jaśniała nad nowo powstałemi górami i nad jeziorem, zbiorowiskiem ulewy dżdżystej. Tak powstała Bryarka trachitowa, Pieniny wapienne i Jezioro tatrzańskie.

Nagie skały wapienne wietrzejąc z wiekami wytworzyły pokład ziemi, w którym wyrosły cisy, a trachity Bryarki, rozkładając się w żyzną glinę, usłały lechę pod bujne jawory, dęby, lipy i inne drzewa liściaste. Sole zaś trachitowe rozpuszczone wodą pod ogromnem ciśnieniem powietrza w wnętrzu gór, trysły zdrojami szczawy.

O tem wszystkiem nie wiedział, ani marzył uczony Spekul rzymski i nie chodziło mu o to! On chciał tylko dla pożytku i dobra Rzymu, zbadać cestę, którędyby w danym razie wtargnąć mogło wojsko rzymskie, chciał obliczyć oddalenie i czas przeprawy.

W zapiskach swych miał trudność nie małą, bo jak tu Rzymianinowi napisać Szczawa? Po długim namyśle przerobił ją na S e t a v i a, a przykrawając jeszcze dogodniej dla ucha swego skończył nazwą S e t v i a. Trudniej mu było z oznaczeniem oddalenia od Poronina, gdyż przeprawa wodna podczas burzy i pochód dalszy przez wądoły i szczyty gór skalistych, pomyliły rachubę wszelką: dodając chwile spoczynku do chwil trudu otrzymał liczbę godzin trochę większą i doliczając stratę czasu przez przeszkody obliczył oddalenie na 12 mil od P a r i e n n y do S e t w i i idąc ku północnemu wschodowi.

Pomyłki tej przyczyną była też i przeprawa przez Dunajec. Musiano zboczyć w dół, gdzie rzeka płynie spokojniej i łatwiej ją przebyć. Tam był przewóz urządzony pierwotnie przez Łotwę i z łotewska zwan *tilks* t. j. most — dzisiejsza T i l k a.

Tam przeprawili się i prawym brzegiem Dunajca przez skały i potoczki w poprzecz przebywali, zdążając do szczawnickich zdrojów. Korowód taki pomylił liczby Spekula co do czasu podróży, więc i oddalenia.

Przyczyniło się też wrażenie widoku Pienin i wodospadów Dunajca i trud którego dożnał spinając się po tych skałach ogromnych.

Gdy powrócił z wycieczki do obozu u szczawnych krynic, gdy zakosztował tej wody rozkosznej, pił bez upamiętania, aby ugasić gorączkę, która go trawiła od kilku dni. Pił bez miary, bo mu smakowało i słyszał, iż tu woda zdrowa na płuca, a czuł boleść w płucach.

Górnicy wiedli Fenika do kopalń Jarmuty, tuż nad Szczawą, na górze za potokiem. Góra cała porosła lasem odwiecznym, zwała się Leśnicą, którą nazwę słowiańską przejmowały i na swoją mowę przekładały narody zdobywające: Sarmaty na *Ariuch* (t. j. las) a Puny *Jarim-ut* (t. j. lesista), co pozostało w nazwie Jarmuta.

Kopalnię jednak samą Puny zwali nieco odmiennie, bo *jorim-ut* (t. j. chodniki wilgotne), jakiemi były istotnie. Wchód poziomy suchy, kończył się studnią wiodącą do chodnika wilgotnego, gdzie z trudnością wydobywano kruszcu cokolwiek.

Górnik stary zawierzając zupełnie Fenikowi pobratymcowi objaśniał: iż im się kopanie nie opłaca i więcej im chodzi o pozór, ażeby pokryć kopalnię złota w górach Krępaku przeciwległego, a w Jarmucie żeby mieć strażnicę grodu swego jaskiniowego bliskiego, do którego niebawem szli, pyrciem wązkim przez gąszcze leśne jaworowe, po nad potok Leśnicę.

Ścieżka nieznaczna i kręta pomiędzy gąszcza drzew i skały wijąc się, wiodła do zasieki drzewnej nad brzegiem przepaści górskiej. Przebyli zasiekę w miejscu przechybka i obaczyli trójkątny dół niby zapadlisko, z którego wznosił się dym i słychać było głosy ludzkie i kołatanie kilofów górniczych. Po ostrwi przystawionej zeszli w dół, gdzie ich przywitała drużyna górnicza z żupanem na czele. Fenik zdziwił się ba-

cząc maleńki dziedzińczyk przed wejściem do jaskini mieszkalnej, od przepaści przegrodzon stojącym gdyby ściana samorodem skalnym; górnicy w ścianie tej przekowali otwór, wygląd na panońskie równiny, których widok był zachwycający.

Żupan poważny zaprosił gościa do wnętrza jaskini nie zbyt wielkiej lecz suchej, czystej i jasnej, gdyż nad wejściem było okienko samorodne, przepuszczające światło, a nawet czasem i słoneczny promień. Dokładnie więc widać było białe śaiany i jeczcze bielsze sklepiono jaskini, z którego wisiały bochny skamieniałe cieczy wapiennej, jak gdyby dla ozdoby przyczepione. Przytykały boczne mniejsze jaskinie jedna za drugą, schowki lub sypialnie samorodne — wszystko suche i czyściuteńkie a bezpieczne [1]).

Żupan bacząc upodobanie Fenika zagadał:

— Cóż bracie? jak ci się nadaje ta moja stannica wojskowa, prawda, że piękna i dobra? W lecie chłodna, w zimie ciepła a bezpieczna od słoty burzy i napaści, na której odparcie jest i oręż. Oto! kilkanaście mieczów brązowych, niezbyt dużych, bo to w cieśninie zawadza, ale za to ciętych i rzeźnych: przetnie mięso, przetnie kość, przetnie tarcze choćby byczą skórą były powleczone, a do pchnięcia — gdyby żądło! A te dłuta brązowe czy złe?... nadziane na żerdź tworzą dzidę, pierzchnię zamaszystą, a przywiązane do sęka gałęzi, są siekierką obronną i pożyteczną, albo nawet motyczką do okopania ziemi, a nawet kilofem do krzosania kruszcu w kopalni. Jest ich sporo i bardzo pokupne!... Ot i sardyńskich szpilek jest wiązanka cała, mniejsze i większe, ale każda pchnięta w brzuch zabije niezawodnie!... dobry to oręż w natłoku, w ciżbie i w zapasach osobistych!... Są i tarcze okowane z guzem spiczastym pośrodku, po

---

[1]) Axamitka, zwana dziś ta jaskinia.

którym się ześlizgnie młot kamienny lub pałka osmolona... a ty tymczasem przykuczając możesz ciąć po nodze, albo pchnąć w brzuch. Są i przyłbice z ochroną na oczy, nos i kark... jest i strzał podostatek. A i jadła zapas i napój jest tam w onych komórkach dalszych od przypadku oblężenia...

...W ostateczności można się i wymknąć ot tem oknem, w tej ścianie dziedzińczyka... Wygodnie tu bardzo! Pod tą skałą wiszącą jest schronisko od słoty, straż przy ognisku może siedząc spozierać wygłądem w doły i równie dalekie, wcześnie może stanąć do obrony zasieku wirszchniego, którego we dnie i w nocy strzegą straże i psy czujne... Mogą ztamtąd schronić się tutaj, a w ostateczności po linie lipowej przygotowanej, można się wyględem spuścić w przepaść i schronić do pieczar głównych, idąc pyrciem wedle skały w zagajeniu krzakami jałowcu...

...Główna trwoga jest od konnicy, od Jacygów zaganiających się na *bastnecks* ku górom... Ale te Basterny we dnie tylko straszne! widzimy ich stąd nieraz snujących się kupami po dolinie. Gdyby wilków głodnych gromady, co szukają żeru, tak oni gonią i gonią i tropią kędyby co zdobyć. O nas wiedzą i łakomem okiem spoglądają ku nam jak lis na ptaka, co śpiewa na drzewie, ale dostać nas nie mogą. Kusili się już o to, drapali w górę, ale padali za się ugodzeni strzałą lub kamieniem, bo we dnie po widoku, w nocy zaś nijak do nas trafić nie mogą, ani tutaj, ani do pieczary głównej, do której cię zaprowadzę!... Wyjdźmy na wirch i przez zasiek... Teraz chodź za mną tą ścieżką, a ostrożnie, żebyś się nie stoczył po tem usypisku...

— Ot! jesteśmy u otworu małego i tajnego... Jak widzisz zupełnie zakryty krzakami i niziuchny... Kozy tylko chodzą tędy i pasterze, bo tutaj ich schro-

nisko bezpieczne. My pójdziemy dalej do wchodu głównego... ostrożnie, bo usypisko... Ot jesteśmy!

... Straż! nie spisz, strzeżesz?

— Baczę czujnie!

— Cóż widać co?

— Jako zwykle, zagon Jacygów kręci się po dolinie, daleko po pod Kiczorę, ale nie śmią zbliżać się do wsi...

— Cóż to za wieś? — pytał Fenik.

— To wieś sarmacka jeszcze, zwana od nich *Chąg-kau,* t. j. górska wieś. Sławianie zwą ją teraz Chągowce, my zaś zwiemy ją po prostu *Hewa,* t. j. ogrodzieniec, gdyż jest ogrodzona i strzeżona przez kmieci rolników i przez nas... Ale nie podobna się ustrzedz zawsze, bo te basterny Jazdeków podkradają się ciągle, porywają co dopadną, bydlę lub człeka. Czatujemy my na nich takżę i niejednego już położyliśmy trupem... ale co oni tam sobie robią z tego, że ubył jeden, drugi!.. Z onemi tutaj to jeszcze pół biedy, bo oni kradną tylko i porywają; gorsi pobratymce ich północni, Łotwa, z którą za Dunajcem bez ustanku trzeba walczyć, odpierając napaść wojenną. Żupan sądecki ma z nimi ciągłe utarczki!.. Lecz chodźmy do środka!..

...Cóż warzycie baraninę? pożywicie nas?

Kilka kobiet, przy ognisku potężnem warzyło w kociołkach i na rożnie drewnianym piekły barana tłustego, albo w niecułkach zacierały ciasto pszenne na kluski. Mężczyzn zaś kilkunastu zajętych było pracą ręczną rozmaitą: wyrobem ratyszcz do oręża, tarczy, wozów części pojedynczych, obuwia, sukna grubego, a dziatwa liczna kręciła się wyłażąc z kryjówek, gdzie się była pochowała.

Fenik rozpatrywał się w około, a zadziwienie coraz większe znać było na obliczu jego.

— Co za ogromna pieczara! jaka wysoka, jaka sucha i przewiewna! [1])

— Jużcić ogromna, bo od tamtego wchodu małego ciągnie się aż tutaj z jednej strony; tędy zaś na prawo jest znowu pieczar kilka jedna za drugą, ale wejście cokolwiek trudniejsze, trzeba się przygarbić dobrze... Kilka tysięcy ludzi i kilkaset bydła znajduje tu schronienie i bezpieczeństwo najzupełniejsze, bo z dołu wdrapanie się nie możliwe, a z boku jeno pyrć usypujący się pod nogami — nie może iść nikt: chyba jeden za drugim, a ty tylko stój sobie tutaj bezpieczny za skałą wystającą; co się który wychyli, idąc pyrciem, to go dźgnij i zrzuć w przepaść — jednego za drugim, choćby ich było sto!

— Któż tu mieszkał przed wami?

— Najpierw niedźwiedzie tak ogromne, że ani porównania z niniejszymi! ale to bardzo, bardzo dawno, gdyż czaszki i kości ich tutaj znachodzone są zakamieniałe. Znosiły one tutaj żer swój i bywało znachodzą całe kupy kości zwierząt pogryzionych... Po zwierzętach mieszkali ludzie Sarmaty, wychodźce z Azyi, wygnani przez Skitów konnych. Posuwali się górami temi, pasając po holach i podgórzu, a szukając pieczar na schroniska przed jazdą łupieżną. Byliby nie opuścili tych gór i jaskiń, gdy przed stoma laty wtargły do Panonii basterny Jazdeków, bo cóż konnica dokaże w górach; ale gdy Daki nasze porażone w równinie pocisańskiej, naremnie uchodząc w góry, szerzyły popłoch i naciskały, Sarmaty zerwały się do wędrówki dalszej na zachód. My zaś zajęli ich góry bezpieczne, a to: Daki od wschodu, my Panony tu na zachodzie. We wsi zastaliśmy L e c h y sławiańskie, uprawiające ziemię od wiek wieków: radzi nam byli i żałowali Sarmat, do których przywykli z ojca, z dziada!

[1]) Dziś zwana Haligowskie dziury.

Dobry to lud te Sławiany, lubią pracować w roli i lubią bydło, ale rządzić nie umieją się, jeno tak, jak rodzice dziećmi, a do wojny nie skorzy, chociaż w potrzebie bronią się odważnie i wytrwale... w rzemiosłach nie tędzy, a o kupiectwie nie mają nawet wyobrażenia. Jak pierw Sarmatom, tak obecnie nam Punom są posłuszni, byle mieli obronę od nieprzyjaciół. Więc dobrze nam obopólnie.

— A cóż to za góra wielka, tam daleko?

— To magura nasza w Tatrach wschodnich, nazwana od gospody podróżnych naszych, a na tej bliższej górze niższej pasiemy stada nasze po *kiczorach* (polanach), ztąd górę całą zwiemy Kiczorą. Pod nią jest źródło, w którym kamienieją liście i zioła, a ptactwo zdycha w przelocie (Drużbaki). Tam dalej na zachód częste mamy *magury* i *kiczory* nad rzeką spławną, którą od tego po sławiańsku zwą *Po-brod*, bo *brodi* zwią okręt... Poznasz ją, bo może i popławicie nią... Po za tą rzeką dalej na wschód mamy zasobne Makowice, dziedziczne z dworami obronnymi (fenickie *makom*, dwór, dziedzictwo... od tego nazwa Makabeuszów), na które grody górzyste nie śmieją rzucać się basterny Jazdeeków. Z rówien nad Cisą wyparli nas Panonów i Daków, ale z gór nie wyprą! ho! ho! ho! nie dokażą tego — chyba w sojuszu z Rzymiany. Ale i ci namyślą się dobrze, nim rozpoczną wojnę z nami, bo by może jeszcze prędzej umykali jak za cezara Tibera!..

Wracając z Jarmuty grodu, mieli przed sobą Krępak, a żupan objaśniał Fenikowi, że góry te Sarmaty zwali *Ker-rep-aach* t. j. żelaznych szczytów góry; bo w nich kopali żelazo nad Poprudem, nie wiedząc, że nad Dunajcem i na wirchach jest złoto, które wydobywamy tajemnie i ostrożnie, przechowujemy w naumyślnie zbudowanym ukrytym w górach *Krakowie* bezpiecznym (fenickie: *krakeb* gród, twierdza). W wiel-

kiej tajemnicy zachowujemy te złotwiny, żeby nie podglądnęli Jazygi, bo by nie było końca napaści. Tam za tą górą płynie Dunajec mimo grodu naszego Sądcza i tędy, przez górę o wiele bliżej, ale naumyślnie prowadzą was naokoło, żeby zmylić trop podglądaczom... Dunajcem było można opłynąć snadnie, ale cóż, kiedy lewy brzeg miejscami wystawion na napaść Łotwy, która tam ciągle napada naszą *modynę sądecką!* Mogliby was wystrzelać z brzegu wedle którego by was niósł prąd wody. Za to popławicie Poprudem i możecie ominąć Sącz.

— Nie chciałbym ominąć żadnego z żupanów naszych, chciałbym poznać wszystkich, umówić się z każdym i ustalić kupiectwo od morza aż po Dunaj, zkąd aż do Rzymu samego jest ono w ręku naszym.

— Słusznie mówisz! rzecz to najważniejsza... więc ja sam odprowadzę cię do Sącza, zapoznam z żupanem tamtejszym i obmyślimy podróż dalszą.

— A temu Spekulowi rzymskiemu trzeba dogadzać co się tylko da, bo to wysłannik wojskowy; na jego zdaniu będą polegać, trzeba, żeby o nas sądził jak najlepiej...

— Bądź spokojny.

Spekula otoczono troskliwością wszelką i nie krzywdził sobie. Nie mógł się odjeść pstrągów, świeżo złowionych, gotowanych i polanych masłem świeżem; ani trufli wonnych, których tam podostatek było w pagórkach lesistych; znalazł się też i miód wystały, który go rozgrzał na wnątrzu. Łoże miękkie, okryte skórą jelenią, usłano mu w kolibie ciepłej, a przewiewnej górą: toż miał oddech wolny, a nie dokuczał chłód nocny, więc się spocił, kaszlał mało i spał dobrze. Obudził się pokrzepiony i wcale dobrze uprzedzony o gościnności tych żupanów punickich, którzy umieją żyć i cenią wygody.

Zdania tego był i Aeliusz i siostra jego Makedonka, a nawet i niewolnica jej, wysławiająca troskli-

wość niewiast żupana w ugoszczeniu i przenocowaniu wygodnem.

Na drogę jeszcze nadawano im serów owczych świeżych, w dobroci nie ustępujących słynnym serom italskim, a na drugą przekąskę otrzymał Spekul łososia wędzonego w jałowcu, który mu bardzo przypadł do smaku. Do podróży dano mu konia górskiego o pewnych nogach i lekkim chodzie, a o zwięzi krótkiej pod siodło.

Wyruszyli wcześnie rano uprzedzeni, że do samej niemal magury najbliższej będą mieli drogę najniegodziwszą, bo pomiędzy góry i skały ogromne, łożyskiem potoka. Mijając skałkę Jarmuty, w dolinie między potokami, stojącą jako żertwiennik samorodny: zatrzymali się i spalili żertwę błagalną, aby im Bóg dał podróż szczęśliwą. Żupan kapłanił, modląc się po fenicku i wznosząc wzrok i ręce do słońca jasnego, a z nim wraz modlili się wszyscy: Rzymianie wzywali Jowisza, Uppon wzywał Perkuna, a Trakowie macedońscy obadwa z kobietą samotrzeć mówili modlitwę Jezusa Chrystusa ku wielkiemu zdziwieniu słowiańskich goralów miejscowych modlących się do Boga Jesso! czyli Jaro!

Poczem ruszyli dalej potoka korytem, z kamienia na kamień, krok za krokiem.

Rzymianka jechała także konno, podziwiając olbrzymie jawory zwieszające się ze skał, zacieniające dolinę i wspaniałą zielenią wieńczące ubocza gór. Powietrze świeże i ostre rozmarzyło ją, a szmer strumieni spadających wśród tej ciszy pustynnej, przerywanej tylko lekkiem stąpaniem koni i ludzi wprawiały ją w zadumę, usposabiały do marzeń, których nie przerwało kwilenie sokoła lub krzeczot orła spłoszonego widokiem niezwykłym ludzi! Prędzej rozrywało myśli drgnięcie nogi końskiej, gdy się pod nią usunął kamyk albo pluśnięcie pstrąga chroniącego się pod głaz.

Cicho i spokojnie na koniach siedzieli też i mężczyźni: Żupan, przewodniczący z Aeliusem i Fenikiem, Traki na wozach; milcząc obok szła służba cała, niedźwiedź tylko pomrukiwał, gdy przyszło chlapać się po wodzie. Przebyli potok szczawnicki wzdłuż, wyspinali się na przełęcz obydwu Rohaczów i przeszedłszy w dolinę Czyrcza spuszczali się ku Poprudowi, gdy usłyszeli poza sobą grzmot za górami. Przewodniczący żupan obejrzał się, zaniepokoił i rzecze;

— Od Tatr znowu burza ciągnie! oby się tylko nie usadowiła na Rohaczach! pospieszajmy, żeby się dostać do Magury naszej pilhowskiej, bo to niemiły ten potok kamienisty, *Cure-cor* (tak w fenickiem brzmiała nazwa Cyrc, Czyrcz...) a ten maj tegoroczny parny i burzliwy.

Spekul słysząc grzmot, wstrzymał konia, przyglądał się niebu i górom, puszczając mimo wszystkich przechodniów: został ostatni aż głosem Skriby swego zwabiony, spostrzegł drużynę całą spiesznie utykającą po łożysku potoka, albo tuż obok kamieńcem ostro najeżonym. Żupan z Fenikiem pospieszając co tchu, oglądali się, wołaniem i znakami przynaglając do pośpiechu. Zdziwiony Spekul podciął konia, aby zdążyć za nimi, ale nie mógł sobie dać rady po kamieńcu, szarpał powodzkę to w prawo, to w lewo, aby ominąć kamienie większe, a nie wiedział, że najlepiej w górach koniowi zostawić do woli to omijanie. Koń źle wiedziony, a nie mogąc sam kroczyć dowolnie, potykał się i raz o mało co nie spadł. Spekul, więc rozgniewany bił konia złorzecząc: *Fulgure te iciat Jovis!* (oby cię piorunem ugodził Jowisz). W końcu rozgniewany ściągnął powodzkę i jechał stępo krok za krokiem, nie pojmując potrzeby pośpiechu, skoro pogodne niebo widział przed sobą i tylko z tyłu gdzieś tam huczało nad górami. W prawo i w lewo mijał potoczki górskie bezwodne, niemal suche i gorszył się

głupią jak mniemał trwogą żupana przewodniczącego, który jak opętany, zboczywszy spinał się ku górze na prawo, wabiąc za sobą drużynę całą i ciągle nań wołając.

— *Et tebe fulgure percutiat Jupiter!...* (i ciebie piorunem niech zwali Jupiter!) — zaklął mu i jechał dalej w wądoł ciasny...

Wtem usłyszał wrzask całej drużyny i wskazowanie rękoma ku działowi wód, a obaczył, że łowcy pędzą ku niemu, rozwijając arkany swe łowcze. Sądził, że jaki zwierz dziki, może niedźwiedź, zwłaszcza wobec wołania:

— Umykaj! umykaj! co tchu umykaj!

— Co mam umykać? przed kim mam umykać? alboż ja to Pun bojaźliwy?

Właśnie stanął, wstrzymując konia rwiącego się naprzód i grzebiącego nogą... Wtem zdało mu się, że słyszy jakiś szelest cichy od gór... patrzy: coś się miga w słonecznem świetle, poznaje, że woda ławą półsążniową milczkiem niemal wali rzeką, a on w pośrodku doliny!

Puścił konia, ale zapóźno! Woda przypadła, porwała go z koniem.., niosła gdyby listek suchy... Koń przeczuciowo spiął się ku skale: Spekul spadając z niego w tył, chwycił się ogona, wciągnął konia napowrót w głębinę, prąd porwał i unosił... Koń nieborak płynął, natężając siły wszelkie, a jeszcze silniej Spekul trzymał się ogona, oczy wlepiając w konia, którego widział grzbietu cokolwiek, potem tylko szyję ze łbem, w końcu tylko łba wirch i uszy...

Wtem z brzegu odezwało się przeraźliwe gwizdanie na palcu, naśladujące rżenie końskie. Koń, jakby go co natchnęło, zerwał się ostatkiem sił, skoczył w bok ku onej stronie i poczuł kamienie pod kopytem, szarpnął się powtórnie... Spekul obaczył znowu kark jego i grzbiet, a w końcu sam pod no-

gami poczuł podłogę kamienistą; długo jednak jeszcze trwało nim koń zdołał owładnąć prąd i wydostać się na mieliznę a raczej na wysepkę skalistą, gdzie mu mu woda sięgała do kolan. Dalej nie śmiał się puszczać, bo prąd boczny bałwanił się strasznie, rozbijając o skały, na których stali łowce obydwa, bez ustanku wołając i gwiżdżąc na palcach; na co im rżeniem odpowiadało zwierze poczciwe.

Chmara z Rohaczów jęła się opuszczać, a deszcz ronił już krople pojedyńcze: burza zbliżała się. Łowce wołali:

— Siadaj na konia! — chwytaj koniec powroza!

Spekul siadł i uchwycił arkan rzucony, a raczej arkan uchwycił onego.

— Załóż arkan po pod ramiona!.. Chwytaj arkan drugi i przywiąż doń powodzki konia!.. Tak!.. Teraz rusz koniem, krzycząc co masz siły, bo głos ludzki koniowi dodaje odwagi!.. Bierz się ciągle pod wodę, ku nam, boby konia przewróciło!.. A no! ruszaj w imię Jowisza!

Gwizdnęli obadwa, Spekul krzyczał, ale koń bał się chociaż ciągniony u pyska... owszem, cofał się w zad.

W tem, jak runie piorun w skałę bliską z tyłu! koń przerażony skoczył w wir, ale głowy nie zanurzył, bo ją podtrzymywał arkan, przebył wir i stanął na odmęcie prądu.

— Zeskocz z konia, spinaj się na skałę...

Spekul zeskoczył i ciągnion arkanem pod pachy wydostał się szczęśliwie na brzeg, już błogosławiąc piorunowi Jowisza, który popędził konia.

Koń też gdyby koza wyspinał się po skale, czego nie dokaże chyba koń górski.

Nie dbając na ulewę, zdążali za drużyną i wydostali się na wzgórze kędy była *Magura pilchowska* t. j. gospoda piłujących rzemieślników punickich.

Z wyżyny widzieli zalaną całą dolinę Cyrca: woda wezbrała na dwa siągi po nad zwykłe ścieżki, sięgając od góry do góry.

Spekul zrozumiał, że te Puny przecież mają rozsądek i doświadczenie: gdyby żupan nie był naglił do pośpiechu, żywa dusza nie była ocalała!

Skostniały od zimna i słoty, zmęczony, strudzony na umor, przywlókł się do magury; zrzucił z siebie odzież przemokłą i podartą, stękając od bolu, oglądał sińce liczne po nogach od kamieni, unoszonych prądem wody i chwytał się za piersi, bo mu brakowało oddechu, głowa go też bolała, nie chciał nic jeść, ale się ułożył do snu; lecz nie spał, bo mu kaszel nie dał, a przez sen stękał boleśnie.

Makedonka z niewolnicą swą zajęły się wysuszeniem i naprawą przyodziewy jego, a dolatywał je kaszel jego i stękanie bolesne, toć się niepokoiły o zdrowie jego: bo to taki młody i bez opieki rzucony w świat! litość ich brała nad niedolą jego. Przy ognisku zgrzały mu mleka, niewolnica zaniosła prosząc żeby się napił, to go pokrzepi: lecz nie chciał pić! kaszląc oddalał ją ręką od siebie.

Udała się do Skriby, żeby nakłaniał pana swego do zażycia posiłku lecz odrzekł stanowczo:

— Nie śmiem! on mój pan! mnie słuchać, co on rozkaże, ale nie nalegać nań!

— To on zachoruje ciężko!..

— Nie moja wina!..

Fenicy pomiędzy sobą naradzali się.

Żupan miejscowy pilchowski, człek młody i rzutny, w zupełności pochwalał zamysł drużby swego sąsiada z Szczawnicy: wspierania wyprawy rzymskiej na morze jantarowe i otwarcia przez to cesty kupieckiej. Obadwa nie taili się z niczem przed Fenikiem, uznając znaczenie jego jako kupca osiadłego w Rzymie pod bokiem cezara, mającego styczność z dworem.

On opowiadał im o działalności kupieckiej Punów w Rzymie i Germanii, o Hermundurach złotnikach i o Halorach solarzach, których *koty*, t. j. warzelnie słynęły nad Sołą sławiańską, przytokiem sławiańskiej rzeki Łaby. Oni zaś opowiadali mu o Dakow państwowej potędze, o złocie i soli w Siedmiogrodzie, o panowaniu ich w Panonii aż po za Cisę; a tutaj w górach w Sarmackiej spuściznie. Wszyscy trzech przewidywali konieczność starcia się z Rzymiany, więc i potrzebę zbliżenia się do narodów północy, mianowicie do Sławian rolniczych zwanych Lechami i Polanami, żeby w nich mieć poparcie przeciw Rzymowi i przeciw Jazygom służalcom Rzymu.

Radzono też nad podróżą dalszą a to: spławem rzeką Poprudem, jako najłatwiejszą i najwygodniejszą. Żupan pilchowski chciał zarazem spławić ciężary swoje i kupią ku Dunajcowi i Wiśle; nęciła go sposobność drużyny liczniejszej i dobranej, więc bezpiecznej, zwłaszcza, gdy żupan szczawnicki chce drużbić wyprawie do Sącza.

Ażeby to uskutecznić należycie, dosiedli koni samotrzeć, jechali na przeciwną górkę nadbrzeżną, kędy był zameczek czyli grodek ze składem kupi i przechowkiem skarbów górniczych.

Cyrc, potok niedawno tak szalejący, opadł zupełnie i rzec można zniknął, po drzewach tylko nadbrzeżnych i po skałach zostawiwszy ślad wezbrania wód do wysokości dwu siągów i zalania doliny całej aż po wysokie ściany skał. Obecnie koniom woda sięgała po pęciny jako zwykle. Przejechali powoli i za młodym żupanem pilchowskim, spinali się ścieżką do góry.

Mamuny.

Makedenowa wyszła z gospody ogrzać się jarego słońca promieniami, odetchnąć powietrzem woniejącem po burzy, podziwiać piękność gór gdziniegdzie sterczących nagą czarną skałą, a przeważnie zieleniejących bujnymi jaworzami, lipami, dębinami, cisem, w których cieniu kraśniało kwiecie mnogie: czerwona naparstnica, żółte jaskry, a przedewszystkiem wspaniałe dzwonki fioletowe. Tysiące tysięcy much i owadów brzęczało wesoło, a ptaszęta leśne śpiewały radośnie, witając słoneczne ciepło. Woń drzew i kwiatów była upajająca.

Rzymianka uszedłszy nie daleko, usiadła na kamieniu pod drzewem i rozmarzona wdziękiem przyrody, zadumała się: Przyrównywała w duszy przyrodę oną żywą z martwemi a wspaniałemi budowlami Rzymu, swobodę onych owadów i ptasząt z niewolą ludzi w Rzymie. Pomyślała nad sobą, nad dolą swoją, nad tułactwem — i zazdrościła tym muchom, tym kwiatkom, a w końcu ludziom biedakom, co mieszkają w tych górach i lasach, w nieświadomości potrzeb i wygód, w niedostatku — a szczęśliwi!

Zadumana nie spostrzegła zbliżającej się z boku kobiety kulejącej, starej, w łachmanach, i przelękniona zerwała się z krzykiem, gdy staruszka upadła jej do nóg, płacząc i całując stopy.

Makedon mąż jej dosłyszał krzyk, przybiegł, a staruszka i jemu ucałowała stopy, wznosząc ręce ku niebu, to znów załamując je i płacząc rzewnie i zawodząc.

— Co ci jest?

— Moja wnuczka! moja wnuczka! porwały mi ją, porwały! oh! ja nieszczęśliwa!

— Kto ci ją porwał?

— A mamuny, mamuny! te straszne mamuny!

— Cóż to za mamuny?

— A te czarnookie, białoodziane, porwały ją, bo ona Połonka! ona brzemienna! to jej dziecko odmienią, dadzą swoje brzydkie, a jej dziecko zabiją, żywcem spalą! tam na Nakle!

Makedon nie mogąc jej dobrze wyrozumieć, zawezwał do gospody magury, aby od obecnych zasiągnąć wyjaśnienia. Szła więc za nimi płacząc i po ręku całując Rzymiankę.

W magurze było Punów kilku, a między nimi młody krewniak żupana Pilchowskiego, żupan z Zabonia, złotwin za Poprudem.

Wysłuchał on staruszkę i wyrozumiał, poczem gniewnie zawołał:

— Te przeklęte mamuny czarownice! jak którą przydybię, bez śledztwa, bez badania rzucę w głęboki wir rzeczny, utopię jako sukę parszywą!

Na to powstaje siedzący pod ścianą mąż obstarni, brodaty, barczysty i surowego oblicza, przystępuje doń i grożąc pięścią, krzyczy:

— Nie utopisz młodziku! sam wpierw zginiesz i zmarniejesz, nim obalisz zakon *Muty,* zakon naszej bogini opiekuńczej, która żąda krwi ludzkiej, krwi dzieci niewinnych.

— Milcz ty złodzieju stary! ty kłamco!

— Ja złodziej? ja kłamca? On śmie hańbić mnie ofiarnika bogini naszej! O zgrozo! on bogini chce wydrzeć ofiarę błagalną, chce nas pozbawić jej błogosławieństwa, ażeby nas do końca wygubili Rzymianie, z którymi on się brata, którymi oni się opiekują! Biada ci, biada niedowiarku!

Ośmielona wystąpieniem ofiarnika, wysunęła się z kąta baba koścista czarnooka, zębata, w koszuli białej, odziana płachtą białą; podparła sobie oba boki i patrząc żupanowi oko w oko, rzekła wyzywająco:

— Ja mamuna! rzuć mnie w wodę, utop, spróbój!...

Żupanowi od gniewu zadrgały wargi, prawicą sięgnął za pas, po mieczyk...

Powstrzymał go Pun poważny, czarnobrody, olbrzymiego wzrostu, wspaniułej postawy, zwracając się do ofiarnika:

— Zkądeś ty?

— Ja ofiarnik wędrujący...

— Zkąd? dokąd?

— Co to zkąd? co dokąd? ja z całego świata! cały świat ojczyzną bogini błędnej, a ja jej ofiarnik, także błędny, sługa Didony.... zbieram żertwę dla niej.

— A masz ty żonę i dzieci?

— Co komu do tego?

— Słuchaj no ty! ja naczelnik wojskowy! od tego miecza nie ma odwołania! Pytam ci się, czy masz dzieci?

Ofiarnik milczał. Z ciżby jednak zawołano:

— Oto jego syn! — wysuwając chłopaka, podrostka tęgiego.

— Dlaczegoś ty nie ofiarował tego chłopca swego, skoro udajesz gorliwca? Dlaczego ty zabierasz dzieci nie punickie, jeno obce, zrodzone z dziczy pogańskiej? Dlaczego ty oszukujesz boginią, okradasz ją, okłamujesz? I jak ty jeszcze śmiesz obrażać żupana dostojnego? mów, gadaj, bo ci zaraz łeb zetnę jak makówkę! Milczysz? przyznajesz się? Wojacy! bierzcie go. Związać wraz z tą czarownicą starą! odprowadzić do obozu na Makowisko, osadzić pod straż! Ja was tu nauczę porządku i posłuszeństwa zakonowi wiary i rządowi! Ja was oduczę wzbudzania nienawiści sprzymierzeńców naszych i pobratymców, zabierania im dzieci, porywania dziewic i połonek na rozpustę i zepsucie!

— Ty staruszko czy zdołasz wyleść na gródek pod Banią, tam naprzeciwko? tam powiodły twoją wnuczkę.

— Wylizę, wydrapię się, chociaż chromam.

— No, to biegaj! jeżeli ich dobiegniesz, to wołaj na wnuczkę, by się wróciła, a gdyby ją ciągły, to niechaj się chwyta kwiecia dzwonka i niech wzywa pomocy panicza, ot tego czerwonego, co jedzie przodem ku zamkowi.

— Dobrze, dobrze!

Pobiegła starowina skoro na dziw; nadzieja ocalenia wnuczki dodała jej skrzydeł. Za chwilę była na Cyrcu i za Cyrcem na ścieżce zamkowej znikła z oczu, ale wnet z góry przeciwległej było słychać krzyki niewieście. Panicz t. j. żupan młody w czerwieni, na koniu, przystanął, słuchał, poczem zaciął konia i skoczył w las ku kopalniom.

Niezadługo wracał do zamku. Przed koniem jego szła staruszka utykająca, błogosławiąc go; za rękę wiodła wnuczkę dorodną, spłakaną i zatęsknioną.

Rzymianka rozciekawiona wypytowała się o zajście...

— Ot, siedziałam przy chacie, wyglądając powrotu babusi z polany. Przyszły mamuny w białych płachtaah, jęły się we mnie wpatrywać czarnemi oczyma swemi, aż mnie strach zebrał. Dały mi się napić czegoś dobrego i mocnego i wabiły: »Chodź z nami, chodź! między ł a n u c h y, tam będzie ci bardzo dobrze, nie będziesz nigdy głodna, będziesz chodzić w białej przyodziewie. Chodź!« Więc poszłam z niemi, bo mnie wiodły pod rękę. Już my były pod Banią, kiedym usłyszała głos babusi. Mamuny porwały mnie, ciągły za sobą. Babusia wołała na mnie: »Uchwyć się dzwonka! uchwyć się dzwonka!« ale one nie dały mi się schylić, nie dały uchwycić dzwonka i wlekły dalej. Wtedy babusia jęła wołać: »Panicu, panicu!

pomocy, pomocy!« A panic był niedaleko kędyś, przyskoczył na koniu. Mamuny przelęknione uciekły, aż się babusia roześmiała. Panic sprowadził nas na ścieżkę ku domowi.

Z zadziwieniem słuchała Rzymianka opowiadania całego zajścia i westchnęła smutnie, że i tu w tej pustyni wrą namiętności, dzieje się krzywda, płynie krew niewinna. Spłakała się, słuchając jak okrutnie gubią dzieci niewinne, żywcem rzucając w piec gorejący, w obec matek nieszczęśliwych, którym nie dadzą płakać, nakazując, by się śmiały, gdyż to na chwałę Boga!

Na zapytanie, gdzie spełniają groźny ten obrządek, wskazano jej wysepkę na skręcie Poprudu u ujścia potoka maleńkiego, dodając, iż żertwiennik ten zwie się N a k i e ł t. j. miejsce jęku śmiertelnego.

Zgrozą przejęta, odwróciła oczy i odeszła kilka kroków w bok, pod jasion rozłożysty; uklękła i zapłakała rzewnie.

Pław Poprudem na jezioro Sądeckie.

Skałka oberwista sterczała nad Poprudem, niedostępna z trzech stron i obronna; zameczek samorodny z górami połączon równinką spadającą ku rzece nad paryą krzemienistą, głęboką, pustą i ponurą.

Na tej skałce był zamek górników punickich i przechowek zasobów kruszcu i kupi: ztąd spławiano je Poprudem ku Dunajcowi i Wiśle.

Tutaj chował się *Czarny baran* wojenny, którego przy wypowiedzeniu wojny, obyczajem odwiecznym wyprowadzano na miedzę i wypowiadając wojnę, puszczano w ziemię nieprzyjaciół.

Miedza ziemi nieprzyjacielskiej Łotwy nie była daleką. Łotwa nie mogąc swobodnie posuwać się lodami Dunajca ku Panonii, zbaczała w onegoż przytok w rzekę Białą jak wskazują jej nazwy miejscowości: Pleśna, Meszna, Kipszna, Ostrużna, Berdychów, Chełm, Brunary, Bratosowiec, Muszyna, Leluchów.

Leel kungs (wielki książe) łotewski, dwór swój miał w Muszynie (litw. *mujsza*, dwór).

W obec częstych zagonów ztamtąd, nieraz wypadało biednym mieszkańcom uciekać pod opiekę załogi punickiej na zameczku, którą przywoływali, wołając:

— Wychodź czarny baranie, wychodź!

Skalisty on zameczek niemiły był na oko we dnie; nocą zaś był wprost straszny, gdyż straże czujne dawały odgłos, a na zbliżającego się bez hasła, wypuszczały strzałę.

Na wir w Poprudzie przycholowane tratwy stały w pogotowiu, każda jeno o jednej płycie, gdyż połączenie płyt działo się dopiero u ujścia rzeki w Dunajec.

Na zamku przygotowane ciężary powkładano na wózki małe, dwukołowe ze smykami z tyłu i ustawiono u górnego wejścia do paryi kamiennej. Przededniem jeszcze ściągano wozy ciężkie ku rzece paryą, która aż dudniała od ciężaru, płosząc wracające do kniei wilki nad Cyrcem, a niepokojąc puhacze huczące nad gniazdami w sąsiedniej Paryi krzemiennej poniż Nakła.

Mimo smyk hamujących, pędziły wozy szybko z góry prosto w wir. Za nimi w poskokach pędził niewielkiego wzrostu, z rozpuszczonym długim włosem pławca; stawa na kamieniu, patrzy jak wozy wjeżdżają na tratwy uginające się i bryzgające nań wodą, skacze w wodę, przytrzymuje tratwę i znowu wskakuje na kamień.

Spławem zajmują się same Puny, nie dopuszczając ludności miejscowej, przez zazdrość. A jednak góral młody podgląda, dziwi się i długie czasy opowiada cuda widziane: jak to o północy wozy jakieś ciężkie dudniły paryą, pędząc od Skałki zamkowej prościutko w wir! jak za niemi pędził topielec! chłopię małe bez zarostu, ale z włosyma długiemi po same kostki u nóg! Stanął na kamieniu, potem skoczył w wir, zanurzył się, wyskoczył znów na kamień, raz poraz, aż wszystkie wozy wjechały [1]).

Skoro świt wszystko było w pogotowiu! Z magury schodząc, widzieli podróżni słońce wschodzące.

Spekul nieborak ledwo się dźwignął z leżyska; zimno mu było, ograszka nim trzęsła, na konia musiano go wsadzać, a konia przy pysku prowadził sługa jego, bo on nie miał siły w ręku. Pomagano mu też zsiąść z konia, a na tratwę prowadzono go pod ramiona. Dygotał cały i drżał: Rzymianka z niewolnicą usłały mu leżysko jako mogły najlepiej; położył się, wdzięcznym okiem spoglądając po kobietach. Sługa okrył go swoim płaszczem, siadł obok i długo nań patrzał zasmucony pokręcił głową, wstał, poszedł do Aeliusza i rzekł!

— Coś źle z moim panem!

— Chory?

— Bardzo chory, zimno go bije, drży cały, oddech ma bardzo krótki!...

— To źle! — zawołał Fenik — trzebaby mu zadać b e z o a r u t. j. tego kamienia żołądkowego z koziorożca; kieby jeno ognia rozniecić i wody zagrzać, nie żałowałbym mu kawałka tego lekarstwa drogiego.

Sługa zwinął się, na głazie kamiennym zastępującym w a t r ę t. j. ognisko, rozniecił ogień, wstawił

---

[1]) Podanie ludowe w miejscu.

wody w rądelku miedzianym, a gdy zawrzała, Fenik ukroił kawałeczek *bezoaru*, pokruszył palcyma, rzucił w kubek brązowy, zalał kipiączkiem, zamieszał i przykrył pokrywką. Gdy przystygło, odkrył; woń silna ziół górskich gorzkawych, dała się czuć przejmująco; kazał podać choremu.

Spekul drżącą ręką przytknął kubek do ust, skosztował, wzdrygnął się, rzucił kubek z lekarstwem gorzkiem i niemiłem.

Fenik gniewnie popatrzył nań mrucząc:

— Co Rzymianin to... — chciał powiedzieć: pies, ale się spostrzegł, że słuchają Rzymianie, więc dodał: — to niewdzięka. Ja mu daję zdrowie, a on rzuca na ziemię!

— Ależ bo to jakieś bardzo goryczne!

— Gorycz zła, ale choroba jeszcze gorsza! gorycz wygryzie chorobę...

— A możeby lepiej co tłustego, skoro ma oddech krótki! możeby świstakowego sadła?

— Tak? żeby zmarnić i ten środek leczniczy, tak dzielny i tak trudny do dostania. Przecież widzieliście sami, z jakim trudem w Tatrach dostałem świstaka jednego, a nie wiecie jak drogo zapłaciłem za maleńki pęcherek sadła świstakowego, kupiony od górali: musiałem dać dwa nożyki i trzy pierścionki do włosów!

— Ale też i chory Rzymianin ciężko pracował na tego koziorożca z bezoarem w żołądku; omal życia nie postradał, a ty mu jeszcze wymawiasz, że nie chciał pić przyczyny wypadku omal nie śmiertelnego.

— No, prawda! już mu dam sadła świstakowego i to tego lepszego, tego starego. Oh! jak ono pachnie, aż w nosie kręci. To mu pomoże z pewnością! ale z czemby mu to zadać?

— Z winem gorącem, to go rozgrzeje, bo mu zimno...

— Prawda! grzej wino!

Skriba zagrzał odrobinę wina mocnego, Fenik dodał roztopionego starego pornego sadła świstakowego, zanieśli choremu, który właśnie słabym głosem zażądał:

— Pić!

Podano mu kubek; pił, ale się zakaszlał i nie wypił wszystkiego, oddał kubek, przewrócił się, zaczął oddychać mocno i szybko: popadł w gorączkę.

Tratwy rzeką płynęły jak zwykle pomiędzy góry obostronne i mijając po prawej Makowicę punicką, a po lewej Lipową knieję pełną barci pszczelnych, wpływały w jezioro Sądeckie, u wpływu Poprudu w Dunajec.

J e z i o r o S ą d e c k i e nie było tak zatkane jak Tatrzańskie. Dunajec przyjąwszy wody Poprudu, przedarł się przez górę między R d z i o s t o w e m i D ą b r o w ą, spierał się jeszcze na progach kamiennych gór przerwanych, z których woda spłukała ziemie, zniosła odkryte wirchy wietrzejące i mrozami rozsadzane, ale nie zdołała jeszcze wyżłobić sobie głębokiego koryta rzecznego. Progami skalnemi tamowany Dunajec rozlewał się w jezioro nie sięgające lądów wysokich lecz zawsze zalewające środek równiny, zamulając ją i tworząc błota rozgałęzione, po nad które wznosiły się wybrzeża lesiste.

Progi dunajcowe, przez które odpływało jezioro nie były sterczące wąsko, była to raczej tama z przerwanej góry, gdyby łotoka upustowa zwolna zgłębiająca się. Upływ jeziora był bardzo powolny, bo też i wody tatrzańskie zatamowane w Pieninach, nie mogły naremnie pędzić ku jezioru Sądeckiemu. Poprud zaś chocby wezbrany powodzią, nie zdołał przerywać skał tamujących.

Jezioro więc Sądeckie było spokojne, błotniste i namuliste, a granitowe okrąglaki wcale nie znajdo-

wały się jeszcze w korycie Dunajca, lecz w niewielkiej ilości i o wiele mniejsze napływały, a raczej staczały się z południowej uboczy Tatr, Poprudem.

Ogółem Poprud był bystry tak jak teraz i również bystremi były przytoki onegoż.

Najpotężniejszy z nich, Kamienica rzeka z Beskidu małego do Poprudu pędząc, kruszyła one góry niższe, złożone z szarejwaki, a pył z nich opadał w zetknięciu się z cichemi wodami jeziora, tworząc namulisko i pokład gliny siwej nieprzepuszczalnej, a zupełnie martwej.

Cała jej dolina niższa (dzisiejsza Nawojowczyzna) wyścielona opoczystą warstwą tej martwej glinki siwej, a warstwa jej nieprzepuszczalna dochodzi pięć stóp grubości, obejmując przestrzeń milową, tworząc bagno i błota nieprzebyte (których pamięć dziejowa pozostała w N. Sączu w obrazie cudownym »Przemienienia Pańskiego« i podaniu o pustelniku na onych błotach — a których szczątki ostateczne na gościńcu nawojowskim mnie jeszcze dawały się we znaki, gdym mieszkał w Kamionce wielkiej).

Po nad błota one i jeziora wody sterczała cokolwiek wysepka, na której obecnie stoi miasto Nowy Sącz, w międzyrzeczu i u ujścia Kamienicy w Dunajec połączony z Poprudem. Wyżynka ta w on czas porosła cisowym borem odwiecznym, była stołecznym matecznikiem zwierza błotnego — bo ludzie nie mieszkali tam jeszcze. Była to pielesz łosiów! Tu rozmnażały się spokojnie z pokolenia w pokolenie, tu wzrastały w stada liczne, karmiąc się ziołami błotnemi mianowicie: bagnem *(ledum palustre)*, trzciną i innem zielskiem bagnistem, a na przysmak pożywając kaczyniec czyli łotoć, której dla ostrości goryczkowatej żadne bydlę nie tknie; po brzegach zaś pasąc się pączkami drzew i ogryzając korę wierzby, osiki, jarzębia, lipy, klonu, cedru czyli limby, świerku i modrzewia.

Drzewa też one na przemian z cisami i dębami, dziewiczą puszczą okrywały brzegi jeziora i wzgórz okolicznych; ząb łosia często się tu znajduje.

Dębowa puszcza wspaniała, łączyła się z onym błotnistym matecznikiem łosi, przerzynana potoczkami błotnistymi, przerywana bagnami jeziora. W bagnach tych dąbrowy wylęgały się, karmiły i tuczyły żołędzią i bulwami błotnistemi, niezliczone stada świń (Świniarsko).

Tutaj też mieszkali ludzie, a osiedle ich zwało się Dąbrówka, na wschodnim brzegu Poprudu.

Tutaj zatrzymały się tratwy, brodnicy przycumowali je do dębów nadbrzeżnych; podróżni wysiedli.

Spekula biedaka wyniesiono, bo się nie mógł ruszyć. Błędnem okiem spoglądał na brodników co go nieśli.

Rzymianka litością zdjęta, usłała mu łoże w chałupce dlań przeznaczonej: niewiasty miejscowe chętnie pomagały jej, donosząc liścia suchego i szczerze żałując biedaka.

Mężczyźni jęli radzić nad leczeniem chorego. Fenik byłby mu nie żałował już nawet skamieniałych łez jelenich, niezawodnego leku na wszelkie zatrucia: ale że to nie było zatrucie, ubolewał, iż nie chciał pić *bezoaru*, w końcu radził powtórzyć dawkę wina z świstakowem sadłem.

Dąbrowianki domyślne przywołały znachora swojego, doświadczonego starca, bieluteńkiego jak gołąb a rumianego jak jagoda. Nachylił on się nad chorego, słuchał jak oddecha, macał jak serce bije i potrząsł głową.

— Nie może oddechać i bardzo jest chory, trudno by wyzdrowiał, bo go udusi choroba, ale ratować trzeba!

Przyniósł róg jeleni ogromny, ale już nie cały, bo końcami przytępiony; dano mu noża i skrobał, aż

uskrobał przygarstek. Poczem z zawiniątka wyjął kawałek jantaru (czyli bursztynu), położył na kamieniu płaskim i stłukł.

— Co to tłuczesz? — przerwał nagle Fenik.

— Jantaru kawałek.

— Na co to psujesz?

— Na co psuję? na to, żeby jeżeli się da, naprawić oddech tego chorego.

— A zkąd to masz?

— Zkąd mam? nie z daleka, ot z po za tamtej góry! tam czasem znajdują go, gdy się oberwie brzeg rzeki Paleśnicy, ztamtąd dostaję go.

— Daj mi kawałek!

— Wybierz sobie co największy!

Mówiąc to, na proch skruszył kawałek bursztynu i z trocinami rogu jeleniego wsuł do kociołka, przystawił do ognia i gotował długo, aż wrzało. Poczem odstawił, zlał, ostudził, skosztował i dając Rzymiance rzekł:

— Podawaj to choremu, on będzie pił rad, bo to niezłe, a ulży mu — odetchnie i odplunie, a jeżeli nie ozdrowieje, toć przynajmniej w mniejszych cierpieniach umrze.

Rzymianka nalała w kubek, skosztowała sama, uznała, że nie wstrętne, podała choremu, który się jej przypatrywał jak kosztowała. Wypił cały kubek, odetchnął i pocałował ją w rękę, a łzą błysło mu oko.

Ona też się rozpłakała patrząc na biedaka.

Po niejakim czasie podniósł głowę, śledząc oczyma. Obaczyła, przybiegła, zapytała czego żąda.

— Pić! tego samego... z twojej ręki... boś ty Rzymianka.

Podała mu napój, wypił znowu... ucałował jej rękę, wpatrzył się w jej oczy łzawe.

— Lepiej ci?

— Lżej mi... a będzie... jeszcze lżej... *Perfer et obdura, dolor hic tibi proderit usquam. Saepe tulit lassis succus amarus opem.* (Znoś i cierp! boleść ta na dobre ci wyjdzie kiedyś! Nieraz słabym pomoc przyniósł napój goryczy).

Tak szeptając ustęp pieśni miłosnej, zapadł znowu w gorączkę i majaczenie, przerywane kaszlem i stękaniem.

W nocy majaczył ciągle i zrywał się, lecz nie mógł wstać, w końcu zdrzemnął z osłabienia. Rano podniósł się i szukał oczyma w około, żądając pić. Rzymianka podała mu, wypił i prosił, żeby mu patrzyła w oczy. Popatrzyła łzawemi źrenicami, on ją pocałował w rękę i szeptał:

— »Przez twe oblicze, przez twe boskie oblicze! Przez twoje oczy, co porywały mój wzrok! Czemkolwiek będziesz, zawsze będziesz moją!« [1]).

Poczem mrzył i dyszał znowu, a obudziwszy się znów wołał pić! Wypił, a w rękę ją już nie całował, jeno się jej żałośnie wpatrzył w oczy czarne i rzekł smutno z Wirgilego pieśni pierwszej:

— »Opuszczamy ojczyste miedze, odchodzimy od łanów słodyczą woniejących... uchodzimy od ojczyzny...«

Łzy stanęły mu w oczach! znać tęsknił za ojczyzną... bo szeptał coś: o bogach ojczystych, o Italii niebie...

Ustał szeptać i ustał żyć — umarł.

Wieść o jego śmierci przemknęła po całem siole: starzy i młodzi zbiegali się, oglądali, udzielali sobie zdania wzajemnie.

W kącie zaś chaty sąsiedniej skrycie płakały dwie jego krajanki: Makedonowa i jej niewolnica!

---

[1]) Amorum III. Elegia 11.

Głowar wiejskiej osady Dąbrówki przybył do umarłego, przypatrzył się mu, sprawdził że umarł i rzekł do przytomnych:

— Trzeba pogrzebać!

— A no! — odrzekli gospodarze.

— Ale trzeba wpierw dać znać do Sąca żupanowi, bo to jakiś obcy wojak — jakiś Żmija (Rzymianin).

— A no! — potakiwali gospodarze.

— A możeby podróżni sami dali znać, bo tak bez niczego, z gołą ręką, jakoś nie wypada udawać się do żupana.

— A no!

— To chodźta ze mną!

— A no! chodźma!

Podróżni byli tego samego zdania i niebawem złożono dwa czółna spore, złączono je, przywiązując łyczakami do kijów poprzecznych, wsiedli i ruszyli: Żupan szczawnicki, Aeliusz, Fenik i Gaj.

Skriba, jako sługa wierny pozostał przy zwłokach. Nie było niewiast najemnych do płaczu i pogrzebu, toć po wojskowemu on się zajął wszystkiem. Zamknął powieki umarłego i wedle obyczaju wetknął mu w usta pieniążek na myto przewoźnicze Charonowi; poczem obmył ciało, mianowicie kędy były sińce, a utrefił włosy i złożył jak przystało.

Poszedł potem do lasu, naciął smolaków na pochodnie i nazbierał żywicy, więc uciął dwa jałowcowe drzewka, postawił przy drzwiach chaty zamiast obrzędowych cyprysów.

Zbroję, oręż, zegary, zapiski, pierścień i ruchomości wszelkie zebrał, spisał i wziął w posiadanie wraz z pieniądzmi i Xięgą Miłostek Owida. Między szatami była płachta asbestowa. Wydobył ją i przygotował.

Więc się zabrał do przyrządzenia pochodni smolnych.

Sącz, Sądecz prastary, Nasączowice.

Grod ten leży na kończynie wzgórza, u ujścia potoka Olszanki w Dunajec, na lewym onegoż brzegu. Ztamtąd ponad wodę prosto ku Dąbrówce, widok otwarty, bardzo powabny obejmuje jeziora część większą i wieńczące góry, nad któremi panują szczyty: Rosochatka i Bratosowiec.

Rosochami zwą się rogi łosiów, a *Breedys,* to łoś po litewsku.

Tamtędy też pasały się łosie, oskubując pączki krzewów, latorośle, ogryzając korę drzew.

Tamtędy też wedle rzeki Białej była ówczesna miedza koczowisk Litwy, niezbyt dawno przybyłej.

Przeciwko jej zagonom łowiecko-wojennym, Dąbrowczanie mieli się na ostrożności i nad rzeką Kamienicą naprzeciw ujścia w nią Kamionki, urządzili Zawadę z zasieków leśnych, tamujących przejazd konnicy, a Poręba zasiek, ciągła się daleko ponad moczary i jeziora. Porębianie i Zawadzanie strzegli się pilnie, wiedząc, iż najprzód chodzi o ich skórę. Straże odgłosem rogów ostrzegały o niebezpieczeństwie. Dąbrowczanie słysząc hasło, trąbili pobudkę, której odgłos przelatywał za jezioro i powtarzany nad brzegiem przeciwnym dolatywał aż do samego grodu.

Obecnie od Dąbrówki słychać było odgłos rogów łowieckich, nie doraźny, przerywany, ale przeciągły, silniejszy niż zwykle; z wiatrem wschodnim dolatywał do grodu, niepokojąc mieszkańce i samego żupana sądeckiego.

Wyszedł on i stanął w miejscu najwyższem, gdzie był żertwiennik grodzki, spoglądnął na jezioro i ujrzał czółno podwójne, pławiące ku sobie raźno a rozumnie, bo bokiem od prądu Dunajcowego. Domyślił się gości i zbiegł na dół ku przystani, wedle

ujścia potoka. Poznał z dala sąsiada miłego z Szczawnic, witał okrzykiem radości rozkładając ramiona do uścisku szczerego.

Uradował się też przybyciem Fenika jako pobratymca miłego, lecz zyzem i z pod oka zerknął na Rzymian uzbrojonych w wojenną zbroję. Niebawem jednak rozchmurzył czoło, słysząc kto oni i dokąd zdążają pod Fenika przewodnictwem.

— Co to za trąbienie w Dąbrówce; czy pojawiła się Łotwa od Hełmu, Bratosowca, Margani? czy łowy wielkie?...

— Nie pobudka wojenna! nie pojezdne łowieckie... to pobudka żałobna! przybywamy zamówić pogrzeb dla Spekula wojskowego rzymskiego, który z nami podróżując umarł w Dąbrówce!

— Toć zaraz obeślę Świątnika z Osowia, żeby przybył, zarządził pogrzeb i przygotował garnek popielny i żertwienny. Tymczasem zapraszam was do grodu: czółna tu zupełnie bezpieczne, niechaj więc idą i pławce... toć to podobno Puny?

— A Puny od Pilchowa...

— Tem lepiej! pogadamy... chodźcież za mną.

Wiódł ich prosto do góry ścieżką od strony Dunajca. Po prawej ręce mijali uprawne polko nad potoczkiem, potem zasiek na okopie i znowu pole obszerne i okop wtóry z zasiekiem, więc spadzistość nagłą a na jej wirchu okop nasypowy zewnętrzny i okop główny wewnętrzny, a w połączeniu ich końcowem wolny, trójkątny dziedzińczyk w najwyższem miejscu z żertwiennikiem, Wązką bramą wydostali się na gród, otoczony z trzech stron okopem podwójnym, a z czwartej przepaścią naddunajecką.

Widok dokoła otwarty na wieniec gór dalekich, na Dunajec i jezioro, poza którem w nizinie ciemniała dębowa puszcza Dąbrówki.

Przepaść nadbrzeżna porosła lasem, w dole koń-

czyła się równinką zieloną uprawioną, a ścieżka dogodna wiodła ku niej i ku źródłu czystej zdrowej wody.

Obronność i dogodność grodu była zachwycającą.

Wieniec gór dalszych wskazywał miedzę powiatu: od wschodu *Kalns* (Hełm) nad Białą rzeką, ponad którą było punickie obozowisko utwierdzone *Megil-aj* (Mogilno). Od północy Hełm Tęgoborski, ponad rolniczym Rachowem, a od zachodu Mogilica, Modyń z Ogrodzieńcem, Czarnym potokiem i z Tarnawką tarniną ubezpieczoną nad Łąckiem, a Zawadą od Okowońca, zawady łotewskiej *ap-kaweet.*

Żupan okazawszy ziemię powiatową, okazał i wnętrze grodu sądczego: izbę zboru sejmowego, t. j. zgromadzeń ludowych, które Puny zaprowadzili u Sławian panońskich, a potem i Lechów (fenickie: *zaber*, zbor, zebranie; fenickie *sejm,* naród, pospólstwo); więc też i izbę sądu, obwieszoną narzędziami katowania.

Była tam: *kuna* na szyję (fenickie *kunen,* stać wyprostowany), były *kajdany*, (fenickie *gajd,* łyko, pęto) i kłoda do *osadzania* więźnia (*saded,* w dyby osadzić). Był też okropny *charap* (*okorab,* σκορπιος, bicz kolcami osadzany), którem do krwi kropiono winowajcę; były przyrządy inne do *nękania* (*nuke,* bić, chłostać) *katowania* (*kod*, dręczyć, przypiekać), do kastrowania *(katet)* i zadawania katusz *(katesz,* bić, kłóć, ranić)... aż mu przyszło na *pohybel (hebel,* wić się z boleści).

Znaleźli wszystko w porządku należytym i nabrali wysokiego wyobrażenia o sądach tamtejszych, od których gród zwał się Sądczym grodem, bo fenickie *sud* znaczy sąd.

Z prawdziwą dumą przeszedł do gospodarstwa.

Okazując łanek pola kilkomorgowy, na którem w kłosach stało zboże piękne w obrębie okopów i nieco za okopami, rzekł z zadowoleniem: Wszystko to ja zasiałem!.. A co, jaki *jarzec?* prawda, że śliczny, jary jak złoto (fenickie: *jarek,* złotożółte); a *byrowi* co braknie? (fen. *byr*, zboże kłosiste) ziarnisty doskonale (fen. *zeroim,* nasiona ogrodowe, ziarna). Będą jagły dobre, gdy się ołuszczy — (fen. *jagle,* ołuszczone). A i *cyr* będzie z tego owsa (fen. *cyr*, potrawa) i *hadzimek* suchy (fen.: *zimok,* osuch, placek).

A mam *żarn* kilkoro (fen. *zuar*, obracające się) do *mielenia* (fen. *mel,* zetrzeć, zemleć). Jadamy też *bryję* (fen. *brie,* jadło, potraw; *bria,* gęste, pożywne) i *kaszę* (fen. *kasza*, gęste) i *krupy* (fen. *rup*, grubo tłuczone) a nieosobliwością nam i *bochenki* chleba (fen. *bochen* bułowaty).

Nawet na potoku zakładam *jaz* (fen. *jaze,* przeciekać). Zbuduje nad nim młyn do mełcia.

Oto *reszoto* do przesiewania (fen. *reszet* kratka siatkowata), a tu *oradło* do orania (fen. *oresz,* orać); bo samo pokładanie sochą, jak czynią Lachy, nie wystarcza mi. Nie dość, że spokładam, z oram, ale jeszcze czasem wypadnie ręcznie *harować* (fen. *harie*, kopać, ryć) i *kopać* (fen. *gob*, okopywać), którą robotę odbywają *robotnicy* (fen. *abodet,* robota; *abed,* niewolnik).

Do nich też należy *kośba*, oni *kosić* umieją (fen. *koses* krajać, *kozir*, kosić); do nich *zbior* (fen. *zber*, na kupę znosić) i młócenie *cepem* (fen. *cept,* bijak, kij do bicia) albo *dusz (*fen. *dusz* tratowanie bydłem, niemieckie *Drusch)* bydłem lubo źrebcami.

A tu w końcu mam *sadek* kopany i ryty należycie (fen. *saded,* bryły rozdrabniać). Toć też mam zieleniny nasze fenickie, przedtem tutaj nieznane: *kimin*, *kypr*, *hyzop*, *krokosz.*

Gdule też gruszki (fen. *gdul,* wielkie, duże) zasa-

dziłem i czereśnie *maruny* (fen. *more,* gościom miłe) dla gości.

Wszystkiego tego nie znały przedtem Lachy. Za Sarmat Azow, konarem sochy skubali skibę i pokładali lechę, żeby się uleżała i w taki odłóg siali owies i obylie razowe (żyto), które jedli prażone, całe albo tłuczone w stępce tłuczkiem kamiennym — co jeszcze i teraz robią. Przeważnie zaś hodowali owce i kozy, nie umiejąc korzystać z nabiału, bo nie umieli robić sera... Tak samo i z bydła, chociaż umieli zaprzęgać woły; bo końskiej uprzęży naumieli się od nas dopiero, równie jako i karmy bydląt.

Biedny to był naród! nie znał rzeziwa brązowego, ani żelaznego. Mieli tylko oksze i dłuta krzemienne, szydła kościane lub tarniowe. Od nas dopiero dostali: siekierę, korczówkę, kosę, kozik, świder, szydło, nóż (fen. *masor*) *imuzot* do ostrzenia rzeziwa.

Toć też teraz lepiej żyją, lepiej się odziewają. Już znają nasze *gunie* wełniane, *koce*, *kilimy, szaraki,* nauczyli się *motać*, *tkać* za pomocą *berda* konopne i lanne p a r c i e, które już szyć umieją.

Chociaż przyznać należy, że kożuchy ciepłe, my od nich przyjęli i serdaki wygodne.

Wprowadził ich potem do dworu swego obszernego o wysokiej *kalenicy* na strzesze, chwaląc się, że tak wysokim (*kanef* po fenicku) przykrył *kalejem.*

— Oto *izba moja,* a to *izeb* (mieszkanie) mojej *żony* młodej, którą przyjąłem po śmierci mej kobiety fenickiej, nie mogąc się obejść bez *niewiasty* (fenickie: *nef-ast,* nałożna kobieta, *zonah* nałożnica). Jest ona córką tutejszego g ł o w y wiejskiego, bardzo potulna i posłuszna, a co dziwnego, ręce ma tak małe jakby fenicyanka rodowita. Obaczycie ją!

I obaczyli ją! Przyszła, sławiańskim obyczajem, pokornie każdego z gości chwytając za kolana i mówiąc: Witajcie! witajcie!

Poczem przyniosła obrus biały, nakryła cisowy stół, pokładła osuchy i podpłomyki, a na środku na deszczułce nowej postawiła łososia ogromnego, świeżo upieczonego w tłuszczu własnym, więc zapraszała, by byli łaskawi spożywać.

Spożywali też chętnie, spoglądając na gosposię nadobną, chożą i zgrabną, a przytem stateczną i nieśmiałą. Przyniosła ona jeszcze grudkę sera owczego, świeżego i dzban miodu, z którego gospodarzowi nalała kubek srebrny, a on go wychylił za zdrowie miłych gości przybyłych.

Miód był dobry i tęgi, bo niedaleko za Dunajcem był lipowy las i barcie w nim mnogie [1]). Pili go też po kolei, patrząc jak im z dzbana nalewała gosposia uprzejma, co nieśmiała prosić sama, lecz przypominająca żupanowi: Proś też, proś, niech piją!

Pogrzeb.

Z Osowa czyli Łosowia niedalekiego, przybył Świątnik, niosąc na plecach kołowrot zduński, czyli garnczarski, a pomocnik jego niósł w kobieli glinę i kamyki święte trachitowe, więc i nietotę suchą na podniatę i jałowiec z żywicą na kadzidło.

Świątnik, t. j. kapłan a oraz zdun pogrzebowy skłonił się i stanąwszy poważnie, zapytał: Któż to umarł? jaki ma być pogrzeb?

— W Dąbrówce umarł podróżny.

— Ho, ho, ho! aż w Dąbrówce!.. to daleko...

— Nie będzie za darmo...

— Cóż żądasz za pogrzeb porządny z garnkiem popielnym i naczyńkiem ofiarnem?

---

[1]) Dzisiejsze: Lipiny i Barcice.

— I z kadzidłem i podniatą tylko, czy z spaleniem zupełnem? z śpiewami, czy cichy?

— Ze wszystkiem, ze wszystkiem!..

— Więc pogrzeb okazały... a któż to umarł?

— Człowiek, mąż!

— Człowiek człowiekowi nie równy... dostojnemu inna cześć niż prostakowi.

— Więc dostojnik umarł.

— Dostojnik! dobrze, bardzo dobrze! to trzeba wszystkiego dobierać: podniaty, kadzidła nie żałować, gliny jak najmielszej urobić, utoczyć garnki na toczydle jak najtroskliwiej... nie żałować gardła do śpiewu... To praca wielka, więc też i zapłata powinna być po temu... A już też to ostatni nakład na nieboszczyka, więcej już nie dostanie nic, a duszy jego ulży się pogrzebem uczciwym i nieskąpym, żeby z dymem kadzidła wonnego uleciała duszyczka prosto do nieba, radując się i patrząc, jak troskliwie w naczyniu ozdobnem, będziemy grzebali popiół ciała marnego, w którem mieszkała.. Taki pogrżeb już co najmniej będzie kosztował...

— Gadaj na pieniądze rzymskie, bo pieniądzmi będzie zapłata za pogrzeb Rzymianina.

— To Rzmian umarł? patrzcie, patrzcie! to on aż tutaj przyjechał umierać... No! to go pogrzebiemo, a za pogrzeb jego dacie dwa srebrniki rzymskie, jeden za garnce, drugi za smędzenie i zetlenie.

— Dostaniesz dwa srebrniki...

— A jadło i napój też?

— Jeść i pić co brzuch strzyma.

— A przeprawę do Dąbrówki...

— Oczywiście!

— I powrót?

— I powrót.

— I poczestne...

— Wszystko, wszystko!

— No! to zabierajmo się! bo to praca wielka, czasu wiele wymaga... ledwo jutro skończę przygotowania, a pojutrze pogrzeb. Więc spieszmo się!

Żupan sądecki oświadczył, iż przybędzie na pogrzeb i to wraz z żoną swą: bo ona jeszcze nigdy nie widziała Rżmianki, chciałaby się jej przypatrzyć.

Dosiedli czółna i pławili za prądem Dunajca, z wodą.

Mijając już Podegrodzie, posłyszeli okrutne trąbienie w rogi łowieckie na wyspie cisowej, w mateczniku łosiów.

Niebawem spostrzegli stado łosiów skaczące w wodę i płynące ku Łosowiu prosto, jeden za drugim, stary łoś przodem, łosięta w końcu. Zobaczyli też czółenka dwa pławiące za nimi; na czółenkach pojedynczych i lekuchnych siedzieli i usilnie wiosłowali po jednemu na każdem, Sylwan z Ursynem.

Świątnik stary aż zadrżał! stanął i zawołał: Łosie łowią, łosie łowią!.. hej naprzód! za prądem, za prądem! prędzej, prędzej! żeby łosiom zabiedz, żeby ich zawrócić! żeby nagonić łowcom... ha ho ha!.. ha ho!.. ha la la!.. a huzia! hau! hau! hau!.. hau! hau! hau!.. gwiii! gwiiii!..

Krzycząc, szczekając, gwizdając, machał rękoma Świątnik, zagorzalec łakomy na łosią pieczeń, a bacząc, że łoś stary przewodniczący, płynie dalej i gotów umknąć, pochwycił kołowrot, jął nim wywijać po-nad głową i bić po wodzie aż się rozpryskiwała daleko.

Łoś stary, doświadczony, nieraz już był w obławie łowców, oswoił się z pierzchnią i oszczepem, a bywało w starciu bliskiem powalał łowcę rogiem i deptał racicami na śmierć; w pław też uchodził, omijając czółna bez bojaźni i tutaj nie lękał się krzyków, ani szczekania udawanego, ani gwizdania na palcu, ale

przeląkł się kołowrotu zduńskiego! bo takiego oręża nie widział jako żyw, tak dużego, tak strasznego! Zdawało się mu, że rozmiażdży mu głowę i że wodą chlupając już godzi weń. Więc przerażony zawrócił w pławie, a za nim całe stado zawróciło zasię ku wysepce. Świątnik zaś omal w wodę nie wskakiwał, omal z skóry nie wyskoczył; miotał kołowrotem i pluskał i huczał, szczekał i gwizdał.

Łowce też nie próżnując wiosłowali co siły, wpadli między stado: oszczepy migły, krew trysła, jedno łosiątko młode i kalemba stara, ugodzone śmiertelnie w krzyże, padły łupem myśliwskim.

Świątnik pomagał wyciągnąć na brzeg, przymawiając się do części zdobyczy przynależnej za pomoc.

— To łowy na stypę pogrzebową!

— Ale racic, rosochów i skóry nie będzie nikt jadł.

— To nasza część, my ułowili...

— Bezemnie nie bylibyście ich dostali.

— Bez ciebie byliby nam pomogli ci co cię wzięli na czółno! my ich słudzy! Do nich należemy sami i zdobycz nasza.

Mało się nie wściekł ze złości łakomy Świątnik, lecz nie śmiał wszczynać kłótni, bo chodziło o dwa srebrniki cezara rzymskiego.

Łowce za poradą ludzi miejscowych wyprawili się na owe łowy, słysząc, że łosie na wyspie spłoszone trąbieniem stają na brzegu gotowe przebierać się do Łosowia. Wsiedli więc na czółna, a nagonka ruszyła na zwierza trochę zawcześnie.

Prócz łosi dostali też ogromnego odyńca, biorąc na oszczep. Mniej silni i mniej doświadczeni nie byliby mu dali rady, lecz onym to nie pierwszyzna.

Z powagą uroczystą wszedł Świątnik do chaty oglądać zmarłego. Zastał go umytego, uczesanego, w ubraniu leżącego na marach, a przy nim siedzącą

kobietę piękną, smutną, w odzieniu tak ozdobnem, jakiego jeszcze nie widział.

— To bogaczka!.. szkoda, żem tak mało zażądał... byliby dali więcej!.. głupstwo popełniłem... nieostrożność!.. źle być serca czułego!

Tak mrucząc, wyszedł zabierać się do pracy.

Uprzedzono go już poniekąd. Na brzegu jeziora wykopan już był dół głęboki, i długi na pięć stóp niemal. Z ziemi wybranej usypan był żertwiennik równy, a na tym nasypie Skriba mięsił glinę siwą, przyniesioną z potoka.

— Na cóż to ta glina? — szorstko zapytał Świątnik.

— Na urnę popielną!

— To się nie z takiej gliny robi, tylko z takiej oto!

— Ta siwa lepsza!

— Mnie będziesz uczył? Czy ja to mało garnków nalepił, co? Ot tam, na tamtej górce na Łosowiu, tam mam piec mój i w około garnków dostarczam.

— Z lichej gliny, z rzadkiej gliny! ta lepsza.

— Kiedyś ta taki mądrała, że mnie chcesz uczyć, zgoda i na to! wytoczę garnek z siwej gliny, ale jeżeli będzie zły, nie moja wina! drugiego nie będę robił. Ofiarne naczyńko zrobię z gliny poświęcanej, którą przyniosłem.

— Zgoda!

Ustawił kołowrot, a Skriba wziął bryłę gliny siwej postawił.

— Czy to wszystko na jeden garnek?

— Na jeden.

— To chyba na miskę szeroką?

— Nie, na garnek równej szerokości i wysokości.

— A wytrzyma to na wysokość?

— Wytrzyma!

— Chłopcze, tłucz kamień święty!

Chłopiec przykucznął i na kamieniu dużym, kamykiem piastowym tłukł grudę trachitu zwietrzałego, aż się rozleciała na piasek gruboziarnisty.

— Syp tu! i wymięś.

Chłopiec wsypał do gliny, wymięsił, a mistrz zasiadł na toczydło, zakładając nogi i próbując obracać.

— Podaj wody!

Chłopiec podał wody, zdun zmaczał ręce, urobił w glinie dziurę; jął nogami obracać toczydło, a rękoma lepić garnek coraz wyżej i wyżej,

— Nie myślałem, że wytrzyma ta glina! Teraz tylko po wierzchu urobić wzorzystą ozdobę.

— Jeszcze nie! bo jeszcze niezgrabny garnek; oto weźm ten wykrój blaszany, przytrzymaj jedną ręką, a drugą przyciskaj od środka, to dopiero nabierze postaci ozdobnej!

Zdun opatrzyl blaszkę wyciętą wzorzyście, zrozumiał o co chodzi, przystawił, obrócił, a garnek przybrał postać ozdobną, bo wedle wzoru rzymskiego.

— Ty chyba sam jesteś zdunem? — zapytał Skribę.

— Byłem zdunem nim zostałem wojakiem.

— Szkoda, żeś porzucił rzemiosło. A na cóż tobie tej blaszki? daj mi ją, skoro niepotrzebna.

— Ot przydała się i może się jeszcze przydać.

— To nie dasz mi?

— Nie dam!

— Skąpiec jesteś, mówię ci!

Ale Skriba nie słuchał, wziął blaszkę i schował. Zdun zaś na garncu patykiem rozszczepionym wyrobił piękne zygzaki, a chcąc pokazać co umie, przystrugał do wzoru trzaseczkę, za której pomocą wytoczył z gliny żółtej, czarkę ofiarną cienką i wcale ozdobną.

— Trzeba teraz urobić gliny na polewę zwłok — zagadał do wojaka.

— Nie trzeba! jeno polepę.

— Jak nie trza to nie trza! mniej roboty! ale ciekaw jestem jak się pozbiera popiół z ciała, jak się go odłączy od popiołu drzewnego, jeżeli zwłoki nie będą polane gliną obrzednią?

— Jakoś to będzie!

Rozmawiali z sobą za pośrednictwem tłumacza Gaja...

Potem Skriba na nasypie ziemi grobowej, ulepił polepę podług długości i szerokości zwłok — i przygotowania były skończone.

Gromada miejska znosiła drzewo suche, cisowe i konary dębowe z smolną sośniną.

Łowce zaś oprawili zwierzynę, rozpłatali, piekli na rożnach, przygotowując stypę pogrzebową, na którą niewiasty piekły podpłomyki razowe i osuchy owsiane.

Trzeciego dnia z Sącza na czółnach przypławili goście pogrzebowi z żupanem i żupanką na czele.

Żupanką powodowała ciekawość, bo nigdy jeszcze nie widziała Rzymianki żadnej, a nasłuchała się o nich tyle, że nie sposób było przemódz ciekawości.

Przy wysiadaniu zaraz znalazł się Świątnik, boć to było niedaleko *żalki* przygotowanej; zaprosił oglądać przygotowania pogrzebne, mianowicie podeschłe już garnki. Zwracał baczność, że to z innej gliny jak zwykła, bo z siwej, że też robota wytworniejsza, że górą garnka i pod krawędzią dwie smugi w około i aż sześciokreskowe zygzaki! Naczyńko zaś objatowe z gliny zwykłej, ale najtroskliwiej płukanej, okrąglutkie i cieniuchne. Wskazywał też na polepę pod zwłoki i na ogromne kupy drzewa suchego przygotowanego.

Żupanka słuchała ale wcale obojętnie, bo cóż ją obchodził garnek na popiół i miseczka na mąkę z miodem; ona była ciekawa widzieć Rzymiankę, jak wygląda, a osobliwie jak ubrana, jak przystrojona. To

ją zajmowało! ciekawa była oglądać przybory życia, ale nie pogrzebu.

Udali się do chaty, kędy leżał zmarły odziany świątecznie, uwieńczony zielenią. U stóp mar w naczyniu glinianem zarzyły się węgle, a wierny sługa od czasu do czasu sypał na nie kadzidło wonne, mieszane z jałowcem, poczem szedł i do ucha zmarłego nachylony, wołał go po imieniu głośno, raz po raz, aby się przekonać, czy istotnie umarł. Z boku zasmucona i blada stała Macedoniowa Rzymianka, spoglądając na zwłoki młodzieńca, niedawno pełnego życia, z którego za chwilę nie ma pozostać, jeno garść popiołu.

Smętne dumanie przerwał widok wchodzącej żupanki. Młoda, zdrowa, uśmiechnięta, odziana skromnie w serdaczek barani żółty, wyszywany barwiście, w koszulę króciuchną o rękawach szerokich, w spódnicę wązką białą o przepasce czerwonej, w krypciach zgrabniutko opiętych na onuczkach czyściutkich, w ruchach i chodzie zwinna i lekka gdyby sarna lub łania; zachwyciła ją swem zjawieniem. Mimowoli pomyślała Rzymianka: Ach! chciałabym być taką! tak szczęśliwą jak ta góralka nieświadoma niedoli świata wielkiego!

Góralka zaś patrząc na tę panią w czarnej długiej sukni i białej obwisłej z boku zasłonie, na jej włosy czarne i trefione, oniemiała z podziwu i rzekła sama do siebie: Och Boże! Boże! czemu ja też to biedna nie jestem tak wspaniale ubrana?... zazdroszczę jej całem sercem... radabym nią być choć chwilkę... radabym choć krótko żyć w tym wielkim wspaniałym Rzymie!

Rozpoczęto obrzęd pogrzebowy! Rzymianie na ramionach nieśli zwłoki na swidnik smętarny nad wysokim brzegiem Dunajca, a za nimi postępo-

wała Rzymianka z swą niewolnicą i żupanka. Płaczek najętych obyczajem rzymskim nie było, ale był płacz cichy, serdeczny, szczery, choć łzy Rzymianek obu nie zbierał nikt w naczyńka ofiarne: padały na ziemię i ziemia je piła.

Żupanka patrząc na Rzymiankę płaczącą, płakała sama; żal jej było nietyle zmarłego nieznanego, jak raczej tej smutnej pani, że taka wspaniała a płacząca.

Na świdniku wszczęła się mała sprzeczka: Skriba polepę pogrzebową przykrył wielką nową płachtą, aby na niej złożono zwłoki do spalenia. Świątnikowi żal było tej płachty, tak doskonałej, wolałby ją wziąść sobie, jakoż począł ją zdejmować, mówiąc, iż szkoda tego zniszczyć w ogniu.

— Nie rusz! — zawołał nań Skriba.

— Nie rusz! — powtórzyli Rzymianie, uzbrojeni w zbroje lśniące i w oręż.

Więc dał spokój, nie mogąc jednak utaić gniewu i mruczał, widząc, iż zwłoki kładą na płachtę, iż na palec zmarłemu wsunęli pierścień złoty, do ust włożyli pieniądz srebrny, poczem płachtą obwijają zwłoki, otykając szczelnie.

— Nie szkoda też to! nie szkoda też to!.. Przydałoby się na co lepszego, na co lepszego, zdałoby mi się!

Tak mruczał, składając drzewo w stos czworoboczny wokoło zwłok; ale nikt nie dbał na mowę onego.

Wokoło zwłok ułożono stos czworoboczny, potężny, przekładany nietotą suchą i jałowcami, z wirchu nakładziono jałowców i konarów smolnych cedru i sosny, których dostarczał naród przytomny obrzędowi; gdyż każdy z obecnych niósł konar lub wiązkę suchych łomaków. U brzegu Dunajca była zgotowana żalka. Świątnika chłopiec wzniecił ogień w kociołku,

świątnik nasypał doń jałowcu, a Skriba, wierny sługa zmarłego, zapalił przygotowaną pochodnię i podał ją Aeliuszowi, mówiąc: Bądź mu bratem, bądź mu krewnym, oddaj mu usługę ostatnią.

Aeliusz wziął pochodnię, przystąpił do stosu, odwrócił oblicze i zapalił stos poza siebie.

Płomień huknął, stos gorzał doraźnie, od gałęzi wierzchnych zapalały się drewna grube cisowe, cedrowe i dębowe ułożone spodem, wywiązał się żar ogromny, w który rzucano żywicę wonną i garście jagód jałowcowych.

Płomień przytęchł, dym czarny ustąpił zwykłemu dymowi drzewnemu, na polepie żarzyło się jasno; spaliły się zwłoki!

Skriba osęką jał do dołu ściągać niedotlałki, aby módz przystąpić bliżej, a na polepę po lekku zgartywał jeszcze niezmiernie gorący żar cisowy i nie ruszał aż się spopielił. Wtedy przystąpił, gałęzią zamaszystą zwiał popiół i o dziwo!

Świątnik wytrzeszczył oczy, rozdziawił gębę. Płachta leżała nie spalona, nie zetlona, tylko wybielała jako śnieg!

Gdy ostygło lepiej, wojak skropił ją wodą wonniejącą, przyciągnął, rozwinął i obracając się do świątnika rzecze:

— Mówiłem ci, że to jakoś będzie! Oto jest! Popiół mego pana nie uronion, nie zmieszan z popiołem drzewnym, a to bez polewy, jeno za pomocą tej *amiantusowej* czyli *asbestowej* płachty, której ogień nie uszkodził, tylko ją oczyścił.

— Dajże mi tę płachtę, mójeśty! darujże mi ją, bo to cudowna plachta! dajże mi ją, proszę cię!

— Nic ta z tego! nic ta z tego! — odrzekł wojak; z pomocą Rzymian, zsypując popiół i zgliszcza do garnka popielnego, wyschłego od gorąca.

Rzymianka skrapiała je winem i wonnościami.

Służąca jej do czarki ofiarnej sypała mąkę jęczmienną i wlała miód praśny na objatę bogom podziemnym.

Garnek popielny złożono w dole, przykrywszy skorupą z polepy, czarkę ofiarną postawiono koło niego. Wszystko wraz przysuto żarem, popiołem, zgliszczami i ziemią.

Starce miejscowi zanucili rzewną pieśń sławiańską, której treścią było pożegnanie człowieka zmarłego.

Zaproszono ich na *Silicernum* t. j. na stypę pogrzebową, do której też zasiadła cała drużyna podróżna i goście sądeccy. Starcom gospodarzył świątnik, przykładem dobrym ośmielając do jadła i napitku. Pieczeń z odyńca równie mu smakowała jak i pieczeń z kalemby łosiej; jadł też za czterech, a miodu pił za pięciu. Podjadłszy i podpiwszy sobie, mruczał ciągle na skąpstwo zduna rzymskiego, że mu nie darował ani blaszki zduńskiej, ani płachty asbestowej cudownej.

Podróżnym gospodarzyła Makedonowa a usługiwała żupanka sądecka, zazdroszcząc jej, że ona wraz z mężczyznami jada. Pieczeń z młodego łosia była wyborną, którą podawała Sądeczanka.

Rzymianka zapraszała ją usiąść obok siebie, zapraszali i Rzymianie; ale ona nie śmiała, boć to było przeciw obyczajowi sławiańskiemu.

Rzymianka chcąc wynagrodzić poniżenie, przy rozstaniu się obdarzyła ją naręczakami dwoma, szpilką i naszyjnikiem; wszystko z brązu świecącego. Na naszyjniku były korale szklanne niebieskie, fenickie w białe zygzaki i modre gładkie. Prócz tego odziała ją w wełnianą tkaninę czerwoną, poprostu płachtę barwioną, z zamklą brązową, o guzikach okrągłych.

Żupanka nie posiadała się od radości! zdawało jej się, iż ją obdarzają skarby nieocenionemi, nie chciała przyjąć, aż za wyraźnem zezwoleniem żupana.

Koralom szczególnie nie mogła się wydziwić, jakie to cudne!

Nie wiedziała nieboga, że to poprostu szumowina stopu kruszczowego. W górach panońskich topili Fenicy kruszce, srebro, miedź i cynk, każde z osobna. Na srebrze, jako szumowina spłynęło szkło zabarwione na niebiesko kobaltem, a na miedzi niedokwasem miedzi; na cynku, biały niedokwas cynkowy. Fenik przemyślny, bacząc, iż to szkło barwiste: patyczek maczał w cieczy, obracając i podnosząc z wolna, aż się obwinęła kulka spłaszczona; poczem w cynku zmaczał drucik i nabrawszy niedokwasu, pisał nim zygzaki po onych nieochłudłych jeszcze kulkach szklanych. Ostudził powoli, wyciągnął patyczki z otworów i wedle otworów przytarł trochę na kamyku. Ot! i koral gotowy!

Ale tajemnicę zachował wyrobnik, mało komu udzielił, więc też niezmiernie rzadkie są korale takie.

Jakżeż nie miała się nimi radować wieśniacza żupanka! Zapewniała, że sobie je weźmie do grobu!

Rozczulenie jej oddziaływało na żupana. Życzliwością dla Rzymianki, jej męża, brata i całej drużyny przelewało się mu serce, ujęte podarunkiem dla ukochanej. Sprawę ich wyprawy uważał za swoją, tak szczerze zajmował się nią. Krewniakowi swemu starszemu kazał przewodniczyć im Dunajcem do Rachowa, gdzie po dokładnem zbadaniu okoliczności, rozstrzygnąć się miało: czy pławić dalej, czy podróżować lądem. W każdym razie nakazał użyczyć wszelkiej pomocy możliwej i wszelkich środków. Więc też do żupana rachowskiego dał polecenie, aby raczył się opiekować podróżnymi i polecić ich opiece sąsiadów. W końcu uwolnił pławców pilchowskich, dając własnych, świadomych wód i przepraw.

Fenik stary, przemyślny, nie próżnował wcale. Rozglądał się za zyskiem i badał źródła onegoż. Na

pogrzebie spostrzegł on ludzi w serdakach jasno i przeraźliwie żółtych i w czapkach obszytych futrem czarnej kuny leśnej. Zakręcił się, pogadał i kupił dwa takie serdaczki niewieście, dając w zamian po kawałku płótna czerwonego, na które bardzo łakomiły się wieśniaczki. Prócz tego wywiedział się, że oni skóry baranie barwią ziemią żółtą bardzo piękną, którą kopią niezbyt daleko ztamtąd, bo za górą, ku wschodowi słońca; nawet dostał kruch gliny takiej złotożółtej.

Trudniej mu było dostać dwu czapek nowych; dawał po pieniążku brązowym za każdą, ale go wyśmiali; dawał żelazny kozik za obie, a nie chcieli i tego. Aż wpadł na pomysł szczególny: miał stary kapelusz sponiewierany i przetarty, poczernił go węglem tłuczonym, przypiął doń wysokie pióro kogucie, wdział na głowę na lewe ucho i z miną wyzywającą przechadzał się wśród gapiącego się tłumu. Niebawem wystąpił parobczak dorodny, zdjął nowiusieńką czapkę kunią, dając w zamian. Ale Fenik oburzony odrzekł, iż nie da ani za dwie.

— Kiedy nie mam jacy jedną.

— To pożycz u kogo.

— Ja ci pożyczę!.. ja także! — odezwało się dwu dorostków przyjaciół.

Fenik za trzy czapki kunie, dał stary kapeluch z koguciem piórem, a chłopacy uszczęśliwieni, pokazowali mu górę pobliską, w której jest pełno jam w skałach, a jamy one są gniazdami tych kun. Jest ich tam bardzo wiele, więc górę zowią Kunow i Jamnica — a rosną tam same cisy [1]).

Fenik wysłuchawszy, rzekł:

— Nabijcie tych kun jak najwięcej, ale z pięknem futrem, wysuszcie skórki dobrze, a jak będę

---

[1]) Cisy dotrwały tam moich czasów.

wracał, to wam dam za nie kapelusze jeszcze piękniejsże, z piórem jeszcze dłuższem.

— To chyba aż w zimie nałowiemy, bo teraz się lenią, toć skórki brzyćkie.

— Niech będzie w zimie! tylko pamiętajcie.

Chłopacy przyrzekli.

Skończył się pogrzeb, skończyła się stypa, rozeszli się wieśniacy, odpłynął żupan sądecki i żupanka uszczęśliwiona cackami, obrączkami i chustą czerwoną. Świątnik pijany ciągle marudził, narzekając na skąpstwo tego zduna rzymskiego.

Na brzegu Dunajca w Dąbrówce sterczał kopiec nowo usypany; pierwsza mogiła rzymska na ziemi polskiej.

Rzymianie przy rozstaniu smutno poglądali na nią...

Skriba, Sącz nazwał Asanca.

Z Sącza do Olkusza.

Odbili od brzegu Dąbrówki, pławili wedle wyspy cisowej, matecznika łosi (gdzie dziś stoi N. Sącz), puścili się prądem Dunajca, zostawiając na lewo obszerną mieliznę wody niemal stojącej, więc porosłej rdestem i zwaną Rdziostow. Był tam grodek maleńki na pagórku nad Dunajcem, a dalej cokolwiek sterczał wirch Hełmiec okopany wokoło i wielce obronny, strzegący ujścia rzeki z jeziora. Po obu brzegach, dębowa puszcza wspaniała i ogromna, więc już nie zwana Dąbrówką ale Dąbrową. Na lewo wpływała rzeka wcale okazała i rybna, obfitująca mianowicie w łososie, od czego zwana Łososiną. Za tą rzeką wznosiły się lite skały Białowody i wzgórze Rozdziele, a za Rozdzielem otwarta równina, wokoło uwieńczona górami, przerżnięta Dunajcem, ci-

cha, żyzna, wspaniała: to Tęgoborza, nad którą wznosi się góra potężna Hełm.

Za czasu Sarmatów zwała się *Ariuch-aach*, t. j. leśna, borowa góra; które miano przekręcone na Rachow, zachowało wzgórze niskie w pośrodku równiny; znak, że Sarmaty pasali tam po wzgórzach, podczas gdy Lachy rolniczyli w nizinie.

Właśnie rolniczyli oni nad samym Dunajcem, gdy przybijały tratwy, gdy je przycumowywano.

Płużek mały stanowiła socha samorodna, ale już w końcu okowana, a raczej mająca zawdziane potężne dłuto kruszcowe jako lemiesz; z boku zaś była już okładnica z deszczułki, więc odkładała skibę wąziuchną. Pięć takich skibek stanowiło lechę czyli grzędę, zagon.

(Ja, który to piszę, mogę zapewnić, że tak było: bo skibki one złożone w zagonek widziałem na własne moje oczy, po ogromnej powodzi, gdy fale bijąc o brzeg, zmyły zeń gleby przeszło na siągę i odsłoniły pracę rolniczą pokoleń onych pradawnych...)

Orano końmi, poganiając sporo, toć też skibki, acz wąziuchne, poorano prościuteńko i równo, aż radość brała przyglądać się pracy rolniczej.

Przewodnik pospieszył oznajmić przybycie podróżnych, a gospodarz uprzejmy, stanąwszy w bramie dworu obszernego, rozłożył ramiona na otwór, gdyby bramę do serca; witał miłych gości, przyjaciół sąsiada, jak gdyby Bóg wie odkąd byli jego przyjaciołmi własnymi.

Był to mąż wzrostu dobrego, dobrej tuszy, cokolwiek otyły, jaśniejszych włosów, niebieskiego oka: znać, że Sławianin z rodu. Stąd też ta otwartość serca ku gościom nieznanym i niezbadanym.

Pani zaś jego też otyła i nieco ociężała, ale tylko ciałem, bo myślą rzutna a oko ciemne i włos ciemny świadczyły o domieszku krwi wschodniej, więc też

i w obejściu inna. Uprzejmie lecz z poczuciem godności swej i wyższości witała Rzymiankę, chcąc jej przypomnieć dostojność swą, ale bacząc ukłon i obejście tak nadobne, jakiego jeszcze nie widziała; ukorzyła się przed wielkoświatowością, weszła na drogę dobrodusznej gościnności, z czem jej nieskończenie lepiej było do twarzy!

Wysłuchali sprawozdania przewodnika, z życzliwością, wysłuchali polecenia opiece i zapewnili, iż uczynią co tylko będą mogli. Poczem ona zaprosiła Rzymiankę do swojej komnaty, on zaś z mężczyznami w swej izbie naradzał się o wyprawie do Karodunu czyli Olkusza.

Najpierw odradzał zupełnie podróż wodą, jako niebezpieczną, bo Łotwa zawłada prawym brzegiem Dunajca i całem porzeczem Biały, która rzeka główną ich cestą ku Panonii.

Sakliczia swoje, t. j. izbę mieszkalną, kunigs litewski, założył nad samym Dunajcem, naprzeciw żupańskiego zamku *Mailstyne,* a nawet niedopłynęlibyście do Melstyna (t. j. nad wodą wzniesionego), bo już u naszej Gerowej (fenickie *gerra,* bój staczać) gotowi by was napadać, gdyż naprzeciwko osadzili swój *halns* (Hełm) skalisty, a rataje nasi z Gródka już nie jedną rattę zaciętą stoczyli z nimi na Ratajowicach naddunajeckich. Więc radzę, lądem, potokami, gdzie bezpieczniej i bliżej, a podwodami nawet wygodniej, bo w rzekach kamyki drobne. Właśnie też mam do Wieliczki posyłać po sól, tobyście się zabrali.

Fenik aż w ręce klasnął z radości, że się nadarza sposobność tak dogodna i bezpieczna, którą radość podzielali wszyscy.

Największa trudność była wydobycia się z dworu gościnnego, bo gospodarz ani sobie dał wspomnieć

o wyjeździe, prosząc, żeby jeszcze zostali, a w końcu z śmiechem zapewniając, iż ich nie puści — i koniec.

Pierwszego dnia gościł ich, drugiego pokazywał gospodarstwo, oprowadzał po rolach i łąkach. Trzeciego dnia był przegląd stadniny; sam dosiadał dryganta bystrego i ujeżdżał go przed ich oczyma, zadziwiając zręcznością i siłą; więc i dworzanom kazał się popisywać, a w końcu i wnuczętom swoim drobniuchnym kazał jeździć konno, a trzymać się ostro.

Pani zaś popisywała się bydłem swojem, owieczkami i świńmi mnogiemi, więc też chmarą drobiu i setkami gęsi krzykliwych.

Po tygodniu ledwo że się wyrwali ztamtąd.

Wyruszyli wedle Świdnika tęgoborskiego, nad którym sterczał Szczołb, słup żałobny na szczycie wzgórza.

Przebywszy działek, wjechali potokiem Łyczanką po pod grodek samotny, w porzecze Łososiny dolnej: przez pola żyzne i łąki rozkoszne zdążyli do Białki rzeczki przytoka Łososiny.

Zwracając się na zachód po pod cisowe knieje i połamane od wichrów puszcze (Cisowiec i Połom), zdążali do Dobrocieszy dzisiejszej, nad którą było Nakło źródło piekielne, ziejące iłem i tufami wapiennemi wśród kniei cisowej, pełnej pełzających brzydkich jaszczurów. Po błotach żerowały łosie.

Nie docierając do tego miejsca zgrozy, zatrzymali się w dolinie opodal dworku zbudowanego nad przepaścią, którą do Białki płynął potoczek błotnisty.

Wyszedł do nich mężczyzna lach, dorodny i silny, uzbrojony w kamienny czarny młotek, zaostrzony a wygładzony pięknie; stanął wyzywająco i rzekł:

— Jestem *szlachet* (fenickie *szlht*, zbrojny) na straży tej okolicy; kto jesteście? zkąd? i dokąd podróż?

— Jesteśmy z Tęgoborzy, jademy po sól do Wieliczkiej soli — a ci państwo jadą dalej i z daleka.

— Zkąd jedziecie?

— Z Rzymu!

— Z Rzymu, z kraju Żmijów?

— Ztamtąd! jesteśmy sługami cezara rzymskiego, jademo do morza, po jantar. Mamy tabliczki gościnne żupanów z Szczawnicy, Pilchowa, Sącza i Tęgoborzy. Oto są! Szlachcic przekonany, kiwnął głową i rzekł:

— Dostojni podróżni, dostojni prawdziwie!... aż z Rzymu, aż z Rzymu! toć to bardzo daleko?

— O! bardzo, bardzo daleko!

— A w której to stronie?

— A w tej tak jak słońce z południa schodzi...

— To tak jak Tatry?... Wiem kędy Tatry leżą, bo je widuje z góry, jak bieleją śniegiem. Więc to za Tatryma?... a daleko za Tatryma?... będzie może 3—4 razy tak daleko?

— Dalej niż dziesięć razy jak ztąd do Tatr!

— Oj! oj! oj! też to daleko... A do Wieliczki znacie drogę?

— Zna ją stary włodarz tęgoborski, co przewodniczy podwodom, bo tędy jeździł po sól.

— To dobrze! to dobrze! Tu zaraz za górą jest Harklowiec, jak go zwą żupany, my go zwiema Wojakowę, bo tam była wojna, co Puny zwą *hareg*. Ale teraz to już się nie harkamy, ni wojujemy z Łotwą, która cicho siedzi tam za Dunajcem; toć już niema obawy napaści. Gdyby była obawa, tobym was odprowadził sam, a tą okszą moją niejednemu bym łeb rozwalił na połowę... Jedźcie więc zdrowi!

I zdrowi dzięki Bogu jechali ponad Koziniec, potoczek maleńki, gdzie się pasły sarny nie płochliwe, więc położyli strzałami bez trudności kozła i kozę.

Harklowiec wojakowski wydał się im jak stworzon do wojny, boć to była puszcza ogromna:

z jednej strony Dębina a z drugiej Lipie, wszystko olbrzymy odwieczne wzdłuż potoka.

Łotwa napadała tutaj z za Dunajca bliskiego, gdzie miała zameczek łowiecki, z którego ciągle rozlegał się głos rogów myśliwskich, więc miejsce zwane *Taure-pils* (Tropie) albo Trąbki od wyrazów łotewskich: *taure*, trąbka, *pils*, gród, zamek. Naprzeciwko zaś leżące wzgórze, na którem tryska zdrój wody, więc zwane Wytrzyska, zajęli także i po swojemu nazwali *Burdak* od łotewskiego: *burdet*, tryskać. A że to wzgórze wielce obronne i puszcza nieprzebyta zawalona łomami (Połom) trzymali się tam i od Burdaka napadali, a na Harklowcu bronili im się lechiccy wojacy, łowce puszczy onej, którzy tam mieli grodek swój w Dębowej puszczy nad głębieńcem Rostoki obfitej w źródła. Tam trąbiono pobudkę, tak jak ją Łotwa trąbiła w Tropiu; że zaś tutaj przewodziło punickie żupaństwo, dolina i wzgórze z punicka zwana *Tokat-aj* (fenickie *toke,* trąbić) i po dziś dzień zwana Tokarzówka, bo *tokar* zwani trębacze oni.

»Czarny jeleń« zwał się przywódca łowiec, wojujących, a pamięć o nim pozostała w herbie.

Grodek wojaka był przyłękiem szczytu Kobula (fenickie *gobl*, szczyt góry), a nad Harklowcem była strażnica Gaboń.

Z porzecza Białki przez Działek niewysoki przeprawili się w porzecze Uszwicy zasilanej u źródlisk potokami lgłemi z góry Rosochatki, dalszego ciągu Kobuli. Puszcza dotąd cienista, ale dosyć obsuszna, tutaj zwilżona mnogiemi ponikami, stała się wilgotną i błotną; trzeba było ciągle brodzić w wodzie acz nie głębokiej. Jelenie tak częste dotąd i sarny nie pokazywały się; ale zato łosie zrywały się z błotnistych żerowisk ku szczytowi, który miano nosił od ich rosochów.

Przebyli działek drugi, dobili się do porzecza Śreniawy, mianowicie do przytoka onej płynącego pomiędzy łąki zielone puszczami gęstemi zaciemniane, poczem przez błota trzciną zarosłe i gliniary poprzerywane, dobijając się do samej rzeki Śreniąwy, naprzeciwko grodu Wieruszyc.

Ztąd działami do Raby rzeki, którą przebywszy, jechali dalej równinami wedle przytoka onej, w górę hen, hen! aż do Lednicy solnej wielickiej.

Sól wieliczka.

W onym dniu stworzenia, t. j. w onym milionie lat, gdy ziemia pękła w morzu wapiennem, które okrywało część zamieszkałą dziś przez nasze polskie plemię, gdy wyżygała płyn ognisty, który stygnąc skamieniał w górę trachitu, dziś zwaną Briarka w Szczawnicy; w onej strasznej chwili od żaru skorupy ziemskiej wyparowało morze, poginęły skorupiaki w nim i wypalone na kamień wraz z iłem wapiennym, pieleszą swą popękaną wypiętrzoną, utworzyły Pieniny. W onej to dobie kipiało, wrzało i parowało też morze wedle Krakowa, wypiętrzyło Wawel, a w gorejących pagórkach nowoutworzonych osadzała się sól z wody morskiej wyparowanej, a na pokładach soli skamieniałej osadzały się męty morza kipiącego, pył z zwietrzałych skruszonych granitów i t. p. Tak wytworzyła się sól w Wieliczce, Bochni i po wszech niemal brzegach morza tego wapiennego.

I znów przeszły miliony lat: czyrak ziemi pękł kędy indziej — w Szwecyi — i morze kipiące roztopiło lody odwieczne, potopem zalało ono niegdyś dno morskie, wówczas już porosłe lasami, zamieszkałe

przez słonie kudłate, niedźwiedzie i jelenie olbrzymie. Znowu miejscami osadziło ławy gliny granitowej, ale też miejscami ławy piasku, przez które sączyła się woda z gór, tryskając źródłami.

Owoż, źródełko takie trysło nad pokładem soli wielkiej, dziś zwanej Wieliczką.

I znów minęła chwila stworzenia — może jakie kilka milionów lat — ziemia pokryła się trawami i zbożem, ludzie zamieszkali ziemię odrodzoną.

Nad pokładami wieliczkiej soli pasło się bydło i uciekało do źródełka słonej wody.

Źródełko zaś bijąc z głębi ziemi, podlizywało pokład soli; więc pokład on w miejscu, gdzie był cieńszy, zapadał się: bydło rwało się lizać sól litą.

Trwało to znów lat może setki, może tysiączki: ludzie za przykładem bydła jęli korzystać z soli, kopali w zapadlisku.

Fenicy, czyli Puny, wychodźce z ojczyzny swej Fenicyi, wygnani z drugiej ojczyzny Kartagu, rozproszyli się po świecie: górnicząc, kupcząc, gospodarząc.

Z Sławiany bratali się od wiek wieków, więc też i na wychodźtwie w Panonii i Dacyi zaprowadzili rządy i oświatę. Rzymianie pozazdrościli im tego: Juliusz Cezar zamyślał już wyprawę na dzielnego Berebistę panońskiego, co poskromił Boje niemieckie i Rzymianom stawał w drodze do podboju Sławiańszczyzny. Zawiść domowa pomogła Rzymianom: Berebista (r. 48) poległ w wojnie domowej, Puny kartagskie w Panonii odłączyli się od Feników tyrskich panujących nad Dakami; a niemogąc im sprostać Zyracz punicki przywołał Litwę jezdną *bastarnami* t. j. zagonami, zapędzającą się aż za Dunaj. R. 45 Litwa w bitwie na Pocisiu przemogła Daków, wtłoczyła ich w góry na Sarmaty azyjskie, które się wyniosły co tchu na Szlązk i dalej jako Azy groźne, płosząc Ger-

manów. Daki zaś, wychodźce z Panonii zajmowali siedziby onych na Pogórzu Tatr i Beskidów, zkąd posuwali się w Powiśle; wszędzie bez oporu, gdyż ludność lechicka, rolnicza i spokojna widziała w tem tylko zmianę rządu i to na lepsze, znając większą oświatę Feników niż Sarmat.

Wtedy to przybyli Fenicy i do Wieliczki.

Obeznani z górnictwem i warzelnią soli, zajęli się wydobywaniem tych skarbów ziemi.

Zapadlisko solne wyzyskując najpierw, nazwę polską przetłumaczyli na fenicką: *Lednit* t. j. zapadłe, co wskazaje, że tam założyli dzielnicę swą górniczą, w Lednicy dzisiejszej.

Badając położenie pokładów solnych, poznali wnet: że się one wzmagają ku głębi, więc pomyśleli o dostaniu się do soli wielkiej za pomocą szybu, który założyli obyczajem swoim, wkopując się ślimakowato w dół, jak to wyraźnie znać w kopalniach ich w Siedmiogrodzie jak też to poświadcza godło ich górnicze, skręt ślimakowaty.

Lois zwie się najstarsza robota górnicza w Wieliczce, a *loïl* w fenickiem zwą się schody kręte.

Lois szyb zwie się też Bożydar, a w fenickiem *El-ojsu*, znaczy: Bóg szczęściem, boży dar... Wyrazy te były odwiecznem hasłem górniczem.

Po krętych więc schodach wynosili oni na firszt, czyli wirch, (fenickie *phirs*, wirch kopalni) najpierw ziemię wykopaną hołdę (fenicie *hołd)* a potem sól.

Sól rąbali *kilofem*, który wyraz czysto fenicki oznacza: rąbalnicę, bikę, okszę.

Starali się ile możności nadać jej postać słupa, bałwana, po fenicku *bał-phune*, które to słupy rąbali ostrożnie i bojaźliwie, żeby się nie zawaliła komora: ztąd też komory najstarsze są niskie i nieśmiałe.

Wyczerpawszy komorę solną śledzili dalej, kopiąc szybik śledzący; po dziś dzień szybik taki zwan d u k l a, od fenickiego: *duk,* śledzić.

Chodniki ich od komory do komory były niziuchne, trudne do przechodu chyłkiem: więc bałwany i sól ogółem kładli na wózeczki niziuchne, do których zaprzęgali psy swoje górnicze przyuczone ciągnąć ciężary; więc też wózek taki górniczy po dziś dzień zwan psem.

Ciężka to była praca takie wydobywanie soli, a dotego czasem i niezdrowa, gdyż kopalnie płytkie przesiąknięte bywały wilgocią, z czego wywięzywały się pary i powietrze niezdrowe, po dziś dzień zwane *puch* od wyrazu fenickiego znaczącego powiew, zawianie,

Gdzieniegdzie z góry tryskało źródełko słonej wody, a Fenicy umieli warzyć sól z wody; drzewa też było podostatek, bo całe wzgórze okrywał bór sosnowy, z fenicka zwan *Baryt* (Barycz) W górach więc, kędy rąbali sól, dla ścieku wody słonej zakładali r z ą p i e (fenickie *rep),* do których zbierała się ta *małaka.* którą na *first* wyciągali b u ł g a m i.

Bułgi te były to wiadra z całych skór byczych, więc największe naczynia wodne znane, ztąd z fenicka zwan *bal-gole* t. j. wielkie dzbany. Bułgi wcześnie od nich przejęli Rzymianie jako naczynia wodne, na wschodzie powszechne.

Łotokami sprowadzali wodę do warzelni, a łotoka po fenicku zwała się *łotek.*

Warzelnia zaś była na L e s z n i e, gdzie był *lessen,* t. j. piec parujący wodę.

K l a s n o też zwane od bliskości warzelni, właściwie *k-lassen.*

W s a g a n a c h warzono surowice, a był to fenicki kociołek na niskich nogach.

Ale też i z mniejszym zachodem otrzymywano sól po staremu: dwunastostopowe drwa, układając w stosy siedm stóp szerokie a półtrzecia wysokie, które podpaliwszy zalewano wodą słoną. Woda parowała a sól osiadała na węglach, z których ją oskrobywano. Na dębinie osiadała najsłońsza, poczem najlepsza na leszczynie — jak opisuje Plinius. Zeskrobywanie tej soli zwało się *gareb* a czynność cała garbaryą.

W Wieliczce karbarya jest przy szybie Wodna góra.

Przełożonym górnictwa całego był żupnik, właściwie *zub-nek,* starorta zbioru, zsypu,

Do żupnika wprost udał się Fenik jako do pobratymca; drużyna podróżna pozostała opodal od kopalni.

W dworze żupnym przedstawił się mu i wykazawszy kto jest i jakich Punów miał polecenia; przyjęty uprzejmie. Żupnik właśnie wybierał się w dół do kopalni, zapytał więc gościa, czyby nie był ciekaw oglądać góry, na co tenże rad przystał.

Że zaś Fenik nie był biegły w łażeniu po drabinie, spuszczali się na linwie z łyka lipowego, siadając w śląg i zakładane na linę, której się trzymali siedzący.

Sposób to czysto fenicki, jaka też i nazwa szląg, właściwie *śle,* co w fenickiem znaczy; wyciągać.

Lina zwinięta była w kołowrot obracany rękami ludzkiemi, gdyż to nie było głęboko. Że też kopalnie niebyły w ondy rozprzestrzenione, zwiedzenie nie wiele wymagało czasu, a wystarczyło, żeby Fenika przejąć zdziwieniem nad ogromem skarbów zawartych w ziemi.

— Jest że odbyt na tę sól?

— Jest zapewniony, bo Lechy nie mając soli,

rozbijają się za nią. Spławiamy Wisłą w dół na galarach, a wozami poza Wawel i Ilkusz.

— Zkądżeż macie górników i *halorow* do prażenia soły? (*h-lah* słone, soła; *are* suszyć prażyć).

— Górników mamy zbieraninę z całego świata, zbiegów, przeważnie przed Rzymianami z Noryku, mianowicie z Sykabel (dziś Salzberg przy Hallstadt), nagle wodami zalanego. Tam utonął w kopalni żupnik tamtejszy, a górnicy porozłazili się światami, zwłaszcza gdy Rzymianie zajęli krainę tę górniczą. Jedni udali się do Czech, przyłączyli się do Hermundurów, drudzy obsiedli nad rzeczką Sołą uchodzącą w Łabę sławiańską, gdyż tam była soła w tej rzeczce: więc zostali halorami, warzyli sól aż do niedawna Pozazdrościli im niemieckie Katty, wystąpili z uroszczeniem, jakoby cała góra solna z dawien dawna była ich własnością.

Góra ta wysoka zwie się Modliborze, która nazwa sławiańska wskazuje, iż Sławianie modlili się tam bogom swoim; więc była własnością onych a nie Kattow niemieckich. Sławianie łącznie z naszymi Hermundurami i Hallorami postanowili bronić swej świętej góry. Hermundury podżegając zapał religijny, wojsko nieprzyjaciół poświęcili bóstwu wojny i kupi.

Kattowie zaś dumni z zwycięztwa Germanów nad Rzymiany i Marobudem czeskim, odgrażali się wytępieniem Hermundurów, Hallorów i ich sławiańskich popleczników. Przed czterą laty (R. po Chr. 54) uderzyli wstępnym bojem w sile przemożnej, którą jednak przełomił zapał religijny, gdyż porażeni zupełnie! Hermundury dotrzymując ślubu, wybili ludzi i konie i cokolwiek im popadło w ręce. Kattów pogróżki obróciły się na zgubę onych samych [1]).

---

[1]) Tacit de mor. Germ. 41.

Otoż w czasach tych niepokojów wyniosło się ztamtąd Hallorów niemało, mianowicie takich, co się pożenili z Niemkiniami i nie chcieli bić się z Niemcyma, a z nimi wraz przybywali górnicy niemieccy żonaci z Sławiankami. Ztąd tutaj mieszanina wielka, a baby ciągle kłócą się między sobą! Ale mężowie ich, sól kopią i warzą należycie, śmiejąc się z tej babskiej wojny bezustannej.

Rozmawiając tak, kazali się wyciągnąć na wirch, gdzie zastali gwar wielki.

Na Lednicy, w pobliżu chat górników, opodal od kopalni rozłożyli się podróżni, a Rzymianka z niewolnicą zajęły się gotowaniem obiadu, w czem dopomagali obaj łowce i sługa zmarłego Spekula. Niedźwiedzia uwiązano u koła wozu, a małpa wedle zwyczaju siadła sobie na wozie z batożkiem w ręku, zwiesiwszy nogi, poglądając to na niedźwiedzia, to na psy drzemiące, a w końcu na ludzi i kopalnie w dolinie. Wtem niedźwiedź boruknął; może z głodu albo pragnienia, albo może z tęsknoty za lasem, górami, niedźwiedziami!

Z niedalekiej chatki górniczej wyskoczył pies duży i zjadliwy, rozsierdzony strasznie, szczekając i warcząc, na co mu niemniej gniewnie odpowiadały psy łowców, do burczenia zasię pobudzając niedźwiedzia. Pies on ujadając dostrzegł niedźwiedzia i małpę, więc na oślep poskoczył ku nim, nie zważając, że mu z boków zachodzą psy tamte i że małpa szczerzy zęby a chwyta silnie batog. Gdy się zbliżył, małpa świsła go batogiem po oczach raz i drugi, a psy łowieckie przypadły z obu stron, rzuciły o ziemię i gryzły bez litości. Psisko zawyło ogromnym głosem, a małpa z radości śmiała się i skakała na wozie.

Wtem z chaty wybiega górniczka rozgniewana, z palicą w ręku, wali psy łowcze, oswobadza swojego i klnie, złorzeczy na czem świat stoi; a wszystko po

niemiecku, bo była Niemkinią. Małpie spodobało się to jeszcze bardziej; szczerzy zęby w śmiechu i podskakuje wysoko z radości.

Niemkini spogląda zdziwiona, a że nigdy w życiu nie widziała małpy, sądziła iż to człowiek karłowaty, a bacząc ją w serdaczku baranim, myślała, że jaki góralik potworny naśmiewa się z niej, Nie namyślając się wiele, zbliżyła się doń i wołając: *Verfluchter goralen deufel! lachst mi aus?* — podniosła nań palicę.

Tej chwili oberwała od małpy batem po głowie raz i drugi — a z boku od ogniska usłyszała głośny śmiech ludzki — śmiech kobiecy. Cofnęła się przed małpą i niedźwiedziem, zbliżyła się do ogniska, zagadała: czemu się śmieją.

Usłyszała odpowiedź po rzymsku i poznała się na mowie rzymskiej, boć była przedtem w niewoli u Rzymian. Przypomniała sobie swoje młodociane szczęście nie tak dawne!.. Przed lat ośmią była dziewicą dorodną, kochaną i kochającą, zamożną w dostatki i w nadzieje przyszłości błogiej, o której marzyli rodacy jej, Kattowie bitni. Zamierzali wyprawę wojenną na sprzymierzone Wangiony i Nemety, aby pomścić obrazę pokolenia swego, obrazę córki Katumera książęcia Kattów, której syna Italika w niewoli rzymskiej wychowanego i z Rzymu Cheruskom na króla przysłanego, nie chcieli słuchać, lżąc z ojca i matki, Z tej przyczyny uchwalono zemstę krwawą, licząc na poparcie Rzymu, a nie wiedząc, że Rzym radby zgubić Germany wszystkie. Wangiony i Nemety także liczyli na Rzymian, gdyż im podszepnięto obietnicę: prosili o pomoc legata Luciusza Pomponiego, któren rad niezgodzie, przydał im jazdę posiłkową i nadał dowódcę biegłego [1]).

[1]) Tacyt XII. 27... 89.

Obyczajem Niemiec ruszyli Kattowie zagonem, biorąc z sobą wozy i kobiety, ruszył też i ojciec jej i brat i kochanek; więc i ona przysiadła się, aby w danym razie nieść pomoc rannym, a w ostateczności z orężem w dłoni przyczynić się do wygranej.

Bez oporu złupili kilka miejsc zamożnych, obłowili się zdobyczą i wracali ciesząc się zwycięztwem bezkrwawem. Nie bacząc pogoni, rozłożyli się obozem na polu otwartem; jedli, pili, aż się popili i posnęli.

Jazda rzymska posiłkowa, przypadła niespodzianie i nagle, nazabijała mnóstwo, nabrała jeńców nie mało, a ku niewymownej swej radości oswobodziła kilku starców, jeńców od lat czterdziestu, bo jeszcze z klęski Wara niewolników.

Między jeńcyma była i ona, między trupami ojciec i kochanek!

Zesromoconą, zhańbioną, Rzymianin zwycięzca darował staremu jeńcowi oswobodzonemu, od którego wkrótce odkupił ją Hermundura czeski, rzekomy mąż jej, który przed rokiem, gdy się zanosiło na wojnę nad Sołą, wraz z innemi i z nią wyniósł się do Ligów kopalni solnej wielickiej.

Wszystko to przemkło jej przez myśl teraz, na widok Rzymianek, na odgłos mowy rzymskiej.

Wstrząsła się od wzruszenia i gniewu, a bacząc twarze ich wesołe i uśmiechnięte, zdradzające radość z jej upokorzenia przez małpę; zacisła obie pięście, zapieniona od złości, wołała siląc się przypomnieć złorzeczenie rzymskie:

— *Roma verfluchte! romanos Deufel rapiat!*

Śmiechem hucznym odpowiedziała drużyna cała, co ją jeszcze bardziej rozjątrzało, pobudzało do tem większego krzyku, do nawoływania tem głośniejszego.

Z chatek wybiegały górniczki i dzieci i psy; wszczęła się wrzawa wielka.

Górniczki lechickie mogły się rozmówić z Trakami macedońskiemi, wywiedziały się od nich o zajściu całem, jako też, że małpa nie człowiek, ale zwierze bezrozumne mimo, iż odziane w serdaczek barani. Więc wszystkie w śmiech ile ich było: że Niemkini ma go za człowieka złośliwego, podmówionego od Rzymianek. Jedna z sąsiadek, poważna ale tęga i do czynu skora, wystąpiła przeciwko niej w wyrazach dobitnych udowadniając jej błąd i nieświadomość, więc ujmując się Rzymianek niewinnie obwinianych. Niemkini odcięła się, lżąc jako głupią gęś polską.

Obraziło to sąsiadkę! podparła boki i wrzasła:

— Stulisz ty pysk! ty przywłoko, coś wycierała rzymskie obozy, gdzie cię sprzedawano z powrozem na szyi jak samurę świńską! Stul pysk, mówię ci, bo ci go pięścią zamknę!

Wywiązała się kłótnia: obie niewiasty dobierały wyrazów jak najdotkliwszych, sąsiadki Polki pomagały rodaczce; więc Niemkini w końcu nie mogąc sprostać, zerwała się, biegła do żupnego dworu — na skargę. Za nią poszło kilka sąsiadek, śmiejąc się i pokpiwając; onej zaś w pomoc przybiegła Hermundurka druga, też odważna i nie szczędząca gęby. Więc gwar i hałas zapanował w dworze żupnym.

Żupnik nie mógł pojąć, o co chodzi tej Niemkini; wobec smugi po twarzy od bata i wobec żałoby na małego człeczka czarnego w kożuszku, co ją bił na rozkaz Rzymianek!..

Fenik dorozumiał się sprawki małpy, a gdy górniczki nałajawszy sobie do woli, opowiedziały zajście, żupnik i Fenik obadwa wybuchli śmiechem niepohamowanym, któremu zawtórowali wszyscy obecni.

Niemkini nieboga, zawstydzona uciekła, a za nią odcinając się słowem i odgrażając pięścią odeszła i przyjaciółka jej.

Żupnik aż odetchnął po odejściu całej tej zgrai i rzekł:

— Przebyłem też dużo świata, widziałem wiele ludzi, ale kobiet tak bezwstydnych i złośnic jak tutaj, nie widziałem nigdzie. Bo to zbieranina z całego świata! Co one za wszeteczeństwa na siebie wygadują — zgroza słuchać.

Ledwo że się pozbył kłopotu tego, nastał drugi. Od składu solnego nad Wisłą przypadł konny posłaniec Brodowego wiślnego, oznajmiając, że dwa brodia (t. j. okręta) solą naładowane i przeznaczone na spław mazowiecki, nie mogą z miejsca ruszyć, gdyż odbiegła ich wszystka czeladź pławnicza, wszyscy brodnicy, odmówieni przez jakiegoś pławcę kupczącego...

Żupnik zerwał się jak oparzony i zawołał:

— Skaranie boże z tymi brodiagami hultajami! uciekają ze służby za lada powodem i nie sposób ich przytrzymać.

— Przykuć do ławy wioślarskiej, lub okuć w łańcuchy — radził Fenik.

— Ba! żeby to w Rzymie albo na morzu! Ale to tutaj, wśród tych Lechów głupich, którzy nie uznają niewoli, bo wszyscy są niewolnikami najezdników, a jak tych nie staje, to sami proszą o jarzmo na karki swe... Ale gdybyś pojedyńczego okuł, toć narobią krzyku i wrzasku co niemiara! Najgorsze zaś te Mazury, co to Wisła płynie ich ziemią; niechby jeno obaczyli niewolnika okowanego w brodiagach, toćby zabrali brodyę wraz z solą! a oni najwięcej soli kupują. Toć też brodników nie można więzić, ale można straszyć, można raczej zabić i w Wisłę rzucić, to go ryby zjedzą a ludzie się nie upomną o niego. Hultaje odważni, nie boją się jak tylko wojaków a raczej oręża! Czem lepszy oręż, tem bardziej się lękają! Wojaków jednak nie ma, aż na Krzemion-

kach w obozie, lecz wojewoda nie lubi ich wydalać potrzebując do oblężenia Wawelu, a ja tymczasem nie dam sobie rady!.. Ot! możebyś ty mi dopomógł?

— W jaki sposób?

— Masz kilku Rzymian, niezawodnie zbrojnych: dam wam podwody potrzebne, dam wam urzędnika, jedźcie do Wisły, migajcie orężem, rozkazujcie zbiegom, żeby natychmiast wracali i pławili na Mazowsze. A jeżeliby z onym kupcem chcieli umykać, siadajcie w czółna, zastępując i grożąc orężnie onym i kupcowi.

— Nam droga do Karodunu.

— Właśnie to po drodze! a za przysługę, podwody odstawią was tam na miejsce, a ja polecę was gwarajkowi tamtejszemu; tylko namyśl się!

— Zgoda! bez namysłu.

Żupnik wskazał podwody i urzędnika, Aelius zaś uprzedzon od Fenika, rozkazał wszystkim swoim przywdziać zbroje i przyłbice i mieć oręż w pogotowiu, co też uczynił i sam.

Górniczki i wszyscy obecni wytrzeszczali oczy, podziwiając ciężkie gladiatorskie przyłbice z ochroną na twarz i kark, więc i zbroję żelazną naręczaki i nagolenniki: aż dreszcz porywał patrzyć!

Małpa zaś okrutnie się cieszyła, podskakując na niedźwiedziu swoim: spodziewała się igrzysk jak w Rzymie!

Siedli i pojechali! Przed nimi pędził z powrotem posłaniec Brodowego, dając znać o wojakach rzymskich...

Brodowy bardzo się ucieszył z pomocy tak znakomitej a niespodziewanej i natychmiast rozporządził co należało: mianowicie przygotował kilka czółen lekkich a silnych i niewywrotnych, bo po bokach ubezpieczonych przymocowanemi snopkami trzciny. Przyłagodził też lipową linę długą i kotwicę drewnianą

nabrzeżną z palikiem i pałką; więc też pochodnie dwie. Gdy nadjechali Rzymianie, przywitał ich, poczęstował na prędce i prosił by wsiedli do łódek i ukryli się na załomie brzegu za kępą.

Wawel.

R. P. 21, po upadku Marobuda króla Sławian i gockiego następcy jego Gotwalda, Rzymianie osadzili rozbitki na północ od Dunaju w międzyrzeczu Morawy i Wagi, oddając ich pod panowanie Łotwy i króla Wana. Trzydzieści lat panował i zdzierał poddanych, aż się im sprzykrzyło. Goty niemieckie zmówili się z Hermundurami, a niesłychana moc Lechów przybyła im w pomoc — porazili jego jazdę i piechotę tak dalece, iż musiał schronić się do Rzymian.

Lechy ruszyli nań naremnie, pospólstwem całem, bo i oni byli pod panowaniem onegoż, a zagon łotewski zajął Lechią, wyciskał pobory, ciemiężył.

Lachy zwycięskie otrząsły się z tego jarzma: wojewodowie lechiccy podzielili między siebie krainy oswobodzone.

A działo się to R. P. 50.

Na Skałce nad Wisłą był zameczek starodawny lechicki, zawierany bramą okowaną żelazem, więc zwan Gwoździec, bo gwóźdź *(góźdź)* to starosławiańska nazwa żelaza. Puny panońskie zastali go już i po swojemu przezwali *Wawl* t. j. gwoździec, zamek żelazny, obronny. Z Wawelu pieczarą podziemną schodzi się w dół aż do Wisły, a dolny wychód tej jamy jest samorodną strażnicą nadrzeczną. Korzystając z tej dogodności, pobierano na zamek cło od pławników wiślanych: trzeciego barana lub trzecie cielę.

Gdy Łotwa dążąc do Panonii, opanowała Powiśle, a król ich Wanno został królem Sławian z łaski Rzymu; wyciskając dochodów ile się dało, Wanno nie przepomniał cła wiślnego pod Wawelem. Straż poborowa jego gdyby smok żarłoczny wypadała z swej jamy, zabierając barany i cielęta.

Sprzykrzyło się to ludziom, więc gdy wojewoda rozesłał wici zwołując wyprawę na Wanna, chwycili oksze, rohatyny, oszczepy i młoty kamienne; ruszyli przodem i nie oparli się aż o Dunaj, gromiąc Jacygi łotewskie.

Niemce tymczasem zajęli opuszczony Wawel i wybierali nietylko barany i cielęta, lecz porywali dziewice dorodne.

Ztąd też straż ich niemiecka zwana smokiem pożerającym bydło i ludzi.

Lechy zwyciężywszy Łotwę, jednemu z wojewodów zamieszkałemu pod Wawelem poruczyli oswobodzenie tej krainy. Usadowił on się na Krzemionkach, ale Wawelu, ubezpieczonego położeniem na górze wśród błot i ogrodzonego, zdobyć nie mógł; z żalem tylko słuchał i patrzał, jak one smoki wypadają z jamy, zabierają bydło i ludzi.

Do uporczywej walki z Niemcyma potrzebował on dostatków, a nie chcąc poborami ciemiężyć poddanych Lechów czyli rolników, po staremu odnowił pobór ceł, mianowicie na Wiśle, która była główną cestą kupiecką. Z soli wielickiej szły zyski wielkie, bo odbyt był ciągły Wisłą w dół.

Pławnicy jako pierw niechętnie dawali pobór smokom Wawelskim, tak tez i teraz strażnikom wojewódzkim: przemycali gdy się dało, a czeladź ich, brodiagi wybituchy, byli przemytnikami przemyślnymi i w porozumieniu z Niemcyma.

Strażnicy szli w pogoń za przemytnikami, a na dane hasło zastępywała im straż składu solnego nad-

wiślańskiego, chwytając umykający galar przemytniczy.

Przemycano też i teraz galar kupiecki a zapobiegając zastępowi straży solnej, kupiec przebiegły odmówił czeladź brodniczą z brodiów skarbowych wielickich, pozbawiając ich przeto możliwości ruchu wodnego.

Zmrok już zapadał, gdy galar przemytniczy przemknął po pod Krzemionki, nie zważając na wołania straży, rozkazującej lądować. Więc strażnicy w czółnach nierychło puścili się w pogoń, a brodnicy umykali co tchu, znając dobrze odmęty i prądy, a ciesząc się, że chmara czarna zasłania niebo gwiaździste.

Pogoń strażnicza wojewódzka bacząc że nie sprosta, dotarła ku składowi soli i chciała już nawracać, gdy nagle usłyszała krzyki i obaczyła czółna z pochodniami, wybiegające z po za kępy, a przy pochodniach dostrzegła migotanie lśniącego oręża i zbroi.

Huknęli więc z swej strony i natarli zachodząc od brzegu i mielizny, podczas gdy tamci zastępywali z dołu i grożąc orężem lśniącem, brali galar na linę, ciągnąc do brzegu.

Czeladź zdradziecka padła na kolana, błagając litości, wymawiając się ponętą kupca przemytnika.

— Gdzie on jest ten zdrajca?

— Tu był! tu się schował... oho! skoczył w wodę, ucieka wpław!

Czółenko małe puściło się za nim, a na tem czółenku stał Ursyn, a Sylwan wiosłował. Zbieg pływał dzielnie, uprzedził czółno i już wydostał się na brzeg, a mieniąc się bezpiecznym stanął, obejrzał się. Wtem coś go chwyciło za szyję i ramię... chwyciło, ścisło, porwało... plusnął w wodę głową w dół, a to ciągnie — maca ręką... okrągłe, śliskie! zrozpaczony myśli że wąż wodny rzucił się nań i do wody ciągnie... Oh! bo w Wiśle bywają gady różne i smoki.

Ale to nie był wąż! to łowca chwycił go na arkan. Chwycił, przyciągnął wyciągnął na czółno, związał, przyzwiózł na galar i oddał strażnikom.

Przyjrzeli się mu, poznali i zawołali!

— A! to ty ptaszku? mamy cię przecie ty smoku wawelski! To pierw łapałeś przemytników, wypadając z jamy, brałeś barany, cielęta, ludzi — a teraz sam przemycasz? Pójdziesz na pohybel!

Związali jak barana, powieźli na Krzemionki.

Był to pół-niemiec: syn Czecha z Niemkini, obojga wychodźców podczas wojny Kattów. Rodzice osiedli w Wieliczce, bo ojciec był solnikiem czyli hallorem. Synalek nie chciał kopać pod ziemią, wolał sól wozić ku Wiśle. Podczas wyprawy na Wanna króla, pozostał doma, rzekomo jako stróż składu solnego. Przypadły niemieckie Gotty, zdobyli Wawel, zabrali skład solny; on lekkoduch przystał do nich, pobratał się z łupieżcami, kupczył łupem, którego mu dostarczała gotycka załoga Wawelu, a w końcu stał się złodziejem, przemytnikiem i łupieżcą składu solnego na Wiśle. Znając dokładnie wszystkie ścieżki i sposoby wszystkie, przemykał się niepostrzeżenie, a nawet w obec strażników wojewódzkich, którzy go znali dobrze i nieraz mu z brzegu grozili pięściami, gdy przemykał Wisłą.

Wielką więc przysługę zrobili im Rzymianie, łowiąc takiego ptaszka niebezpiecznego, a żupnik nie posiadał się z radości, wróżąc odtąd spokój urzędowaniu swemu. Kazał go ochłostać należycie i spuścić do kopalni najgłębszej, gdzie z łańcuchem u nogi musiał rąbać sól i okrakiem jak pies pchać na wózku solne bałwany.

Rzymskiej zaś drużynie żupnik nie mógł się nawydziękować, prosił usilnie, by go nie mijali w powrocie; dostarczył podwód dobrych pod przewodnic-

twem gwarka dowodnego, który ich miał odstawić do Karodunu i usilnie polecić żupanowi tamtejszemu. Przeprawił ich za Wisłę, życząc podróży szczęśliwej.

Karodunum, Olkusz.

Za Wisłą znikły góry i lasy liściaste, nastały równiny piasczyste okryte szumiącemi borami sośniny, która po fenicku zwie się *beros* t. j. rozłożysta, więc też czarnolesie sosnowe z fenicka nazwane *bór*. Nie wszędzie jednak wypadała droga borem, bo miejscami piasek lotny zawiał las, utworzył ławę piasku, w którym gdyby w błocie z trudnością brnąć było; czasami zaś przebywano równiny gliniaste, obsiane zbożem, a druga zapuszczała się w wąwóz wodą wyżłobiony.

Znudzonych podróżnych przewodnik pocieszał wygodami, jakie obiecywał na noclegu w przydrożnej gospodzie z punicka zwanej *El-hota* (gospoda), od Lechów zwanej Lgota.

Opowiadał on, że *lhot* czyli *lgot* takich mnóstwo jest w ziemi Lechów, którzy przyjęli Panonów i ich oświatę fenicką; mianowicie nad Wisłą górną i nad Odrą jest ich kilkadziesiąt, bo też tam Punów pełno, osobliwie po miastach, gdzie kupczą i rzemieślniczą. A wszędzie obok mają cmentarz osobny z Żarką zwłok, mają też jedną, a czasem kilka Elhot w pobliżu, dla wygody kupców, krążących z wyrobami Hermundurów szczególnie.

Z boru sosnowego wyjechali na obszerny wydmuch piaskowy, a przewodnik wskazał zabudowanie jakieś odosobnione, mówiąc z dumą:

— Oto Lhota!

Była to szopa obszerna, zajezdna, z wrotami otwartemi na oścież, a obok niej stała chałupa dość okazała z podcieniem na słupach opartem, wszystko pod dranicami na kółkach.

Gdy się zbliżali do szopy, jeden z woźnic obejrzał się, wskazał palcem ku podcieniu szeptając znacząco:

O! Feny, Feny! widzicie ich?

Wjechali do szopy, on jeszcze się ogląda, wskazując Fenów.

— Cóż to za Feny?

— No! Feny, górnicze, co po górach skarby zbierają!

— Więc górnicy?

— Kaj ta kaj! to Feny karłowate. O! to niedobre duchy — umieją czarować! a jak nazbiera skarbów, to je wysypie na swoją płachtę trzygraniastą, siądzie sam i fiiuh! powietrzem poleci aż na morze! bo oni są z za morza. O! słyszycie go? widzicie? Patrzcie, patrzcie! pies czarny wyskoczył do niedźwiedzia! Poczekaj! przywita cię tam małpa batem, jak onego w Wieliczce. Ale nie! ona się boi, bo to pies czarownika!

Fenik stary, bacząc Fenów, zbliżył się ku nim i rzekł:

— *Birkathbaal!* (błogosławieństwo boskie).

— *Iberik!* (niech będzie pochwalon) — odrzekli.

Fenik spotrzegł, że na kłodzie siedząc, oglądali kamienie jakieś, wiec spytał po fenicku:

— *Mu phursa?* (co to znaczy?), *ebenim sabbim?* (czy kamieniarze?).

— *Bel!* (nie!).

— *Mu pho?* (cóż tedy?).

Enskim sabersel, sakojsef, saberil (lejarze żelaza, srebra, ołowiu).

Fenik z ciekawością przyglądając się ich czapkom obwisłym, butom spiczastym, zapaskom i przepaskom skórzanym, rzekł powoli, iż jest kupcem z Rzymu i jedzie po jantar nad morze, dodając zapytanie, czy daleko jeszcze i którędy droga?

— Oh! sprzykrzy ci się podróż i to nieraz jeszcze, nim dojedziesz; ale trafić trafisz, tylko trzymaj się biegu rzek bo wszystkie one płyną do morza tego.

— Wy nie bywacie tam?

— Albo nas to skóra swiędzi, żeby ją nadstawiać Burigundom i Łotwie. Tutaj mamy skarbów dosyć, pocóż mamy ich szukać daleko? skoro ich tu ziemia mieści co niemiara. Co kamień to skarb!

— Jak to?

— Ot tak! Przyglądnij się tylko dobrze! Bacz ten kamień siwy: on zawsze jest podłogą rudy ołowianej i srebrnej — a widzisz ile go tutaj wszędzie w piaskach. A ten ciemny, brunatny kamień to jeszcze lepszy; gdzie on jest, tam bywa i kruszec. Tu po tych pagórkach wszędzie kamienie takie widne, więc też wszędy jest żelazo, ołów i srebro; byle tylko natrafić na gniazdo, a wtedy lepszy zysk jak z twego jantaru głupiego, na którego nawet i kupca nie ma.

— A na ołów jest?

— Pytasz się jak dziecko! ołów i to srebro tutejsze jak domieszać do miedzi, toć będzie brąz, podobny do złota.

Fenik uradowany omal się nie wygadał, że wiezie spory ciężar miedzi panońskiej, ale ugryzł się w język i zamilkł. Górnicy zaś zabrali worki z kamieniami, zarzucili na plecy i poszli dalej — szukać skarbów.

Nocleg byłby dosyć wygodny, na słomie z prosa i posiłek z kaszy jaglanej na mleku i owsianej kulaszy, żeby tylko nie te komary naprzykrzone! Całą

noc przelatywały, cieniuchnym głosem brzęcząc wedle ucha, jakby się pytały: »Czy ty śpisz?«... Rzymianka nieboga okrywała głowę zasłoną cieniuchną; gorąco jej było, a komary przez rąbek kłuły żądłami swemi. Woda też była niedobra do picia: trąciła ziemią.

Nazajutrz wcześnie stanęli w Olkuszu, przebywszy wielką pustynię piasczystą.

W pośród tych piasków ogromnych w dolinie posępnej, rozległej, były kopalnie ołowiu i rzekomego srebra. Jak wszystkie góry, tak i one, były własnością króla, który Fenikom pozwolił wyzyskiwać je za pewną opłatą; bo po prawdzie ani wiedział, coby począć z tym kruszcem białym a miękkim.

Gdy się więc zjawił Pun świadom kopania, pozwolił mu chętnie, wymawiając sobie opłatę.

Kar-adun więc, t. j. kopalnia pańska, nazwano górę oną, a gdy prócz ołowiu jęto wydobywać rzekome srebro, dodano nazwę *Il-koisef* a w skróceniu *Il-kois*, t. j. biała, srebrzysta, tak iż przydomek on przeszedł w nazwę właściwą: Ilkusz, Olkusz.

G w a r e k nazwę urobiono z żupana górniczego nazwy: *guw-raik,* t. j. kopania świadom a podatek koronny nazwano o l b o r ą z punickiego *el-bor:* studnia, kopalnia.

Gwarek ilkuski niezmiernie rad był Fenikowi po okazaniu tabliczek gościnnych od Feników tak godnych i żupanów lechickich; a to tem bardziej gdy mu tenże okazał jeszcze kilka kruchów czystej miedzi panońskiej, które przywiózł na zamian za wyroby narzędzi i ozdób pokupnych za jantar. Wpłynęła też i powaga Rzymu i dworu cesarskiego! i polecenie żupnika z Wieliczki.

Gwarek ilkuski otworzył mu serce swoje i kopalnie swoje, do których go wprowcdził po drabinach. Okazał kamień nad rudą ołowiu i rudę ołowianą, a pod nią białą rudę galmanu, który mienił sre-

brem. Srebro to rzekome, łupkowato otaczało ściany kamienia i wypełniało szczeliny i jamy.

Tam naocznie przekonał się Fenik o prawdziwości słów górnika zdybanego w Lhocie! o skarbach nieprzebranych zawartych w łonie ziemi. Zazdrość go brała i chętka przeniesienia się w te strony i zostania takim gwarkiem zamożnym. Aż mu się głowa mąciła od zamysłów.

Jeszcze nie skończyli rozmowy, gdy usłyszano wołanie głośne wzywające do powrotu jak najszybszego, bo niebezpieczeństwo od wody!

Gwarek zerwał się gdyby oparzony, biegł chyłkiem za górnikiem niosącym światło. Fenik ledwo podołał zdążyć za nimi. Dopadli drabiny, spinając się co tchu i milczkiem. Gdy się zbliżali ku wychodowi, przestrach tamował im oddech: bo z pomiędzy cębrzyny, szczelinami tryskała i sikała woda, ponad sobą słyszeli szum straszny, głosy ludzkie tworzliwe, a na niebie grzmot i pioruny.

Dolina cała okryta była powodzią: Baba potok wezbrał straszliwie, rozlał się szeroce, a przez ławicę piasku lotnego przesiąkając, tryskała woda spodem; zagrażając zalać kopalnię.

Po niedługiej chwili rozeszły się chmury, słoneczko zajaśniało na niebie, powódź jak nagle przyszła, tak nagle szczesła.

Fenik zdziwiony zapytał:

— Gdzież się podziała ta woda, czy ją ziemia wsiąkła?

— Piasek ją wsiąknął... ten piasek, co pokrywa skały podziemne, w których kopiemy.

— Toćby mogło zalać kopalnię?

— Widziałeś, jak woda tryskała, jak zalewała. Gdyby nie cębrzyna, byłaby zalała.

— I nasby potopiła?

— Oczywiście, że tak!

— O zgrozo! przed chwilą zazdrościłem wam skarbów waszych podziemnych, ale teraz nie chciałbym się do nich dobierać.

— Przecież to nie zawsze powódź tak naremna! deszcz zwykły odpłynie Babą potokiem, który tam poniżej gubi się w piaskach. A i od powodzi bronimy się cębrzyną szczelną.

— Dziękuję za nic! wolę jantar, niżeli wasze srebro...

— Ale wyroby z srebra piękne: chodź, okażę ci wyrobnią.

W wyrobni z podziwem widział Fenik połamane brązowe miecze fenickie, pokruszone ciężkie naramienniki i t. p.

— Co to jest? tać to szkoda tego!

— To zysk, nie szkoda! Bo do tego domieszamy ołowiu i srebra naszego wcale sporo i będzie brąz nowy, żółciejszy i cięższy jeszcze, za który nam nawet lepiej zapłacą, niż za tamten prawdziwy. Bo co oni się tu rozumieją, te głuptaki północne: byle się świeciło, to już dobre i ładne, ale czy to cyna brytańska, czy ołów ilkuski — co oni wiedzą! A sądzisz, że pieniądze rzymskie lepsze? Ot, ten pieniądz brązowy zmarłego cesarza Klaudiusza, zaręczam ci, że trzecia część kruszcu w nim jest ten biały *kojsef*, taki jak nasz! — bo to nie jest srebro prawdziwe, tylko pozorne, ale popłatne, jako i tamto. Ja też tobie za miedź dam takich lichych pierścionków i kołeczek, za które dostaniesz jantaru więcej niż za najlepsze miecze fenickie z starego brązu, co tną: mięso, kość i żelazo. Dostarczę wam też podwód aż do Kalisza, zkąd już niedaleko do rzeki i wód, któremi popławicie aż do morza.

Tak się też stało: Fenik nabrał mnogo pierścieni, obrączek, guzików i szpilek dużych pojedyńczych i składanych na zamian za jantar. Między in-

nemi nabrał sporo skrętek z drutu brązowego, gdyż one nawdziane na powrózek i okręcone około szyi lub głowy; stanowiły ozdobę najświetniejszą ludów pomorskich. Nabrał też dzwoneczków maleńkich w postaci guzów okrągłych, bo to był szczyt ozdób niewieścich, taki dzwoneczek jeden i drugi brzękający u zapaski.

Nie zapomniał i szydeł twardych do przewiercenia blachy...

Lechy rolnicy dostarczyli podwód dostatecznych, poczwórnych, a woźnice wesoło i hożo skoczywszy każden na swego konia podsobnego, trzaskając z bata i szarpiąc powodzką z powrozu pojedyńczego: cwałowali po piaskach.

Ogrodzieniec wzgórze, skałami sterczącemi ogrodzone, w milowej już odległości ukazywało się z pośród lasów: boć to dział wód Przemszy, która tam wytryska źródłami mnogiemi i Warty wypływającej o milę dalej ku północy. Gród to samorodny i obronny a na cieście pomorskiej.

Nie zatrzymywali się, jak tylko, żeby popaść i napoić konie, poczem cwałowali dalej i dalej, mijając polka uprawne i wioski maleńkie.

Olsztyn. Na wydmach piasku w pośród lasów, wznosi się góra najeżona skałami sterczącemi; na tej górze stał zameczek z punicka nazwan *El-tyne* t. j. wzniesione, sterczące. W pobliżu, w uboczy góry zasypanej piaskiem i niedostępnej, jest jaskinia wysoka i wspaniała, gdyż ubrana wapiennemi soplami zwieszonemi z sklepienia i pilarami po ścianach utworzonemi wapieniem ściekającem.

Zameczek i jaskinia bywały schroniskiem przed nieprzyjaciołmi, a wydmy piaszczyste nieraz barwiła krew ludzka.

Częstochwa nad samą Wartą, wzgórze wsławione od wiek wieków: że tam oddawano cześć Bogu, a oddawali ją Lechy i po swojemu nazwali Czestohowa, co po dzisiejszemu brzmiałoby Czcihowa. Cześć oddawano tam Jessemu, Bogu jasności, więc i góra jaśniejąca w słońcu i zdala widna, zwana Jasną górą. Świętość jej słynęła od wiek wieków, a Lechy z bliska i z dala pątniczyli w drużynach nabożnych, pomodlić się Jessemu na jego Jasnej górze.

Warty porzecze — to już Lechia rdzenna: wszędzie pola urodzajne pokładane pługiem, lecha wedle lechy, aż miło spojrzeć na te pokłady, odłogi i rozłogi lechy. Więc też wsie rozległe, bo każdy lech siedział na swojej lesze, każden Polak na swojem polku lub polu gospodarzył.

A Warta sama spławna: od Pławnego począwszy, toć to gdyby otwarte wrota, któremi latem pławiono dary boże obfite, a któremi w zimie po lodzie wpadała Łotwa pruska. Więc też i Łotewska nazwa rzece dana: *Wartaj*, wrota. Aleć to były wrota strzeżone pilnie, a stróż z łotewska zwał się *Wartas*.

Stróżą taką i to potężną był Osieków.

Osieków od Rzymian zwane *Arsenium*.

Jest to fenickie *air-zenen*, gród czyli stróża utwierdzona tarniną; bo *zen* zwie się tarń, a *zenen*, ogrodzić... *air* zaś znaczy: stroża.

Była to więc stroża ocierniona, ale nie samorodna, jeno osieczona, jak poucza nazwa polska.

Osiek zaś i zasiek nie bywało, dokąd nie było siekier, a te są narzędziem czysto fenickiem, jakoteż od nich przyjęte i siekanie, do którego nieudolna była polska krzemienna oksza.

Župany panońskie dla obrony od Łotwy nieprzyjaznej, robili po lasach zasieki i osieki — oni też

Lachów nad Wartą nauczyli założyć Osieków ciernisty, w którym z poza osieki niedostępnej, kmiecie skutecznie mogli się bronić, miotając oręż swój.

Osieków nad Wartą był dogodną stannicą i gospodą kupiecką, jako schronisko bezpieczne wpośród puszczy wspaniałej, którą przepływałą Warta krętem korytem, począwszy od Pławna.

W Pławnie pławnicy sami nastręczali się z czółnami: więc odprawiono podwody, ujednano pławników do tegoż Osiekowa, a w razie potrzeby i dalej.

Piaski już ustały; zamiast wydm piaszczystych miejscami bielały brzegi kwitnącą hreczką (gryką, tatarką), a Rzymianie z podziwem, ale i ochotnie jedli kaszę i nie wiedzieli jaka ostatecznie lepsza: czy gotowana w mleku, czy taka, co na wodzie a dostatnio okraszona skwarzoną słoniną, bo skwarczki smakowały im.

Puszcza liściasta odwieczna rozlegała się po obu stronach: klony, brzosty i dęby naprzemian z lipami, miejsca zaś niezacienione rumieniły się od jagód kaliny. Toć też to był matecznik jeleni, których stadka nie w jednem miejscu pasły się nad brzegiem lub poiły w rzece, umykając za zbliżeniem się czółen i biegiem płosząc na drzewach drzemiące sokoły i sępy ospałe. Nic też dziwnego, że mijając Działoszyn, na szczycie dachu dworskiego obaczyli przybity ogromny róg jeleni i potężne skrzydło sępa.

Ludzi zdybywali mało i to łowców tylko, a pławnicy objaśniali, iż to łowce książęcia na Kaliszu, a puszcza ta knieją jego najmilejszą. Łowce wszyscy niemal mieli czapki z lisich nóżek szyte, po czem ich poznać.

U Osiekowa stanęli, przycumowali łodzie: pławce wzięli na plecy ciężary i szli przodem wskazując drogę. Szli ścieżką wąską pomiędzy zarośla, które niebawem

okazały się cierniakami, a kolce ich na skrętach ścieży, nieraz zaczepiały o brzemiona, tak iż trudno było przecisnąć się.

— Jakto? czy niema szerszej drogi i wygodniejszego wejścia do tego osławionego grodu?

— Jest! tam bokiem od puszczy, wprawdzie także pomiędzy tarninę, ale wygonem szerokim i nie tak bardzo krętym: jednak iż to daleko, obraliśmy ścieżkę. Ot, już jesteśmy w Osiekowie.

— Jakto tutaj? tać to ciasnota, a gdzież ono wejście szerokie? tych kilka bud, to cała twierdza?

— Tać to ani miasto, ani wieś, to tylko osieki, kędy w czasie trwogi uciekają ludzie z dobytkiem, aby się bronić. Ot, te budy, w tej cieśninie, to dla panów, a tam dalej za tem osiekiem małym jest osiek wielki przestronny... zaglądnijcie jeno przez to wejście ciasne i niskie... ot tędy.

— Prawdziwie! miejsce obszerne i obronne! toć raczej tutaj rozłóżmy się naprzeciw wjazdu obszernego...

Tak też zrobili, a za chwilę ogień potężny rozłożony buchnął płomieniem, złocąc światłem rozłożyste konary i liście gęste dębów i klonów stojących pojedyńczo lub gromadkami. Słońce zaszło, zmierzch zapadał.

Budę najokazalszą wymieciono i rozniecono też ogień w niej: tam nocowały kobiety i panowie, czeladź spała przy ognisku, psy i niedźwiedzia uwiązano u bramki wchodowej od ścieżki rzecznej.

Wieczór przeszedł szybko przy pogadance o dalszym sposobie podróży, oczywiście wodnej, skoro tu nie było ani ludzi, ani podwód.

Noc przespali spokojnie i wesołych powitało pogodne słoneczko: że zaś podróż wygodna czółnami nie wymagała przygotowań, ani pośpiechu, dla uniknięcia skwaru słonecznego; więc nie spieszono się

i powoli gotowano śniadanie, powoli zaczęto go spożywać przy ognisku wielkiem.

Wtem psy zaszczekały niespokojnie, pławnik jeden zerwał się, nadsłuchuje zwracając się ku puszczy, zkąd zaleciał głos jakiś cienki a donośny, acz daleki.

Pławnicy drudzy wstali też, a jeden z nich puścił się pędem ku wygonowi wchodowemu, od którego długa, ciernista ulica szeroka w zakręty wiodła ku puszczy.

Za małą chwilkę wraca w największym pędzie i zdala woła:

— Turoń! turoń!.. uciekajcie.

Podróżni pytają co to znaczy? a pławnicy ani odpowiadają, ale w przerażeniu uciekają ciasnem przejściem do onej zasieki pomniejszej, kędy stały budy...

Za ich przykładem poszli podróżni, acz nie wiedząc, co za trwoga.

Niebawem dowiedzieli się, najpierw słysząc znów ów głos cienki a donośny, ale już bliziuchno, a zaraz bacząc wpadającego turonia strasznego, dopędzającego już niemal pławcę biedaka... Już! już łeb nachyla, weźmie go na rogi... Ale nie! pławca dopadł drzewa, już na drzewie, już bezpieczny.

Turoń zaś: bujak olbrzymi czarny z białą pręgą przez grzbiet, a kędziorami na czole, boruczy straszliwie, kończąc ryk przeraźliwym głosem cienkim. Ogon wzniósł do góry jak wiechę, nogami grzebie ziemię, rogi ostrzy o kamień, a ślepiami zakrwawionemi szuka przeciwnika.

Psy ujadają straszliwie, byk spogląda na cierniową ścianę, gotów skoczyć i przesadzić!

— Puszczać psy, puszczać!

Wypadły psy obadwa: pies z jednej, suka z drugiej strony, przyskakują i odskakują, bresząc zajadle.

Niedźwiedź aż ryknął, a małpa śmieje się, poskakuje z radości.

Wtem od bramy i wygonu słychać łaję psów innych, a za nią słychać rogi myśliwskie.

Zgraja ogarów zaziajanych wpada, bierze na oko, piszczy zjadliwie, obskakuje byka, który się zwraca i opędza rogami i racicami.

U wrót zjawia się łowca konny, z oszczepem w dłoni, dzielny i śmiały... spiął konia zniżył dzidę. Był to książę kaliski.

Byk dojrzał go... przeskoczył całą zgraję psów, zniżył łeb nieco bokiem, postawił ogon, buchnął w konia, który nie zdołał umknąć się: koń i jeździec w powietrzu!.. koń upadł, jeździec się zerwał, schronił za drzewo. Koń zerwał się też i choć kulejący uskoczył.

Psy przerażone trzymają się zdala, a byk podniósł łeb, spojrzał, dostrzegł przeciwnika chowającego się za drzewo... poskoczył, bodzie drzewo i boruczy, posuwając się bokiem, bo też i człowiek posuwa się z złamanem oszczepem w ręku, ale drzewo na przeszkodzie. W koło obracali się oba i byk zadem był do cierniowej ściany.

Obaczył to łowca Sylwan, wymknął się chyłkiem z arkanem w ręku... rzucił arkan pod nogi byka i schronił się za drugie drzewo.

Byk ryknął gniewliwie i tembardziej napierał — zdawało mu się, iż to jego przeciwnik rzucił coś pod nogi, więc grzebie nogami przedniemi... wtem plącze się, zawraca, klęka na przednie kolana: bo arkan ścisnął mu pęciny i poderwał.

Drugi łowca rzymski Ursyn przybiega, rzuca arkan pod nogi zadnie, a gdy byk wkroczył: ściąga, podrywa też od zadu: byk przewrócił się.

Oni obadwa w mgnieniu oka zwięzują oba arkany, ściągają: byk leży związany za wszystkie cztery nogi...

Jeździec on z za drzewa przyskakuje, chce przebić dzidą; ale oni bronią, mówiąc, że go wezmą żywcem.

— Weźmiecie żywcem?

— Weźmiemy!

— A da on się?

— Musi skoro się położył!

Jeden z nich skoczył do budy, przyniósł sztylet i witkę brązową, przywiódł też Gaja do pomocy.

Byk szarpał się straszliwie, ale mu przysiedli łeb i kark, Ursyn, łowca sztyletem przebił nozdrza, wsadził witkę wyprostowaną nieco, zgiął napowrót, ścisnął i uwiązał do niej powróz cienki ale mocny, poczem bykowi obwiązał oczy, aby nic nie widział i kazał rozwiązać nogi zadnie.

Byk zerwał się, rycząc z boleści i drżąc cały jak osika, ale z miejsca nie ruszał, więc uwiązano powrozy końcami za obie nogi przednie, drugie zaś końce związane przeciągli między zadnie nogi; gdy pociągnąć za nie, byk musi uklęknąć na kolana poderwane i nie powstanie dopokąd trwa podrywka.

Ursyn pociągnął za powróz od witki: byk głowę wzniósł, ozorem lizał zranione nozdrza, a uderzony lekko szedł dokąd go wiedziono.

— Dokądże go mamy prowadzić?

— Zaprowadźcie do Kalisza a wynagrodzę wam sowicie.

Nam droga na Kalisz... chcieli my dalej rzeką pławić, bo tu nie dostanie podwód.

— To niech tamci pławią dalej, aż do Warty, przydam wam włodarza, który dostarczy podwód ztamtąd, my zaś puścimy się prosto puszczą.

Na tem stanęło! Byk szedł spokojnie, jakby nie ten sam, bo go wiodła boleść, a popędzała trwoga przed tem, co złamało siłę jego olbrzymią. Obawiano się przeprawy przez rzekę, ale łowca rzymski śmiało

wszedł do wody, kędy mu wskazano bród. Byk nachylił się, łakomie pił wodę i płukał w niej ranę, jak gdyby się jej chciał pozbyć. Popędzony z lekka, szedł dalej, ogon tylko wznosząc, widocznie z obawy głębiny.

Książe chciał polować dalej; za jednego z łowiec rzymskich, trzeba było kogo innego dać jako wyręczyciela.

— Ja go wyręczę! ja sobie dam rady z bykiem...

Tak zawołał szlachcic postacią i wzrostem olbrzym, siły nadzwyczajnej, więc z tej przyczyny zwan Krzepic. Książe przystał chętnie i z drużyną całą ruszył w knieje, a przy Krzepicu została czeladź jego własna.

Szli spokojnie i uszli już jakie dwie mile. Krzepic prowadził byka, a Sylwan łowca z tyłu trzymał końce podrywki.

— Wtem byk stanął opierając się, zatrząsł łbem, a pojętak wymknął się z ręki Krzepica: byk nasrożył łeb i tylko oczy zawiązane przeszkadzały mu do rozpoczęcia walki. Krzepica obeszedł ten opór zwierzęcia.

— Myślisz poczwaro, że ja cię się boję?... ja ci dam rady i bez tej witki w nosie...

Zawołał gniewny, przyskoczył, chwycił byka za róg.

Byk rzucił łbem, a Krzepic wyleciał w powietrze i upadł jak długi. Ale tejże chwili i byk upadł na kolana poderwany za przednie nogi przez Sylwana, a jeden z czeladzi pochwycił za pojętak i szarpnął. Byk zerwał się znowu, zadrżał i jakby wyznając niemoc swoją, ryknął żałośnie.

Odtąd już znowu spokojny szedł, oblizując się po nozdrzy skrwawionej.

Krzepic z początku trochę utykał i trzymał się

za biodro, ale się rozchodził i idąc z tyłu gniewnie spoglądał na turonia.

Pod wieczór dopiero dali turoniowi jeść trawy naskubanej i liścia, podając gałęzie do ogryzania.

Książe z drużyną swą łowiecką przyłączył się w kniei umówionej; zanocowali razem, a nazajutrz ruszyli wcześnie.

Krzepicowi bardzo było na rękę, że znów mógł jechać konno i ze zgrozą opowiadał on księciu, iż musiał z turoniem walkę stoczyć i byłby byk uciekł, żeby go nie był przytrzymał za rogi. Powoływał się na świadectwo swej czeladzi, która oczywiście przyświadczała mu we wszystkiem, ale gdy rzymskiego łowcę zapytał rzymski onegoż drużba, a ten się roześmiał — zwątpił książe w zwycięztwo Krzepica i niedowierzając kręcił głową.

Włodarz, przydany pławcom spisał się dobrze, bo ledwo przybyli do Warty, zakrzątał się, spędził podwody i przyjechali w sam czas, aby być świadkami uroczystości wprowadzenia turonia żywego do Kalisza. Za turoniem na koniu dumny i wyprostowany jechał książe, wyniośle i zarozumiale jako zwycięzca, spoglądając na tłumy narodu wybiegającego i gapiącego się.

Makedonka rzekła do brata swego:

— Aeliuszu, patrz! tać to tryumf z tego byka, jak gdyby ze zdobycia państwa jakiego!

Vanitas vanitatum! — odrzekł na to Gaj!

Turonia wprowadzono na oborę między krowy, które się go nie bardzo lękały, owszem zbliżały się, obwąchiwały go. On też nie gniewał się, nie fuczał, ale jakby się żaląc zaryczał smętnie, cienko i donośnie.

Żeby to był żubr nie tur: wszystko bydło byłoby uciekało przed nim; z turoniem jednak oswajało się, jakoż i on zwąchał, że to jego ród.

Książe kaliski dostrzegł podróżnych, zawrócił konia, zapraszał do dworu swego, bez korowodów, lecz szczerze.

Rzymianka wpatrzyła się w tę postać męską a uprzejmą, a przed oczyma jej przemknęło przypomnienie, jak odważnie on uderzał na tura.

Zeskoczył z konia, zbliżył się ku niej zapraszając i od niechcenia spojrzał w jej źrenice: tak czarnych nie widział jeszcze. Ani też widział tak ciemnych włosów splecionych w kosę skręconą w kółko z tyłu głowy, a z kółka, a raczej niby z koszyka wisiały kędziory kręte, a wszystko umuskane, aż się lśniło. Mimowoli też objął wzrokiem jej kibić smukłą i gibką i ładne ręce i zgrabny chód lekuteńki.

Odzienie już go mniej zdziwiło, chociaż jej tak ładnie było w tej barwie bławatnej: on tylko zachwycał się jej postacią i cienkim stanem — zdawało mu się, iżby objął palcami rąk. Do tego zaleciała go od niej woń jakaś tak miła, aż mu się mdło robiło.

Rzymianka w drodze miała czas uczesać się, utrefić i pachnącym olejkiem namaścić włosy splecione z grecka: a Kaliszanin dostojny ani marzył dotąd o takim wdzięku. A te oczy, te oczy! strach go brał spoglądać w te źrenice czarne, bezdenne, zdawało mu się, że duszą utonie w nich, a przecież radby patrzyć i patrzyć bez końca.

Nie rozkochał się, bo kochał swą żonę, ale czuł się zczarowanym — uroki mu zadała.

Księżna wyszła też za próg przywitać gości, o których przybyciu była już uprzedzoną. I ona wystroiła się: ale po swojemu. Zawdziała czapkę sobolową, z pod której na czole występowały włosy krótko obcięte, jak grzywa u źrebiąt. Spódnicę wdziała czerwoną wełnianą i to dość grubo tkaną, a kaftan szary obłożony sobolami. Była zaś podsadkowata, okrąglutka i pulchniutka jak kluseczka i rumiana jak

wiśnia: a dobroć i szczerość widać było w obliczu uśmiechniętem. Ale ruchy, zwroty i chód były bardzo swojskie, bardzo. bardzo samorodne i wiejskie. Różnica kobiet obydwu była w oczy bijąca — a przynajmniej w oczy księcia, jej małżonka dostojnego.

Przyszło mu do głowy, że księżna każda powinna tak wyglądać jak ta cudzoziemka! powinna być postaci słusznej i smukłej, nie przysadkowatej, powinna być wspaniałej postaci, ruchów innych niż kobiety zwykłe, włosy powinna też splatać nadobnie, a nie obcinać jak grzywkę źrebięcą: prredewszystkiem zaś powinna od niej bić woń miła jak od tej Rzymianki, której urok owładał go tem bardziej, im dłużej był w jej bliskości.

Jakoż Rzymianka istotnie roztaczała wdzięk tem bardziej porywający, bo szczery, nieudany: księżna niezmiernie się jej spodobała uprzejmą serdecznością, z jaką zapraszała w dom swój.

Obie kobiety polubiły się odrazu: bo się odgadywały sercem, a nie samem okiem jak książe, któren olśniony zjawiskiem nieznanem, lekceważyć począł to, co dotąd podobało mu się w żonie. Nie umiejąc i nie chcąc stłumić wrażenia, skoro tylko z żoną był sam na sam, jął wymyślać:

— A ona taka smukła, a ty taka pucułowata! a ona taka zwinna, a ty taka nieobrotna! ona ma włosy tak ślicznie splecione, a ty masz obcięte jak źrebica! od niej czuć jakąś woń miłą, a od ciebie pot!..

Kobieta zdziwiona wypatrzyła się nań, oczy jej zaszły łzami, rzekła:

— A czyż ja temu winna, że mnie Bóg taką stworzył? Przecież dotąd podobałam ci się.

Na to weszła Rzymianka z mężem, którego osobno chciała przedstawić. Książe wybiegł z izby, a księżna sobolowym rękawem ocierała oczy.

— Czego ona płacze? zapytaj się jej — rzekła

do męża, który jako Trak rodowity poduczył się już mowy Lechów.

Księżna z całą szczerością, patrząc zwilżonemi oczyma siwemi rzekła łkając:

— Wymawia mi mąż, że ja nie taka piękna jak twoja żona, że ja mała, żem tłusta, że włosów nie splatam i nie pachnę tak jak ona!

Rzymianka nie wiedziała co odpowiedzieć, lecz ujęta żałością, zbliżyła się, uścisnęła ją serdecznie; ucałowały się obiedwie.

Poczem uspokojona cokolwiek księżna, zapytała gdyby dziecko:

— Zaprawdę, że ty pachniesz! Czy was to Bóg stworzył już takie woniejące, czy wy się zawoniejacie?...

Rzymianka serdecznie się roześmiała na to pytanie tak niewinne, tak dziecinne: pobiegła do komnatki swej gościnnej, przyniosła naczynko srebrne maleńkie z olejkiem różannym, dała jej powąchać, poczem kropelkę wpuściła jej we włosy, kazała rozetrzeć ręką i zmaczawszy rękę w wodzie, kazała się jej potrzeć po twarzy, i darowała jej olejek.

Księżna zawoniała silnie, więc się roześmiała serdecznie i śmiały się obiedwie aż posłyszał Aeliusz i rozciekawiony wszedł, pytając o powód.

Opowiedziano mu wszystko, więc i on roześmiał się i rzecze:

— Najlepiej niech się pomieniają na żony, książe z moim szwagrem. Bo szwagier mój żali się, że mu żona chudnie, wolałby żeby pulchniała, a książe przeciwnie: więc się dogodzi obydwom.

Księżna z przyrody wesoła i żartobliwa, odparła śmiejąc się:

— Mój mąż oczarowany oczyma czarnemi, chętnie by przystał na zamianę, ale nie wiem, czyby mnie chciał mąż twój?

Żart ten do śmiechu najserdeczniejszego pobudził wszystkich, do śmiechu tak głośnego, że aż doleciał do uszu księcia, który bacząc, iż się nabawił kłopotu z żoną, przechadzał się pod dworem i chciał już uciekać do kniei. Słysząc śmiech, ośmielił się stanąć przed żoną obrażoną; nieśmiało zapytał o przyczynę śmiechu.

— Macie się mieniać na żony: moja siostra pojedzie do ciebie, a mój szwagier weźmie sobie twoją żonę... Czy przystajesz?...

Zakłopotany stanął spoglądając to na żonę, to na Rzymiankę, aż obiedwie rozśmieszone i zarumienione padły sobie w objęcia, zataczając się od śmiechu. Wtedy i on pojął, że żartują z niego, poskoczył ku nim: wycałował serdecznie żonę — a potem Rzymiankę.

Zdziwiło go przytem, że żona jego tak pachnie jak Rzymianka.

W prostocie swej zapytał co to znaczy, a żona udobruchana pokazała mu białe naczynko wonieące, dar Rzymianki. W oczach jego był to dar nieoceniony!

Dumą wezbrało serce jego dostojne, że posiadał żywego, starego poskromionego tura i żonę pachnącą; czego nie posiadał żaden z sąsiad jego dostojnych, nawet sam król.

Jedno i drugie miał podziękować Rzymianom i nie chciał im pozostać dłużnym, przemyśliwał, jakby się im odwdzięczyć, aby znali, że on mąż dostojny i bogacz. Ale oni podróżni: coby im tu dać? Ziemi nadać nie można, praw łowieckich nie potrzebują, zboża nie wezmą, ani połcia słoniny, ani wędlin... miodu do picia! tego nie żałuje się nikomu, zwłaszcza podróżnemu... Więc może przyodziewy?... prawda! jesień się zbliża, a z jesienią słota i zimno, zdadzą się im opończe szerokie z samodziału wełny z konopiami

dziergane przez pół... zdadzą się im kożuszki krótkie do podwdziania i czapki z zawojką na kark i uszy... zdadzą się im buty o długich cholewach do błota; przedewszystkiem zaś zdadzą się im konie wirchowe pod nich i pod juki... A wszystkiego tego miał nadmiar.

Prócz tego trzeba ich ugościć, nacieszyć się nimi jaknajdłużej... napatrzyć się tym czarnym oczom tej czarującej Rzymianki!..

Tak też uczynił! O podróży nie dał ani wspomnieć, powtarzając: jeszcze czas! jeszcze czas! — karmił, poił aż do naprzykszenia... nawet niedźwiedzia, nawet małpę.

W końcu, gdy się mu spraszali bardzo, gdy rad nie rad musiał ich puścić, poubierał ich w lisiurki lekuchne a ciepłe, czeladź przyobuł w buty, przyodział siermięgami dobremi od deszczu i wiatru, pozawdziewał na głowy czapki z łapek lisich, a łowców obdarzył potężnemi torbami borsuczemi.

Rzymianie nie chcieli przyjąć tych darów, on zaś obrażał się, gdy mu wspomniano o nagrodzie i tylko na pamiątkę przyjął srebrny pieniądz z wyobrażeniem cesarza rzymskiego, jeden dla siebie a drugi dla żony.

Przystawa putnego przydał, aby ich zawiódł do samej Kruszwicy, przykazując, żeby nie potopił w błotach, a wypoczął w pół drogi: bo inaczej dostanie baty!.. Koni pod wirch i do taradajki pod kobiety dostarczył, równie jak pod juki.

Pojechali tedy wspomożeni w dary, lecz wcale nie zbogaceni w wiedzę. Kaliskie książe nic im nie powiedział o swoim Kaliszu — bo sam nic nie wiedział i nie troszczył się o to. Był przekonan, że Kalisz był Kaliszem od początku świata i należał do ojców jego praszczurów, jak należeć będzie do dzieci jego prawnuków, chociaż jeszcze dzieci nie miał.

Proste tylko chłopy, starce odwieczni gadali, że przed laty ziemię tę zajmowały Czudy, Finny, przybysze z dala, że ziemia ta przedtem zwała się Porosna, Prosna t. j. wodą zroszona, błotna: Czudy zaś po swojemu nazwały ją Kalisz. Bo u nich *ckali* oznacza wodę a *kalian,* polewać, *kala* zaś, to u nich ryba.

Od tego to polskie: kalać, kał, kalawa... właściwie: rosić, rosa, prosna, krosna.

Skriba zapisał, że się zwie Kalisya.

Przystaw putny, jadąc przodem, spoglądał w niebo i pokręcał głową: zasłyszał świst lotu kaczek i widział ciągnące wysoko od północy kluczami długiemi.

— Będzie powódź! bo kaczki od jezior ciągną po za Wartę ku Prośnie i Bóg wie kędy... lecą wysoko!.. Trzeba nam pospieszać, by przebyć Wartę nim bardzo wzbierze.

Podciął konia i jechał sporo, a świst lotu kaczek powtarzał się w podniebiu i niepokoił go.

Za dnia dotarli do Warty rzeki i nie czekając ani chwilki przeprawił się: bo go jeszcze bardziej niepokoiły rybitwy mnogie, uwijające się krzykliwie nad rzeką, a przylatujące od jezior. Uspokojony teraz doprowadził drużynę do chatek rybaczych, a konie puścił na łąki prześliczne nadrzeczne, kędy też stadkami pasły się konie miejscowe.

Rybacy byli zajęci naprawą czółen dużych, wyciągnionych na suchy ląd, a zapytani o pogodę, jednogłośnie odpowiadali: Będzie powódź!

W nocy zaszumiał wiatr, a nade dniem zaszumiała rzeka.

Podróżni zaniepokojeni i ciekawi wyszli z chat, stanęli na wyżynie nadrzecznej pod ogromnem dębem rozłożystym, którego liść bujny mało deszcza prze-

puszczał, Warta rozlana jak daleko oko sięgło, szalała pieniąc się i rzucając falami żółtemi, brudnemi, nad któremi ćwircząc, unosiły się rybitwy: na odmęcie widać było kaczek pasmo kilkotysięczne pływające żerując. Po mieliznach rybacy zarzucali sieci i więcierze plecione z wikliny.

Przystaw putny, kiwając głową rzekł;

— Od Kalisza tutaj do tego drzewa w sam raz, połowa drogi do Kruszwicy. Dobrze, żeśmy chociaż tutaj, ale jak będzie dalej, nie wiem; może nam tutaj przyjdzie pozostać kilka, a może i kilkanaście dni, aż woda opadnie i kałuże obeschną! Trzeba będzie chyba żyć rybą, pić wodę mętną!..

Pod wieczór rybacy wrócili z połowem obfitym, opowiadając: iż Warta przybiera ciągle i będzie wzbierała jeszcze bardziej, według oznak, jakich byli świadomi z doświadczeń odwiecznych.

— Będziecie tu siedzieć z nami, będziemy razem ryby łowić i wraz zajadać — chyba że wam bardzo pilno do Kruszwicy, tobyście mogli dostać się prędko.

— A jakże?

— Wodą, bo lądem ani myśleć! Pątnow cały pod wodą, pątniczyć niepodobna, ani konno nawet... Na Goplenicy zaś woda już stanęła, jutro gdy Warta wzbierze bardziej, Goplenica będzie się przed nią cofać do jeziora: dziubasami naszemy popławiemy na jeziora; jeżeliby wam pilno, toby my was zabrali i podpławili do samej Kruszwicy.

— A przystaw, podwody?...

— Przeprawiemy ich za rzekę i wrócą do Kalisza...

— Nie było się co namyślać, zwłaszcza: iż rybacy żądali w nagrodę tylko kilka noży i sierpów, a dla kobiet po pierścionku.

Rano więc nazajutrz wyruszono ku ujściu Goplenicy, która istotnie cofała się, a raczej w którą,

jako niższą przelewała się woda Warty wezbranej. Dziubasy gotowe czekały, zabrały ludzi i ciężary, a odcumowane ruszyły same za prądem wody. Dla podróżnych była buda przykryta korą drzewną, więc jakie takie schronienie przed deszczem; ogień nawet palił się w niej, co wielką przyjemność sprawiało Rzymianom, a największą małpie.

Wiatr południowy dozwolił rozpiąć *hadro* i nietylko wiosłem pospieszać, ale też *jadrując* za wiatrem, szybkością strzały. Więc też migiem przebyli Goplenicę i jezioro (dziś zwane Śleszyńskie), a pod górą Przewłoki, gotowali się przeciągać dziubasy do jeziora Gopła. Wiatr potężny od południa wyręczył ich: bez pomocy ludzkiej przepłynęły dziubasy błota wezbrane, wpłynęły na głębinę Gopła.

Kruszwicę mając przed oczyma, słuchali opowiadań rybaków, iż tam jest Światowidowa świątynia, w której stoi wyrzeźbiony Światowid, bóg pozierający w okrąg na wszystkie cztery strony świata, że to jest bóg wypraw dalekich i bóg wojny i rolnictwa... że przed każdą wyprawą wojenną radzą się go i składają mu objaty; a wyobrażon jest jako słup czworoboczny, na każdej stronie mając wyrzeźbioną postać męża poważnego.

Fenik, gdy mu to wyłożono, rzekł:

— To jest *Bał-hamon*, bóg słońca, nasz bóg fenicki: trzeba mu złożyć ofiarę.

Przybili do lądu, kupili barana tłustego, wzięli ukrojony krążek powidła figowego, udali się do Światowida świątyni.

Ofiarnik świątyni przyjął barana, przyjął i powidło, skosztował, a bacząc nasienne ziarnka zapytał:

— Nacóżeście ten miód taki dobry zakazili domieszkiem jagieł, tać to mniej miłe bogu Światowidowi!

Wytłómaczono mu, że to nie miód, jeno figi źrałe, owoc taki jak gruszki, a ziarnka one to nie jagły ale nasienie fig.

— Albo to prowda? co godota... Czy jo ślepy? dyć widzę dobrze... czy jo głupi, żebym nie poznoł jagieł... Ot! źle robicie, że chcecie oszukać boga, oszukując sługę jego. Jo nie głupi, taj nie!

Nie było sposobu przekonać zarozumialca, trzeba było prosić pokornie, żeby przyjął objatę jaka jest.

Dał się uprosić, przyjął: zabił barana, spalił na ogniu trochę jelit i tłuszczu, odmawiając modlitwę zwykłą, a resztę wziął dla siebie. Powidło miał ochotę wszystko rzucić w ogień, ale zaniechał tego, gdyż mimo jagieł rzekomych, bardzo mu smakowało. Aby go przekonać, dali mu figę suchą, którą jadł ze smakiem, twierdząc, że to miód z jagłami zasuszony w pęcherku — i nie dał się przekonać, a gdy umilkli, tryumfował, iż się nie dał oszukać.

Więc udobruchany opowiedział: że do Wisły ujścia nie tak daleko, ale najwygodniej błotami do Wisły, a Wisłą do morza, jak zwykli pławić Kujawianie, których się spodziewają rychło.

Gdy się oddalili wszyscy, wyjął garnuszek miodu, nasypał jagieł, gryzie, ale chociaż miał zęby zdrowe, nie mógł pogryźć, a łykać tak niespożyte, nie zdawało mu się. Pomyślał, że z czasem jagły rozmiękną i odstawił garnuszek, mrucząc że ma czas poczekać.

Skriba zaś na tabliczce zapisał *Setidawa,* co miało znaczyć Światowida, bo nazwy miasta Kruszwica, t. j. w okrąg widząca, nie mógł w żaden sposób ani wymówić, ani spamiętać. Świątnik zaś łamał sobie głowę: z jakiego to zwierzęcia pęcherek na figach.

W Setidawie zabawili czas niejaki, aż się zdarzyła sposobność spławu dalszego — do Kujaw.

Świątnik miód z jagłami zawięzywał w pęcherki to z prosięcia, to z ryby, ale były nie do zgryzienia, a nie chciał się pytać: by nie myślano, że on głupi.

Na Kujawach.

Od zachodu błot nieprzejrzanych, zalanych powodzią, słychać jakieś dźwięki wesołe, jakieś śpiewy, jakąś gędźbę...

Kujawiacy pławią! Kujawianki wesołe śpiewają! Wiozą gęsi, wiozą świnie i ryby, a między brzemionami skór, znajdą się i wiązanki pięknych skórek bobrowych.

Spodobał mi się z Zawiśla świniarz
Jak było ku wiośnie to do mnie przylaz... hej! ha!

Tak zanuciła na pierwszem czółnie Kujawianka już nie młoda, ale za to tem żwawsza; a z drugiego czółna rozległo się czystem głosem wesoło:

A ja sobie swachnisia
A ja sobie hec! hec!
Sprzedałam se konisia
Kupiłam se koszulkę
A za resztę cepiec!... Hejże ha!

Śpiewająca była młodą, ładną a wesołą aż do swawoli! rozkosznie spozierała na te wody, na to niebo! rozkosznie śmiała się, szczerząc ząbki białe i ręką podgarnując włosy obcięte krótko po ramiona. A ładnie jej było w tej zawiązce na głowie i w tej koszuli białej wzorzysto szytej, w tych koralach jantarowych...

Fenik wypatrzył się, przetarł oczy, spojrzał znowu i zawołał zdziwiony: Ona ma na sobie fenicką

koszulkę z bisioru, purpurą wyszywaną!.. waj! waj! Ona ma naszyjnik jantarowy! waj! waj! Ona gdzieś od morza *Bal-ithon*...

Przywołał Gaja i z zawiniątka wydobył sznurek korali szklanych, jasno-niebieskich, a na palec zawdział pierścionek z brązu olkuskiego, jasno-żółtego.

Czółna przybiły do brzegu, powstał gwar wielki: Kujawianki wyśpiewywały, a skrzypiciel przygrywał, trzymając skrzypce na kolanie i skrzypiąc aż uszy darło; gęsi gęgały, nie mogąc się wydostać na wodę, a prosiaki kwiczały uporczywie.

Fenik zbliżył się do ładnej Kujawianki, pokazał jej korale i błysnął pierścieniem. Oniemiała z podziwu, zawołała:

— Co chcesz za to?

Gaj nauczony przez Fenika odrzekł:

— Co dasz?

— Za korale dam dwie świnie i sześć gęsi... za pierścionek dam wieprzaka.

— Nie wezmę! daj więcej...

— Dam trzy świnie a dziesięć gęsi za korale.

— To mało.

— Więcej nie dam — rzekła rozdąsana.

— To nie kupisz!.. daj więcej.

— Ta cóż ci dać więcej?

— Daj jeszcze te twoje korale z jantaru.

— Te?

— Te co masz na szyi.

— Na masz!..

Porwała korale ze szyi, dała, a natomiast wyrwała mu siwe korale z ręki, jakby z obawy, że jej nie da; więc dała gęsi i świnie i znów zaśpiewała wesoło:

...kupiłam se kosulkę
a za resztę cepiec...

Wszystkie Kujawianki zazdrościły jej korali niebieskich, a Kujawiacy wszyscy chwalili i wszczynali rozmowę, w której toku Fenik nieznacznie zapytał:

— Czy nie żal tej kobiecie młodej tych korali z jantaru, które pozbyła?

— Nie miała byta czego żałować! Popławiemo do morza i przywieziemo ile będzie chciała, bo to za darmo!

— Jakto za darmo?

— Jacy nazbierać na brzegu.

— A kiedyż tam popławicie?

— Prosto ztąd popławimy do Wisły, a Wisłą do morza ze zbożem.

— A nas byście nie zabrali?

— Czemu nie? jak dacie siekier i nożów dla nas, a dla kobiet pierścieni... to zabierzema.

— Damy siekier i nożów i pierścieni...

Targ kujawski rychło się skończył: Wielkopolanie dali Kujawiakom samodziały półwełniane i płótno konopne w zamian za świnie i gęsi, a sprzęt rozmaity za skórki bobrowe; przenieśli to wszystko na swoje dziubasy, popławili Notecią.

Kujawiacy zaś dosiedli swych czółen, zabrali podróżnych i po staremu śpiewając i grając ruszyli z powrotem przez Bahorza czyli błota i Kujawy.

Fenika rozciekawiła nazwa...

— Jak się to zowią te błota?

— Bachorza.

— *Bahurim* — to po naszemu znaczy niziny, a *bajorim* to znaczy wygłębienia.

— A boć to niziny pogłębione.

— To chyba bywają tu ludzie nasi.

— Jacy wasi?

— A tacy jak ja.

— Takie smoluchy jak wy? tutaj nie bywają

teraz, ale może bywali drzewiej: na morzu zaś widujemy ich jak pławią okrętami krytymi, które zowią *świnie*.

— Waj! waj! *sfine,* to po fenicku okręt! to tam są nasi wychodźce z Kartagi. *Ladun Bal hamon*...

— Tak! tak! i oni gadają, gdy się dziwują, a jak się modlą to wołają *Adunaj!* to chyba się modlą do wody, bo one Czudy znów czyli Finy, to wodę zwą *dunaj,* czego się i my od nich nauczyli i Białą wodę naszą zwiemy Białym Dunajem, a Goty ją zwą Wisłą, co też ma znaczyć: białą...

Fenik nic już nie odpowiadał, ciągle tylko spoglądał ku północy. a czasem ku niebu, jak gdyby we dnie chciał wyśledzić gwiazdę północną, o której wiedział, iż świeci nad krainą, kędy morze wyrzuca jantar.

Za to sarmackie oba łowce, posłyszawszy wyrazy: *Dunaj* i *Kujawy,* jęli się wypytywać o nie. Co do Dunaju, słyszeli już, ale rozciekawiły ich Kujawy, gdyż w ich mowie sarmackiej *Ku-ia-ma* znaczyło: kamieni rzecznych kraina.

— A taką też jest! wszędzie na porzeczu i piaskach leżą ogromne kamienie czerwonawe a okrągławe, małe i wielkie, niektóre ogromne, a wszystkich bardzo mnogo.

— A kędyż mieszkają ludzie, co dali nazwę Dunajom i Kujawom?

— Niezbyt daleko! Tutaj i za Białą wodą (Wisłą) mieszkamy my, Polanie; a nad nami ku morzu siedzą Finy, a od niedawna przybyli zamorskie Goty, ale to tego nie mnogo lecz bardzo źli, to oni złączyli się z Łotwą tamtejszą.

O Łotwę znów jął się dopytywać Uppon i z radością usłyszał, że bracią swą zdybie też na Pomorzu.

Pławiąc Bachorzami zachwyceni byli, zrozumieli dlaczego Kujawianki tak wesołe: boć to kraina błogosławiona! Kędy woda niezalewała, wszędy pola zasiane i plon bogaty, a na błotach krawędzią świń trzody liczne, pasą się bez dozoru, walając i wylegając w błocie; tam dalej zaś nieprzeliczone stada gęsi pływają i gęgają wesoło. Po zaroślach pluskają się kaczki swojskie i dzikie, łopocąc i krzycząc, a pod wieczór swojska kaczka stara z kaczorem modroślniącym, prowadzą pokolenie mnogie ku osadzie ludzkiej, spokojnie i w miłości, bo nawet czasem karmiąc się czy całując żółtemi dziubami, podczas gdy dzikie przelatują z błota na błoto w odwiedziny, na pogwarkę wesołą. W gęstej znów trzcinie, tam bąk huczy pod noc i w nocy, zanurzając dziub w wodzie: myślałbyś, iż bydlę uwiązgło i boruczy, nie mogąc się wydobyć. Żurawie zaś, królowie błot, siedzą w miejscach najzaciszniejszych, kędy kępy, kędy wysepki; tam pokrukując, porozumiewają się z sobą, gdyż to ptacy bardzo przemyślni.

Właśnie minięto wysepkę błotnistą, otoczoną zaroślami i kępę nadbrzeżną w łężynach schowaną, przytykającą do lasu dębowego. Wysepka i kępa okryte były żurawiami, które nawet nie wzlatywały wobec czółen mijających zdaleka.

Sylwan i Ursyn aż zadygotali ograżką łowiecką, radziby ustrzelić żurawia okazałego, by się mu choć przyjrzeć z bliska, bo dotąd był im to ptak nie znany.

— Możecie próbować szczęścia, bo za lasem przystaniemy, aby wypocząć, toć możecie się podkradać lasem i zaroślami; ale strzeżcie się, żeby was nie zadziubały na śmierć lub przynajmniej nie pokaleczyły, nie oślepiły.

Rośmieszyła ich ta przestroga Kujawiaka starego i śmiali się jeszcze na przystanku, wyskakując

na ląd i udając się ku lasowi z łukiem w ręku a strzałami w łubiu.

Podchodząc chyłkiem, a dalej czołgając się na brzuchu, dotarli do kraju lasu nad kępą niżej położoną i zdumieli się tem, co obaczyli przed sobą.

Na wysepce niedalekiej, w środku nieco podwyższónej, stała drużynka żurawi starych, ogromnych i statecznych, a w około nich żurawi gromada nieprzeliczona igrała dokazując swawolnie. Jedne kupkami uderzały na siebie wstępnym bojem, podlatując i walcząc; drugie chodziły i stawały i znów chodziły i znów stawały, krucząc pomiędzy sobą i widocznie rozmawiając, rozprawiając o czemś, swą ptasią mową, swym ptasim rozumem. Największa zaś zgraja, bardzo liczna i znać młoda, hulała sobie w najlepsze piechotą, dosłownie tańcowała: to w przysiudy, to w poskokach ku sobie i odwrotnie i w prawo i w lewo, pokrzykując, przeginając szyję i trzepotając skrzydłami. Taka sama hulatyka rozpoczęła się i na kępie pod lasem.

Łowce nadziwić się nie mogli ochocie tego ptactwa, a korzystając z roztargnienia i niebaczności, pomykali się bliżej aż na strzał. Wtem od wysepki zakruczał donośnie żuraw stary, wyciągając szyję ku kępie, żurawie na wyspie stanęły, spoglądając, a owe hulaki na kępie, zerwały się do lotu jak gdyby na rozkaz wodza.

Strzała świsła, jeden z nich przeszyty zakruczał boleśnie i spadł trzepocząc się po ziemi. Sylwan przyskoczył, pochwycił za nogę i ledwo zdołał utrzymać, tak silnie jeszcze rwał się, krucząc żałośnie i rozpaczliwie.

Żuraw stary zerwał się, a za nim chmarą wszystkie żurawie wyspy, prosto na łowcę: bijąc skrzydłami, usiłując dziubać w twarz. Oganiał się oburącz, nogą przytrzymując rannego i krzyczącego, a bacząc, że nie sprosta, zawołał na drużbę, by mu pomagał. Więc

pobiegł Ursyn, wywijając łukiem w jednej, a strzałą w drugiej ręce sobą zasłaniając tamtego, który się schylał po łuk swój upuszczony.

Wtem żuraw stary z góry ukosem przypada z szyją wyciągniętą i dziubem najeżonym gdyby dzidą, uderza całą mocą w nachylonego Sylwana — torbę borsuczą przewieszoną przez plecy. Nachylony Sylwan jojknął od boleści, a drużba jego z całej siły łukiem swym zwalił żurawia po szyi.

Żuraw stary upadł martwy z złamaną szyją ale dziub miał w końcu zakrwawiony — krwią człowieczą.

Żurawie zakruczały straszliwie, nacierały tłumnie, ale już nie tak zaciekle i coraz płoszej, co raz płoszej... widocznie zrażone i przelękłe, krążyły, wracały nieśmiało, ulatując jednak z daleka, aż uleciały.

Łowce zabrali łów, Sylwan jednego, Ursyn drugiego, wrócili do czółen, opowiadając zajście całe. Ranny Sylwan okazywał torbę swą borsuczą przekłótą na wskróś i ranę dziubniętą w plecach, niegłęboką wprawdzie, ale trochę bolesną.

Kujawiak zaś stary gderał:

— Widzisz! śmiałeś się, gdym ostrzegał, a teraz to już będziesz wiedział i powiesz dziesiątemu... A gdyby cię tak był dziubnął w oko hę? byłby oślepił, a może i utopił w błocie; bo to mądry i silny ptak! Żurawie teraz już przygotowują się do odlotu, bo bociany już odlatują: więc pewno wybierały sobie starszyznę na wyspie i wodza; ztąd to zgromadzenie, te ćwiczenia, narady, hulanie! A ten żuraw stary, tak odważny, to pewno ich wódz! dobry to znak, żeście go dostali!.. Nie bylibyście ich podeszli w inny czas, bo one zawsze otaczają się strażami, a każda straż stoi na jednej nodze, a w drugiej trzyma kamień: gdyby mu się zdrzemnęło, to upuści kamień, obudzi

się i znów czuwa bacznie. Dzisiaj zaś wybierali wodza putnego, więc zabaczyli straży...

Nowe zjawisko zajęło baczność łowiec.

Orły dwa wzniosły się po nad las, krzecząc przeraźliwie i walcząc z sobą: jeden był biały, drugi czarny, obadwa duże i silne. Czarny zawzięcie napadał na białego, który jednak odcinając się mu dzielnie i odpierając napady, widocznie nie chciał walki i wymykał się nad błota obszerne. Długo walczyły z sobą dziubem i szponami, rażąc się nawzajem, aż znikły we mgle nad wodami, wielce zajmując baczność patrzących.

— Co to za ptactwo?

— Orły! ten czarny to leśny, a ten biały z rówien nadwodnych. Biały żyje przeważnie płodami morza i jezior; rybą wyrzuconą na brzeg, wężami, których tu podostatek, więc też i zwierzętami nadwodnemi, jeżeli zdoła które pochwycić, a często czaplom i innym ptakom odbija rybę złowioną. Czarny zaś orzeł mieszka w lasach, żyje zwierzyną i ptactwem, napada wszystko, co nadybie i pokonać zdoła, a z orłem białym zawsze i wszędzie stacza walkę na zabój. Tutaj nad Gopłem, jeziorami i Wisłą częściejszy i zwykły jest biały i my go zwiemy naszym orłem, a tamten czarny zwykły w puszczach leśnych zamieszkałych przez Pomorzany, Goty zamorskie, którzy lubią napadać nas, jak orzeł ich napada naszego. Ale orzeł nasz biały broni się tamtemu, a my Pomorzanom samym.

Skończyły się bajora, wpłynęli na Białą wodę, jak w on czas zwano Wisłę — po obu brzegach ocienioną puszczami dębowemi i brzostowemi, które dalej zmieniały się na wspaniałe lipowe i jabrządowe, pomieszane z iwą, topolą, brzozą, klonem.

Od wschodu było ujście strumienia zwanego Bobrownikiem, a na kępie wodą oblanej stały chaty bobrowników. Strumień on nieco nad milę dłuższy, wypływał z źródeł sączących się z pagórka piaskowego w parów lesisty zaciszny, kręty a spadzisty o tyle, iż płynąc szparko, woda miejscami tworzyła wodospady małe, czasem 4 stóp wysokie. Z parowu wychodząc, zbierała się w stawek niewielki, obrośnięty olszyną i kloniną. Ztamtąd płynął korytem pogłębionem na śliczne łąki zielone, prosto i spokojnie jako rzeczka, tworzył znowu staw i znowu łożyskiem o brzegach 8 do 12 stóp wysokich ściekał do Wisły.

Zaciszna ta woda, płynąc przez lasy i zarośla drzewiny miękiej liściastej, cała była pieleszą bobrów, gdyć jak stworzona na onych żeremle. Tam zakładały gony swoje; kopiąc nory w brzegu wywyższonym, a groblą poprzeczną tamując bieg strumyka i pogłębiając wodę do tyla, żeby w mrozy nie marzła aż do dna. Tam latem miały paszy podostatek, miały: tatarczuch i trzcinę, grzybienie białe i żółte (lilie wodne), których korzeniem, a raczej łodygą grubą jak ramię ludzkie nie gardzą i ludzie, zwłaszcza gdy młody; miały też skrzyp i inne gorycze. Na zimę zaś mogły sobie znosić lub zwozić gałązki topoli, wierzby, iwy, brzozy. W zaciszu mogły sobie bobrować do sytu, pływając, nurzając się, lub brnąc po mieliźnie; gdy się zaś zanosiło na niepogodę, mogły sobie płakać i szlochać do woli, gdyby niemowlęta ludzkie — bo taka ich przyroda.

Kujawiacy świadomi tego, zatrzymali się u brzegu Wisły, udali się do bobrowników, nabyli skórek i stroju bobrowego i całych bobrów tłustych, a Kujawianki gospochy sporządziły jedzenie doskonałe, z którego jednak najlepszem były pluski, t. j. ogony bobrowe.

Nie zatrzymywali się potem aż u Dębowa puszczy i przeciwległego grodu zwanego Tarnowa (Toruń dzisiejszy).

Mazowiecka to osada, sławiańskim obyczajem ubezpieczona okopem, zaroślami i płotem tarniowem z pośrodku których wznosiły się starożytne dęby rozmaite, strażnice samorodne mazowieckie, zkąd spoglądano, czy nie napadają Prusy.

Mazury po dziś dzień śpiewają o sobie:

Od Warsawy do Warsawy
Nie wielecki ale zwawy
Od Warsęgi do Warsęgi
Nie wielecki, ale tęgi!

Takimi też byli zawsze: wzrostem mali sercem duzi. Serce to ich ukochało te niwy nadwiślańskie, te ciasne zaścianki swoje, a kmiecie rolnicy w braterstwie żyli z bracią zaściankową; bo zaścianki były też rolnikami, ale ochotniejsi do wojny i skorzy do wołania »buch go pięścią!« wzięli na siebie straż od nieprzyjaciół i gotowość wojenną; kmiecie za to uprawiali im pólka niewielkie, a w razie potrzeby osobiście ruszali na woję wspierać bracią zaściankową.

Rojne też to były te wojownicze zaścianki a wyprawiały się drużynami rodzinnemi, idąc o lepsze kto mężniejszy. Było zaś sposobności dosyć okazać dzielność swoją, gdyż Jażwież litewska z jednej a zagony łotewskie z drugiej strony, napadali bez ustanku, nie rolnicząc sami, jeno zagonami puszczając się na łup ról mazowieckich, do czego im Wisła i przytoki onej pomostem, skoro je mrozy lodem ścięły. Wisły też strzeżono jak oka w głowie, zwłaszcza, że ona i Mazurom była cestą otwartą aż do morza,

Litwa, chłopy jak dęby, a pruska Łotwa, olbrzymy kudłate całe od zarostu bujnego; z lekceważeniem spoglądali na Mazurów małych choć krępych i oni im

nadali miano mazurów t. j. małych, bo *mazu* w mowie Litwy, a *maz* albo *maza* w mowie Łotwy, oznacza małego, *mazums* znaczy malizna. Drobne a bitne Lachy Polanie, bijąc one wielkoludy i śmiejąc się sami z siebie, przyjęli oną nazwę szyderczą i sami zwali się Mazurami, a kraj swój Mazursko.

Tarnowa nadwiślańskiego strzegli jak oka w głowie, boć to była stolica powiatu i klucz obrony, mając po za sobą rzekę Drwęcę, więc też składem zboża, spławianego do morza i kupi zamorskiej. W czasach wojny gromadził się tutaj lud zbrojny, aby bronić kraju; w czasach pokoju zaś, aby pohulać przy miodzie, którego obfitość była wśród lasów i barci.

Więc też śpiewali ludzie wesoło, ale weselej i milej śpiewało ptactwo po kępach Białejwody, mianowicie w Dębowie puszczy na brzegu przeciwnym; tam z wiosną słowiki i wszelakie ptactwo śpiewne przerozmaicie zawodziło, że się aż rozlegało po całej Wiśle i Powiślu.

Tutaj z czółen i dziubasów rzecznych przesiadano się na duże okręta i przekładano ciężary przeznaczone do spławu morskiego.

Podczas tego wywiązała się sprzeczka Fenika z Upponem co do nazwy Mazurów.

Uppon słysząc jak oni sami siebie zwą małymi i istotnie bacząc ich wzrost niewielki, utrzymywał iż to Litwini nazwali ich *mazami* t. j. malcami.

Innego zdania był Fenik, mówiąc:

— Piękne mi malce, co dają rady wielkoludom litewskim! Oni siebie sami nie zwą Mazami ani Mazurami, jeno Polanami, Lechami i jako Lachy bitne, zasłynęli nad Dunajem, gdzie porazili Basterny waszej jazdy, Jazygów, a potem i piesze Kwady. My Puny panońscy zdziwieni ich bitnością, nazwaliśmy ich *mazurim* t. j. bitniki, bo oni o byle co gotowi się czu-

bić; oni nie wypierają się nazwy naszej, pod którą poznał ich świat. Świat zna ich, że bitniki, ale nie że malce! A nawet gdy tańcują to tak, jak gdyby wojowali.

Mazury zwiedzieli się o co im chodzi. Wszyscy byli zdania, że Fenik słusznie wywodzi nazwę ich od bitności czupurnej! Śmiali się wesoło, potakując, a z ócz błyszczących było im widać, iż każden gotów plunąć w rękę prawą i zawołać: »Chwyć go za łeb! w kark go huknij!«

W obec takiej gotowości nie upierał się Litwin.

Minęli G n i e w, a u B i a ł o g ó r y rzekł pławca stary:

— Tutaj kończy się B i a ł y D u n a j, bo się dzieli na dwa Dunaje: N o g a t korytem głównem płynie przeciwko morzu w prawo, W i s ł a zaś płynie na lewo łożyskiem węższem i płytszem.

— Waj! *Nogat* po fenicku zwie się czoło! a tutaj jest czołem rzeki. A co znaczy Wisła?

— Łotwa lodami rzeki na saniach zagania się do nas, a lód śliski zwie *wisla* [1]), więc i rzekę Wisłą. Juścić prawda, że przedtem Łotwa siedziała u ujścia Wisły po wodach i moczarach, wedle obyczaju swego, toć też i osadę główną u ujścia R a d u n y i M o ł t a w y w Wisłę, nazwała *Dańska* t. j. moczar. Gdy od morza okrętami przybyli wasi, spędzili Łotwę zbudowali zamek i domy, nazwali miasto G d a ń s k albo G d a n i e.

— Waj! *gad-dune:* szczęśliwa nizina.

— A jużcić szczęśliwa, bo im się w niej dobrze dzieje. Kupują od nas zboże i mięso wędzone, a płacą rybami i wyrobami swemi. Wielu też rybaków naszych służą u nich, ryby im łowią i wędzą, a niejeden zbogacił się, więc mu dali wasi córkę za żonę i przy-

---

[1]) Łotewski wyraz *wisla* lód, przejęty z gotyckiego *Eis*, *Is*. Tak też i podgórski ludowy j a s k r z e c, świeży lód.

kazali słuchać jej. O! bo te niewiasty wasze mają wielki rozum, osobliwie do kupiectwa: toć też mężowie słuchają ich we wszystkiem. One zwą białkami a siebie pankami.

— Ot i Zuławy! Tutaj niegdyś siedzieli Sarmaty, ale uie długo, bo popłynęli za morze. My ich zwali Finami, ale oni mówili, że są Sarmat.

Słysząc to łowce Sarmaci, stwierdzili, a w dodatku wyjaśnili że zuława to sarmacka *zuła-ma:* gliniasta kraina, jaka się istotnie przedstawiała ich oku.

W rozmowach takich przypłynęli do ujścia rzeczki Motławy, nieszerokiej lecz głębokiej, w której przystań wielce dogodna okrętom rzecznym i morskim. Płynęła ona od Tczewa, a długość jej cała 5 mil.

U samego ujścia łączy się z nią Roduna, a wody obydwu oblewały wkoło zameczek fenicki. Motława zaś ongi przepływała wzdłuż całą osadę Gdańską, niezmiernie ułatwiając spław i kupiectwo, więc ją też Fenicy wygnańce błogosławili jako żywiącą i po swojemu nazwali *motul-abu* t. j. tułaczów ojcem — Motławą. Roduna zaś pierwotnie po staroświecku zwana Ro t. j. rzeka, przyjęła dodatkową nazwę tęsamą fińską *dun.*

Fenik czemprędzej wyskoczył na ląd i zdawało mu się, iż jest już między swymi w ojczyźnie nowej: niecierpliwie pytał się kędy mieszka król.

— Tu niema króla.

— To wojewoda, żupan, starosta...

— Niema ani wojewody ani starosty.

— Więc ktoż tu rządzi?

— Białka, dziewica.

— Aha! — pomyślał — to tak jak Dido założycielka Kartagi! więc tutaj obyczaj czysto punicki.

Pzywołał Macedona jako tłumacza w razie potrzeby i podczas gdy drużyna cała umieszczała się w gospodzie rybaczej, czemprędzej udał się na zamek.

Była to chałupa drewniana obszerna i wysoka do której przytykało kilka chałup pomniejszych; wszystko okopane wysoko i utwierdzone ostrwiami, a w około oblane wodą Roduny.

We drzwiach wskazanych spotkał dziewicę rosłą cery śniadawej lecz rumianą, o czarnych źrenicach, zgiętym lecz nieszpetnym nosie, małych wąskich ustach, a ogromnych włosach splecionych w dwa bujne warkocze; ręce i nogi miała dziwnie drobne.

Po fenicku pozdrowił ją: po fenicku odpowiedziała i zapytała co on zacz i czego żąda?

— Jestem Fenikiem zamieszkałym w Rzymie.

— W Rzymie cezarskim?

— Tak w Rzymie cezarskim! jestem kupcem na służbie cezara.

— W służbie cezara?

— Tak, w służbie cezara Nerona, który mnie tu wysłał za jantarem. Mam tabliczki polecenia od wojewodów i książąt znakomitych, jako też od żupanów punickich z Panonii i Lechii, przyszedłem prosić cię jako niewiasty dostojnej, żebyś mi poradziła i dopomogła do dostania jantaru jak najwięcej: bo to dla cezara.

— Ja mam pomagać do zbierania jantaru dla cezara Rzymu? ja? Ty niegodziwcze! ty psie zjadliwy! ty podły człowiecze zaprzedany największym naszym nieprzyjaciołom! ty śmiesz z tem do mnie przychodzić, do mnie, której pradziadów Rzymianie krzyżowali, której prababki sprzedawali w niewolę? Więc już tak dalece upadliśmy, tak dalece spodlili, że mamy dobrowolnie służyć katom naszym?

— Waj! nie dobrowolnie! moja żona, moje dzieci najukochańsze są w ich ręku, w zastawie!... Ot ten człowiek niech zaświadczy! On nie Rzymianin, on tak gada jak Lachy gadają, on też zniewolon służyć im sam i z niewiastą swoją.

Zwróciła się do Macedona i zapytała po polsku:

— Ktoś ty? zkąd i czego chcesz?

— Ja Sławianin z Tracyi! Rzymianie wzięli mnie do niewoli, gdzie mnie kupiła i zaślubiła Rzymianka bogata.

— Jest ona tu?

— Jest! Za to że mnie poślubiła, podpadła karze ciężkiej, chociaż ja przedtem byłem wolnym i zamożnym, ale tam takie prawo srogie. Brata jej wysełano po jantar, więc my się wprosili i drużbimy mu.

— Za cóż byłeś w niewoli?

— Bom wierzył w Jezusa!

— Któż to był?

— To był prorok wielki i święty, który gdy go ukrzyżowano, wołał do Boga: »*Eli! Eli! lama sabatani!...*

— Więc to był Fenik, skoro wzywał Boga fenickiego?

— Nie wiem, lecz urodził się między Żydami, którzy dybali na jego życie i na których żądanie ukrzyżowali go Rzymianie. Otóż za jego naukę świętą, byłem w niewoli, a drużba mój, który też jest tutaj, za obronę apostoła Jezusowego był skazan na rozszarpanie od dzikich zwierząt i ledwośmy go wyprosili ja i żona moja. Ale za to kazano nam jechać aż tutaj po jantar dla cezara.

— Nienawidzę Rzymian!

— Ja też nie mam ich za co miłować, ale jednak serdecznie miłuję żonę moją, chociaż ona Rzymianką, gdyż ona mnie pierwej umiłowała i dobrowolnie dzieli ze mną trudy tułactwa.

— Chciałabym ją widzieć, idź przyprowadź ją!

Fenik stary pozostał z nią sam na sam. Przez chwilę przypatrywał się jej bacznie, poczem przystąpiwszy bliżej, rzekł:

— *Baltis naamal nesto esse sade!* (pani moja łaskawa! kwiateczku pola!)... piękną jesteś, masz oczy czarne i włosy lśniące, rączki i nóżki maleńkie, jak fenicyanka. A przecież ty nie jesteś fenicyanką czystej krwi...

— Kto ci to powiedział?

— Ty po sławiańsku mówisz lepiej niż po fenicku! ty masz porywczość mowy sławiańską, a nie masz wyrozumiałości naszej fenickiej.

— Jakiej wyrozumiałości?

— Ty mnie nazwała podłym zdrajcą i psem zajadłym! a ja istotnie jestem psem, z onych psów, co do ostatka szczekali i bronili ojczyzny... z tych psów co się nie poddawali Rzymianom i nie dali krzyżować; a nie z tych co uciekali na dalekie morza cynowe i bursztynowe, ale z tych co z orężem w ręku usadowili się w Pannonii, co tam przez trzysta bez mal lat bronili się Rzymianom i Germanom i Basternom Jacygom — i dopiero wyczerpawszy siły swoje do szczętu, z pola walki brani do niewoli, ranni, słabi. Takim psom wiernym należy się przyjęcie inne, gdy z wielkim trudem z daleka! z daleka! przybyli do krainy sądząc że do ojczystej. Tyś młoda i nieświadoma, nie wiesz że i my ojczyzny nie mamy! W Sydonie i w Tyrze mieszkają niewolnicy rzymscy a na Katargi zgliszczach szakale i murzyni. Tyś już nie Fenicyanka! Tyś Sławianka, córka Sławianki.

— Matka moja była Fenicyanką! Ona to wpoiła we mnie nienawiść ku Rzymowi.

— A ojciec? kto ojciec twój?

— Ojciec mój Sławianin, panek z Kaszub pomorskich, mieszka na Krokawie ztąd niedaleko.

— A jakie imię twoje?

— Imię moje Weneta.

— Weneta? to znaczy Sławianka! odgadłem zaraz. Więc to Sławianka łżyła Fenicyana: przeba-

czam jej. Ona nie wiedziała że Fenicy bratają się z Sławiany. Więc Sławianko: wybaczam ci!

Wanda osłupiała, brakło jej słów odpowiedzi. Zgiełk gromady nadchodzącej wybawił ją z kłopotu.

Makedon przyszedłszy po żonę, opowiedział wszem w obec, że panna Wanda wielce rozgniewana na Fenika, że go skrzyczała straszliwie i wzywa przed siebie Rzymiankę, której brat zaniepokojony nie chciał puścić samej, lecz zawezwał wszystkich razem. Więc ruszyli na zamek wszyscy wraz, nawet i syn Fenika poszedł, wiodąc swego niedźwiedzia, na którym jechała zdziwiona małpa. Tłum ciekawych przyłączył się a Pankowie brali z sobą oręż, w obawie iż ci przybysze może idą napadać na zamek. Zastąpili też w bramie, nie chcąc wpuszczać, aż zasięgli polecenia Wandy, która kazała wpuścić cudzoziemce.

Weszli więc Macedonowie oboje samotrzeć z Aeliuszem, zeszta pozostała na dziedzińcu.

Wanda spodziewała się ujrzeć kobietę olbrzymią, silną i srogą, a ujrzała wiotką, bladą, boleśnie uśmiechniętą, miłym głosem mówiącą:

— Zawezwałaś mnie, oto jestem!

Rozbrojona, zmieszana, miała ochotę uściskać niebogę, nieszczęśliwą bo tułaczkę, a szczęśliwą bo kochaną. Przywitała ją najuprzejmiej a ciekawie przypatrzyła się jej bratu, którego wejrzenie srogie nie przypadło jej do serca. Nie spuściła przed nim oka i byłaby wybuchła nienawiścią, lecz zerknęła na siostrę jego i zdało się jej, że ona litości błaga. Więc uspokoiła się, wysłuchała co jej mówiono o jantara zbieraniu, poczem zwróciła się do Fenika:

— Udasz się do Oliwy do kapłana starego; on rozstrzygnie, a najlepiej udajcie się wszyscy wraz, powiedzcie że ja was przysłała: ale Ona niech zostanie tutaj przy mnie, z mężem swym i z niewolnicą, bo po cóż ona się tam ma tułać po brzegach mor-

skich? Ja jej tu dam wygodę wszelką, będzie *ulek silli* (mojem gościem).

— Otóż teraz słyszę z ust twoich słowa mądre, fenickie! *chin-is-bo!* (łaska Baala niechaj będzie z tobą.

Uczęstowała potem Wanda wszystkich, nawet niedźwiedzia, który aż pomrukiwał radośnie, gdy mu szuflą sypano rybki drobne suszone; bardzo mu smakowały i mlaskając pożerał je. Z małpą tylko miała biedę, bo nie chciała jeść ryb, ale w końcu dogodziło się i jej jagodami suszonemi, pasternakiem i rzepą. Żałowała Wanda, że bracia jej młodzi byli nieobecnymi, boby byli mieli tysiąc pociech z nią i z niedźwiedziem. Stara jej mamka dostarczająca żeru zwierzętom, była zdania innego, twierdziła, iż lepiej że nie ma chłopców swawolnych, boby się ciągle droczyli z zwierzętami biednemi, gdyż obadwaj byli swawolnikami nadmiar.

Oliwa, dziś klasztor, mila od Gdańska z pięknym widokiem na morze. W onych czasach widok on przecudnym, boskim wydał się Fenikom tułaczom pierwszym zbiegłym przed okrutnymi Rzymiany. Gdy po wylądowaniu wyszli na pagórek, spojrzeli ku morzu, zawołali *Ol-iphi!* (boska piękność). Nie osiedli tam, bo nieco dalej znaleźli ujście Motławy z przystanią dogodną: tutaj jednak uświęcili miejsce urocze, wznosząc bogu żertwiennik pod lasem, a kapłani, którzy tam osiedli, nazwali miejsce żertwiennika: *Oli-van* t. j. Bogu stawialiśmy. Była to główna świątynia ich na Kaszubach, świątynia pławców u ujścia Wisły. Tam zdążyli podróżni nasi.

Starzec zgrzybiały siedział pod drzewem nieopodal od żertwiennika, w zamyśleniu czy w zachwyceniu spoglądając ku morzu oświetlonemu jarem słońcem porannem i ani zważał, że się doń zbliża Fenik

z przewodnikiem, wyprzedziwszy drużynę całą. Dopiero fenickie słowa pozdrowienia zwróciły baczność jego. Przewodnik rzekł:

— Wanda przyseła ci gości podróżnych, polecając ich opiece twej.

— Kto jesteś i czego chcesz?

— Jestem bratem Fenikiem nieodrodnym i żądam, byś odemnie przyjął *salem kalel* (objatę pątniczą); a że nie mam żywej ofiary, nie mam ani świni, ani orła, ani żadnego stworzenia żywego odpowiedniego, przyjm te pieniądze srebrne cezara rzymskiego, którego jestem niewolnikiem, pomódl się i obtańcuj żertwiennik, aby Bóg wysłuchał wołanie moje!

— O cóż prosisz Boga?

— O jantar!

— O jantar? na cóż tobie jantaru?

— Cezar Nero w Rzymie zażądał jantaru mnogo i zarządcy igrzysk Juliuszowi rozkazał wysłać nas po niego. Mnie kazano przewodniczyć jako Fenikowi bywałemu światem: żona, dzieci i mienie całe pozostało w Rzymie rękojmią; a jeżeli nie przywiozę jantaru, zemsta cezara i zemsta Rzymu całego zwróci się na nas Feników biednych mieszkających w niewoli. Gotowi lwom i tygrysom porzucić na pastwę, gdyż do tego nie potrzeba jeno gniewliwego rozkazu Nerona.

— Nie daj tego Boże stwórco *El-gabalu,* który jesteś starym bogiem naszym fenickim! nie daj tego *Bel-adun,* panie boże, *Bel hazor,* boże obrony, *Bel-ejtan,* boże stary, *Bel-ram,* boże najwyższy! Bo już długo i wiele cierpi naród twój!... Ja sam dostarczę ci jantaru kupę, a jeżeli będzie za mało, każę zbierać na brzegu i kopać w wydmie piasczystej i poślę do brata mego, kapłana Astarty przy świątyni jej na wyspie wąziuchnej wśród morza... Chodź ze mną!

Zawiódł go do skromnej swej chaty, pokazał mu

pod okapem ściany nagromadzoną sporą kupę jantaru i rzekł:

— Weźm to! Co drobniejsze okruchy, poszły w ogień, co większe, odkładałem, bo tu drzewiej był popyt na jantar ze strony Germanów, ale teraz nikt nie żąda, a u nas nie ma to wartości najmniejszej; uzbierasz nad morzem ile zechcesz, ale jeżeli ci pilno, to się spiesz, bo jesień nadchodzi, a za nią spieszno idzie zima.

Fenik aż zadrgał z radości, bo jantaru kupa taka w Rzymie wartała garści złota. Drużyna jego zdążała, przywołał Aeliusza i Skribę, wskazał na jantar, oświadczając, że już nabyty i kazał ostrożnie wsypać do sieci podróżnej, którą noszono na plecach. Było tego brzemię spore.

Na zapytanie: ile dał za to? — odrzekł wymijająco.

Starowina kapłan wypytał się, czy który z drużyny mówi lub rozumi po fenicku? i rad był, słysząc iż żaden prócz syna kupcowego.

— Dobrze, skoro tak! to pójdę z tobą aż do rybaków na kępie, będziemy rozmawiać o sprawach naszych, bom wielce spragnion wieści pewnych i rozmowy mową ojczystą! Tu, na tej północy zimnej, człowiek marnieje żyjąc i obumiera; a mowa ojczysta rozgrzewa duszę tak jak słoneczko ogrzewa ciało. Jantar ten niechaj tu zostanie, na co go dźwigać, skoro go tam będzie podostatek. Chodźmy przodem obadwa, tamci niech zbierają co nadybią po drodze; a od wypadku niechaj wezmą z sobą korczówki i siekiery... Lecz jak widzę mają je w ręku, podpierają się niemi, to rozumnie!

Ledwo że stanęli na brzegu morskim, obaczyli jantar rozrzucony kawałkami niewielkiemi, które zbierała drużyna cała, nawet małpa jak we wszystkiem tak i w tem naśladująca ludzi. Zrazu myślała ona, iż

15*

to owoc żółty, gryzła w zębach, skrzywiła się i rzuciła precz.

Fenik też schylał się zbierając, — ale starzec rzekł mu:

— Nie schylaj się po taką odrobinę, szkoda trudu! Oni jeszcze sami będą w ogień sypać co teraz zbierają.

Jakoż istotnie niezadługo zostawiali na piasku leżące kawałki większe niż te, które pierw zbierali. Starzec polecił, żeby zbierali powoli i szli za nimi do Kamieni wielkich, gdzie ich zastaną.

Oto *Cor-gbot* (Copot), kamień jak pagórek, jeden i drugi na *Kacu* t. j. na kończynie pod lasem; tu usiądźmy, wypocznijmy nad strumykiem, bo do kępy rybackiej jeszcze kawał. Ot! widzisz tam na prawo zatoczkę u ujścia strumienia? to przystań okrętów fenickich morskich, zatoka i strumień zwie się też *Sfinel-jom:* morze okrętów (dzisiejsza Swilina); tam zarzucają kotwice, bo bezpieczno. (Po fenicku *sfine*, okręt kryty; *le-jom,* morze). Przybywają tam po zboże zakupywane w Gdańsku, rozwożą go daleko morzami, sprzedając za skóry piękne, za cynę, żelazo i niewolniki, z czego zysk wielki płynie. Rzymianie tu jeszcze nie zdążyli morzem; rzeczne ich okręta rozbiły się u ujścia Łaby, a przestraszeni głoszą, że doszli już do końca świata; niechże nie zdążają dalej! Cóż tam nasi porabiają w Panonii?

— Panonia cała niemal już w ręku Rzymian, ale Daki trzymają się dzielnie pod rządem żupanów naszych i da Bóg nie podbiją ich Rzymianie, bo prócz narodu Sławian życzliwych a mężnych, Daki mają do obrony Ister głęboki i przytoki onegoż i góry niedostępne z grodami niezdobytemi, których jest tam sześć potężnych, od których kraj cały zwan Sześciogrodem: *Agadirsys*. Po lodach Istru przepuścili do Panonii basterny jazdy łotewskiej, którzy w równiach nad

rzeką Cissą napadli Daków panońskich, niebacznych porazili i wparli w góry, na Sarmaty tamże od wieków woły pasające. Sarmaty umknęli się do Germanii, a oswobodzone od ich ucisku Lechy rolnicy mówiący po sławiańsku, radzi byli pobratymcom Dakom i naszym Punom i żupanom, których rządom chętnie się poddali. Rzymianom ułatwiło to podbój Panonii, ku której zwrócili się mocą wielką, zwłaszcza porażki doznawszy od Germanów. My rozbitki panońskie korzystamy przynajmniej z wolności kupczenia i zarobkowania; szczególnie zaś z górnictwa i soli, której nam już zazdroszczą Germany. Prawdę mówiąc, nie wiemy kto gorszy: Rzymiany czy Germany?

— Oj! i ta Łotwa nie dobra! ani sieją, ani rękodzielniczą, ni kupczą, tylko łowy lubią i *basterny* zagony rozbójnicze, osobliwie zimą po lodzie, a Wisłę to mienią swym gościńcem lodowatym i nadali jej nazwę. My tu na Kaszubach najbardziej wystawieni na ich zagony i tylko ojciec Wandy na Krokawie niedalekiej powstrzymuje ich z pomocą Panków, którzy acz niewiast się boją, ale na wojnie są wcale odważni nawet w zimie, bo w lecie to lada rybak tutejszy śmiało pławi na nich. Krakusa dzielnego powinieneś poznać, bo do Krokawy niedaleko, a on nasz ciałem i duszą, bo już spokrewnion i pobratan.

Drużyna zbliżyła się, szli dalej aż do kępy dziś zwanej: Oksywa.

Była ona wtedy wyspą. Prąd morski opływał ją, tworząc na lądzie bagna ogromne, przepełnione wrzaskliwem ptactwem błotnem; więc też wyspę zwano! *Ogun-zof-aj* t. j. błotnego ptactwa wyspą, w skróceniu mówiąc: Ogsywa.

Okazała to była wyspa; milę wzwyż długa, milę szeroka, a na najwyższem miejscu 250 stóp nad morze wysoka; do tego urodzajna i uprawiana gdzieniegdzie, obsiewana jęczmieniem i grochem, a wyjątkowo

nawet pszenicą. Że uprawiano zboże, nie dziwo, gdyż na górze nadmorskiej wysokiej stał zamek, a w tym zamku panował Krok z Krokawy, ojciec Wandy. Lecz wyłączniej na błotach panowało ptactwo i łosie, których matecznikiem stałym były błota nadwiślańskie. — Zamek Krokawa stał na samym brzegu wysokim.

W zamku tym często przebywała Weneda, a wdzięki jej równie jak silna wola znane były wokoło po lądach i morzach. Słuchali jej rozkazów Lechy rolnicy i Brodiaki pławniczące w morskich brodiach; niejeden młodzian wzdychał do niej, ale żaden nie mógł uzyskać wzajemności. Jeden z nich na Copocie sąsiednym jął stawiać zameczek dla siebie, chcąc jej okazać swą potęgę, ale cóż? Ona na drugiej skale wzniosła gródek jeszcze silniejszy, więc on młodzian zawstydzon ustąpił precz.

Za Oxywą wyspą, Gdynia zatoka z pionowo sterczącemi wysokiemi lądami skalistemi, otworzyła się przed oczyma drużyny zachwyconej. Skriba przejęty zadaniem swego zmarłego pana, chciał sobie zapamiętać miejsce, które mu się zdało wielce dogodne dla spławu, zapytał jak się zowie zatoka ona od morza wielkiego oddzielona i ubezpieczona groblą samorodną, której końca ani się było można dopatrzeć.

— Gdynia! — krótko odrzekł kapłan, a Rzymianin powtarzał raz po raz, żeby nie zapomnieć. Wydobył z torby tabliczkę woskiem obciągniętą i zapisał: *Sinus Codanus*, zatoka kodańska. Uradowany, że się przysłużył nauce i potędze rzymskiej, szedł dalej.

Kapłan stary objaśnił zaś Fenika, że to właściwie *Gadim-ajn*, szczęśliwe lądy fenickich tułaczy, z czego naród pieli utworzył nazwę Gdynia.

Gdy wyszli na wzgórze, obaczyli w dolinie łosiów stado zrywające się i pędzące ku zachodowi,

jeden za drugim i usłyszeli, że tego zwierza jest tam podostatek. Skriba ciekawy pytał jak zwą zwierza onego, którego widział już w jeziorze Asanca.

— A łoś!

— Jak, jak? Aloce?

— Ale łoś!

— Już wiem, już wiem!

Wydobył tabliczkę i zapisał: »W Kodaunonii częsty jest zwierz rogaty podobny do konia ale więkkszy, zwan *Alces*«.

Gdy schodzili z wyżyny, zaleciała ich woń jakaś bardzo miła. Zdziwieni pytali co to jest.

— Dolina *Rih-dan* t. j. woniejąca, zamieszkała przez rybaki, którzy ryby wędzą jałowcem i jantarem...

— Jantarem? nie szkoda też to?

— To najtańszy dym, bo nawet rąbać nie trzeba paliwa, ani łamać, jeno się poń schylić!

— Waj! waj! waj! — dziwił się Fenik.

A dziwił się jeszcze bardziej, gdy spostrzegł w oddaleniu, pagórki porosłe lasem dębowym. Zapytał: czemu nie palą dębiny jeno jantar?

— Bo dębów szkoda, a jantaru nie! Dęby rodzą żołądź, a żołędzią żywią się stada świń dzikich, któremi znowu żywią się ludzie. Drzewo zaś jedyne na okręta morskie, a odpadki na opał w zimie, bo tu mrozy srogie, jantar nie ogrzeje; z niego dymu dużo, ale ciepła mało!

— Waj! waj! waj!...

Rybacy zdziwieni byli odwidzinami ludzi obcych, jakich jeszcze nie widzieli i dziwili się ich mowie, jakiej jeszcze nie słyszeli; ale najbardziej dziwowali się i śmiali z łakomstwa, jakiem ich napawał jantar, jak chciwie chwytali za każdy kawałek większy, chowając troskliwie. Nieświadomi rzeczy, a dobroduszni rybacy,

chcąc im dogodzić, sami wybierali i podawali kawały spore, a stary rybak, głowa osady, zawołał żeby z kup paliwa powybierać co większe kawały i podać mu. Niewiasty i dziatwa jak się rzuciły, w mgnieniu oka przyniosły całe brzemię, składając u nóg Fenika, wedle rozkazu.

Fenik wydobył woreczek z pierścionkami, rozdał między niewiasty, które nie śmiały się nawet tknąć daru tak wielkiego jak pierścionek z miedzi panońskiej a cynku olkuskiego; dziwowały się, że płaci za taką lichotę jak jantar. Rybacy zaś wcale odmówili przyjęcia nagrody i ledwo przyjęli co za ryby dostarczone na pokarm. Niedźwiedź miał używankę nie lada! aż małpę brała oskomina.

Do Krokawy wybrał się Fenik z kapłanem oliwskim, a drużyna pozostała u rybaków, odpoczywając i zbierając jantar.

Krok (Krakus) na Krokawie żył życiem wojennem, bo w bojach bezustannych w obronie kończyn morza lechickiego, napastowanych ciągle. Właśnie powrócił z czaty pomorskiej, od Żarnowca i Białychgór piasczystych nad jeziorem podłużnem. Niedawno jeszcze było tam niebezpieczno na jeziorze i na lądzie, bo Smok zamorski usadowił się na na Żarnowieckiej kępie, wywiesił smocze godło swoje: z przodu orzeł z tyłu lew i zażądał okupu życia i wolności tak od lechów lądowych, jak i od rybaków na jeziorach i prądach morskich. A trzeba wiedzieć, że prądy najsilniejsze opływały kępę, której też Fenicy nadali nazwę po temu *zarem abio:* prądów rodzic, co w ustach ludu zmiękczono na Zarnowie.

Z okupem nikt się nie spieszył, ani zamyślał o tem, natomiast dziwiono się, że kędyś nikną bez wieści dziewuchy dorodne, mianowicie te, co za jagodami, grzybami lub opałem chadzały do lasu zwa-

nego dziewiczym. Wkrótce mało która dziewczyna pozostała prócz Wandy księżniczki. Dopiero się wydało, że porywał je Smok kępy żarnowieckiej i zachodzi po samą Wandę. Matka jej żyła jeszcze i ona to dostrzegła okiem macierzyńskiem, zawołała na gwałt, żeby uderzyć na kępę, zabić smoka. Mężczyźni wahali się, zatrwożeni śmiałością smoka i jego ludu zbrojnego. Kobiety więc same wyrwały się, biegły na pewną śmierć! Krakus nie dozwolił im ginąć, zawezwał ochotnych młodzian, by szli bronić córki jego. Skoczyli raźno, wyprzedzili kobiety, uderzyli poskokiem szalonym, ślepo idąc za Krakusem, wybili, wytłukli co żyło smoczego, uwolnili dziewuchy, zabrali i popalili brodie morskie wszystkie. Krakus sam cudów męstwa dokazował, a wojacy jego podziwiali, uwielbiali, ubóstwiali go.

Odtąd nie chcieli oni uprawiać lechy na polu, ani rybaczyć po morzu, lecz jako drużyna zbrojna czatowali i strzegli, żeby nowy smok jaki, brodas jaki zamorski, nie przypławił brodią morską, nie usadowił się kędy na kępie.

Wszyscy zaś mężczyźni przyznali, iż zbawiły ich kobiety! — z których najdzielniejsza Krokowa żona wkrótce odumarła córki Wandy i synów. Krok zaś z obawy, żeby mu córki nie porwano, kazał jej zamieszkać w Gdańsku, gdyż na zamku w Oxywie zjawiali się swatowie, których ona nie chciała. Synów zaś chłopaków zostawił przy sobie.

Ucieszył się Krok odwidzinami kapłana, którego opiece powierzył córkę swą, a niemniej poselstwem cezara rzymskiego, o którym wiedział, iż wojuje z Germany, a germańską była mowa onych zamorskich smoków rozbójniczych. Uśmiał się zaś serdecznie, słysząc jak sprośnie przywitała Rzymian córka jego, mszcząc się krzywd, których przed wiekami doznali praszczury matki jej fenickiego rodu; a rad był sły-

szeć, że naprawiła niegrzeczności wybuch uprzejmością gościnną.

Słysząc iż podróżni tyle światu przebyli, tyle trudu doznali dla takiej lichoty jak jantar, postanowił wdać się w to, żeby go dostali ile tylko zechcą; niechaj cezar Rzymski zna uprzejmość Lechów kaszubskich od ujścia Wisły.

Uraczywszy gości należycie, zabrał ich z sobą na podwody i zawiózł do Pucka, kędy też zawezwał pozostałych między rybakami.

Wziął z sobą synalków obydwu: Krakusa i Lecha, nie chcąc im psuć rozrywki, jaką mieli z małpą i niedźwiedziem.

Puck jeszcze bardziej woniał jantarem, bo jeszcze więcej ryb wędzono tutaj. Ztąd też i nazwa fenicka, bo w mowie ich *Puch* znaczy: wonią tchnąć.

Woniało zaś wszędzie, gdyż naokoło paliły się ognie jantarowe: że Fenik aż nie mógł wyjść z podziwu.

— *Bał-gad!* boże szczęścia! Zkądżeż oni biorą jantaru takie mnóstwo?

— Część zbierają, a część na leżączkę *rypią* w namuliskach, co się zwie po fenicku *riped;* wydobywają tak pospolicie okruszyny *fernek* (fen. *for*, pokruszony) i *sluks*, a właściwie *sil-kitr*, jantar pospolity palny i *szum* w kawałkach spękanych nieczystych (fen. *szomed*, psuć). Macie narzędzia, jeżeli chcecie kadzić i dymić, możecie tutaj narypać jantaru aż nadto w namuliskach siwych.

— Ej! nam by trzeba kawałków całych i pięknych na oko.

— Takich mnogo znajdziecie na Heli a jeszcze więcej na Mierzei, za tem Małem morzem.

— A przeprawa?

— Z tem najmniejsza! od czegoż brodnicy i rybacy?...

Krok zwrócił się do dworzan swych pytając czy są tu w Pucku rybacy z Jastarni?

— Są! jest nawet ich *matsuper*.

— *Matsuper?* co to jest *matsuper?* — zapytał Fenik.

— Matsuper, to setnik rybaczy; bo rybacy nasi z dawien dawna dzielą się na sotnie, a każda ma swój dział na przestrzeni morza i ma swojego głowara, który sądzi ich sprawy.

— Waj! waj! to *mat-sufet* nasz fenicki (*mat:* sto, *sufet:* sędzia). To tutaj nasi rybaczyli na morzu... zaprowadzali rządy swoje?

— Dyć tak było, nie inaczej!

Przybył stary rybak samowtóry, pokłonił się głęboko i pytał o rozkazy.

— Wkiedy wypływacie na Wielkie morze?

— Radziby wnet, przed burzami jesiennemi.

— Słysz stary!

— Słucham...

— Oto goście moi z bardzo daleka, aż ze Żmii miasta. Cezar wysłał ich, żeby mu przywieźli jantaru mnogo, bo Niemce wojują z nim i nie dowożą. Trzeba im pomódz! Przepławisz ich na Helę a potem na Mierzeję, kędy jantaru mnogo i odstawisz ich z powrotem zdrowych i całych! zrozumiałeś?

— Zrozumiałem. Jeno kieby ruszyć jeszcze dzisiaj, bo pogoda sprzyja.

Niebawem przypławiły ich brodia, podróżni wsiedli: na jedno czółno Aeliusz ze Skribą, łowcyma i Gajem, a na drugie Fenik z Upponem i synem, który wiódł niedźwiedzia z małpą.

Stary rybak baczył, że Fenik bardzo poufale rozmawia z fenickim kapłanem, któren mu doręcza jakieś tabliczki gościnności i bardzo serdecznie się śrada; więc też baczył, iż książę Krok podaje mu rękę i bardzo łaskawie z nim rozmawia, podczas gdy Rzymian

zbył krótko i chłodno. Mniemając że Fenik jest głównym dostojnikiem drużyny poselskiej, zaprosił go na łódź swoją własną, którą sam jedrzył, Rzymianom zaś wskazał łódź drugą. Nie małym zaszczytem mienił też, że z Fenikiem wraz wsiądzie niedźwiedź i małpa, o której nie był przekonan, czy to zwierzątko, czy czarny człeczek zamorski.

— A masz ty tłumacza? — zapytał Krok wsiadającego.

— Nie mam! Uppon mój mówi tylko po litewsku.

— To wystarczy! rybacy znają tę mowę... Hej matsupie! weźm z sobą brodnika co zna *kałbę* litewską, żebyś się mógł porozumieć z podróżnym.

— Mój syn mówi po litewsku.

— To dobrze! szczęśliwej podróży!

Fenik zagadał rybaka starego, że go ma przepławić wprost do kapłana Astarty na Heli.

— Do tego skopca na Jastarni? On wam nie wiele poradzi, bo to mruk i odludek, ale jeżeli każecie, to podpławię.

— Na drugiej łodzi była też rozmowa z brodnikiem: Aeliusz niecierpliwy wypytywał, kędy najwięcej jantaru znaleźć możną, a słysząc, że na końcu półwyspu, kazał tam lądować.

Po dwugodzinnym pławie lądowali: Fenik na Jastarni, Rzymianie pławili nieco dalej.

Rybak stary przewodnicząc rzekł:

— Żeby tylko nie był pijan jako zwykle!

Szli samotrzeć po piasczystej wydmie aż do boru sosnowego z krawędzi niskiego i karłowatego, w środku zaś gonnego. Szum sosen i uroczystą ciszę od czasu do czasu przerywało nagłe łopotanie skrzydeł. Były to gęsi dzikie morskie puchonośne: gnieździły się po drzewach, a z gniazd płoszył ich odgłos przechodniów. Czem bliżej świątyni tem częściej się zrywały, a we-

dle świątyni samej były gniazda tak gęsto, iż się aż roiło w powietrzu od ptactwa wzlatującego.

One gęsi nie boją się ludzi spokojnych, rade gnieżdżą się wedle mieszkań, niezrażone że im z gniazd zabierają puch, który zasię wyskubują sobie z piersi, otulając jaja i pisklęta. Tak prawił rybak Fenikowi zdziwionemu, gdy dochodzili do miejsca.

Świątynia Astarty w śródborzu na łące, otoczona była okolem drewnianem, wpośród którego był żertwiennik z posągiem bogini i mieszkanie kapłana wraz z służbą ofiarną. Posąg Astarty, bogini spławu i wojny, wyobrażał dziewicę jadącą na byku, ukoronowaną półmiesiącem, dzierżącą włócznię w ręku. Na cześć jej dziewiczości niepokalanej płonął ogień wieczny, a żadna mężatka pod karą śmierci nie śmiała przekroczyć okola świątyni, bo bogini wojny była nieprzyjaciółką małżeństw.

Podróżni przez przełazkę wleźli do okola niestrzeżonego, a Fenik nie bacząc ludzi, rozglądał się i szukał kapłana. Zajrzał do chatki samotnej, spostrzegł męża bladego, drzemiącego w kącie; naczynie z napojem stało wedle niego. Zbliżył się, dotknął ręką głowy jego...

— Kto tu? kto to?... niewiasta?... ruszaj precz pokuśnico! nie wolno, nie wolno! pod karą śmierci... zabiję cię natychmiast!...

— Spokój z tobą bracie! *salem alekum!* to nie niewiasta, to brat Fenicyanin panoński pozdrawia cię od brata twego na Oliwie.

— Na Oliwie... brat... aha! brat mój... a zdrów on, nie zabili go jeszcze te Gudy?

— Nie zabili, on zdrów, pozdrawia ciebie, przesyła ci tabliczkę gościnną, żebyś mnie miał za przyjaciela...

— On zdrów! on szczęśliwy!... ale ja chory, ja nieszczęśliwy, ja bardzo nieszczęśliwy!

— Dlaczego masz być nieszczęśliwy?

— Dlaczego? pytasz dlaczego?? Dlatego, bo bogini rogata *Astoret karnaim*, niepokalana dziewica niebios, pogniewała się na nas biedaków, opuściła nas sieroty wygnane z Sydonu, Tyru i Bozry kartagskiej! Już nam ani wojny wygrać, ani morzami pławić!... Rzymianie krzyżują nas, zabijają nas, trapią nędzą, morzą głodem, odbierają zarobek kupiecki i kopalnie i pola orne i sól i wszystko i wszystko!... zagubią nas, wytępią nas do szczętu, do ostatka!... nie wiem, czy pozostanie po nas nazwa nasza narodowa!...

...Chciałem przebłagać boginię miesiąca błędnego! paliłem i palę jej ogień wieczny... palę żertwy i obiaty, modlę się płacząc i rycząc w niebogłosy... Nadaremno!

...Ha! no! myślę: bogini łaknie mięsa ludzkiego, żertwy dziecięcej! Postarałem się o dziewczynkę niewinną, niepokalaną jak Astarta sama! Zarżnąłem ją na żertwienniku, modląc się, żeby bogini niebios przyjęła żertwę, żeby odwróciła od nas klęskę i niedolę... Nadaremno!

...Więc zdobyłem się na ostateczność: ofiarowałem sam siebie! Ażeby nasycić łakomstwo bogini, ażeby zaspokoić gniew jej zachłanny, poniosłem boleść nad boleści, stratę nad straty: wyskopiłem się! pozbyłem się męzkości własnej! stałem się jak niewiasta słaba, stałem się niedołęgą!... Ale i to nadaremno! gdyż wkrótce dowiedziałem się o nowych klęskach braci naszej, o zwycięstwach Germanów nad Wenedy sprzysiężone, Rzymian nad Panony naszymi. Kupce nasi nie przybywali po jantar, brodie nasze nie śmiały się wychylić ku Brytanii...

...Chyba już nie ma Bogów! chyba królowa niebios już nie króluje, a smok Tyfon zwyciężył...

...Żal okrutny zawładnął mną... boję się oddechem z bliska rozdmuchiwać ogień święty, bo jakby

z źrenicy padła łza, toby go zgasiła... Boję się siadać nad morzem, aby łzy moje nie wpadły w morze, bo by zatruły wodę, wysnęłyby ryby wszystkie! Oj! biedny ja biedny!

Wylewając żale swoje, oprzytomniał nieborak, bo był trochę napity, jął wypytywać Fenika: zkąd przybywa i po co? jął ugaszczać czem tylko mógł, silił do napitku miodu, który wcale smakował Fenikowi. Rybaka nawet przywołał i Uppona, uraczył ich hojnie. Lecz co do jantaru, nie wiele poradził, bo on go nie zbierał ani kupczył, żyjąc z ofiar składanych. Przy rozstaniu dał przełamaną tabliczkę z nazwą jakąś fenicką, mówiąc, że to od drużby swego za morzem... może się przydać.

Rozrzewniony do żywego oddalił się Fenik, aby za wskazówką rybaków zbierać jantar.

Aeliusz tymczasem nie próżnował.

Przez Gaja rozmawiając z brodiakami, słysząc o jantarze na kończynie półwyspu, kazał tam pławić. Blisko brzegu doleciał ich odgłos śpiewu i dźwięk lutni.

Śpiew był urywany i smętny, a lutnia wielostrunna brzęczała hucząc. Łowce obadwa nadsłuchiwali i rzekli, że ktoś śpiewa piosnkę sarmacką i gra na *kanteli* t. j. na lutni fińskiej czyli sarmackiej.

Tak było istotnie: na ławie piasczystej siedział mężczyzna grając i śpiewając po fińsku:

Lutnia moja z troski złożona
Z żalu wytworzona, urobiona z niedoli,
A struny jej wysnute z boleści,
Z przykrości są kołki na szyi lutni.
Ptak żałoby gryzie serce moje,
Chciałbym go zrzucić w głębokie morze;
Ale nużby on zaraził przyrodę całą?
Ryby wszystkie posmutniałyby,
Okunie spuściłyby się na dno,
Szczupaki wielkie popękałyby,

Pstrągi strawiłyby się z żalu,
Karpie owładłaby tęsknota;
Wszystkie ryby poczerniałyby
Od głębokiej boleści smutnego
Od żałoby ptaka czarnego.

Ursyn i Sylwan wysłuchali z uwagą natężoną i rzekli:

— On śpiewa po naszemu, po sarmacku; to nasz rodak, rozmówmy się z nim.

Śpiewak zdziwił się, obaczywszy łódź i ludzi obcych, a bardziej jeszcze zdziwił się, gdy go zagadali po fińsku czyli sarmacku dość dlań zrozumiale, pytając, dlaczego śpiewa tak smutno.

— To nie moja pieśń, to żale sąsiada mego.

— Jakiego sąsiada?

— A onego skopca, kapłana na Jastarni, który żałuje, że się dał wyskopic! Ale ktoście wy? czego tutaj szukacie?

— Jantaru szukamy!

— Jantaru? a to na co?

— Co ci do tego na co, pokaż kędy go zbierać a wynagrodzimy cię.

— Co dacie?

— Co chcesz?

— Chcę wszystko! co dacie?

— Damy ci nożyk!

— Mam nożyk ostry z krzemienia, lepszy niż wasze...

— Damy ci się napić dobrej rakii.

— Nasz miód lepszy! Wasz skopca na Jastarni woli nasz miód, a jak się upije, to narzeka żałośnie i płacze, że nie ma żony; ja zaś jak się napije miodu, to się cieszę, że mam żonę.

— To ci damy siermięgę ciepłą.

— Pokażcie!... to za mało, dajcie co...

— Cóż?

— Dla mojej żony dajcie co. Jak nie dacie dla mojej żony pieniądza pięknego na przyozdobienie czapki, to wam nie pokażę jantaru. A skopca pijany też wam nie pokaże, bo on umie tylko dzieci zarzynać na żertwę, ale tego nie wie, co ja wiem. Ja umię czarować, ja znachoř... Dacie więc pieniądza?

— Damy!... oto takiego lśniącego, z główką cezara.

— To wam wskażę miejsce, kędy drzewiej kupce zamorscy zbierali jantar, który tam leży kupami, bo go nie zabrali, gdyż uciekali przed burzą i potonęli. Ale to nie tutaj jeno na Mierzei.

— Kędyż ta Mierzeja?

— Anoli tam za morzem, niedaleko! wyspa tak jak tu... Popławię za wami.

— A jeżeli jantaru nie będzie?

— To mi nie dacie nic; ale zapewniam, że będzie kupami pod trzema sosny, na których są gniazda gęsie.

Zgodzili się! Znachor przywołał żonę swą młodą ale nie ładną. Miała ona na głowie kapelusz z kory brzozowej, gdyby skopiec wysoki z przodu ozdobion jakąś blaszką lichą. Gdy jej dali pieniądz lśniący, omal nie omdlała z radości, uśmiechała się w zachwycie niemym, patrząc ciągle na on podarunek świetny. Znachor też aż podskakiwał, obracając się w koło, okazując jej nabytą starą siermięgę wojskową.

Obesłano Fenika, że popławią na Mierzeję.

Fenik stary do dna serca wzruszon był żalami kapłana Jastarty, zwątpienie onegoż czepiło się i jego; zaczął wątpić w pomyślność wyprawy, w wielki plon jantaru, a wiedział, że byle czem nietylko nie zaspokoi, lecz raczej rozdrażni Nerona. Chciał na Heli zabawić, nazbierać jantaru ile się da; wezwanie do pławu dalszego zdziwiło go. Pytał rybaków i odrzekli, że istotnie na Mierzei morze mnogo jantaru wyrzuca.

Pławili więc dalej a Aeliusz nie czekając odbijał od brzegu i wołał, żeby pławić za nim; pewien był że znachor helański przewodniczy dobrze.

Bez wypadku dopłynęli do Mierzei półwyspu, a raczej wyspy między oboma ujściami Wisły, długiej piętnaście, szerokiej dwie mile i więcej. Od Gdańska ciągnie się aż naprzeciwko Piławy, a Lacha wiślana wielka odłącza ją od lądu.

Mierzeja, właściwie *Nereja* fenicka (*ner:* rzeka, nurt; *aj:* wyspa) dziś z niemiecka zwana Neringą, wsławiona, że na niej u wsi Chomorowa zabit św. Wojciech.

Wiatr północy usypał ją z piasków i namulisk dna morskiego, więc też od morza ma ławy piaskowe schodowate, a porośnięta przeważnie wrzosem i borem sosnowym. Burze jednak północne ciągle miotają piasek, usypując ławy wysokie, zasypując roślinność nietylko poziomą, ale nawet lasy całe.

Łódź pierwsza, pławiąc za wskazówką znachora, zbliżyła się ku brzegowi Mierzei, lecz nie dobijała, bo znachor nie mógł dostrzedz onych sosen z gniazdami gęsiemi.

Widzieli wprawdzie gniazda gęsie, ale na krzakach, a tamto były sosny wysokie. Krążyli więc tędy owędy, aż w końcu znachor poznał drzewo stojące opodal i zawołał radośnie:

— To przecie tutaj! Ot baczcie, pod tą sosną leży kupka jantaru, a tam o kilka stajen na wschód leżą kupy duże, ale je przysypał piasek w oną burzę straszliwą.

Wylądowali więc u onych trzech gniazd, znachor poznał tożsamość miejsca i zawezwał do kopania, gdyż nie ma sposobu innego. Kopali więc na siągę, kopali na drugą, aż w końcu dokopali się jantaru kupę złożoną pod drzewem, zasypaną piaskiem.

Aeliusz uradowany oświadczył, że jako sam wynalazł, tak też sam będzie kopał jantar, Fenik zaś z synem i Upponem mogą szukać kędy chcą.

Wypocząwszy, kopali pod drugiem, a następnie i pod trzeciem gniazdem i wydobyli jantaru trzy brzemiączka spore, ku wielkiemu zadowoleniu Aeliusża.

Znahor opowiadał, że na całej wyspie znachodzi się jantar wyrzucony z morza i można go uzbierać ile kto chce, oświadczył, iż chętnie pójdzie razem z nimi i będzie wskazował miejsca jantarowe, na co przystali.

Fenik z rybakiem starym i pomocnikiem jego, pławiąc dalej, śledzili jantaru po brzegu. Opłynęli ląd lesisty i przybili do miejsca, gdzie w morze wysuwał się przylądek świeży, piasczysty, gdyby grobla usuta.

Wysiedli na ląd i okrzykiem głośnym objawiali radość, bo wydma piasku była gdyby zasiana jantarem.

Rzucili się do zbierania, a nawet małpa nie próżnowała, znosiła jantar na kupkę osobną, ku wielkiemu zgorszeniu rybaka, utrzymującego, że ci ludzie od Rzymu to tacy mądrzy jak ta małpa!

Rybacy nudzili się w czółnie, żal im było czasu i pogody sprzyjającej rybołostwu jesiotrów. Pytali się Fenika, czyby nie wolał pławić dalej ku końcowi Neryngi, gdzieby oni na cieśninie morskiej i zatoce łowili, a tamci lądemby zdążali ku nim.

— Obaczyłbyś — rzekli — lądy jantarowe, najbogatsze na wschodnim brzegu morza, brzegi *Mendaniemi*.

— Jak, jak? *Main-thyonim?*

— Tak jakoś.

— To znaczy: wody jantarowe.

— Takiemi są! tam jantaru najwięcej i najpiękniejszy, taki żółciutki i zielonkowaty, że nam samym czasem żal w ogień go rzucać; częste zaś bryłki jak

jaja, a trafia się taka jak głowa ludzka i daleko większa jeszcze.

— Popławimy! tylko czy tamci trafią do nas idąc wyspą?

— Jeden z rybaków pójdzie z nimi jako przewodnik. Pójdą po maleńku i muszą nocować kilka nocy, bo to daleko, a zbierając, nie będą chcieli pospieszać. Niech wezmą żywności trochę i oręż, bo tam są jelenie, a bywają i wilki, a siecie mają na jantar, to też i o rybę nie będzie im trudno; rybak złowi!

— A cóż tam za ludzie na onem Mainthyonim?

— Łotwa.

— To Uppona weźmy z sobą bo on Litwin.

— I owszem.

Aeliusz na objawiony Fenika zamysł pławienia przodem dla podglądu morza nieznanego, przystał doraźnie. W duszy rad był, że bez Fenika dokona zbioru jantarowego i będzie się miał czem pochwalić w Rzymie. W dodatku zawołał:

— A weźże sobie i synalka twego z małpą i niedźwiedziem; może ci pomogą, bo namby zawadzali tylko!

Fenik nie odrzekł nic, jeno splunął, wezwał syna z małpą i niedzwiedziem wsiedli do czółna, odpłynęli.

Kilka mil pławili wzdłuż Mierzei wszędzie jednakiej: piasczystej, niskiej, porosłej to borem, to jałowcem i wrzosem, a od morza schodowatej i nigdzie nie szerszej nad pół mili, czasem zaś ledwo kilkaset kroków.

Słońce już się nachylało, gdy się zbliżali do jej końca, mając przed sobą wschodni brzeg Bałtyku morza, urwisty i podwyższony. Wąski przesmyk dzielił go od Mierzei, a na przylądku sterczał pagórek.

— Co to za lądy? — pytał Fenik.

— To wszystko: *Mendaniemi* t. j. sosnowy przylądek!...

— A po jakiemuż to?

— Po fińsku.

— Przecież to nie przylądek mały, ale brzeg kilkonastomilowy, a sosen nie widać. Jantar jest tu?

— Tutaj najpiękniejszy i najwięcej go wyrzuca morze wzburzone, bo to jest morski kał zatwardziały, a mieszkańce używają go na opał.

— Waj! waj! waj! to *Maim-thionim,* wody jantarowe, o których mi opowiadano za młodu, że do nich na fenickim okręcie z Marsylii ongi dotarł Pythias!... ale on pisał, że tam mieszkają Guttony, nie Finy.

— A tak! tu teraz siedzą Gudy, a tam na brzegu sterczy Pile, grodek ich kunigsa, który usypali...

— To gdzieś niedaleko jest Abalus?

— Balus jezioro? właśnie ku niemu pławiemy. Ale tu jest jeden *balus*, co nim można dopławić do Wisły i Gdańska, a tam dalej jest drugi *balus* ku północy jeszcze większy, także za taką kosą piasczystą jak ona Neringa lub Hela, a na lądzie jest też *balusów* (jezior) nie mało, tak iż cała ta kraina jantarowa jest wyspą.

— Waj! waj! toć to jest wyspa Abalus?

— A może.

— A nie ma tu jakiej Magury lub Krakowa?

— Magury nie ma, ale Krakow jest.

— Gdzie?

— Pod nim będziemy nocować!

Opłynęli przylądek Piławę, przepławili zatokę i w zakątku onej wylądowali.

— Czemuż tak daleko w zatoce lądujesz?

— Jużcić tam na półwyspiu byłoby dogodniej, ale tam straszno; bo na Pilsie siedzi kunigs łotewski łaknący łupu, gotówby napaść nocą.

— A tu nie napadnie?

— Nie! bo tu sami rybacy przebywają i bronią się wzajemnie jeden drugiego. My tworzymy bractwa, pomagamy sobie w pracy i bronimy się pospołu, bo inaczej owe *kunigsy* zabraliby nam ryby i sieci i nas samych wzięliby do niewoli i zaprzedaliby kupcom cudzoziemskim, którzy tu przybywają po ryby, futra, skóry, smołę, a dawniej i po jantar.

— A gdzież ten Krakow?

— Ztąd niedaleko; nie wiem jednak czy tam jeszcze siedzi kto; bo wpierw byli tacy ludzie jak ty, ale się wynieśli przed napadem kunigsów. Tylko tutaj bliżej na onej górze jeszcze przebywają i postawili dwór obronny, w którym mają składy swoje. Pójdę tam z tobą, bo my się tulimy pod ich opiekę przeciw tym kunigsom Gudów i chętnie im się opłacamy za to, zwłaszcza, że dwór ten daleko widny na morzu, służy nam za wskazówkę we dnie i nocy, bo zwykle oświetlony ogniami.

Noc zapadła, Fenik nie mógł spać z uniesienia, że dotarł do sławnej i uwielbionej krainy jantarowej, a wyobraźnię rozbujałą podsycały bezustanne wrzaski i łopot ptactwa wodnego na zatoce.

Rano gdy spojrzał z brzegu wysokiego, aż się zdziwił bacząc nieprzejrzane roje: łabędzi, gęsi, kaczek i rybitw, pływające lub ulatujące, a po błotach nadbrzeżnych chmarami zrywały się krzyki, bekasy...

Z rybakiem starym szedł do onego dworu czy grodka. Minęli błotniste lądy, wychodzili na brzegi wyższe. Ścieżka wiodła przez lasek niewielki ale tak gęsty, że nieba widać nie było: rybak zaręczał, iż podczas miernego deszczu kropla wody nie spadnie na przechodnia. Cały lasek szeleszczał i szumiał od

ptastwa drobnego, mianowicie: jemiołuszek ślicznych a nie płochliwych, więc też kosów, drozdów, kwiczeli. I nie dziwo, gdyż lasek w znacznej części składał się z jarzębiny, a jagody jej czerwone rumieniły drzewa całe, a były już dojrzałe i przejrzałe; więc też ptactwo ono żarłoczne obsiadało i objadało je, kłócąc się między sobą i wrzeszcząc, a jemiołuchy na dożerek zrywały się, lecąc ku jodłom i sosnom na jemiołę tłustą i tuczącą.

— Będzie zima niezadługo, skoro się tak gromadzi to ptactwo — zauważył rybak stary.

Czem wyżej wyszli tem cudniejszy odsłaniał się widok: na zatokę całą i na przylądek z usypanem Pile, grodkiem kunigsa Gudów łotewskich, więc dalej na cieśninę morską, na jezioro oblewające Neryngę z jednej, a Morze wielkie falujące po drugiej stronie; ku północy zaś na kawał Sambii i Warmii. Widok prześliczny, a grodek sam jak strażnica nadmorska zdala miał pogląd na wszystko, co się działo na lądzie i morzu.

Neryngi (Mierzei) koniec widać było dokładnie i łatwo było dostrzedz w nocy ogień tamże wzniecony, a nawzajem ztamtąd nocą widne były ognie rybaków Piławskich, którzy tu poniż grodka wędzili jesiotry i inną rybę, sporządzali kawior, gotowali marynatę...

Grodek sam obyczajem fenickim okopany i najeżony ostrwiami, był wcale obronnym, a wszędy widać było wiszące tarcze i siekiery bojowe. W pogotowiu też wojennem była straż złożona z Feników rodowitych i ich pokrewnych, półkrwi północnej a przez pół afrykańskiej: chłopy jak dęby, jedni czarnoocy o jasnych żółtych, a częściej jeszcze o rudych włosach, — drudzy o czarnym zaroście przy źrenicach siwych.

Starostą był Fenik czystej krwi *mare marajnes* t. j. pan z panów.

Zdala już badawczo przyglądał się przychodniom, gdy go zaś Fenik pozdrowił w imię Boga Tyru Melkarta, błysnęły czarne jego oczy i zarumienił się lekko: bo dawno, dawno już nie słyszał tego ojczystego pozdrowienia. Z ciekawością słuchał pozdrowienia od Krakusa, od kapłana z Oliwy, od Wandy Krakusównej, a na widok rozłamanych przez połowę tabliczek gościnnych fenickich z nad Dunaju i od Alp śnieżnych, a w końcu z Rzymu, łza wzruszenia zadrgała mu w źrenicy; przywitał go jako pobratymca, jako brata starszego.

W niedługiej rozmowie wywiedział się o celu podróży tak dalekiej i odrazu pojął doniosłość utorowania cesty lądowej kupieckiej przez rodaków fenickich, od Bałtyku przez Rzym aż do Afryki i Azyi. Zachcenie Nerona zdało mu się opatrznościowem, pragnął mu dogodzić, aby uzyskać opiekę jego wszechwładną. Fenik pytał go:

— Tać to tutaj słynna kraina i morze jantarowe?

— Tutaj. Morze wzburzone wyrzuca jantar na oną morzem i *balusami* oblaną wyspę, ztąd aż do północnej ławy piasczystej, dłuższej niżeli Hela, niżeli Neringa. Szkoda tylko, że cała ta kraina jest obecnie w ręku tych kunigsów łotewskich, łupieżnych i nieużytych, a głupich! Tać ich pobratymce są sojusznikami Rzymu, a oni tutaj jantarem najcudniejszym palą gdyby drzewem, zamiast go Rzymianom przedawać za złoto. Lecz cóż im po złocie, skoro oni się nie znają i na tem! Trzebaby ich podejść wymysłem jakim, jak dzieci głupie, to ci naznoszą jantaru przecudnego okręt cały. A trzebaby koniecznie dogodzić cezarowi i utorować cestę do was tam na południu. Gdybyśmy się mogli połączyć z południem, kto wie? możeby się jesze odrodziła jaka Katarga, chociaż tu na północy!... Ja z mej strony użyję sposobów wszelkich, a najpierw

będę się zwiadywał między rybakami, czyby Łotysze nie chcieli zająć się zbieraniem jantaru, bo tam do nich udawać się nie można; pojmają do niewoli, a przy pierwszej sposobności zaprzedadzą cię pierwszemu lepszemu Gutonowi z Szwecyi, lub wybrzeży germańskich.

Przywitany tak serdecznie i ugoszczony wspaniale, wracał Fenik stary z gródka ku morzu pełen otuchy i szeptał modlitwę do Bala, bóstwa fenickiego, żeby nadarzył sposobności ujęcia łotewskiej dziczy.

Bal Melkart wysłuchał: nadarzył sposobność.

Rybacy złowili jesiotra ogromnego i wracali do miejsca lądowania, gdzie przy ognisku siedział Uppon i feniczyk z swą małpą i niedźwiedziem.

Małpie nudziło się bardzo próżniaczyć na piasku, gdzie nie było najmniejszej sposobności do skakania i spinania się na wysokość jaką. Z daleka więc spostrzegła czółno o steżniu wysokim[1]) i chwiejących się żerdziach hadrowych, które jej się nieporównanie lepiej podobały, niż równa i sypka ława piasczysta. Gdy więc czółno przybiło do lądu, skoczyła jak strzała i już była w czółnie.

Tutaj jednak stanęła przerażona, obaczywszy rybę ogromną, leżącą na środku. Ostrożnie obeszła ją do koła, jęła oglądać częściowo: najpierw głowę i oczy, potem grzbiet i płetwy kolczaste, w końcu ogon. Ośmieliła się tak dalece, że zdala przykucząjąc, wyciągła rączkę suchą i paluszki, więc pazurkami ujęła koniec ogona i podniosła cokolwiek.

Wtem ryba ruszyła ogonem i rzuciła sobą cała. Małpa przerażona jak chybnie ku steżniowi, je-

---

[1]) Steżeń na morzu Sinem Adryi zwie się maszt.

dnym rozpędem była na samym szczycie, gdzie przykuczła na rękach, zgarbiła się i szczerzyła zęby, aby okazać, iż się nie boi.

Rybaków pobudziło to do śmiechu niepomiernego, który aż się rozlegał po zatoce daleko. Małpa zaś uradowana śmiechem ludzkim i ośmielona, skakała z żerdzi na żerdź, z hadry na hadro, a w końcu po powrozie spuściła się na pokład; lecz ledwo go dotknęła łapką jesiotr rzucił się znowu, a małpa gdyby lotem ptaka sunęła z żerdzi na żerdź i na steżeń, nie zatrzymując się znowu aż na szczycie samym, gdzie stanęła wyprostowana wywijając rączętami, jak gdyby się oganiała rybie, o której sądziła, iż ją ścigać będzie powietrzem.

Rybacy huknęli śmiechem jeszcze serdeczniej — a z lądu zatoki słychać było także śmiech wtorujący.

Uppon na brzegu stojący, rad nie rad uśmiechnął się też z wesołych poskoków małpy, a mimowoli spoglądał w bok na brzeg, zkąd go doleciał śmiech człowieczy.

Obaczył męża poważnego, brodatego, w siermiędze zwykłej łotewskiej, lecz przepiętego białym pasem, a dzierżącego w ręku kij długi, wierzchem zakręcony podwójnie. Stał on spokojnie i poważnie, gdyby posąg nieruchomy.

Obok niego człeczyna jakiś niepokaźny, który aż się zachodził od śmiechu, patrząc na małpę, wskazując palcem i wołając raz poraz:

— *Kat tau Perkunas ringti!* — Oby cię piorun zabił!

Uppon zerwał się i pospieszył ku nim, bo poznał, że to *kriwe* t. j. kapłan z krzywulcem w ręku i opasan białym pasem; w śmiejącym dorozumiał się jakiego sługę kapłańskiego lub wieszcza *burtinikasa.*

Tak też było istotnie. Kriwe poważny przybyły z dala, aby odprawić nabożeństwo dziękczynne i ofiarę kozła. Dla skupienia myśli i odświeżenia ducha, wyszedł nad morze, ku smętarzowi odwiecznemu narodów, które tam umierały przed Łotwą jeszcze. Dumania nabożne przerwało mu widowisko małpy skaczącej po steżniu i żerdziach hadrowych, więc też śmiech rybaków i *burtinikasa*. Stanął jak wryty, nie mogąc pojąć zwinności koczkodana.

Uppon zbliżył się, uniżenie pozdrawiając kriwego.

— Co to za dzieciak czarny skacze tak jak wiewiórka?

— To nie dziecko, to *bezdejona!*

— *Bezdejona?* a któż ją tu przywiózł i zkąd?

— Ona pochodzi z Ziemi wschodniej kędy była pielesz narodu naszego, wiecznie ciepłej i rozkosznej, gdzie rosną drzewa oliwne i różane, gdzie żyją *lutasy* i *luzysy* (lwy i leopardy), a ludzie szczęśliwi jeżdzą na zwierzęciu, które ubiega przestrzenie niezmierne, pije raz na miesiąc, a zwie się *kupranugarys* (wielbłąd)! Ja zaś pochodzę z Litwy; z ojcem wraz wyruszyłem *basteneksem* nad daleki Dunaj w pomoc Wajneksowi przez Rzymian uwieńczonemu królowi staremu, przeciw któremu siłą wielką ruszyli Wacusy w wielkich kapeluszach, wiodąc z sobą Hermundurów.

— Cóż to za Wacusy?

To Teutony Germany, z którymi nie rozmówi się nikt; ani Rzymianin ani Litwin ani Lach! Toć też Lachy zwą ich Niemcyma czyli niemymi, my zaś mawialiśmy: »głupi jak Wacus!« Doznaliśmy porażki!...

— I takim głuptakom daliście się pobić?

— Głupsza niecierpliwość mędrca, niż cierpliwość głupca. Nasze jezdneki mądre nie chcieli dotrwać po ciasnych twierdzach, wypadli żeby pohulać po równiach, wpadli w zasadzkę cierpliwych głupców

i porażeni! My też, chcąc ich ratować, wypadliśmy też z *pilzn* i zawad, a że nie razem, ginęliśmy potrosze. Mój ojciec wajdelota dzielny, do ostatka wzywał do obrony, ja stałem obok niego jako uczeń jego. On padł od oręża Wacusów, mnie zaś imali i zaprzedali daleko!

— Toć teraz jesteś wolny i swobodny, możesz razem z nami podziękować bogom, którym właśnie mamy ofiarować kozła!

— Dziękować nie mam jeszcze za co, bo nie ocaliły mi bóstwa nic prócz życia nędznego, które prawda, żem mógł postradać nieraz! najpierw po lodach Wisły jadąc i załamując się, więc i po lodach innych rzek i po górach wysokich, które przebywaliśmy, dążąc nad Dunaj... A w bitwie z Wacusami i Hermundury! tam w oczach moich padł mój ojciec i stryjce moje, mnie też przemożono, związano w łyka, pędzono jak bydle, sprzedano jak bydlę i muszę pracować jak prosty *kalps* (parobek)! I cóż to warte życie takie nędzne: ot! nie stanie za łapcia starego podartego! Więc za cóż mam dziękować? Ale prosić, błagać mam o co, oh! mam o wiele!

— O cóż błagasz bogi?

— Ze mną wraz zaprzedano do niewoli dziewicę, naszego rodu, Litwinkę, córkę jednego z kunigsów zabitych, jest ona gdyby *żwajzdunoka*, gdyby królowa gwiazd! piękna jak kalina, włosy ma jak złoto, a *lepska*, dobra, jak bogini *Krumine* i taka gospodarna!... Otóż ona mnie kocha i ja ją kocham całem sercem i całą duszą! Ale cóż? my oboje niewolnicy, na wykup nas nie stać! *Atrimpos* bóg władający morzem i wszystkiemi wodami gdyby chciał toby mi pomógł za to, żem go wielbił w niewoli, żem mu chował węża wodnego w cebrze pod przykryciem snopka zboża, żem mu pod dębem odwiecznym węże święte karmił mlekiem, któreśmy sobie oboje od ust odejmowali.

Onby mi pomógł, gdybyś się wstawił za nami ty ojcze wielebny! Bo mnie Rzymianie posłali w daleki świat, a ona została w zakład! jeżeli ja nie wrócę, to ją zabiją!

— Jakżeż ja wam mogę dopomódz?

— Dopomóż ojczulku! żebyśmy dostali jantaru jak najwięcej! kupą jantaru wykupię ją, a drugą kupą wykupię siebie; bo cezarowi rzymskiemu zachciało się jantaru jak najwięcej i wysłał nas poń — aż tutaj!

— Jantaru?... Tego mogę ci dać ile zechcesz! Ale słuchajno, nie mógłbym ja od was dostać onej *bezdejony?* toby moja świątynia zasłynęła po świecie!

— Bezdejona nie moja, ale za jantar dostaniesz ją ojczulku najukochańszy!

— Więc słysz! Jestem *kriwe* (kapłan) z Pilkopu świątyni na górze najwyższej półwyspu, a raczej kosy piasczystej długiej a wąskiej, nad zatoką Rusna zwaną, a bóg *Pilkop* jest opiekunem wszech Pilé, grodów sypanych, więc i tutejszej Piławy. Do mej świątyni pątniczą wszyscy wierni tego wybrzeża, a wybrzeże ono jest pieleszą jantaru. Odprawię ofiarę kozła i zapowiem, że kto chce uzyskać łaskę bogów, aby śpieszył nad morze i przynosił jantaru ile zebrać zdoła, pod błogosławieństwem! Jantar będzie twój, a *bezdejona* moja. Jutro gdy posłyszysz trąbienie na rogach, przybywaj na nabożeństwo, a bądź dobrej myśli! Atrimpos, któregoś wielbił w niewoli, wysłucha cię!

...Aj! aj! ta bezdejona! co ona też wyrabia! tać to wiewiórka żadna nie dokaże tego! A to co? na niedźwiedzia skoczyła, jedzie na nim, a on ją nie kąsa?

— Ona ujeździ niedźwiedzia każdego, bo tego wyuczona.

— Słysz! odemnie dostaniesz podarek osobny, jeżeli bezdejonę dostanę.

— Dostaniesz ojczulku najukochańszy.

Trimity t. j. rogi i *lietamosy* (bębny) zwołały nazajutrz nabożnych na brzeg morza, dokąd też pospieszył i Uppon, pełen otuchy i nadziei, bo Fenik najchętniej przystał na zamianę małpy i niedźwiedzia — za jantar.

Rozłożono ogień, przywiedziono kozła ofiarnego, a niewiasty przyniosły mąkę na placki objatne. Mężczyźni znosili i układali drzewo, a niewiasty w ciasto urabiały mąkę.

Kriwe wylazł na podwyższone siedzisko i rozpoczął obrzęd modlitwą:

— O Bogowie miłosierni! Niedola wszystka przychodzi na nas od morza! od tej wody, nad którą nie rośnie nawet pokrzywa, nad którą żaden kogut nie zapieje! Z morza idzie nieszczęście wszystko: burze i wiatry ztamtąd walą piaskami przysypując ziemię, łamiąc drzewa najsilniejsze! od morza na okrętach przypadają wrogi zabijając, paląc i łupiąc! Nie tak to było w dawnej ojczyźnie naszej, pieleszy naszych praojców, którzy byli *milzinas*, olbrzymami, synami miesiąca, w ziemi wschodniej w *Austruma zemme!* Tam *rykajot* radość, wesołość bezustanna pod ciepłem niebem, jasnem słońcem, gdzie po drzewach niebotycznych swowoliły *bezdejony,* tak jak ona tam na tem czółnie zamorskiem! Tam wielkoludy *dzidziawiry,* wyłamywali stare lasy, rozpędzali lwy leopardy, osiadali w puszczach głuchych, w jaskiniach nad wodyma, walczyli ze smokiem Pukisem!... Ależ bo oni znali prawa boskie, wykonywali je, wykonywali wolę bogów objawioną przez kapłany! żałowali za grzechy swoje, chętnie przyjmowali pokutę! Wykonujcie że i wy wolę bogów, żałujcie za grzechy, pokutujcie, aby wam był *rykajot*, radość i wesele [1]).

---

[1]) Kotzebue: Geschichte Preussens.

Po tem kazaniu wyprowadzono kozła na środek. Kriwe zanucił pieśń, wzywając bogów; obecny naród śpiewał razem, a mężowie silni podczas tego podnosili kozła ofiarnego wysoko w górę, trzymając dokąd nie ustało śpiewanie. Poczem kriwe napominał naród, ażeby cały ten obrzęd nabożny od przodków przekazany, zachowywali wiernie; poderżnął kozłowi gardło, krew zebrał do naczynia ofiarnego, kropił nią obecnych, a resztę nalewał im w garnuszki małe, aby kropili nią domostwa swoje i bydło.

Kozła obłupiono, pokrajano, pieczono i warzono.

Kobiety zaś placki z ciasta urobione, trzymały nad płomieniem, podając zasię mężczyznom, którzy znów przypiekłszy trochę, nawzajem podawali onym, aż były upieczone.

Podczas tego pokutnicy przyklękali przed Kriwem, wyznając grzechy swoje: on zaś natychmiast wymierzał pokutę, targając za włosy i bijąc kijem.

Gdy już wyspowiadał; grzesznicy nawzajem Kriwego targali za włosy i bili, aby bogowie wszystkim odpuścili grzechy!

W końcu Kriwe miał naukę do kobiet, objaśniając, w jaki sposób żyjąc, mogą sobie zaskarbić łaskę bogów.

Poczem zasiędziono do uczty ofiarnej, zajadając kozinę i placki, popijając miód z rogów bydlęcych, co trwało całą noc, aż do świtu. Rozchodząc się, zmiatali i zabierali pozostałości uczty, aby zakopać głęboko w ziemię, gdzieby je nie dostał ani ptak ani zwierz żaden.

Podczas tej biesiady nabożnej Kriwe oświadczył potrzebę zebrania jantaru jak najwięcej w jak najpiękniejszych kawałkach, gdyż za taki marny wyrzut morski, może otrzymać dla świątyni *bezdejonę* pochodzącą z *Austrumma zemme*, błogosławionej pieleszy narodu! Dodał, żeby to było bogom bardzo miłą rzeczą!

Niewiasty i dziewczęta nabożne przyrzekły uroczyście, że natychmiast udadzą się na zbiorkę jantaru z morza wyrzuconego, gdyż to nawet rzecz bogom miła, usunąć wyrzut morski, bo cóż w nim może być dobrego, skoro to z morza pochodzi?

Spamiętały znać słowa kaznodziei, któren prócz tego wyszczególniając Uppona jako syna wajdeloty, uwieńczył zielenią i przyjął ku pomocy w obrzędzie; niewiastom zaś opowiedział, iż jantar potrzebny na wykup z niewoli pogańskiej siostry onego Kaluppy i onegoż samego. Więc Litwinki nabożne i poczciwe wzięły sobie to do serca i obiecały jantaru mnogo i niebawem.

Uradowany wrócił Uppon do chatki rybaczej, gdzie stali gospodą i gdzie niecierpliwie wyglądał go Fenik, którego obietnica jantaru mnogiego wprawiała w gorączkę. Cały następny dzień przepędził on na gródku, w rozmowie ze swymi pobratymcami, a najdziwaczniejsze pomysły omawiali, ciesząc się i łudząc przyszłością świetną. Podobnie przepędził i dzień drugi a marzenia przerwał mu dopiero ku wieczorowi widok ognia jasnego, wznieconego na kończynie Neryngi. Był to znak umówiony: Aeliusz czekał na czółno i na niego.

Trzeciego więc dnia rano, rybacy z Fenikiem i synem onegoż puścili się ku Neryndze; pozostał sam Uppon z małpą i niedźwiedziem.

Fenik niecierpliwił się, bo mu chodziło o zysk; cóż dopiero biedny Uppon, któremu chodziło o wolność i szczęście życia swojego i oblubienicy swojej. Chodził Uppon po piaskach nadbrzeżnych, spoglądał ku niebu i szeptał:

— *Dangus auksztai ant ziames ket!* (Niebo wysoko, a na ziemi twardo!

I znów chodził dumający. Nagle wzdrygnął się radośnie; obaczył węża pomykającego szybko, wziął

go za objawienie *Atrimposa*, boga mórz i wód, więc i jantaru. Nadzieja i otucha wstąpiła w duszę jego, był pewien, że się spełni oczekiwanie. W zapale wiary zawołał: — *Kas Dievo żaddeta, bus ir atteseta* t. j. komu Bóg przyrzecze temu dotrzyma.

I dotrzymał mu Bóg, w którym miał nadzieję.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy zobaczył Kriwego, idącego na czele drużyny kobiet z brzemiączkami.

Kriwe rzekł uroczyście: — Dotrzymuję słowa, dotrzymaj i ty!

— Dotrzymam! dotrzymam.

Kriwe wszedł do chaty rybaczej, przed którą na niedźwiedziu przywiązanym siedziała małpa uradowana widokiem ludzi:

Niewiasty jęły wysypywać jantar na ziemię i nasuły kupę na wysokość chłopa; wszystko kawałki piękne, żółte, zielonkawe, białawe i nakrapiane.

— To za bezdejonę... a to osobno dla ciebie!

Tu z kosza jednej niewiasty wyjął bryłę jantaru, wielkości podwójnej głowy ludzkiej i podał mu ją, poczem koszyk spory podał z kawałkami przeźroczystemi w których wnętrzu były: muchy, mrówki, mchy...

— To dla ciebie i twojej oblubienicy! Czegoś podobnego nie znajdzie na świecie, choćby szukał sam cezar rzymski. Dla was to nazbierały te dziewuchy i niewiasty nabożne, żeby was oswobodzić z niewoli pogańskiej.

Uppon z woreczka wydobył pierścionki mosiężne i dawał każdej po jednym. Nie chciały przyjąć, dziwiły się za co im płaci, gdyż to tylko jantar, wyrzut morski. Ledwo ich uprosił, iż wzięły nie w nagrodę lecz w upominku.

Uppon w zamian dał małpę, którą aby przynęcić, dał Kriwemu orzechów cedrowych, polecając, żeby jej dawał po jednemu. Była głodną, bo Uppon zadu-

many zapomniał ją nakarmić, więc brała z ręki, a w końcu skoczyła mu na ramię, głaszcząc łapką i przymawiając się.

Kriwe był uszczęśliwiony!

Uppon dawał mu wskazówki czem ją żywić i żeby ją chronić od zimna, gdyżby zdechła, bo w *Austrumme zemme* jest bardzo gorąco i ona lubi ciepło.

— Choćby i zdechła! mniejsza o to, i tak wiecznie żyć nie może! po śmierci uwędzę ją nad jantarem, jak wędzimy sobolowe skórki, zawieszę w świątyni i będę okazował ludowi jakie to *bezdejony* w pieleszy praojców naszych.

Uppon pochwalił wyrozumiałość kapłańską, posadził małpę na niedźwiedzia, Kriwe podał jej świeży orzeszek, wziął niedźwiedzia za pojętak i wiódł za sobą do grodu, otoczon rozweselonemi dziewuchami i niewiastami.

Uppon spoglądał za nim w obawie, czy się nie będzie opierać niedźwiedź lub małpa; ale niedźwiedź szedł spokojnie z obawy boleści w nosie, małpa zaś gryzła orzeszki!

Więc wrócił do chaty, spojrzał na swój skarb i zawołał nabożnie: *Taip laima leme!* tak podarzyła dola.

Na Mierzei Aeliusowi wiodło się z zbiorem jantaru, gdyż burza co piaskiem zasuła las cały, wyrzuciła też jantaru mnóstwo, którego zbiórką rozognił się Rzymianin. Wyprzedzał on wszystkich, ażeby wyzbierać kawałki co najpiękniejsze, a wedle niego szedł zawsze usłużny Skriba z przewodniczącym znachorem helańskim; dalej Gaj z rybakiem i oboma łowcyma, gwarzyli poufnie i zbierali ostatki. Każden miał przewieszoną sieć podróżną, a w sieci miał każden sporą kupkę jantaru. Z lasu i wrzosów, wyszedł Aelius na wydmę piasku czystego posianą jantarem, więc z za-

pałem zbierał i zbierał, marząc o skarbach i świetnej przyszłości w Rzymie.

Znachor helański idąc za nim, jął coś wołać i wskazować ręką. Aelius myśląc, że wskazuje jakie gniazdo kawalców jantaru, zwrócił się w tę stronę niezważając, że mu nogi więzgną w piasku a on Czud krzyczy coraz głośniej.

Nagle zapadł się po pas, a potem po ramiona i wołał o pomoc. Skriba poskoczył i zapadł się też, a Czud z krzykiem biegł w tył i niebawem wrócił z łowcyma widocznie przelękłymi. Biegnąc rozwijali oni arkany swoje.

Czud stanął i kazał im też zastanowić się, wskazując bliską przestrzeń piasku żółtawego, w którym tamci tonęli. Urso rzucił arkan na Aeliusza a Sylwan na Skribę. Był czas ostateczny bo już zapadli po szyję i ledwo zdołali rękoma pochwycić powrozy. Przybiegli i drudzy; nie bez trudu wywlekli ich z toni piasku, w której zapadali jak w błocie bezdennym.

Była to k u r z a w k a, piasek lotny, roztwierający się pod najmniejszym ciężarem, którego wydma gdyby przepaść wodna pochłania nieostrożne zwierzęta i ludzie. Czud doświadczony poznał ją zdala po barwie odmiennej, wskazował, przestrzegał, ale go nie rozumiano. Gdyby nie łowce i nie arkany ich, byliby potonęli obadwa Rzymianie bez wieści, a Nero niebyłby dostał jantaru.

Dobrą godzinę leżał Aeliusz na piasku odpoczywając z omdlenia, w które popadł przez wysilenie i trwogę śmiertelną, a w myśli wznawiał ślub powzięty: pomnikiem podziękować Herkulesowi boskiemu jeżeli ocaleje. Ocalały chciał dotrzymać ślubu i byłby to uczynił zaraz, ale nie było kamieni tylko piasek, ów przebrzydły piasek zdradliwy.

Obaczył znachora, przywołał go, dał mu pieniądz brązowy.

Znachor pieniądz położył przed nim kiwając głową przecząco i mówiąc: — Jak to? życie dwu Rzymian nie warta nic?... bo przecież jantar to wyrzut morza nic nieznaczący a można zań kupić taki pieniądz, a życie dwu mężów rzymskich także jeden taki pieniądz płaci?

Uśmiechnął się boleśnie Aeliusz i dał mu cztery pieniądze, a Znachor nieposiadał się z radości.

Puścili się dalej, ale Aeliusz już nie wybiegał przodem i wszyscy szli za Znachorem i rybakiem pomaleńku, lecz zbierając jantaru mnogo. Każden miał co nieść gdy doszli do kończyny.

Aeliusz rad już był gdy rozniecono ogień, który był hasłem dla rybaków z czółnem. Jantaru było już kupa wielka, sądził, iż będzie starczyć na zadowolenie cezara; a co go cieszyło najbardziej to to, że się obszedł bez pomocy Fenika, któremu zazdrościł zysku.

Spłoszone gęsi tłuste ciężkim lotem uciekały na morze. Łowce rozciekawieni wzięli łuki, puścili strzały w górę a gęś spadła. Czud roześmiał się, wytłómaczył że szkoda trudu bo to bardzo niedobre jadło śmierdzące.

Łowce odrzekli, że będzie dla niedźwiedzia.

Przypławił Fenik z rybakami a opowiadaniem zdarzeń zeszło do południa; po południu chcieli odbić od lądu. Aeliusz chciał prosto do Gdańska, Fenik zaś chciał wracać do zatoki po Uppona. Aeliusz drwił:

— Po małpę i niedźwiedzia chyba, bo niewolnik, któregoś zawiózł do swoich, pewno niewróci i dawno uciekł błogosławiąc głupotę twoją. Ja wcale ani myślę nakładać drogi i każę prosto do Gdańska pławić.

— A ja w Rzymie zdam sprawę, żeś nie chciał zabrać jantaru, który uzbierał mój niewolnik, ciekaw jestem co na to powie cezar gdy się dowie.

— Nazbierałem jantaru podostatek, z narażeniem życia własnego, bo omal żem nieutonął w piaskach

bezdennych, ty ani pomagałeś ani nawet byłeś przytem. Mam prawo wracać kiedy chcę, lecz dla miłości najjaśniejszego cezara i dla miłej zgody, zboczę z drogi popławię po twoją małpę, niedźwiedzia i niewolnika głupiego, bo jeżeli nie uciekł, to głupi!

W przeprawie wedle Piławy poznał, iż to jakiś grodek i zaniepokojony pytał: — Co to za gród? — a słysząc, iż tam siedzi kunigs litewski, krajan Uppona, kazał zawrócić jak najdalej od niego. Pod gródkiem Feników, znowu nie dał lądować, gdyż od Feników też obawiał się napaści. Widocznie obawa utraty jantaru a z nim poprawy losu swego, owładła jego umysł, wprawiając w niepokój chorobliwy. Z łodzi przycumowanej już postanowił nie wychodzić, ale pozostać i strzedz skarbu.

Fenik więc tylko z synem wyskoczył i pobiegł ku chatce rybaczej.

Uppon z wzruszenia wielkiego usnął w kącie. Fenik zajrzał do chaty, zawołał go po imieniu, ale zamiast odpowiedzi usłyszał tylko sapanie uśpionego snem szczęśliwych. Wszedł więc do wnętrza ciemnej chatki, szedł ku kątowi gdzie sapanie i chrapanie słychać, ale się potknął i upadł na coś niezwykłego, bo na wielką kupę jantaru, który macając rękoma krzyczał: — Wej! wej!... Uppon obudźże się! Uppon!

Obudził przecie śpiocha i z drżeniem serca usłyszał o dobrym skutku zabiegów. Rozgrzebali popiół ogniska, z małej iskierki wzniecili ogień, a przy świetle płomienia gdy Fenik obaczył kupę ogromną w okazach najpiękniejszych, chwycił się za głowę wołając: — Uppon! Uppon! ja ciebie wykupię z niewoli i twoją kochankę i dam wam jeszcze pieniędzy na życie! Zaklinam się na Boga naszego, na wysokość »Boga niebios«. *Gune bel balsamim!*

Uppon podziękował pokornie i wskazując na brzemiączko zawinięte, rzekł:

— Tamto wszystko dostałem za małpę, więc to twoje, to zaś, dobry kapłan darował mnie i mojej oblubienicy, to będzie moje.

— Oczywiście, że co twoje to twoje! ani ja ci nie wezmę ani komu wziąść niepozwolę.

Poczem uradowani pokładli się spać, a wcześnie rano Fenik pobiegł do czółna, gdzie go zagadał Aeliusz:

— A co? uciekł?...

— Co miał uciekać?... Dwóch ludzi niech idą ze mną pomagać zabrać jantar, bo my nie zdołamy.

— Co ty pleciesz?

— Nie pletę! Urso i Sylwan chodźcie z sieciami dużemi!

Skoczyli oba łowce i aż się zdziwili. Dwa brzemiona ogromne wzięli oni, po brzemionie wzięli Fenik z synem, a w końcu Uppon niósł brzemiączko swoje także spore.

Łowce zauważali, że to drugie tylo co było na czółnie! Aeliusz oczom swym wierzyć nie chciał, aż zbladł z zazdrości i oniemiał. Fenik zaś wyprostowany rzekł:

— Tamto nazbierałeś za pomocą moją! to zaś nazbierałem ja bez pomocy twojej; on zaś, Uppon, co dostał dla siebie to będzie jego! Teraz odbijajmy od lądu, prosto do Gdańska. Oby z nami był *Bel gad*, Bóg szczęścia! Ale co to za ptak taki wielki?

— To gęś morska, tłusta ale śmierdząca...

— A jakie ona ma miękkie pierze... jaki puch!... Jabym kupił takiego pierza gęsiego...

— W Gdańsku dostaniesz go ile zechcesz, przywiezą go od morza...

— Oj! to ruszajmy do Gdańska!...

Rybak stary stał na podwyższeniu, spoglądał na morze okryte mgłą ciemną i coraz bardziej falujące, a rybacy nie ruszali się jakoś. Aeliusz zagadał ich:

— Czemuż nie ruszacie?

— Bo burza nadchodzi! muszemy przeczekać.

Od burej chmary, wiatr mroźny wionął mgłą przenikliwą, fala pędziła morzem ku brzegom, o które rozbijały się bałwany szumiąc i hucząc, a wiatry wyły w mgle nadmorskiej, czasem zdawało się, że słychać ryk straszny od północy.

Skriba przelękniony pytał się Aeliusza: — Co to tak straszliwie ryczy?

— To *Boreas*, którego pielesz tam, na północy, on tak ryczy i tak oddecha płucami, aż się morze całe rusza, a ta mgła to para z płuc onegoż buchająca.

Wszyscy z namaszczeniem słuchali uczonego wywodu Rzymianina uczonego, a wszystkich przechodził dreszcz od zimna i zgrozy.

Wtem zawiało znowu i puściła się zawierucha śnieżna, krupy śnieżne miotało naremnie, na mieliźnie było tego aż gęsto i nieznać było wody.

W osłupieniu patrzyli się na zjawisko niespodziane a Fenik struchlał i zawołał:

— Wej! wej! morze płucnieje!... jak się zamieni w płuca, to zmiesza się razem ziemia, woda i powietrze, a wtedy przepadliśmy!

— Czytałem o tem, o tych płucach morskich, pamiętam co pisał Grek Pythias, że to: *synkrima ti ek tuton pleumoni thalatcio eoikos,* »zmieszanie wszystkiego tego na sposób płuc morskich«, zmieszanie ziemi, wody i powietrza!...

— Ten Pythias tutaj przypławił z Marsylii na okręcie naszym fenickim, będzie temu lat około trzysta... Oj! dobrze on pisał, dobrze! wej, wej! biada nam!

Rybacy z uśmiechem patrzyli na ten popłoch cudzoziemców, a Helianin poprostu nie chciał wierzyć, iż oni się tak lękają zawieruchy małej.

Burza przeleciała, wiatr się zmienił, rybacy bez pytania podnieśli hadry, puścili się pławem na Haf wiślany, który wówczas już zwał się tak, ponieważ tam na linach stawały przycumowane okręta fenickie, a *hawl* fenickie oznacza linę.

Znachor fiński niemógł wyjść z zadziwienia, że i jego spółrodacy, lękali się wiatru, mgły i tej odrobiny krup śnieżnych. Zachwalał im pobyt na Heli lub Neryndze, unosił się nad pięknością pory zimowej, nad dogodnością lodu i sanny, zwłaszcza gdy przez morze uprzężą renów, przybędą sankami Czudy i Łopianie północni; wychwalał przyjemność ciepłej izby i łaźni gdy na rozognione kamienie naleje się wody i wytworzy para gorąca!...

Urso i Sylwan słuchali tych przechwałek, które się kończyły namową pozostania wśród swoich na Neryndze lub Heli! Miła to ponęta taka rodzima, serce otwiera się mowie takiej, obudzają się chęci. Gdy więc stanęli u lądu przy wioszczynie Finnów, pozostałków narodu wyszłego, usłuchali znachora, udali się z nim do rodaków, którzy ich przyjmowali z otwartemi ramiony, ale jako dzieci, oglądając w około, dotykając się rękoma, odzienia i ciała i cudując się nad wszystkiem.

Bieda ciężka była u nich widoczną. Chatki nędzne, grodzone z chrustu oblepione błotem, pokryte sitowiem, nie chroniły nawet od deszczu nawalnego i wiatru, a cóż dopiero od zimna. Żal ściskał serce pomyśleć, że niemowlęta i starce zgrzybiałe, na mrozy i słoty nie mieli schronika lepszego, jak to ognisko w pośrodku izby i to leżysko na ziemi i to odzienie z skór zwierzęcych rojne od robactwa wstrętnego. W skóry tylko odziani byli mężczyźni i kobiety, a taki znachor w siermiędze swej nabytej odznaczał się już zbytkiem między nimi. Niechlujni zaś aż do obrzydzenia byli wszyscy. Pokarm też, który pożywali

był lichy, rzepa i boćwina przeważnie, a wędzono ryby i mięso na zapasy zimowe. Zboża nie siali, bydła nie chowali prócz kilku renów potrzebnych do uprzęży w sanki; koni wcale nie trzymali, a o łowach wspominali jako o rozrywce raczej, w której udział biorą i niewiasty zarówno obdzielane zwierzyną ubitą.

— Czemużwy też sobie nie postawicie chałup lepszych z drzewa w zrąb? przecież mieszkacie w lasach?...

— A czemże rąbać skoro siekier nie mamy; ot strzały mamy tylko nasadzane kością ostrą, a i te wystarczają nam, więc i chaty nasze są wygodne...

— A zboża czemuż nie siejecie?

— Na co? wyżyjemy i tak! a gdybyśmy mieli zboża zebrane, toćbyto jeszcze bardziej nęciło Łotwę, ani tyle nieobegnalibyśmy się ich zagonom... Tak zaś, cóż nam wezmą?...

Jeżeli Sarmaci obadwaj zgorszeni byli, to rodaków swych obojętnością na potrzeby życia, tembardziej zgorszon i oburzon był Skriba, którego też tam przywiodła ciekawość. Wyrozumiawszy co mówią, zapisał w swe tabliczki wszystko dosłownie!

Znachor bacząc, iż nienakłoni do pozostania obcych pobratymców, odwrócił się od nich, a słysząc że Helanie łowią jesiotry w Hafie i lada chwilę nadpłyną, oświadczył iż pozostanie tutaj między swemi.

Jakoż pozostał, szczycąc się świetną swą zdobyczą, płaszczem i kilkoma pieniędzmi brązowymi na ozdobę czepca brzozowego żony swojej.

Wszystkie wieśniaczki czudzkie niemogły się nachwalić i nadziwować piękności tych ozdób, wszystkie co do jednej zazdrościły żonie znachora swego.

Sarmaci i Skriba wrócili do łodzi, która niebawem odbiła i Wiślaną łachą dopławiła do Gdańska, gdzie ku wielkiej radości zastali Krakusa,

przybyłego do córki ukochanej, samowtór ze starym kapłanem z Oliwy.

Wanda oczyma swemi ciągle szukała Gaja, nie patrząc nawet na innych, w niego wpatrywała się jak w tęczę.

Kilkanaście dni pożycia z Rzymianką, wychowanką stolicy świata i dworu cesarskiego, a żoną chrześcijanina, którego kupiła za pieniądze jako niewolnika, a poślubiła z miłości bacząc nieznaną dotąd dobroć serca i poświęcenie dla bliźnich, a nawet za nieprzyjaciół! rozmowy poufne z kobietą taką wzruszyły umysłem dziewicy wrażliwej.

Dziwnie do serca przypadała jej nauka miłości Boga i bliźniego, którą głosił Jezus, co się dał na krzyż przygwoździć, aby dowieść miłość swą dla ludzkości całej.

Kapłanowi fenickiemu z Oliwy, opiekunowi swemu opowiadała ona tę naukę a on jej na to:

— Nic to nowego! dawno przed nami wyznawali to ojcowie nasi! Przecież znasz naukę o ofiarach, wiesz że dla przebłagania gniewu bożego, obowiązkiem rodziców jest żywopalenie dzieci pierworodnych; bo to ofiara najdroższa najczystsza a najświętszą jest ofiara jedynaków.

Najwyższą ofiarą błagalną byłby król sam! jednak że król koniecznie jest potrzebny narodowi, ofiaruje się zamiast niego królewicz pierworodny jako namiestnik króla, więc przyodziany w purpurę.

— Toć ja mogłabym się ofiarować zamiast ojca?

— Dziecko najukochańsze! zkąd przychodzi ci myśl taka smutna? Przecież nie jesteśmy w udręczeniu, ani potrzebną jest ofiara państwowa błagalna.

— Ja się tylko tak pytam.

— Nie pytaj się nawet, bo zakrwawisz serce ojcu!...

I nie pytała się więcej o ofiary, ale się wpatrywała w Gaja, o którym jej opowiadała Rzymianka, że on dobrowolnie ofiarował się za apostoła Jezusowego, że dlań naraził życie swoje, że był skazany na rozszarpanie przez zwierza dzikiego, a spokojnie przyjął wyrok i byłby umierał chętnie, gdyby go nie był ocalił przypadek.

O Jezusie rozmawiała też z poważnemi kapłanami Lechów i usłyszała dziwną rzecz, że onym dobrze znan Jesse bóg, że jest Bogiem przedwiecznym, Jesse t. j. istota istniejąca zawsze: Bóg jasności wiecznej.

Zupełnie tak twierdził Makedon z Gajem, więc tem mocniej wierzyła w naukę poświęcenia siebie dla miłości Boga i bliźniego. W szczegóły dziejowe i rozumowe nie wchodziła: kochała sercem tylko!

Krok uradował się powodzeniem wyprawy po jantar i dogodzeniem życzeniu cezara rzymskiego wszechwładnego.

Synkowie tylko jego nie radowali się: żałowali małpy i niedźwiedzia.

Skriba pisał a pisał na woskowych tabliczkach, co mu na myśl przyszło, mianowicie stacye podróżne, oddalenia, nazwy brzegów morskich i narodów tej Germanii północnej; gdyż tak zwał wszystek kraj na północ od Panonii, a wszystkie one ludy zdawały mu się podobne do siebie, a mówiące niezrozumiale, więc w oczach jego były sobie pobratymcami — *germani.*

Aeliusz po przebyciu tylu trudów i zdobyciu upragnionego jantaru, nie myślał o niczem prócz wypoczynku. Jantar zsuty w siecie podróżne zdał na opiekę łowiec i Gaja, którzy go też strzegli sumiennie.

Fenik tylko przezorny nie zasypiał sprawy. Z trudem takim wielkim nabywszy jantar, przemyśliwał jakby go dowieść szczęśliwie, gdyż to rzecz krucha. Jako kupiec zaś z powołania, radby był jeszcze zdobyć korzyści jakiej prócz tego.

Rozglądał się po zatoce między okrętami przybyłemi od morza po zboże w zamian za kupią inną. Wynalazł brzemiona puchu gęsi morskich, na który nie było kupca, mimo, że to było pierze najwyborniejsze i najśliczniejsze. Wypytał się o cenę, a słysząc iż żądają żyta i przenicy wcale nie dużo, udał się na dubasy zbożowe polskie.

Okazał tkaniny wełniane i bisiorowe, jaskrawoczerwone, a Kujawiankom mało oczy nie wylazły z radości i upodobania. Za liche barwionki czerwone i pasiaste czerwono-białe bawełnianki, dostał zboża więcej niż potrzebował. Więc zboże zamienił za puch gęsi i łabędzi.

Resztę zaś dał za skóry łosie ogromne, a w dodatku dostał skórę rena młodego, cielaka, którą zaraz darował Upponowi za pomoc w kupnie: zarazem objaśnił użytek.

Do skór onych złupionych w całości, kładli warstwami puch i jantar, przekładając troskliwie i upychając, aby się jantar nie kruszył ani tarł kawał o kawał. Jantaru swego przekładanego puchem nakładł dwie ogromne skóry łosie, które w końcu jelitami suchemi kręconemi zszył tak, iż tworzyły brzemiona mogące wytrzymać podróż najdalszą.

Za jego przykładem poszedł Uppon i swój jantar włożył w skórkę cielucha reniego: puchu dostarczył Fenik, wymawiając sobie, iż mu go odda. Uppon najtroskliwiej obwinął ogromną bryłę darowaną, której dotąd nie widział ani Fenik, ani Aeliusz, ani nikt. Troskliwie też obłożył piękne okazy mniejsze i zaszył jelitami.

Aeliusz zaś w głowę zachodzi, jakby jantar dowieść do Rzymu niestłuczony nieuszkodzony. Bacząc sposób Fenika, zrzucił pychę z serca, prosił, by pomógł i jemu.

Fenik więc znowu za barwionki kupował żyto, a za żyto trzy skóry łosie i puchu co tylko było. Skóry i puch prawie wystarczyły na opakowanie jantaru reszty.

Powrót do Rzymu.

Wiatr północny wiał ciągle przy pogodzie jasnej wróżąc mrozy i zimę. Szkuty toruńskie zabierały się do powrotu, więc drużyna podróżna ujednała sobie jedną; wniesiono skóry nadziane puchem i jantarem, wsiedli i odbili od lądu, dziękując za gościnność, pomoc i błogosławieństwo podróżne.

Na szkucie rozpięto hadry, wiatr nadął je, żwawo Wisłą pod wodę pławiono za wiatrem północnym i ani się spostrzegli rychło stanęli w Toruniu.

Wiatr od morza nie ustawał — pławce mówili:

— M o r k a wieje i wieje, aż przydmucha słotę a po słocie zimę.

Nie było czasu do tracenia, pławiono dalej do Kujaw. Kujawianki wesołe i śpiewne, nęcone tkaniną w czerwonobiałe pasy i pierścionkami błyszczącemi, bez trudności nakłoniły chłopów swych do przeprawy przez Bachorza w Gopło, a przez Gopło i Goplenicę do Warty rzeki, którą też przebyli, pomagając podróżnym chronić się pod strzechę gościnną rybaków.

Fenik nie żałował im nagrody: kilka siekier i toporków; więc rozweseleni wracali, a śpiewy ich wesołe rozlegały się po rzece, aż je przerwał szum ulewy.

Przepowiednia rybaków i pławców sprawdziła się: m o r k a przywiała słotę zimną.

Do Kalisza było mil kilka, podwód dostatecznych nie było, a w chacie rybaczej niewygoda, wilgoć, chłód. Kożuchy kaliskie okazały się dobrodziejstwem prawdziwem. Rzymianie na zimno byli dość wytrzymałymi, lecz niezmiernie przelękli się, bacząc polatujący śnieg; śniegu bardziej bali się niż mrozu.

Fenik nie tracił głowy, bacząc knieję ogromną wnioskował, iż muszą być kędyś i łowce. Rybak gospodarz poświadczył, a syn jego dorostek oświadczył gotowość przywołania którego z nich. Obiecano mu pierścionek dla dziewczyny, więc się kopnął i za jaką godzinę przyprowadził łowiec dwu, którzy się ucieszyli bardzo, poznając Ursyna i Sylwana, bo ich widzieli na łowach książęcych.

Zapytani, czy nie daliby znać do Kalisza prosząc o podwody, oświadczyli chęć obowiązkową i natychmiast jeden z nich dosiadł konika, popędził knieją, drugi zaś starszy rozpowiadał o turze złowionym, że żyje, dobrze się chowa i można się po nim spodziewać cieląt kilka. Nie mógł przytem napodziwiać, jak zmyślnie go wtedy Urso i Sylwan brali na arkan i przez nożdrza przewiedli obróżkę! Więc zapewniał raz po raz, jak bardzoby się cieszył, gdyby to tak można zapolować razem!

Rybacy zaś pytali się podróżnych, czy nie wstępywali do świątyni Światowidowej w Kruźwicy?

— Do tego ofiarnika głupiego? pocóż my mieli wstępować? Bogu słońca możemy obiatować wszędze, bo słońce wszędzie świeci, a żertwiennik można z kamieni złożyć na każdej wyżynie, pod każdem drzewem i ofiarować można bez głupiego takiego ofiarnika. Dlaczegoż się nas pytacie?

— Dyć on świątnik ciągle się dopytuje o was, żebyście go nauczyli jakto robić, coby jagły w miodzie tak rozmiękły jak one, któreście objatowali i żeby

miód był taki smaczny jak wasz. Mówi, żeście żartowali z niego, twierdząc iż to jakieś gruszki!

Uśmiali się serdecznie, a mając jeszcze powidła figowe, dali je skosztować; mieli też i figi suche, więc dali jednę całą i z korzonkiem, przekonywając, iż podobna gruszce.

Jakoż przekonali się rybacy i rzekli:

— Widzicie! widzicie! tać to i świątnik taki może być czasem trochę głuptawy a my myśleli, że on we wszystkiem mądry, bo każdego uczy! A to nie prawda! Ktoby się to był spodział, że on tyiko tak udaje?

Wyprosili sobie jeszcze jedną figę, żeby go przekonać gdy będą w Kruszwicy, bo ich to gniewało, że on we wszystkiem mędrkuje.

Posłaniec z kniei wrócił śpieszniej, niż się zdawało, oświadczając, iż podwody wnet przybędą. Zapytany czy był w Kaliszu, odrzekł:

A po co? Czy nas to już nie stać na kilka wozów i kilka koni? Źleby było, żeby kmiecie po obrębach puszczy nie dostarczyli podwód! Przecież w każdej z a g a j n i c y jest najmniej kilkanaście b u d, a w każdej budzie mieści się rodzina cała, dziad z babą, ojciec z matką, dzieci i wnuki, a jak Bóg da to i prawnuki, a wszystko to ma swoje osobne chałupy i stajnie i stodoły, bo b u d a t a k a w z a g a j n i c y, t a ć t o w i e ś m a ł a. Dyćby źle było, żeby w jednej i drugiej wsi nie zebrał kilka wozów i gromadkę koni! Ho, ho! my już nie takie odstawy rabiali! Przecie wyście goście naszego książęcia, a jakbyśma wam nie usłużyli, to byśwa się mieli za swoje.

— Cóżby wam było?

— Co? A niechby nam książe tylko zabronił w y d z i e n i a ć b a r c i e, toby nas już srodze ukarał: boć to miód dobra rzecz, choć i bez jagieł świątnikowych. A niechby zabronił na rzece i po jeziorach za-

stawiać wieńcierze na ryby albo jazy robić na strugach dla rybołostwa. Toby nam przyszło chyba żyć suchą kaszą! A przecież my jesteśmy osocznikami łowieckimi nadwornymi, na łowy idziem razem z książęciem i dworzany, a gości książęcych mielibyśma opuścić? A toby pięknie było! a wstyd! a srom!

Aż się zaperzył w uniesieniu i zadziwił wszystkich.

Kmiecie z bud, nie dali na siebie czekać, zajechali z wozami drabiniastemi czworokonnemi, powożąc z konia jedną powodzką, waląc z batów aż się rozlegało. Zabrali wszystko i wszystkich, ruszyli kłusem, żwawo i wesoło.

Śniegu przypadło nie wiele, mróż lekki chwycił: ponowa była prześliczna! Jak na karcie czystej znać było tropy zwierza rozmaitego: Sylwana i Ursa aż oskoma brała.

Bo to: tutaj tropy całego stadka sarn i rogaczy, tam znów jeleni i łań, więc i łosia racic szerokich ślad, a w końcu gdy zoczyli świeżuteńki trop niedźwiedzia, ogromnych łap odciski oddalone od siebie i tuż za tropami całego stada sarn; chcieli zeskakiwać z wozów, pewni że kędy w gąszczy przydybią misia i przerwą mu śniadanie. Łowiąc, chcieli piechotą zdążać do Kalisza.

Wzbronili im woźniczący kmiecie zapewniając: iż książe okrutnieby się gniewał, że bez niego łowili w jego kniei najlepszej, w mateczniku zwierza grubego. Usłuchali, dosiedli, obchodząc się smakiem tylko i widokiem.

Książe wielce uradował się przybyciem ich, zapewniając iż oczekiwał już od kilku dni; aż mu się żal robiło gdy ponowa pierwsza nastała, a osacznicy dali znać o łosiach, turach i niedźwiedziach.

Kmieci podwodników pochwalił książe, iż odgadli jego życzenie, odstawiając gości miłych, obdarzył ich i odsyłając polecił, zawezwać osaczników wszystkich, żeby się stawili na pojutrze z psami i z przyrządem łowieckim wszelakim.

Księżna pani z nieudaną radością witała Rzymiankę, a uściskom i całowaniom nie było końca, aż się Rzymianka zdziwiła. W wolnej chwili więc, pomaleńku zawiązując zręcznie rozmowę, badała przyczynę tej radości niepomiernej i usłyszała zwierzenie się:

— Wiesz moja droga! mój mąż teraz mnie o wiele bardziej kocha, co przypisuję tej cudownej wodzie woniejącej, którą mam od ciebie. Ale boż to woda zaczarowana! Do dużego naczynia wody czystej jak wpuszczę kropelkę, to wszystka zapachnie wonią śliczną. A gdy się obmyję odrobiną tej wody, to mój mąż nie może się mnie nacałować, czego przedtem nie bywało; więc i włosy gdy sobie namaszczę troszkę twoją maścią wonną, to i po głowie mnie całuje, zapewniając, iż teraz wonieję gdyby Rzymianka jaka! Widzisz, mogłabym być zazdrosną o Ciebie!

— Przecież jemu się nie ja podobam, jeno pachnidła moje! Ja mam swojego męża...

Na to zeznanie Rzymianki prostoduszne, roześmiały się obie rzewnie i znów się ściskały i znów całowały.

Tak wśród rozmów wesołych przeszedł dzień następny cały, a nocleg w ogrzanych izbach i ciepłej pościeli zupełnie dogodził Rzymiance i jej bratu wypieszczonemu. Powietrze w izbach było wonne, bo je ogrzewano paleniem szyszek sosnowych, z których wydobył się zapach żywiczny bardzo miły i ułatwiający oddech.

Pożywienie też było doskonałe: dziczyzna świeża i wędzona na przemian z mięsem jałowiczem, gęsiną,

wieprzowiną, rybami, grochem i kaszą jagłaną a na przepitek miód wystały czysty lub zaprawny dereniem albo maliną.

Uprzejmość zaś gospodarza i gospodyni za serce chwytała zdziwionych cudzoziemców, którym się też przedstawił niewidziany widok łowów w przygotowaniu, powabniejszy niemal od widoku igrzysk rzymskich...

Śnieg sypał... Osacznicy z puszcz i kniei przybywali pieszo, konno, lub na saneczkach małych i wąziuchnych; przywodzili zgraje psów, ogarów zajadłych i kundysów ogromnych często pokurczów z wilka i sobaki. Łowca każden z oszczepem ciężkim, z łukiem i łubiem pełnym strzał, a w kożuchu, w łapciach wiązanych rzemykami, w czapce z lisa z zawojkami na uszy, a trąbką drzewianą lub rogiem przypiętym do torby borsuczej.

Rozłożyli się obozem otoczonym sankami i wózkami, z których wewnątrz okola pasły się ich koniki drobne a żwawe.

W pośrodku zaś założyli ognisko ogromne i na olbrzymim rożniu piekli wetkniętego całego wołu, obracając powoli, rozmawiając, żartując, czasem potrębując lub odtrębując się, gdy zdala odala odezwał się dźwięk rogu od puszczy.

Wkoło ogniska leżały lub siedziały łaje psów psworowanych, grzejąc się i wąchając zalatującą woń pieczeni.

Wszystko to sprawiało widok powabny i spokojny, któremu przyglądali się Rzymianie z zajęciem...

Wtem nagle poruszyło się, zawrzało niepokojem.

Starza Toporczycy i łowy zimowe.

Psy zerwały się hurmą, bresząc straszliwie i ujadając, bo posłyszały tętęt kopyt końskich i głośny trzask biczów. Zerwali się łowce i stróże bramni, zerkali wyglądem wysokim i dali znać, że jadą goście, konno i sanno, więc wedle rozkazu pobiegli otworzyć na oścież wrota bramy.

Najpierw na drygancie cisawym przypadł jeździec wąsaty i brodaty, obwieszony skórą wilczą, z pod której czasem widać było koniec szabli, na głowie miał kołpak futrzany, którego zawojkę opuścił na szyję i twarz, chroniąc od śniegu i wiatru, w ręku miał potężny, długi kańczug, czyli bat, z którego walił raz po raz, dając znać o sobie i drużynie podróżnej, a odpędzając łaję psów, co go opadała. Był to dworzanin putny, przewodnik podróżny. Zajechał przed drzwi dworu, trzasnął z bata dwa razy, raz poraz, i zawołał głośno:

— Wojewoda Starzy nad Białą wodą i żupan z Wielickiej soli proszą o gospodę!

— Proszemy! proszemy! bardzo proszemy!

Zawrócił konia dworzanin putny, stanął w bramie, dał znać ręką, zachęcając, powtórzył zaprosiny i znów od bramy przypadł, przodkując saniom, za któremi jechała drużyna konna uzbrojona.

Z pierwszych sani wysadzono starca sędziwego, złamanego wiekiem, chociaż rumianego i zdrowego. Odziany był skórą niedźwiedzią a srebrzysty włos przykrywała czapka wysoka czerwona, z zawojką czarną, niedźwiadkową. Na sobie miał kożuszek krótki, lisi, poszyty suknem białem, przepasany pasem szerokim, nabijanym guzikami; na nogach buty potężne z cholewami powyż kolana, nie czernione. Wspierał

się na toporze o rękojeści długiej. Był to stary wojejewoda.

Z drugich sani wysiadł mężczyzna silny i krzepki, także w kożuszku, ale z niedźwiedzi młodych czarnych, na których miał wilczurę obłoczystą; głowę zaś okrywał kołpak rysi ciepły a lekki, z zawojką na kark i oblicze. W ręku miał kilofek górniczy brązowy, dobry do podparcia, zamaszysty do cięcia, a u pasa wisiał brązowy miecz punicki. Zarost czarny i takież źrenice zwiastowały pochodzenie punickie rodu panońskiego. Był to żupan szalachetny, z dziada pradziada władający *szalachą* (t. j. szablą fenicką) tak dobrze, jako i kilofem górniczym — żupnik wielicki.

Trzecie sanie wyładowane były solą kamienną, żywnością i obrokami.

Jeźdzce konni, wszystko w kożuchach i czapkach wysokich z zawojkami, przepasani należycie, przyodziani w skóry wilcze lub niedźwiedzie, obuci dostatnio od zimna i wilgoci. Każden miał za pasem topór a w ręku oszczep krótkawy a ciężki, lub długą rohatynę; chłop w chłopa tęgi i krzepki.

Gospodarz witał gości, zapraszając, by weszli pod strzechę, bo zimno i słota. Służba pod strzechę stajenną wiodła konie i czeladź podróżną.

— Pochwalon! Jesse Bóg jary — na progu rzekł starosta sędziwy, a za nim żupan i wszyscy uchylając głowy.

— Pochwalon Jarowid Światowid! — odrzekł gospodarz, także schylając skronie.

— Jestem starosta na Wawelu i wojewoda Starzej, a to żupnik soli wieliczkiej, a to bracia szalachta Toporczycy: ja też całe życie chodzę z toporem, który mi po śmierci włożą do grobu, jak bywało kładziema wszystkiej Starzej rodu mojego. Z toporem chadzała Starza moja zawsze, topór a Starza moja to jedno i to samo. Zawsze toporem rąba-

liśwa, broniąc się od napaści. Dawniej wystarczała oksza krzemienna, później siekierka kruszcowa punicka, dziś, chociaż mawa już rzymskie topory żelazne, ciężkie, nie możema podołać napaści tych Teutonów niemych, co się ciągle cisną na nas od zachodu; na razie z prośbą niemą a później zuchwalczo zabierając co się da, i ani chcąc ustąpić ztamtąd, kędy raz przyjęci! Owszem, łączą się z nieprzyjaciółmi i nas samych wypierają z ojczystej lechy, aby ją posiąść. A tu człowiek się zestarzał, ręka osłabła, głowa uwisła: nie można im sprostać, a niema się kim wyręczyć! Rąk byłoby na tyle, kmieci jest podostatek, ale cóż z tego? Zamiast ku mieczu, wolą ku pługom, ku sochom! Zamiast się bronić, woleliby okupić się Niemcom! Niema głowy, niema serca wielkiego! Na mnie starca oglądają się wojacy, a ja już zniedołężniał, wiek mnie złamał i pochylił! Ostatni raz przywodziłem na onej wyprawie za góry nad Dunaj przeciw Waneksowi, łotyszowi, co lat 30 trapił nas zagonami łupieskiemi. Zwabili nas Hermudury i Litwa młoda a Niemce schlebiali nam, dodawali otuchy, obiecując zyski i swobodę. Wyruszyliśwa naremnie gromadami i zastępama, jedni za drugimi. Ja jako bliski gór i granicy, ruszyłem przodem, wiodąc woje pogórskie, ani oglądając się poza siebie. Najpierw biły się zastępy nasze, najdalej zapędzały się za *basternami jacygow* łotewskich, więc po zwycięstwie wracałem ostatni. I cóż zastałem? W górach usadowiła się Litwa młoda, której my szli w pomoc a nad Białą wodą, którą oni zwą Wisłą, usadowili się Niemce, zajęli mój Gwoździec, *Wawelem* zwan z punicka, zkąd napadają okolicę, wybierając daninę w bydle, a co najsromotniejsza i w ludziach, mianowicie w dziewicach dorodnych. Jak smok żarłoczny wypadają jamą, wiodącą do Wisły i tamże się chronią z łupem, przełażąc do Gwoździca niezdobytego na skale, obmurowanego, ob-

lanego rzeką i bagnami. Kmiecie lechici dalej dalej przywykają do tej niewoli sromotnej a szlachty zamało, żeby zdobyć Wawel bez pomocy kmieci. Ja zaś już za stary, by w karby ująć kmieci i wypędzić Niemce. Więc uradziliśma jechać w świat szukać wojewody dzielnego! Na onej wojnie nad Dunajem Wielkopolanie zapewniali nas, że są spokojni o pielesz swą, gdyż tam na Pomorzu czuwa wojewoda dzielny Krok na Krokawie, wedle ujścia Wisły, równie dzielny na morzu okrętami, jako i na lądzie konno. Jadema zapraszać go, żeby nam woje wodził, żeby nam pomógł odeprzeć najazd, jako odpierał na Pomorzu. Nie wiema tylko czy zechce? a nie znama go wcale, więc proszema was o radę i pośrednictwo. Bo jak się tam one Niemce wzmogą, to gotowi zdobyć i Sól wieliczką, a wtedy możeta bez soli jadać, jeżeli im się zpodoba.... będzieta wszyscy na ich łasce!

Mowa ta ogromne wrażenie wywarła na Kaliszanach, bo szło o sól, a czemże strawa bez soli?

Książe kaliskie i wszyscy dworzanie jego żywo odczuli potrzebę pomocy i gotowi byli dosiąść koni, śpieszyć pod Wawel. Jednak nie o ręce tu chodziło, nie o wojaków liczbę: było ich tam zadosyć, ale nie było wodza takiego jak potrzeba. Więc spoglądali po sobie i ruszali ramionami, z żupnika zaś wielickiego nie spuszczali oka i nie uronili jednego słóweczka z opowieści jego o soli i o niebezpieczeństwie, co wisi nad nią.

Żupnik zaś opowiadał:

Sól wieliczka, t. j. wielka, leży za Wawelem i za Wisłą, w miejscu nieobronnem i dostępnem. Szczęście, że od Wisły i Wawelu przedzielają ją Krzemionki obronne, kędy obóz założył wojewoda, broniąc przystępu z tej strony. Ale cóż? kiedy z innej

strony przystęp łatwy, Krzemionki można obejść, Sól zdobyć albo zburzyć, zatopić. A co najgorzej, że na górników spuścić się nie można, boć to zbieranina wywłoków całego świata: z Panonii, Czech i Niemiec, którym ulegać muszą górnicy polscy jako mniej rzeczy świadomi. Najgorsza zaś bieda z temi ich babami Niemkiniami, które bez ustanku wadzą się z Polkami a przewodnią mają z Niemkiniami na Wawelu i z kupcami niemieckimi co Wisłą spławiają łupy Smoków wawelskich i dybią na moje galary solne. Ot! w jesieni kupiec taki za pośrednictwem bab tych niedobrych, poodmawiał nam czeladź pławniczą, przemycał kupią własną bez opłaty i byłby zdobył galary solne, gdyby nie pomoc podróżnych Rrzymian, co jechali po jantar.

— Oni tu są u mnie ci Rzymianie, wracają od morza. Byli u Kroka na Krokawie.

— Jest i Fenik?

— Jest!

— Chwała Bogu! on nam poradzi!

Fenik i Rzymianie uradowali się wielce, a nawzajem żupnik wielicki w spotkaniu ich baczył wyraźny objaw łaski niebios.

Wojewoda stary też nabrał otuchy i dopytywał się:

— Więc znata Kroka? widzieliśta go?

— Znamy z osoby i oblicza: spaliśmy pod jego strzechą gościnną, jedliśmy strawę jego, doznaliśmy jego pomocy i jemu tylko mamy do zawdzięczenia, że możemy śmiało wracać przed oblicze cezara rzymskiego!

— Jakże on wygląda? groźny? krzepki?

— Krzepki bo krzepki, w sile wieku! zgroza jednak zwykle nie patrzy mu z ócz, owszem, wesołych on źrenic, ale nieustraszonych. Zdaje się, że on się

uśmiecha i w bitwie, a przecież wszyscy mówią, iż nie ma mężniejszego, ale też i przytomniejszego wojaka od niego.

— Taki najlepszy, bo on się i śmierci w oczy zaśmieje... A ma on żonę, dziatwę?

— Żona umarła mu. Zostawiła dwóch synów i córkę. Synowie to młodzieniaszki jeszcze niedorosłe, ale córka! chyba podobnej nie ma już na świecie!

— Taka piękna?

— Taka powabna i taka dobra! Ona mówi, że gdyby potrzeba wymagała, to chętnie odda się na ofiarę błagalną bogom, czy to pod nóż, czy na żywopalenie... obyczajem starodawnych Fenicyan...

— To musi być i mądra i odważna?

— Oj! jaka mądra, a jaka śmiała!... to na podziw!

— To jedźma do nich! choćby nie chciał na zawsze, uprosim go na chwilę... żeby nie naraził narodu na utratę soli!

— Wej! chyba poczekacie na nas: wrócimy niebawem czy tak czy owak i razem pojedziewa do Soli Wieliczkiej. Będziema wam pomagali jako świadomi cesty i przepraw, a może i wy nam pomożeta jakośta już raz pomagali. Przecież was tu Kaliszanie nie wypędzą? Nie puszczajta onych.

— Nie puszczema! w żaden sposób nie puszczema ich! Oni umieją żywcem łowić tury i złowili nam jednego, co go mam na uwięzi! A tą niewiastą ich niewiasta moja nie może się nacieszyć! Więc nie puszczema ich! taj nie puszczema.

Wojewoda z żupnikiem i drużyną swą nieomieszkiem puścili się dalej, mówiąc:

— Komu droga temu czas!

Kaliszanie zaś wyszli na łowy, bo dano znać, że tury z puszczy mazowieckiej po lodzie Warty przekładają do puszczy kaliskiej zwanej Turek.

Ursyn z Sylwanem i Macedo z Gajem przyłączyli się drużynie łowieckiej, a Fenik wydobył płat sukna czerwonego, dał go Gajowi, mówiąc:

— Zrób tak, jak to robią w Azyi, wiesz?

— Wiem! — odrzekł i schował sukno wraz z kawałkiem grubej nici.

Wjechali w puszczę i niezadługo wytropili świeży ślad tura, który jednak pomykał przed nimi, snać nie mając ochoty do walki. Łowca jeden stary rzekł:

— Zgoniony widać i spłoszony! Mazowieckie książe znać poluje w Łowisku; byk ucierał się z ludźmi i z psiarnią, zmęczony i zgoniony nie chce zaczepiać.

— Ja go przywabię i rozdroczę! niechaj tu który stanie z oszczepem za dębem w pogotowiu, a drugi za drugim, trzeci za trzecim drzewem rozstawcie się, a kilku konnych niech mu zajadą drogę i nawrócą w tę stronę.

Tak rzekł Gaj, wyciągnął sukno czerwone, przywiązał do kija gdyby chorągiew i stanął na środku polany obszernej, w pobliżu łowiec ukrytych za drzewami...

Za dobrą chwilę dał się słyszeć ryk tura zniecierpliwionego, coraz bliżej i bliżej, aż w końcu wychylił z gąszcza łeb ogromny czarny i rogi straszliwe i ślepie świecące.

Gaj jął ruszać chorągwią swoją, a byk nienawidzący czerwonej barwy, wpadł w wściekłość, spuścił łeb, poskoczył ku Gajowi, który umknął za dąb, kędy stał kaliski książe; chorągwią jednak wywijał tak, iż byk widział i biegł prosto na nią i bokiem zwrócił się ku drzewu. Książe korzystając z chwili, całą siłą dźgnął oszczepem w odsłoniony brzuch bydlęcia i wy-

rwał oszczep. Z wańtucha przebodzonego głęboko, lunęła posoka, byk się zerwał, chciał zwrócić, lecz się zatoczył, powalił a pchnięcie wtóre odjęło mu resztę siły, przed chwilą tak olbrzymiej.

Kaliszanie zdziwili się nad skutecznością sposobu, a Gaj sukno czerwone dał księciu, jako dar łowiecki od Fenicyanina.

Korzystając z dobrego pola łowieckiego, bo błota i trzęsawiska nadrzeczne zamarzły, przekroczono Wartę, zapuszczono się w ogromną puszczę dębową, przerzynaną rzekami i jeziorami błotnistemi. Dęby obrodziły a żołądź grubą warstwą pod śniegiem dostarczała żeru obfitego świniom dzikim, jeleniom i sarnom. Knieja zarzeczna Dąbie roiła się zwierzyną. Kilku osaczników, którzy ją zamieszkiwali, z łowów mieli wyżycie dostateczne i ani się troszczyli o uprawę ziemi, wielce urodzajnej; po łąkach i polanach zamiast bydła pasły się jelenie i sarny. Ubito ich niemało i wraz z turem odesłano do Kalisza. Poczem ruszyli w puszczę Kłodawą nad rzeczkę Kłodawicę, błotną i jezierną, więc matecznik dzikich świn. Za pomocą ogarów i kundysów, osadzających zwierza, brano na oszczep srogie odyńce błociarze i smolaki i groźniejsze od nich maciory, których odór zdala już czuć było, gdyż się hukały i lochały. Niejeden pies miał kłem przecięty brzuch i skomląc śmiertelnie, wlókł za sobą jelita własne wyprute, aż upadł i zdechł. Z łowców żaden nie miał przygody złej, boć byli doświadczeni, silni a ostrożni!

Obłowieni ciężko i strudzeni, wracali, niezapuszczając się dalej, bo tam w porzeczy Nery i Bzury była już mazowiecka puszcza Łężyca, pełna łęgów błotnych i książęca knieja Łowiska nad Bzurą. Tam były gaje czyli goje sławne, ciągnące się hen! aż za Gojstyn i po za Gojsławice rawskie. Knieje tam wszelakie suche i mokre. Tam turzycą błotną w zimie,

a piaskową, suchą w lecie żywią się tury, zagarniając ją ozorem swym, ostrzejszym od turzycy samej, która acz podobna trawie bujnej, nie jest trawą właściwą i bydło domowe gardzi nią a z spożytej choruje, krowy mleko tracą, a nawet zdychają; wnętrzności nią napełnione wyglądają jak gdyby nadziane, więc ją lud zwie dzieżęgą. Konie siano z niej od biedy tylko jedzą.

Cisowe i olszowe knieje moczarne i torfowiska nad jeziorami, zarosłe trzciną, bagienkiem a szczególnie łotocią czyli kaczyńcem, były ulubionym matecznikiem łosia, który się w błocie nurzał latem, po wrzosowiskach pasł jesienią, a gałązkami gajów liściastych i obgryzaną korą żył w zimie.

Żubr srogi, garbaty, brodaty i grzywiasty, przebywał w gąszczach chłodnych, żywiąc się liśćmi, gałązkami drzew i ziołami leśnemi. Knieja lipowa, osikowa była mu ulubioną, a najmilszą jasionowa, chociaż w zimie nie gardził i leszczyną, wierzbiną, rokitą, żerując gromadnie.

Jelenie zaś i rogacze, uganiały się po pod dęby, sosny, modrzewie, których knieje stanowiły rdzeń puszczy, zwanej Kampinoską, a w ondy Łowiską i Łażyską, sięgającą od Warty po Wisłę, po Warszawę.

Powróciwszy, opowiadali o puszczy nad rzekami Nerą, Bzurą, wspominając i Warszawę, czyli Warsęgę.

Fenik stary przysłuchiwał się bacznie i rzekł:

— To nazwy fenickie, Fenicy tu byli.

Nera to znaczy: prąd rzeczny.

Bzure: to kruszec.

War-sawa, to *war-safn:* mąż niewolnik.

War-sęga, to *war-siegur:* mąż siekiernik, w siekierę uzbrojony tak, jak oni Wawelanie!

Na to odzywa się stary łowca z nad Bzury, przychodzień:

— Co do siekiery, toć może on i prawdę gada i co do Bzury, bo tam po moczarnych łąkach jest ruda czarna, o której ludzie mówią, że to żelazo... a Mazury żelazne siekiery mają. Może być, że od jakiego niewolnika nauczyli się poznawać rudę, od której rzekę nazwali Bzurą, niewolnika mieszkanie *warsawa*, a od siebie samych Toporczykow *War-sęgą*.

— Kto to wie? kto to wie? ale być może!

Urso i Sylwan przysłuchiwali się rozmowie, badającej nazwy i zauważali, że ten kowal fenicki, mógł być niewolnikiem Finnów kujawskich, skoro Kujawy są ich krainą *Ku-ja-ma:* kamieńcem porzecznym.

A może był niewolnikiem łotewskim... może Łotwa panowała na Kaliszu, bo *kalleis* w łotewskim oznacza kowala, może tutaj była kuźnia, w której kowano żelazo i lano miedź, bo *warn kallis* zwiemy miedziarzy co leją siekiery nawdziewane na sęk, zwane *kalts*.

Niezaprzeczano wnioskowi temu Uppona, gdyż Litwa nieraz zapuszczała się zagonami w Kaliskie, jako się też zapuszczała lodami rzeki Wisły, Wisłoki, Sanu i Wisłoka, hen! hen! aż do Panonnji.

O tych zagonach litewskich wiele rzeczy opowiadano.

Na łowach tych i na rozmowach poważnych schodził tydzień za tygodniem. Zima była mroźna i śnieżna, więc sanna ustaliła się i była wyborną.

Zwierzyna ubita wisiała na mrozie, kruszejąc, a było jej mnóstwo takie, że trzeba było myśleć o wędzeniu na zapas. Tury więc i łosie rozbierano na części i wędzono, świnie zaś dzikie solono.

Na świeżo, zajadano wieprzki swojskie, tuczone

żołędzią, której zapasy ogromne nazbierano w dąbrowach, nim jeszcze spadły śniegi.

Gęsi też stada mnogie zabijano, skubano pierza, a wędzono półgęski i zlewano tłuszcz wytopiony. Pierze zbierano a wieczorem skubała je czeladź wszystka przy świetle łuczywa na pościel, na pierzyny i zagłówki dla państwa.

Krok i Wanda.

Od puszczy turzej przypadł jeździec na koniu zadyszanym, krzycząc zdala w niebogłosy: »Litwa! Litwa!« i pomknął na zamek, osadę całą wprawiając w popłoch i trwogę bez miary. Tłumy luda przerażonego cisnęły się za nim, unosząc dziatwę małą i mienie. Mężowie co dzielniejsi chwytali za oręż jaki kto miał, zwoływali się, stawali w gotowości bojowej, bo już i drugi zwiastun niedoli i trzeci goniec dawał znać, że puszcza cała jęczy od dźwięku rogów litewskiej pogoni, coraz bliżej, coraz głośniej.

— Już wypadają z lasu... już ich widać! Widać sanie uprzężone renami, jedne za drugiemi. Ale coś niewiele, coś tylko kilkoro... Zmierzają prosto na zamek.

— To chyba nie najazd! nie pogoń! To goście! goście! Otwierać bramę na oścież! na oścież!

Trwoga zamieniła się w radość.

Z pierwszych sani zeskoczył starszy dworzanin wojewody wawelskiego, wołając:

— Krakus jedzie! Krakus jedzie!

Z drugich sani stoczyła się raczej, niż wysiadła, Pomorzanka, białka, jasnowłosa, w średniem wieku, i zawołała, śmiejąc się:

— Wanda jedzie! moja Wanda jedzie.

— A któżeśty?

— Ja jej mamka, ja ją wykarmiła sierotkę po matce i jadę z nią! pojadę het! na koniec świata! A kędy tu ta Rzymianka, co mnie zna? O jest! jest Rzymianka, o to się ucieszy moja Wanda!

Na trzecich, czwartych, piątych saniach siedzieli sami Litwini, a raczej Gudasy pograniczni, wszystko chłopy jak dęby, ale cienkie, kudłate zarostem a wszystko zbrojne w łuk, strzały i oszczepy; odziani w wilczury, na głowach czapki z wilczych łbów, a na nogach długie buty z odartych łap niedźwiedzich.

Uppon zapytał ich:

— *Lietuwininkas?* Litwini?

— *Latwetis karrawiraj leel kungsa Lenka* t. j. Litwa, wojacy księcia lechickiego — odrzekli uradowani, że jest ktoś, z kim się mogą rozmówić i opowiedzieć, że oni nie są *wergsy*, niewolnicy, lecz *gohda laudis,* godni ludzie pod własnym dowódcą, *karrakungsem*.

Uppon nawzajem opowiedział im kto on jest i był im za tłumacza wobec gospodarza gościnnego.

Reny wyłożone chcieli puścić na paszę, aby ją sobie wygrzebywały racicą z pod śniegu. Gospodarz nie pozwolił na to, kazał przynieść żołędzi i płonek, t. j. jabłek dzikich, czem sutą ucztę wyprawił chudobie onej poczciwej.

Opowiadali przybysze, że z Krakusem jechali na *Askaukalns*, wyprzedzając podwodą renów, aby zapowiedzieć przybycie.

— *Askaukalns,* co to jest? — pytali Kaliszanie.

— To Osikowa góra! — tłumaczył Uppon — bo *Askau* to osika, a *kalns* góra.

— Aha! to Ossowa góra wedle ujścia Noteci?

— Takci tak! ale oni to przekałbasili na swoje! — śmiejąc się, odrzekł dworzanin wawelski. Dodał też, że ztamtąd jechali lodami rzeki Noteci, je-

ziorem Gopłem na Kruszwicę, gdzie się modlili Światowidowi, poczem zamarzniętemi jeziorami i moczarami do Warty rzeki i puszczami do Kalisza.

Opowiadaniu bacznie przysłuchiwali się Rzymianie, a Skriba słysząc nazwę Światowida, zapytał: co mówią o Setidawie? Gdy mu wytłumaczono rzecz, wydobył swoje tabliczki zapisowe i zapisał, że od ujścia Wistuli cesta wiedzie na Askaukalis do Setidawy i Kalissyi.

Opowieść jazdy po rzekach i jeziorach lodami ściętych zdawała mu się niemal bajeczną, tak samo i Aeliuszowi, bo oba nie widzieli rzek zamarzniętych, a podwód renich, gdyby nie oglądali naocznie, nigdyby nie uwierzyli, że jeleniami — bo tak je zwali — można jeździć po śniegu sankami. Z ciekawością oglądali je dokładnie, a Skriba zapisał sobie, że zwierzęta one są niemal tyle jak ciołek, łeb mają podobny jeleniowi, ale większy i o rogach rosochatych, runo zaś mają tak kudłate, jak niedźwiedź i maści zmiennej; zresztą podobne osłom[1]).

Zima ustalona złagodniała, mrozy były niezbyt ostre; Rzymianie odziani w kożuchy, przywykali do nich i nie bali się jak na początku. Więc też podróż taka sanną po lodach i śniegach nabierała powabu; postanowili korzystać ze sposobności i podróżować wraz.

Kaliska księżna słysząc o tem, pomyślała o zaopatrzeniu Rzymianki i jej sługi. Odziane były dobrze, ale to nie wystarczało do podróży. Przysposobiła więc potężne pierzyny i poduszki do jazdy i spania, a Fenik też zaopatrzył się w pościel taką łatwą do nabycia wobec chowu mnogich stad gęsich. Poleciła księżna głowę i twarz okryć rąbkiem od wiatru, a na ręce dała im rękawice ciepłe, na nogi litewskie kierpce futrzane. Żal jej było rozstać się z Mace-

---

[1]) Pliniusz VIII., 34.

doną, której zwierzyła się poufnie, że czuje w sobie jakąś zmianę, jakąś błogość niewypowiedzianą, a wszystko dopiero od czasu jej przybycia!

Więc Rzymianka dała jej jeszcze jedno naczyńko z olejkiem różanym i nauczyła robić wodę różaną, gdyż uważała, że polne, dzikie, małe różyczki polskie pachną wcale mile; toć radziła obrywać listeczki kwiecia, sypać w naczynie napełnione wodą i stawiać na słońcu pod przykryciem szczelnem, a będzie miała woniejącą wodę do częstego mycia.

Księżna wdzięczna obdarzyła ją zasię suknią długą, obłoczystą, watowaną puchem, którego ciepła przyjemnego nie mogła się Rzymianka nachwalić. Ile razy zoczyła gęsi, powtarzała, że są *molli plumata lanugine,* t. j. miękiem opuszone runem. Odtąd wcale nie lękała się zimy północnej.

Przybyła drużyna dostojna z Krokiem, Wandą, Krakusem i Lechem, w poczcie zbrojnym okazałym. Przywitań radosnych nie było końca miary, a wszystko uroczyście, odpowiednio dostojeństwu gości, między którymi był i stary, wielce poważny kapłan z Oliwy.

Starszy dworzanin wojewody przybył po rozkazy co do drogi dalszej. Polecono mu nazajutrz ruszać dalej z Litwinami, aby przysposobić nocleg wygodny w Osiakowie, przykazując zaopatrzenie należyte bud łowieckich, żeby w nich kobiety mogły zanocować.

Pokłonił się i odszedł a kaliski pan zapytał:

— Czy wiedzą drogę? czy nie zbłądzą?

Na to z uśmiechem odrzekł Krok:

— Myślisz bracie, że moja Litwa pierwszy raz tędy jedzie! Tać między nimi jest stary Wyrwa, co zagonami opędził pół światu, bo to basteerna zawołany! Nie nowina mu Wisłą po lodzie zaganiać się pod Sandomierz, a do Osiakowa trafi o północku gę-

stwiną leśną; bodaj, czy on tu nie łupił koło was. Bo te Gudasy nie orzą, nie sieją, rzadko który przychowa bydle jakie, a gdy bieda dokuczy... ba! nawet nie z biedy i potrzeby, jeno z junactwa — puszczają się zagonem w świat daleki za zdobyczą, za koniem, bydlęciem, a jeżeli się nawinie dziewucha dorodna, to ją chwyta na konia, sadzi przed sobą i umyka jako z łupem najmilejszym. Obecnie niewiele ich doma, bo się wyprawili do Panonii dalekiej przed parą laty i nie wracają. Pozostała garstka nudzi się, zazdrości im łupu wojennego, gotowa była ruszyć zagonem na nas, ale posłyszeli o mej podróży, więc Wyrwa stary z synami i krewniakami przyszedł, oświadczając, że mu nudno doma, radby się przewietrzyć, więcby przystał do mnie, gdybym go przyjął. Dodał, że ma zdobyte na Finach podwody renie, mógłby przodem pędzić. Oczywiście, żem go przyjął, choćby dlatego, że mu się nudzi doma, bo gotów ruszyć gdzie na Lechy! Więc też i dlatego, że w podjazd jest nieporównany, przebiegły i odważny zarazem, a jak się raz zobowiąże, to gotów skoczyć w wodę i ogień, nie zdradzi nigdy przyjaciela swego, ani swoim zdradzić nie dozwoli. Stara ta mamka mej Wandy, to też ich posiestrzyca, urodzona z Litwinki. Ona też z łotewska nazwała dziecko Wandą. Z Łotwą żyje ona za pan brat, bo to także taka choczajdusza, rzutna i śmiała, prawie stworzona na gonichę podróżną, pędzić, przygotowywać noclegi i przyrządzać strawę. Lepszej służby niema chyba cezar w Rzymie! Oni nam tam przygotują wszystko, my wypoczniema jutro, a pojutrze ruszywa świtaniem — bo komu droga temu czas!

Dworzanie kaliscy zaznajamiali się z Łotwą, okazowali zwierzynę ubitą, okazywali tura żywego, a Uppon opowiadał im, jak go złowiono. Podziw swój objawiali powtarzając często swoje zwykłe: *Wilkeem apedams!* t. j. wilcy by cię zjedli!

Wyrwa stary najbardziej podziwiał rogi tura, potrząsając głową i mówiąc:

— Toż toby była trąba łowiecka!

Uppon opowiedział o tem gospodarzowi, który, śmiejąc się, rzekł:

— Mam tu taką poczwarę, co nikt na niej nie może zagrać, boby mu chyba brzuch pękł; przywołajcie go, podaruję mu ją.

Przywołano starego, chudego Wyrwę, któremu aż oczy błysły z radości. Gospodarz jednak rzekł:

— Daruję ci ją, ale musisz zagrać na niej!

Łotysz kiwnął głową i rzekł:

— Zagram, ale na polu, bo tu zaciasno!.. i pyszczek przyprawię od swojej trąby.

Wyszedł, przykręcił pyszczek, przysadził się... jak huknie! aż zadudniało, ściany się zatrzęsły... kobiety oburącz zatykały uszy, śmiejąc się, a Kaliszanie nie mogli napodziwiać siły podmuchu.

Pytali się go, czy woli dźwigać taki róg olbrzymi, mając swój mały a wielce donośny głosem?

Potrząsł lekko głową i mruknął:

— *Wilku menez!*

Uppon wytłumaczył, iż to znaczy: wilczy miesiąc, czyli grudzień.

Nie rozumieli, co on pod tem myśli.

Nazajutrz po śniadaniu wczesnem, gdy goście dostojni jeszcze spali, zagrały dźwięcznie trąbki łowieckie Łotwy, huknął też potężnie gruby róg Wyrwy. Pojechali.

Reny, nakarmione żołędzią i jabłkami płonnemi, pędziły wesoło w podskokach, sanie sunęły bez szelestu, śnieg tylko skrzypiał i chrupiało pod racicami; drzewa przydrożne zdawało się, iż umykają spiesznie, drogi ubywało sporo.

W południe stanęli na polance wśród puszczy,

podali renom obroku żołędziowego, w który ich hojnie zaopatrzono w Kaliszu, rozłożyli ogień potężny, grzali się i przypiekali wędliny, rozmawiając wesoło i żartując z mamką, która im gospodyniła. Na śnieg, na tropy nie spoglądali wcale, przywykli w lesie wszędy widzieć ślady zwierza, ani też uważali jak szumieją sosny.

Wyrwa stary jednak bacznem okiem spoglądał po śniegu, po tropach mnogich, potrząsł głową i mruknął:

— *Wilku menez! wilku menez!*

Spoglądał też po niebie i nadsłuchiwał szumiącej mowy puszczy. A sosny szumiały coraz to bardziej, w końcu zahuczało w głębi puszczy i ustało nagle!

Wyrwa dał znak do wyruszenia, spoglądał ku słońcu i naglił, że się aż zdziwiła młodzież, ale posłuszna, zaprzęgła reny, siadła i ruszyła.

Wyjeżdżając na miejsce otworzyste, obaczyli chmarę daleką, wjechali znów w las i nie widzieli chmary. Pędzili więc dalej i dalej, polami i przylaskami a chmara ona, opuszczając się, zatulała ich w mgłę z początku przeźroczystą i rzadką, później coraz gęściejszą.

Wyrwa stary oglądał się po niebie i naglił.

Słońce miało się ku zachodowi a mgła jak otulała, tak otulała. Wyrwa przodem pędził kędy mgła najgęściejsza i zadudniało pod saniami; byli na rzece, pędzili rzeką, już i dworzanin wojewody poznał, że są niedaleko od Osiakowa.

Wtem kilka renów jęło się niepokoić, uskakiwać w bok, omal że nie wywróciły sani, na których siedziała mamka. Spojrzała ona w bok, obaczyła cień jakiś ruchliwy, spostrzegła nieznaczny połysk, zawołała:

— Wilcy!

Wyrwa zawołał:

— Trąbić!

Wydostali trąbki, zagrali: reny uspokoiły się, znak, ze wilki odstąpiły. Ale nie na długo; bo skoro tylko przycichły trąbki, reny znowu niepokoiły się, więc trąbiono znowu po kilka rogów razem.

Już dworzanin rozpoznawał dojazd do tarnogrodu Osiakowa, gdy mgła przerzedła, lecz pomroka nocna jęła zapadać. Nagle reny skoczyły, rwąc się naprzód co mogły, a w prawo i w lewo zamigały wilcze ślepie: była ich gromada cała i okrążały. Wyrwa pędzi prosto wygonem, dopada już wejścia, gdy wewnątrz ogrodzieńca spostrzega wilka zastępującego. Chwycił za swój olbrzymi róg turzy, jak huknie głosem grzmotu, wilk przerażony rozpędził się, skoczył rozpaczliwie i zawył, bo wpadł w zarośla cierniowe, przez które kłuty i raniony, przedzierał się zalękniony. Gromada wilków odpowiedziała wyciem straszliwem, lecz nie zbliska.

Sanie za saniami wpadały w ogrodzieniec, a ztamtąd wrotkami ciasnemi za płot cierniowy w gródek, którego wejście zatarasowano.

Wyrwa potrząsał głową, splunął i rzekł:

— *Wilku menes, ka tew baggati wilki!*.. wilczy miesiąc! bodaj cię bogate wilki zjadły!..

Nie bawiąc i chwili, wydostał łuk i strzały, zawołał na dwu z drużyny, wyszli za wrota, przysiedli, podczas gdy w gródku rozniecono ogień. Wilki przed ogniem uskoczyły z początku, nawróciły jednak niezadługo, a wkońcu oswajając się z jasnością, podkradały się bliżej, przychodziły na strzał.

Strzała nieomylna Wyrwy starego furknęła wprost ku ślepiu wilczemu, utkwiła w ślepiu, wilk przewrócił się, ani jojknął!

Kilka wilków otrzymało jeszcze postrzały. Coraz

dalej słychać było wycie. Wilcy odeszli, bacząc niemożność zdobycia i pożarcia zwierząt i ludzi.

Noc przeszła spokojnie, przy ogniskach w budach łowieckich na posłaniu z mchu i kożuchów mróz nie dokuczył, bo i drzwi zawarto a ogień podniecano całą noc.

Nazajutrz przeglądnięto pole łowieckie. Jeden wilk stary leżał na miejscu z strzałą w ślepiu, drugi o kilka kroków z strzałą w sercu... dalej jeszcze trzy wilki o kilkadziesiąt kroków jeden za drugim.

Obłupiono je, wybrano sadło, a ścierwo porozwieszano po konarach drzew na wygonie dla postrachu wilkom, których było z półkopy w stadzie.

Budy i chaty wymieciono, wyczyszczono, a stara mamka dla swojej Wandzi, ojca jej i braci przysposobiła leżysko wygodne i cały dzień opalając, wygrzała budę. Tak samo dworzanin wojewodzki przysposobił nocleg wojewodzie i staroście, a w końcu i dla kapłana starego i Rzymian, w czem mu szczerze pomagała mamka.

Nadjechał Krakus i drużyna cała. Rzymianka i brat jej dziwili się, że nietylko dojechali żywi i zdrowi ale nawet nie przeziębnięci, dzięki odzieży ciepłej. Powietrze też ciche, przy mrozie miernym i cokolwiek pochmurnem niebie nie tamowało oddechu, jako się obawiali. Słowem przeprosili się z zimą północy, zapewniając, iż jazda sanną o wiele dogodniejsza, niż wozowa.

Dojeżdżając do Osiakowa, spostrzegli ścierwa wilcze, wiszące na drzewach, domyślili się łowów skutecznych i z zajęciem słuchali opowiadania mamki, zapewniającej, że onych ślipi wilczych migających było gdyby gwiazd na niebie, a Wyrwa, gdy na turzym rogu zahuknął, to dudniała ziemia jak od grzmotu, a wilcy gdzieś aż przypadali od strachu.

Skriba ciekawie przyglądał się ścierwu i skórom, wypytywał o szczegóły i zapisywał je, a wypytywał się czy to prawda co pisze Aristoteles; że wilk nim pochwyci zdobycz to ją pierw obchodzi i zazionie?... Przypatrując się zaś, jak skóry wilcze wysuszone na snożkach przecierają i mną w rękach, a potem zawdziewają na siebie i stają się podobni wilkom samym, zwątpił w podanie, iż na północy ludzie w zimie zamieniają się w wilków, zwątplił w wilkołaków, gdyż to może ludzie, odziani w wilczury.

Nocleg w budzie łowieckiej, utkanej mchem, zawartej a wygrzanej płomieniem i żarem ogniska, wcale nie raził zimnem, zwłaszcza po dobrej wieczerzy i łyku miodu starego, w który napój zaopatrzoną była drużyna podrożna.

Krokowicze młodzi obadwa, całą noc marzyli wedle opowieści starej mamki. Zdawało im się, iż niebo całe pełne wilków, których oczy migają zamiast gwiazd. Więc skoro rano pobudzili się, wyszli z budy, prosili łowcy starego żeby ich zaprowadził do obłupionych wilków wiszących; wzięli z sobą swoje łuki małe i strzałki, strzelali do ścierwa, a łowca stary śmiał się serdecznie i zachęcał.

Mamka ledwo ich zwabiła do śniadania.

Dworzanin starszy z Łotwą, pogonił przodem jako zwiastun gościa oczekiwanego, a nocleg następny odbył się już między swymi, między Toporczykami witającymi wojewodę nowego wsławionego!

W Częstochowie, Olsztynie, Ogrodzieńcu, Elhocie, zajeżdżały im drużyny znajome i przyjazne; gospody były pozamawiane, pożywienie i obroki przygotowane.

Piaski one nudne do jazdy w lecie, pod całunem śniegu zmieniły się w sannę przepyszną i wesołą a jezdce konni swobodnie pomykali za sańmi a cza-

sem i bokiem od sań wyprawiając gonitwę, idąc w zawody.

Pogoda sprzyjała dotąd stale; dopiero gdy się zbliżali ku Wiśle, opuściła się pomroka mglista, ciągnąc i snując się ponad góry i pagórki. Więc bez zatrzymania pędzili ku Wiśle zmierzając do Olkusza, kędy ich zapraszał żupan gościnny, z górnikami swymi wyjechawszy naprzeciw.

Śnieg puścił się płatkami dużemi. Rzymianie struchleli; przesądem południowców byli pewni, że śnieżnica pozatyka im oddech, zasypie płuca. Ale niezasypało płuc, lecz omal niezasypało ich samych gdy się zerwała zawierucha sypiąc śnieg jako pierze z worka, tworząc zaspy. Lecz nim je wytworzyła, nim potworzyła bezdroża, podróżni dopadli Olkusza, a ogrzane izby obszerne żupaństwa, Rzymiance zdały się tak miłemi niemal, jak świetne podwoje domów rzymskich.

Lud zgromadzony, ukłonem głębokim witał dostojników swoich i obcych, spokojnie poważnie uroczyście. Jeden tylko człowiek i to już niemłody, podskakiwał z radości, wywijał rękoma, machał zawiesistą swą czapą baranią i wykrzykiwał na całe gardło.

Był to szewc Skuba, przybysz z za Wisły, bywalec i obieżyświat znany powszechnie. Przyszedł on do Olkusza za kupnem szydeł brązowych, do roboty szewskiej potrzebnych.

Buty należały wtedy do zbytku; nosili je tylko ludzie zamożni, bo lud prosty chodził w chodakach czyli łapciach z łotewska zwanych *kurpe*, które sobie sam sporządzał. Szewc więc, który umiał skórę bydlęcą moczyć w garbniku wytworzonym z suszonej i tłuczonej kory drzewnej, który umiał ją wymiętosić należycie, przykroić i uszyć z niej buty z holewami; szewc taki uchodził za mędrca w rzemiośle, był wziętym i poszukiwanym, bo obuwie lepsze należało zawsze do potrzeb życia. Szewstwa wyuczył on się od

Rzymian w Panonii, gdy był na wyprawie Lechów przeciw Wannowi. Tam do obozu przynosił i za drogie pieniądze sprzedawał, a nawet robił buty szewc rzymski. On go podpatrywał, a nawet mu pomagał, wyuczył się tajemnic rzemiosła; jak dratwę kręcić, jak ją smołą smarować, a co najtrudniejsza, jak wkręcać szczeć! Długi czas nie mógł odgadnąć tej tajemnicy szczecinowej, która była podstawą szewstwa, w końcu przecie odgadł. Z pocięglem i kopytem, sprawa była łatwą: pocięgiel w ostateczności mógł bydź z lada powrózka, a kopyto z przyciosanej cokolwiek kijanki, którą baby płótno prały. Trudniej było z nożem i szydłem, bo to z kruszcu, więc rzecz droga, bardzo rzadka a konieczna. Trudność ta sprowadziła go do Olkusza do górników i kowali. Prawda, że i oni kupowali od niego buty, ale o to nie chodziło mu, większy zaszczyt był robić panom, starostom, szlachcicom, a w Olkuszu górnikom, to chyba za nóż i szydła.

Zbadawszy już tylo tajemnic rzemiosła, pragnął jeszcze zbadać i tajemnicę wyrobu noża i szydeł, zgoła tajemnicę leizny i kowadła. Zagadywał nieraz, wypytywał się, ale mu ani odpowiadano. Więc podglądał, podpatrywał i widział, że jakieś kamienie żarzą aż do roztopu, a potem to leją albo kowają. Jął więc zbierać kamienie, najpierw żółte za Krzemionkami wedle dzisiejszych Swoszowic. Topiły się co prawda, ale zarazem paliły się płomykiem, aż zgorzały całkiem, wydając dym smrodliwy i zabijający, bo to była siarka. Próbował potem kamienie czarne, które znalazł w jaworowym lesie nad Przemszą, rzeką. Żarzyły się straszliwie bez płomienia, dymiąc smrodliwie, choć nie tak zabijająco, ale topić się nie chciały, kować się nie dały.

Więc jedne i drugie przydawały się tylko na wykurzanie lisów z nory; dostarczał tego smrodu łowcom i sam pomagał im przy wykurzaniu, za co otrzymał kilka skórek.

Obecnie przybył do Olkusza za szydłami i postanowił porwać skrycie kamyków kilka kruszcowych, aby wedle nich wynaleźć więcej, i lać i kować szydła, noże, a może i siekiery, miecze gdyby się udało.

Że to była zima, zasadzono go do roboty wraz z synem podrostkiem, bez którego nie podróżował nigdy. Wymoczoną więc w garbniku skórę, jeszcze wilgotną przykrawał na cholewy, a potem na przyszwy, które gdy pozszywał, przykrawał podeszew grubą z samego grzbietu, kładł kopyto w przyszwę przewróconą a na wierzch kładł podeszwę też odwrotem po pod brzegi przyszwy i przybił kołkami do kopyta, założył pocięgiel na to wszystko, podkładając koniec drugi po pod stopy swoje. Tak na kolanach przytrzymując, wiercił dziury szydłem zakrzywionem w przyszew i podeszew razem, ale nie na wskróś tylko z ukosa, tak iż dratew przesnuta przyszywała jedno do drugiego. Gdy obszył w koło, przewrócił cholewę, przyszew i podeszwę, okroił, przyklepał, powyciągał, ot i but gotowy.

Byle nogę dobrze okręcić wiechciem słomy, to nie dojmie i ciężki mróz.

Tak pracował rękoma a nie próżnował gębą, ani uchem. Opowiadał co widział i słyszał, a podsłuchiwał co gadali drudzy, co gadali panowie szlachta.

A panowie radzili i radzili jakobyto zdobyć Wawel i wytępić Smoka w jamie pod zamkiem, żeby nie pożerał chudoby ludzkiej, nie porywał dziewuch. Wojacy doświadczeni radzili: jedni wygłodzić oblężeniem, drudzy zdobyć siłą, mocą, z toporami w ręku, inni znow, żeby jako wywabić smoka z jamy.

Rozprawiano głośno, a Skuba posyłając syna na podsłuch i zwiady, wywiedział się o wszystkiem i sam natężał myśli coby czynić wypadało, bo tak źle, a onak też niedobrze.

Synalek nieodrodny co do zdolności przemyśliwał też, a w końcu rzecze:

— Tatusiu!

— Co?

— A żeby ich też podkurzyć jak lisa w jamie?

Skuba uderzon mądrością pomysłu, rzucił pocięgiel i but z kopytem, a nawet szydło, nieocenione szydło brązowe, drogo zapłacone, wyskoczył z izby gdyby oparzony biegł do przybytku panów. Dworzanin starszy bacząc, pyta kędy biegnie?

— Do pana starosty... wojewody... do Kroka samego.

— Z czem?

— Z sprawą bardzo pilną...

— Z jaką?

— Samym panom powiem... puśćcie mnie.

— Zapowiem was wprzód.

Zapowiedział i zawezwał.

Szewc do nóg upadł staremu wojewodzie, potem Krokowi, stanął i mówi:

— Miałbym co rzec.

— Mów!

— Jabym się podjął smoka onego z jamy pod Wawelem wykurzyć!

— Co?

— Wykurzyć jak wykurzałem one liszki, których skórki mnie teraz grzeją w zimie.

— Czemże wykurzyć?

— Mam takie kamienie, co jak się palą to dymem odurzają, a nawet zabijają. Dodam pruchna i nietoty, zaszyję w skórę cielęcą, zatlę i podrzucę wraz z cielętami dwoma jakie się zwykle dają smokowi... Niepozna, wciągnie do jamy, zakurzy jamę, musi zdechnąć lub wyjść.

Wszyscy zdziwili się nad mądrością szewca. Krok rzekł:

— Pokaż te kamienie.

Skuba sięgnął do torby, wydobył kawał siarki i kawał węgla kamiennego, rzucił w ogień najpierw węgiel. Zadymiło się smrodem przenikliwym. Rzucił siarkę, zadymiło się i jak pocznie śmierdzieć i dusić, musiano uciekać z izby.

Przekonał wszystkich, że takiej woni niewytrzyma i Smok teutoński, choć taki potężny.

Że zaś niemiał przy sobie na tylo siarki ani węgla ani pruchna, chciał się udać do Jaworzna po węgle i pruchno, ztamtąd zaś chciał obiegnąć do koła pod Mogilany kędy wie o siarce. Nadziawszy tem skórę cielęcia miał przybyć pod Wawel czyli Gwoździec.

Zgodzono się na to, natychmiast dostarczono sani, koni i straży zbrojnej, wyprawiono Skubę ku Jaworznu. Nazbierał tam próchna doskonałego i pełny wór węgla kamiennego, poczem lodami Pszemszy i Wisły pędzili ku Mogilanom, gdzie nabrał siarki i jął przyrządzać podkurzanie.

W świeżo zarzniętego cieluszka skórę złupioną całkowicie, nakładł nietoty suchej i kawałków pruchna, a w pośrodek tego otulenia nasypał węgla kamiennego, w sam środek zaś siarki. Nadziewając naśladował postać cielęcia tłustego i dorodnego, poczem od pośladka zeszył drobnym szwem, przygładzając by było nieznacznem zeszycie. Szyję poderzniętą zapełnił dobrze pruchnem, które okrwawił dla niepoznania i pruchna też nawtykał po pod ogon. Wydawało się jak gdyby ciele prawdziwe, bo nawet ozorek onemu wyłaził z pyszczka.

Podczas tego na niedalekim Tyńcu grodku wojewody, zbierali się Toporczycy, pobratymce i dworzanie wojewody; przygotowywali oręż, ostrzyli topory, wyczekując chwili i hasła, aby wyruszyć na zdobycie grodu stołecznego Krakowa.

Krakeb fenickie znaczy twierdzę ogrodzoną.

Zamek krakowski zwan Gwoździec, po fenicku Wawl, *(waw,* gwoźdź).

Cały pagórek skalisty, na którym stał Gwoździec zamek drewniany o bramach blachą kutych, od czego nazwa *Wawl* t. j. gwoździec, otoczon był parkanem ostrokołów, a kędy było niżej, to nadstawiono ścianą ścieloną z chrustu i ziemi warstwami naprzemian, sposobem powszechnym wielu narodom, tak jak dzisiaj robią od wody jaz ścielony. Gdzie był w pobliżu kamień, wznoszono mur suchy na mchu, drzewo jednak i ziemia były podstawą ogrodzenia. W miejscu najbardziej wystawionem na niebezpieczeństwo stał właściwy zamek dębowy z takiemiż przybudowaniami. Na dziedzińcu obszernym stały też odosobnione zabudowania: izby czeladnie, stajnie, gumna, spichlerze i chlewy rozmaite. Z dziedzińca był wchód podziemny ku Wiśle zwany Smoczą jamą, istniejący do dziś dnia.

Skała cała jest wapienna; przed potopem świata była oblana morzem, które bałwany rzucając, podlizywało ją, wytworzyło jamę wielce ciekawą, bo sklepienie jej podpłukiwane falą, tworzy chropowatość pełną dziur zaokrąglonych, mniej więcej głębokich a wygładzonych najzupełniej. Sklepienie to jest niskie, można ręką dostać i przekonać się sięgając w dziury one wypłukane wodą falującą. Jama ta nie obszerna ciągnie się w górę i łączy z szczeliną dosięgającą powierzchni dziedzińca. Miejscami przestrzeńsza, miejscami wązka a niezbyt spadzista, jama ta i szczelina tworzy samorodny wychód ku Wiśle, a wychód to wielce obronny, wymykać mogą się nim wszyscy mieszkańce zamku jeden za drugim, a bronić wstępu zdoła mąż pojedynczy.

W jamie tej bywała straż pobierająca cło wiślane, którą to straż w onczas teutońską, dla zdzierstwa

i łupiestwa zwano Smokiem wawelskim. W lecie smok on czółnem dopławiał do galar i statków, zimą zaś pieszo zastępowali strażnicy saniom przemykającym się.

Na utrzymanie załogi pobierano z okolicy po troje cieluchów lub baranów na dzień, a Teutony mścili się, gdy która wioska niedostawiła poboru w wyznaczonym czasie.

Wszystko to dobrze rozważył Krok.

Przez posłańca uwiadomiony, że Skuba już gotów i Toporczycy na Tyńcu także, podstąpił ku Wawelowi a do Tyńca wysłał Toporczyka doświadczonego z Łotwą na podwodach renich. Przebiegli migiem dając hasło do wyprawy.

Skuba więc wziął cielucha wypchanego i dwoje cieląt mniejszych zarzniętych; samotrzeć z dwoma gospodarzami wsi pobliskiej siadł na sanie, podjechał pod Smoczą jamę oświadczając, iż przywiózł rozkazaną daninę, a odjeżdżając zatlił pruchno.

Mróz był wielki, trzeszczało pod nogami a mgła mroźna przejmowała aż do kości.

— »Dawaj sam!» — zawołał strażnik, a chłopi posłuszni wnieśli jedno ciele najmniejsze; strażnicy odebrali i powlekli zaraz na zamek. Wnieśli ciele drugie, strażnicy odebrali, powlekli do swej strażnicy, złożyli mówiąc, że będzie na obiad. Cielucha zaś siarczanego kazali złożyć na dole w jamie smoczej, kędy na pościeli z mchu kilku straży nocnej chrapało śpiąc twardo przy ognisku, bo byli pijani piwem chmielnem. Chłopi złożyli cielucha w zakątku jamy zdala od ogniska. Strażnika nos zaleciał dymek pruchna trącący węglem kamiennym, zapytał:

— Co to za dym czuć?

— To mgła tak śmierdzi... będzie odwilż... — rzekł Skuba, siadł na sanie, ruszyli żwawo śmiejąc się.

— Będzie wam tam odwilż!

Strażnik przymknął wrotka, żeby jama niewyziębła mrozem, chodzi tam i sam, zerka czy kto nie jedzie; bacząc zaś że wszystko spokojne, wlazł do jamy, zawarł wrotka za sobą, łyknął piwa, położył się wedle drugich strażników śpiących i zdrzymał czując, że mu jakoś cięższeje głowa — od dymu czy od piwa, niewiedział sam.

Na Wiśle zaś z mgły wypadł jeleń-ren rosochaty a za jeleniem sanie a na saniach łowca jakiś w wilczej skórze z wilczym łbem na głowie, za którym znowu siedział wąsal w czapie wysokiej i w kożuchu baranim z przewieszoną skórą wilczą, przepasan pasem, w ręku miał topor ciężki. Przemknęli cicho gdyby widmo jakie okrążając Wawel i biorąc się na lewo przez zamarzłe błota nadwiślańskie.

Był to posłaniec od Toporczyków tynieckich, dający znać że już ruszają i Skuba że podkurzył Smoczą jamę.

Krok wyruszył więc także i stanął nieopodal od Wawelu zakryty mgłą gęstą znosząc się z Toporczykami.

Skuba powrócił do wchodu Smoczej jamy i uradował się, bacząc iż wedle wrót czuć smród siarki i węgla, których dym przedziera się szparami. Pchnął wrotka, poczuł że nie zawarte ale zawalone czemś; przywołał chłopów, pchnęli silnie, odsunęli zawadę, otworzyli, a dym duszący buchnął ksztusząc i odurzając. Poczem obaczyli, że zawadą byli strażnicy leżący na ziemi odurzeni od czadu i siarki. Jeden z nich, najbliższy drzwi ruszał się, chciał wstać, zawołał słabym głosem: — *Wasser!*

— Co on woła? — pytają chłopi.

— Wody chce — rzecze Skuba.

— Trzeba mu jej dać... przecieśta mu obiecali odelgę i wilgoć... toć mu ją dajmy. W przerębli wody podostatkiem.

A była w lodzie wykrzosana przerębla, gdzie Teutony wodę z Wisły czerpali. Chłopi zawlekli strażnika, rzucili w przeręblę, mówiąc:

— Na! tobie, smoku! objadałeś się krzywdy naszej, zakąsiłeś siarką, popijże teraz wodą, popij!

Wywlekli drugiego, trzeciego, czwartego... wszystkich po kolei: wrzucili w płonią rzeki, potopili bez litości.

Para siarkowa i dym opuścił się na dół, można było oddechać w jamie.

Toporczycy przybyli w sam czas: jęli się jamą spinać do góry na Wawel. Mgła wiślana wznosiła się właśnie zakryła całe wzgórze zamkowe. Nie zwróciło więc baczności, że wylazł jeden, wylazł drugi, wylazł trzeci Toporczyk, że śmiało kroczyli ku bronie głównej. Przez mgłę widzieli płomień w kuchni zamkowej, gdzie jedno z cieląt warzono na śniadanie. Widzieli dalej światło w strażnicy przy samej bramie, znać straż grzała się przy ognisku.

Cichuteńko podeszli pod bramę i odsunęli ciężkie zapory.

Krok z mieczem fenickim, czystym brązowym w prawicy, a tarczą okowaną w lewicy, z przyłbicą brązową na głowie, stał w pogotowiu i wkroczył na czele swej drużyny pomorskiej i Małopolan. Za nimi szła Łotwy garstka, którą wiódł Wyrwa stary.

Na dany znak huknął on w swą trąbę turzą, a drudzy zagrali w swe trąbki drewniane i rogi bydlęce!

Teutony przerażone jęli wybiegać z izb, lecz u progu padali pod ciosami toporów.

Jedna kupa chciała się wymknąć przez Smoczą jamę; ale tam czekali Toporczycy, rąbali i topili w przerębli.

Garstka zaledwie zdołała ujść, przełażąc ostrokół i skacząc z góry, na łeb na szyję.

Krok odzyskał Wawel! ale Skuba szewc chełpił się słusznie, że on go odzyskał, siarką trując smoka strażniczego.

Wszystka szlachta i kmiecie uznali Kroka wojewodą swoim, ślubując posłuch we wszystkiem.

Na wiecu wojewódzkim uchwalono zarazem wyprawę wojenną dla oswobodzenia województwa całego, mianowicie Podgórza, gdzie się usadowiła Łotwa sprzymierzona z Teutonami w Sądeckiej ziemi, nad Dunajcem, Łososiną Poprudem i Białą. Sądeczanie nalegali na pośpiech, bo im ciężko samym, a żupnik wielicki przed tem już użalał się, iż najezdnicy ci tamują przewóz soli ujmując dochodów.

Krok bacząc umysły ochotne do wojny, nie zwlekał, rozesłał wici do trzech tygodni, wedle porady góralów doświadczonych: ażeby się zimy srogość przewaliła, a nimby jeszcze rzeki puściły. Górale wróżyli środek zimy mroźny, gdyż jodły górskie pośrodku gęsto okryte szyszkami, co znak nieomylny!

Przepowiednia nie zawiodła: nastały mrozy srogie, ptactwo spadało z powietrza, umarzali ludzie!

Ale na Wawelu było ciepło i przyjemnie.

Mrozy srogie minęły, zima złagodniała, ale nie puszczały lody ani śniegi; czas był po temu, więc Krok z nieliczną drużyną wyruszył ku Dunajcowi w pomoc Sądeczanom. Drużyna jantarowa rzymska przyłączyła się.

Dunajec stanowił miedzę obronną od zagonów Łotwy zapędzającej się do Panonii. Lewy brzęg rzeki najeżon był twierdzami i zawadami, począwszy od Wojnicza który był częstem pobojowiskiem. Zamki utwierdzone powznaszali jeszcze Punowie wychodźce

z Panonii, więc im też puńskie nadali nazwiska, inne przedtem jeszcze może wzniosła ludność polska:

Steblin tuż nad Wojniczem był gród opasan ostrokołem, jak uczy nazwa fenicka: *ste*, wzniesione, *blim*, słupy.

Nakle było miejscem żywopalenia żertwy wojennej, na pobojowisku w dolinie.

Za Steblinem na górze był lechicki zamek Gwoździec t. j. żelazny, z Zawadą t. j. zasiekiem leśnym, a raczej siołem utwierdzonem zasiekami. Dotąd wykopują tam ozdoby fenickie z brązu, dziwnej doskonałości.

Melstyn, to punicki *Mail-tina*: nadwodna skała.

Wytrzyska naprzeciw Tropia, polski gródek okopany z zamkiem.

Gerowa, gródek pod pagórkiem *Gerowcem*, pobojowisko częste więc i nazwa punicka: *gerra*, bój staczać.

Grodek, śliczny pagórek Dunajcem oblany, wedle którego Ratajowice i Bojne wskazują miejsca bojów i ratta zawziętego, starosławiańskim obyczajem: ratajów wojujących z ratyszczem w ręku.

Tęgoborza z gródkiem i *świdnikiem* smętarnym, pod Hełmem górą.

Biaława z zawadką.

Hełmiec gródek okopany i wyniosły.

Kamionka u ujścią Popradu z Zawadą, koło Dąbrówki.

Sącz (dziś Nasączowice), gród stołeczny ziemi sądeckiej.

Oto cały szereg twierdz naddunajeckich, prastarych, a wszystko na lewym brzegu; więc przeciw onym, co bywali w międzyrzeczu Dunajca a Białej — przeciwko Łotwie.

Łotwa od morza Bałtyku waliła się zagonami ku Panonii. Lądem nie puszczali jej Mazury, więc czekali aż lodem ścięła się Biaława (Biały Dunaj), aż się stała *wiset*, aż się woda zamieniła w lód, który po łotewsku zwie się Wisla — a *wizet* znaczy: lodem lśniąca, biaława.

Wisłą więc, Sanem, Wisłokiem i Wisłoką po lodach pędziły ich zagony ku Panonii ciepłej i żyznej: za łupem, nie zawsze wracając tą samą drogą; tak jak bratni ich zagon (R. 45 przed Chr.) zapędziwszy się nad Czarnomorze po lodzie Dunaju, wpadł do Panonii dackiej.

Na zachód zaś zapędzała się Łotwa aż po Ren, a Teutoński las od nich miał nazwę Waceński, bo *Waceet* po łotewsku Niemiec.

Z Niemcyma bratali się wcześnie, a R. P. 19 odstąpili Marobuda czeskiego w wojnie z Hermanem niemieckim, a z Rzymiany kojarzyli się przeciw Trakom. Więc R. P. 21, po rozgromie Marobuda, Rzymianie Sławianom północnym nadali króla łotysza Wanna, sprzymierzeńca Niemiec, któren ciemiężył i łupił Sławian aż do R. P. 51 — jako się rzekło wyż.

Wtedyto Łotwa swobodnie zaganiała się Wisłą ku Orawie, kędy aż po Dunaj panował Wanno.

Z Wisły goniła rzeką Rabą, smykając sankami po lodzie — od czego nazwa rzeki, gdyż łotewskie *raapt* znaczy smykać się. — Osiadła też Łotwa w Po-Rabiu.

Hełm oblany Rabą (na zachód od Bochni) łotewski *Kalns*, wzgórze, jest niejako drogoskazem ich zagonu, którego dolę wskazują pomnikowe nazwy łotewskie: Mirzeń (*mirszana*, pomór); — Raciechowice okopane (*racynat*, kopać); — Sawa zaczarowana (*sawet*, czarować); — Kawec, zawada Kwadów (*kaweet*, zawadzać); — Zegartowice zagrodowe (*sa gardas*, zagroda); — Żerosławice słynne

ze snopów zboża (*sers*, snop zboża), których bronili kmiecie z Bojańczyc; — Szczyrzyc, zasiekami obronny (*cyrst*, ciąć, *cecyrst*, zasiekać); — Godusza świątynia (*gohd*, czcić) z smętarzem w Racieborzanach lesie (*racejs*, groby) pod górą Czecznią, na której, twierdzy ślad istnieje do dziś dnia (*coetums*, twierdza).

Zdobytą krainę żyzną i łowną, żal im było opuścić w obec gór śnieżnych Śnieżnicy, tamujących pochód na przełaj, więc pozostali, zwracając zapędy swe ku Dunajcowi.

Jeziernik górę z daleka widną w przezroczu, nazwali po swojemu *Kostrzą* (*kossa*, przezroczysta, przezierna). Ubocze jej nierówne nazwali Szyk (*szkiot*, rozpadłe), a knieję rysia obżartucha (niemiecki *Vielfrass*) nazwali Ryje (*ryjcis*, obżartuch), obok Wilkowiska.

Tamtędy odwieczna, bo samorodna cesta ku Dunajcowi w poprzecz rzeki Łososiny.

Potężne pasmo gór nęciło ich zieloną paszą; nazwali go Załacz (*zoła*, trawa).

Tu byli już w Sądecczyźnie prawdziwej, rządzonej przez punickich wychodźców z Panonii, z których ojcyma w Dakji panońskiej walczyła już Łotwa (przed laty sześćdziesięciu kilku zwabiona przez Zyraxa króla przeciw Dakom drugim).

Sądecczyzna z tej strony miała powiat górski z punicka zwan Modine, z obozem okopanym jako zbiorowiskiem na górze dziś zwanej Mogilica, ze strażnicą na górze sąsiedniej Tokoń, kędy trąbiono pobudkę (fenickie *magal*, okop okrągły, obóz; *toke*, trąbić). Od północy zaś ufała Sądeczyzna w obronę gór tęgoborskich: zresztą ztamtąd nie spodziała się napaści, a nawet jako w miejscu powabnem i spokojnem były punickie zakłady oświaty i przemysłu.

Na Raszowce (Pisarzowej) pisano i rytowano napisy (fenickie *sapir,* pisać, rytować), a w Saryszu sąsiednim trzebiono chłopców (fenicki *sarysz,* rzezaniec, eunuch) którymi kupczono.

Sądeczanie bronili przestępu miedzy swej, ale nadaremnie. Łotwa podbiła krainę zakątną, którą Puny sądeckie nazwali Mordarką (fenickie *mordah,* podbój, ujarzmienie); Sapirową (Pisarzową) zajętą. Łotwa po swojemu nazwała Raszowki (łotew. *raszyty,* pisać, rytować); góry zaś dotąd po sławiańsku zwane *berdo,* (Berdychów) nazwała po swojemu *Kalns* (Kanina, Kalnina).

W Ogrojcu też, gródku berdychowskim, Łotwa usadowiła się, a królika łotewskiego (*kungs Latwis*) siedziba, po dziś dzień zwana Kuklacz t. j. *kungs Latwis.*

Ztamtąd napadała Łotwa obie osady lechickie: Sącz i Łącko.

Doliny wiodącej ku Sączowi broniła Zawada i Krakowiec nad Łukowicą z Świdnikami, które były smętarzem stołecznego grodu Sącza.

Od strony Łącka zaś strzegł Gródek w Czarnym lesie nad Czarnym Potokiem, jako stróża miejscowa po za twierdzą główną.

Modyni góry potężnej grzbiet, cisem porosły, stał ścianą obronną przeciwko Łotwie od tej strony jako przedmurze groźne i obronne. Więc tylko kończynę onegoż porosłą jaworzem, kusiła się Łotwa przebyć, a byłaby się dostała w doliny wiodące ku Sączowi jako i ku Łącku.

Na tej jaworowej górze jednak czuwali zawsze ludzie zkrojni, chwytając i zabijając bez litości Łotwę, przemykającą się od swych zasieków, które poczynili naprzeciwko Zawady Krakowieckiej i po swojemu nazwali *Apkaweet* t. j. Zawada (dzisiejszy Okowaniec las).

Byli tutaj Kwadami przeciw Ligom (Lechom).

Podpadali często pod Gródek, a las i dolinka nieraz bywały pobojowiskiem drobiazgowem, nieraz zbierano poległych i opłakiwano, a potok, las i drogę zwano Czarnemi, od niedoli czarnej.

Gdyby się Łotwie udało zdobyć wzgórza wieńcem w około broniące tej ziemi, *Kungs Latwis* zapanowałby aż po Dunajec; bo Sącz nie sprostałby na długo, odcięty od całej Lechii. A za Dunajcem nad Białą znów była Łotwa.

Z tego to powodu Krok kwapił się w pomoc iść Sądeczanom uciśnionym. Wedle zamków i grodów nadbrzeżnych nie zatrzymywał się, jeno dla wytchnienia, popasu, lub noclegu, a spieszył dalej za swą przednią strażą Łotwy na podwodach renami, której przydał wojowników świadomych okolic i bojów. Na każdem staniu przybywało wojaków zbrojnych, szlachty z orężem kruszcowym i kmieci z okszami kamiennemi lub ożogami opalonymi z drzewa cisowego twardego jak kamień.

Z tyłu, w odwodzie niejako, jechała drużyna rzymska jantarowa.

W Dąbrówce, nad jeziorem dunajcowem, zatrzymała się ta drużyna rzymska, nie mając zamiaru drużbić wyprawie wojennej.

Przywitani jako znajomi i mili goście, umieszczeni w ciepłych acz kurnych chatach, dziwili się, że wonny dym jałowcowy nie jest tak bardzo niemiły.

Fenik zaraz dopytywał się o skórki kun, a Skriba pospieszył na grób swego pana Spekulusa.

Rzymianka dopytywała się o żonę żupana sądeckiego i z przerażeniem dowiedziała się, że nie żyje, że dzisiaj jej pogrzeb na sądeckim Swidniku.

— Cóż się jej stało? przecież taka młoda i była tak zdrową?

— Jużcić ta Łotwa ma ją na sumieniu!... Na Owieczce zimują owce żupańskie, co się latem pasają po Rogach i Rożkach. Jęły się bagnić, a żupanka, dobra gospodyni, wybrała się z grodu, przyglądając, czy dobrze chodzą wedle maciorek dojnych, czy karmią należycie żeby nie utraciły mleka, czy nie poddająją, ujmując pokarmu jagniątkom maleńkim a płaczliwym, któreby pomarniały z głodu. Więc tam zanocowała w izbie ciepłej i uradowana przychowkiem miłym, usnęła i zapociła się. Aż tu nad ranem rzuciły się psy zajadle, powstała wrzawa wielka, zatrąbiono na trwogę, odezwał się okrzyk wojenny: »rata! rata! rata!«, wpadł do izby baca stary, wołając: »Paniczko! wstawajta! uciekojta! bo Łotwa napada! już są kędyś nad Tyrkielem! ja was wprowadzę w gąszcza i schowam!« Zerwała się nieboga jako była rozgrzana i bez obuwia wybiegła co mogła uskoczyć, a stary baca ukrył ją w paryi bliskiej w gąszczu, gdzie przykuczła, dygocąc od strachu i zimna, bo mróz był tęgi. Po dobrej chwili ucichło wszystko, baca przyszedł oznajmiając, iż Łotwa bojąc się załogi Krakowca, żeby nie wyszli czatą z tyłu, poprzestała na zabraniu bydła i owiec w Stroniu, a nawet nie ruszyła sułku zbożowego, bo się kwapiła.

Żupanka na to ani wstawała ani się odezwała.

Baca idzie ku niej samej, dotyka ręką, a ona skostniała, rusza ustyma, a nie słychać jej, ręką tylko wskazuje na szyję. Baca poznał doraz, iż ona chora: wziął ją na ręce jak dziecko, przyniósł do izby; dziewki ogrzały, baby radziły cejco! Ale ona nieboga dygotała od zimna, poczem popadła gorączce, chciała mówić a nie mogła... i umarła... garuce ją zadusiły!

Pogrzeb.

Świątnik z Osowia, które leży nad samą Owieczką rozpoczął więc znowu swoją pracę świętobliwą. Żupan żałosny wskawał miejsce na pagórku kędy mają spocząć popioły ukochane. Miejsce wybrał takie, że ztamtąd widny cały wieniec gór, otaczających świdniki, a nawzajem z wszech gór i szczytów widne miejsce ono: niechaj Łotwa zewsząd widzi kędy pogrzebiona ofiara ich napaści i źródło zemsty niechaj będzie jawne!

Na miejsce ono, świątnik z pomocnikiem przyniósł gliny czystej i miałkiej, rozłożył ogień niemały, grzał wodę, mieszał z gliną, urabiał rękoma jak najdokładniej, poczem z najmialszej urobił i utoczył naczyńko małe, postaci garnuszka (mniej niż półkwartowego) susząc wedle ognia. — Było to naczyńko objatowe.

Więc urobił i na kołowrocie utoczył miskę grubą na palec, objętości niemal dwugarcowej, nie z samej czystej gliny lecz z domieszką piasku grubego otrzymanego z trachitu zwietrzałego i potłuczonego. Ziarna takie trachitowe zawierają w sobie *natron,* który doskonale spaja glinę. Drugą miskę cieńszą cokolwiek lecz obszerniejszą, utoczył jako pokrywę tamtej.

Potem odgarnął śnieg w okrąg, wygrzebał zaklęsłość płytką i wyścielił głazikami i kamieniami, których nagromadzono drugie tylo na przykrycie: tak przygotował żarkę.

Żupan słysząc o zagonie Łotwy na Owieczkę, przypadł był z pocztem swoim zbrojnym, zastał żonę konającą i nieodstąpił już. Przyniesiono jej szaty świąteczne i odziano ją niemi. Koszulę białą o rękawach szytych wzorzyście, spiętą na szyi zamklą brązową

w cieńki skrętek drutu, wzorem fenickim, zwykłym Punom panońskim.

Spodnica wełniana fenicka, nie szyta, jeno z dwu części złożona z przedpaski i zapaski, taka jaką po dziś dzień noszą Hucułki czarnogórskie, opasana pasem czerwonym wełnianym. Zarzutkę czerwoną z cienkiej tkaniny wełnianej, dar Rzymianki, spięto zamklą brązową w guziki okrągłe: też darowaną.

Wszystkie ozdoby fenickie, które otrzymała w darze zawdziano jej: na głowę spinkę dużą do włosów; na szyję naszyjnik z uwitych sprężyn brązowych naprzemian z wisiorami szklanemi na drucie brązowym; więc nawdziane wisiory błękitne w zygzaki białe, ze szkła barwionego kobaltem i ołowiem; pół kopy wisiorów na drucie brązowym. Ramiona jedno ozdobiono naramiennikiem, a niżej łokcia obu rąk wdziano brązowe fenickie naręczaki gładkie i nasiekiwane we wzory kłosu. Naręczaki dolne były maleńkie, bo nieboszczka pochodząc z pokolenia punów panońskich, miała maleńką rączkę rodu swego.

Tak odzianą i ubraną opłakiwały dziewki i kobiety, parobcy i kmiecie, szlachta i żupan, a wszyscy łzawo spoglądali ku gniazdom Łotwy łupiezkiej, ku Kuklaczu i Okowańcowi.

Świątnika zaś drużyna duchowna, znosiła drzewo smolne i jałowcowe, krzewy i nietotę suchą na podniatę. A gdy ukończono przygotowania, włożono zwłoki na mary i niesiono ku Świdnikowi, zwykłą pogrzebową cestą.

Wedle obyczaju przystawał poczet pogrzebowy, ażeby dusza mogła zdążyć za ciałem, odmawiano modlitwy za umarłych i pilnowano, żeby jarzące szczypy i pochodnie smolne w ręku żałobnych nie gasły.

Ścieżka ta pochodu pogrzebowo-ofiarnego zwała się *tare kalil* po fenicku co znaczy: pochód ofiarny— dziś zwana Tyrkiel.

Na miejscu pogrzebowem złożono mary i pozdejmowano ze zwłok ozdoby kruszcowe i szklane.

Zwłoki złożono na okrąg wyłożony kamykami i polepiony gliną. Świątnik rozbełtał na obrzednio glinę w naczyniu sporem i polał rozczynem zwłoki całe, które szybko tężały od mrozu. Więc pokrył je nietotą, potem jałowcami, a w końcu każdy z obecnych kładł konar drzewa, aż się nastryszył stos potężny.

Żupan zawezwany, płacząc rzewnie, przyłożył swą pochodnię do podniaty, nietota chwyciła, płomień buchnął jałowcem i cetyną wysoko w górę, a dym wznosił się ku niebu...

Dusza nieboszczki wznosiła się do nieba, podczas gdy się smędziły zwłoki.

Świątnik zanucił pieśń pogrzebową: »Zmarły człowiecze z tobą się żegnamy«. Pełną garścią sypał w ogień jałowcowe jagody i rzucał żywicę, podsycał ogień.

Gdy dym czarny ustał i stos opadł, świątnik rozgrzebał zgliszcza, stłukł skorupę glinianą i troskliwie zebrał z pod niej popiół zwłok usmędzonych, niedopalone kostki zgliszcza, utworzone z cieczy mięsnej i popiołu, a nawet skorupki polewy, na których były widoczne odlewy ciała mianowicie ręki.

Wszystko to wsuł w miskę popielną, kędy też powkładał ozdoby brążowe i szklane, postawił miskę w środek polepy, ogarnął popiołem jarem... przykrył pokrywą.

Naczyńko objatowe napełnił objatą i postawił obok...

Wszystko to przysuł ziemią miałką, tworząc pagórek okrągły ponad miską popielną.

Pagórek ten szczelnie pokrył głazikami kamiennemi, a obecni usypali na tem kopiec z ziemi!

Ukończywszy pracę nabożną, szedł świątnik po nagrodę za trud swój — na stypę.

Na Owieczce w izbie, gdzie umarła niebożyczka: na tem samen miejscu, gdzie były wystawione zwłoki, zastawiono stół wielki, około którego zasiadła szlachta, a na miejscu czelnem posadzono świątnika. Pijatyką nabożną rozpoczęto stypę, wypominając cnoty niebożyczki i życząc jej zbawienia dusznego, Poczem rozpoczęto jadło, którego ilość niesłychana znikała w oka mgnieniu, miska po misce, pieczeń po pieczeni. Więc znów przypijano i wedle obyczaju, pijatyce nie miało być miary.

Świątnik stary sadził się na rozmowy rzewne, rozczulające, o marności świata, znikomości życia ludzkiego. Chciał rozczulić bardziej i tak wielce rozżalonego żupana, pewien sowitej opłaty pogrzebowej; więc gadał i popijał, popijał i znów gadał. Niejednego poruszył do łez.

Wtem zadudniało od kopyt końskich. Wpada do izby jakiś wąsacz z toporem samowtór z dworzaninem sądeckim, który woła:

— Wojewoda na Wawelu Krok, przybył do Sącza, i wywiedział się, że Łotwa napada od Dunajca, kazał więc, żebyście natychmiast ruszyli ku Łąckowi, zabrać Łotwie tyły.

Łotwa.

Z wyżyn Okowońca i z wirchu Kaniny (litews.: *kalns*, wirch) *Kunigs Latwis*, królik Łotwy śledził i widział co się wodzi w dolinie i na Świdniku. Widział pochód pogrzebu, a bacząc zgromadzenie tak liczne, odgadł, iż będą smędzić zwłoki dostojne. Czata wysłana zbadała, że to pogrzeb żupanki sądeckiej —

i wszystka szlachta okoliczna jest na pogrzebie a będzie i na stypie.

Kungs łatwis tej chwili powziął zamysł wyprawy na gród Sącz. Natychmiast obesłał hasło wojenne do ruszenia pospolitego zagonem, zgromadził Łotwę wszystką i zakryty lasami, podkradał się pod gródek na Czarnym lesie, gdzie przycupnął, przeczekał aż po północy, poczem wyruszył, obszedł grodek, Czarnądrogą zdążył do Łącka, minął, dopadł Dunajca i po lodzie pędząc, w godzinę był pod S ą c z e m (dziś Nasączowice), który mienił pustym.

Ostrożny jednak z przyrodzenia, zatrzymał się opodal, wyspinał się na wzgórze od potoka Kadczy, aby ztamtąd uderzyć na okopy gorne, podczas gdy zastęp drugi od Dunajca będzie się spinał z tyłu.

W Sączu jednak był już Krok, z zastępem swoim...

Gdy przybył, Żupana już nie było, był na pogrzebie, a na straży grodu była tylko czeladź i kmiecie pobliscy, którzy jednak bacząc wojewodę krakowskiego, strzegli dobrze i czuwali.

Jakoż wcześnie dostrzegli Łotwę i ostrzegli nietylko Kroka, lecz z polecenia onegoż kopnął się posłaniec niezawodny do Owieczki z rozkazem, żeby zgromadzeni tamże co tchu ruszyli ku Łąckowi, zabierając Łotwie tył i tamując odwrót.

Łotewski *kunigs* na czele swoich, podkradając się na okopy, omal że nie poległ i uciekał sromotnie, ze strzałą w ramieniu, — zostawiając kilka trupów.

Zgrzytając zębami on i Łotwa jego, zeskakiwali do Dunajca, gdzie zostawili konie pod strażą.

Ledwo ich mogli dopaść i dosiąść, a już huczał róg turzy dworzanina wojewody wawelskiego, pędzącego za Łotwą rozgromioną i z tamtej strony.

W popłochu uciekali wszyscy, dokąd nie zamilkł róg i tętent kopyt pogoni.

Na skręcie Dunajca, pod Jazowskiem, zwolnili biegu i kłusując, dziwili się, że tak prędko Lachy odbyli stypę i powrócili i mieli się na baczności jak po trzeźwemu. Wstydał się Kunigs porażki i chcąc powetować chociaż w części, wydawał rozkazy, jak mają napaść na Łącko i wyłupić.

A Łączanie siedzieli wonczas na wyżynie na żyznych lechach swoich i jako tako byli ogrodzeni i okopani. Więc trzeba było cichaczem skradać się; gdyż pewno spłoszeni pochodem nocnym, mieli się na ostrożności.

A oni nietylko, iż czuwali, ale mieli już pomoc i ostrzeżenie, bo przypadło kilkunastu szlachty jako przednia straż onych, co byli na stypie i szli w tropy.

I tutaj więc haniebnie nie udała się napaść. Kunigs odrażony znowu musiał umykać w dół ku rzece. Tam skupił zastęp cały, naremnie chciał uderzyć, zdobyć osadę, złupić, wyciąć w pień i wrócić na Kuklacz.

Jeszcze nie ustroił zastępu, jeszcze dawał rozkazy, gdy tuż w pobliżu zagrzmiały trąbki bojowe i zahuczała strasznie trąba rogu turzego Wyrwy, przydonia Krokowego.

Łotwa przerażona pierzchła, bo i od Łącka ozwały się okrzyki: »ratta! ratta! ratta!« i mnogie rogi łowieckie zabrzmiały.

Łotwa już nie Potokiem czarnym i Czarną drogą pędziła ku Kuklaczowi, ale Dunajcem w górę, ku górom, a grzmiący głos rogu turzego popędzał ich z tyłu, goniąc gdyby gniew boski. Minęli ujście Kamienicy i ujście Bełku, i pędząc co siły, zatrzymali się aż u ujścia Tylki krościeńskiej: bo konie już ustawały, a droga stawała się mylną, gdyż Dunajec skręcał się na wschód, a im trzeba było na południe, do Panonii, dokąd zamyślali.

W sam czas nawinął się samotny pątnik, którego złowili na przewodnika. Niepomału zaś zdziwili się, gdy do nich zagadał po łotewsku, błagając, żeby go nie zabijali i powtarzając w swej trwodze raz po raz:

— *Waj diewulu, diewuli!*

Roześmiali się od radości i zapewnili, że mu włos z głowy nie spadnie. Pytali co zacz był, zkąd i dokąd idzie?

— O! ja z po za tej góry i z po za jeziora! jestem *worksem kunigsa* mojego, i posłał wywiedzieć się, czy można kupić zboża u Lachów w Łącku. Przewodnik tutejszy miał mi powiedzieć, bo on wie od górników, co tam kupują. On tu mieszka niedaleko, bo tutaj w lecie jest *tilks*, most przewozowy.

— W Łącku nie dostaniesz nic, bo ztamtąd uciekamy, a Lenkasy pędzą za nami.

— *Waj diewuli, diewuli!* a dokądże zamierzacie?

— Do Panonii... musisz nam przewodniczyć... Znasz drogę?

— *Waj diewas!* a czemużbym nie znał? Ot tu w ten potok aż ku końcowi, potem na górę i górą aż do jeziora, a jeziorem dalej i dalej aż na Orawę, gdzie już Panonia, gdzie już nasz król Sydons.

— Nie masz obroku dla koni, bo już osłabły?... owsa nie masz?

Waj diewas! a gdzieżbym ja miał? ani mój *kunigs* nie ma! Ot chybaby było co u przewoźnika.

Chata przewoźnika była pustą: bacząc wojsko umknął w las wraz z rodziną i dobytkiem. Śledząc, znaleźli kilka worków owsa, który zabrali na upragniony posiłek koniom. Sami głodowali, chyba że który miał w torbie lub zanadrzu jaki kęs wędliny wzięty na wyprawę wojenną. Widzieli mnogie tropy zwierza, ale nie było czasu łowić.

Ledwo że konie przełknęły po garści owsa i kilka kęsów latorośli drzew, zaleciał ich głuchy odgłos trąby coraz bliżej, coraz bliżej. Pogoń zdążała na głodnych i spłoszonych.

Nie było czego czekać; dosiedli koni, puścili się za przewodnikiem łożyskiem potoka Tylki i bokiem od Corstyna przez potoki puszczy Lity, na przełaj do Maniów. Nieraz mijali świeżyteńkie tropy jelenie, jednego nawet o wieńcu konarów przepysznych spłoszyli, lecz nadarmo wypuścili za nim strzał kilka, gdyż było za daleko, więc mu tylko złorzeczyli: Oby cię wilcy zjedli!

W gródku maniowskim nie było żupana ani ludzi majętniejszych; wszystko jako zwykli, na zimę chronili się do bezpieczniejszego Corstyna. Było tylko po trosze zapasu żywności, a w pieczarach nadbrzeżnych tulili się rybacy biedni.

Łotwa zgłodniała przypadła jak szarańcza, złupiła grodek do szczętu, nie przepuściła i rybakom zabierając wszelką żywność. Dostało się potrosze owsa koniom ogryzającym łakomie słodkie rószczki jaworowe w puszczy. Łotwa odżywiła się nie źle, a konie też okrzepniały i wypoczęły, nocując w jaworowej puszczy.

Raniuteńko ruszyli dalej obawiając się pogoni i żeby jak najprędzej przebyć góry, dostać się do Panonii za którą tęsknili gdyby za rajem.

Przewodnik wskazywał im Szaflary opowiadając o *kunigsu* swoim: że tam bieda wielka, bo góry nic nie rodzą krom garstki owsa. Nie chcieli zbaczać nakazując by wiódł prosto drogą najkrótszą. Więc ich wiódł przez środek jeziora.

Kunigs szaflarski spostrzegł zastęp pędzący po lodach jeziora i nie mógł odgadnąć: co to jest?

Zdawało mu się, że niby swoi, ale czemuż nie wstąpili a nawet nie dali znać o sobie?

Rozmyślał jeszcze nad tem, gdy od strony Maniów usłyszał głuchy dźwięk trąby łowieckiej a po chwili znacznie bliżej głos rogu potężny, a w końcu i to niezadługo zachuczało gdyby grom i z zakrętu nadbrzeżnego wypadło kilkoro sani uprzężonych jak mu się zdawało jeleniami.

Wskoczył do swego domu, chwycił włócznią z proporcem i *kaltsem* t. j. dłutem zamiast grotu, zawdział naramiennik brązowy i naszyjnik takiż, głowę okrył swym sutym kołpakiem rysim, a prawicę potężną uzbroił w ulubiony czekan.

Tak uzbrojon i wystrojon wyszedł na spotkanie gości, w których niebawem dopatrzył się pobratymców i przywitał, poczynając od zwykłego:

— *Waj diewuli, diewuli!*

Zapytał zkąd mają jelenie takie nadmorskie, czy od morza jadą i dokąd?

— Od morza jesteśmy, a z Ligami wraz ścigamy onego kunigsa Łotwy, co napadł na Lenkisów sioło, tam nad rzeką i kędy porażon.

— Wej! bogateby go wilki zjedli! Dlatego on się nie zwrócił ku mnie i pędził jak szalony!

— Uciekaj i ty, bo Ligi jadą, a *kungs* ich strasznie rozgniewany.

— Wej! *eji wilkam!* (idź do wilka!) jabym miał uciekać? przed kim? przed Ligami? Czym ja ich napadał? Ja się nie boję, bo *Auksztyskis Nerus ciecier* (Augustus Nero cesarz) to mój przyjaciel; ot! przypatrz się mu, ja go tu mam srebrnego, posłów jego gościłem u siebie i przeprawiałem za jezioro. On by się ujął za mną, więc się nie boję, nie będę uciekał! nie ruszę się ani krokiem.

Wytłumaczyli rzecz dworzaninowi wojewody, a ten kazał im odrzec, że i Ligi i ich wojewoda są przyja-

ciołmi cezara, że posłowie cezarscy jadą pod ich opieką, i niezadługo tu przybędą.

— *Kwieslis, kwieslis,* poseł, poseł wraca! mój przyjaciel wraca z Ligami! *Diewas padiek,* Boże dopomóż mu, bo to *łabs wiraj,* łebski mąż! a *grażyna* t. j. piękna ta jego siostra.

Dosyć długo jeszcze cieszył się i rozmawiał kunigs szaflarski, nim sokola źrenica jednego Łotysza starego dostrzegła w dali jadącego Kroka na czele Lechów. Dworzanin wojewody chwycił róg swój turzy i zatrąbił, dając znać o sobie, aby nie zboczyli mimo.

Kunigsa rozciekawił róg, obejrzał go, przystawił do ust, jak huknie! to aż ziemia zadrżała, gdyby od grzmotu grubego; poczem głos podwyższył i znów wziął wyżej, a w końcu czwartą odmianą zapiał cieńko, jasno, a przenikliwie, aż się obijało po szczytach Gorczów. Kilka razy tak przebierał, pobudzając Lechy do jazdy pospiesznej. Trąbił i przestawał i znów trąbił aż przybyli.

Oddał róg, wyprostował się, podstąpił kilka kroków przed Kroka, mówiąc uroczyście:

— Jestem kunigs tutejszy, przyjaciel *Auksztyskisa Nerusa cieciora!...* gdzież posłowie jego, co mnie znają?

Uppon zjawił się niebawem, przywitał kunigsa i wskazując na Kroka, rzekł:

— *Lel kungs karraiwiraj Lenkiskaj!* (wielki książe wojaków lechickich).

Kunigs pochylił głowę, poczem wyjął z zanadrza pieniądz rzymski, okazał z dumą, wskazując też palcem na naszyjnik i naramiennik, jako dary cesarza rzymskiego. Więc zaprosił Kroka do swej *sekliczy* t. j. izby gościnnej, gdzie kazał zastawić co miał najlepszego. Wojakom też kazał dawać jeść i pić, koniom owsa i renom żołędzi.

Kazał bić barany i bydło, byle się nakarmili.

Nadjechała drużyna rzymska, kunigs nie posiadał się z radości; witał wszystkich gdyby krewnych, gdyby braci, raczył półgęskami, wędlinami, miodem, zgoła wszystkiem co tylko miał, a bacząc Fenika pytał: gdzie bezdejona? i żałował, że już nie ma małpy.

Fenik bacząc jego szczodrość bez miary, rzekł do Aeliusza:

— Nie wiem z czego będzie żył sam, jeżeli go objemy ze wszystkiem?

Aeliusz z porady siostry zapytał go o to.

— *Diewas, diewas!* o to się troszczysz? nie troszcz się. Łotwa wyniosła się z kraju Lenkasów, cóż ja tu sam będę robił? A któż was przeprowadzi do ziemi waszego cezara? Na Poroninie nie ma górników, na Magurze nie ma już waszych, bo się schronili jedni na Corstyn, drudzy na Magurę tamtą za jeziorem, za temi górami. Jak sami pojedziecie, to was wilki zjedzą! te bogate wilki tutejsze! A cezar gniewałby się na mnie, żem was nie obronił. Więc jedzmy i pijmy wszystko, co tu jest, a zostawmy tylko tyle, ile nam trzeba na drogę. Potem każę zaprzęgnąć moje konie i słudzy moi siądą na swoje koniki i pojedziemy sobie prosto ku cesarskiej ziemi, Lechy zaś pojadą zkąd przybyli, bo już nie będzie wojny, niema się z kim bić.

Krok uściskał kunigsa za jego uczciwość i dobrą radę.

Zanocowali, odżywiali siebie i konie, zanocowali znowu, a raczej przegwarzyli, przeucztowali noc drugą.

Trzeciego dnia wszystko było gotowe: konie zaobroczone rwały się do biegu, sanie wyładowane zapasem podróżnym, ruszyły przodem, za nimi ruszyła drużyna *karrawirrów kunigsa,* w końcu on sam obok sani gdzie siedziały jego kobiety i dzieci.

Chciał pędzić z sobą kierdel owiec, ale mu odradził Aeliusz, bojąc się mitręgi i obiecując dać dużo srebrnych cezarów, za które będzie mógł owiec nakupić. Więc tylko owieczkę jedną ukochaną z dwoma jagniątkami jej bliźniemi, zabrał dla dzieci na zabawkę, resztę zabito i naładowano na sanie dla strawy podróżnej. Psy owczarskie goniły samopas wedle sani, posłuszne świstowi bacy.

Za Łotwą jechała drużyna rzymska, a za nimi Krok na czele zastępu swojego.

Gdy się zbliżali ku miedzom kraju, kunigs wskazał Krokowi dział górski niewysoki, który gdy przebędą, dojadą do rzeki Raby, wedle której jadąc lewym brzegiem i trzymając się działu górkiego, mogą na noc stanąć w Magurze punickiej, bezmal w pół drogi od Wisły i Wawelu.

Krok na pamiątkę darował mu róg turzy, czem go wielce ucieszył i długo słychać było dźwięk trąbienia.

Wedle wskazówki jechał Krok i stanął szczęśliwie na Magurze (między Jordanowem i Myślenicami) i był już między swymi.

Łotwa służebna Wyrwy z renami swojemi rozstała się z nim, jadąc jako przednia straż kunigsa i drużyny rzymskiej.

Przebyli jezioro Tatrzańskie i łączące się Orawskie jezioro, poczem działem i podgórzami jadąc, nad Jelenim potokiem zjechali się z Łotwą sądecką, która tu wypoczywała, łowiąc i odżywiając się łowami.

Kungs latwis ich, ze wstydem opowiedział niedolę swoją, przyjął wdzięcznie posiłek w żywności, a poruczając się opiece Szaflarskiego, przyłączył się do ich drużyny: rzekomo dla lepszego bezpieczeństwa posła cezarsko-rzymskiego.

Orawicy porzeczem do Orawy, Orawą dalej w dół pędzili, a w Arsikua na zamku Orawskim Fenik i Rzymianie byli już jak w domu.

Niedługo jednak bawili, bo wiatr ostry i mroźny napędzał, a słoneczko jasne wabiło promieniami w cieple niziny panońskie.

Łotwa sądecka znikła im z oczu. Kunigs ich oświadczający odprowadzać poselstwo aż do Dunaju, rozmyślił się z obawy wygoworu króla Sydona, że się dał pobić i wypędzić. Wolał pozostać w górach, gdzie knieje obfitowały w zwierza i wyżycie było nie trudne.

Szaflarski zaś kunigs poprzedzon renami, jechał śmiało dalej, jako straż przyboczna poselstwa, nadrabiając miną i przyjmując obroki i noclegi. Z Orawy rzeki wjechali w dolinę Auchy czyli Waagi.

W Tręczynie zatrzymali się, gdyż cała drużyna rzymska spragniona była kąpieli gorącej, której sobie nie żałowali przez kilka dni.

W Piszczanach tak samo kąpali się, rozkoszując i wypoczywając jak Hannibal w cieplicach Kapuy. I byłaby ich też spotkała niedola, gdyby nie doświadczenie łowców.

Spostrzegli oni, że się zjawia ptactwo zwiastujące odwilż i przestrzegli przed puszczaniem lodów i powodzią rzek górskich.

Więc odjęto sobie roskoszy, ruszono dalej krainą Kwadów, a woły sarmackie wprzężone do wozów wielkich, żywo im już przypominały rodzimą Italię...

Ociepliło się znacznie, noce nawet nie były zbyt mroźne; czuć było powiew miły wiatru południowego. Brzegi pagórków tajały już, potoczki puszczały.

Z obawą pędzili lodami Waagi i to nie z płonną, bo ledwo stanęli nad Dunajem, rzeka Waaga puściła, a rychło potem ruszyły i lody Dunaju.

Ale w Komarnie, w *Kungswarrasnams*, stolicy króla Sydona byli bezpieczni i dobrze im się działo. Król wysłuchał Uppona opowieści podróżnej i pochwalił kunigsa Szaflarskiego za opiekę użyczoną poselstwu cezara Najjaśniejszego. Oświadczył, iż go zatrzyma na dworze swoim.

Gdy zaś Szaflarski kunigs zatrąbił na rogu swoim turzym, król tak się zcudował, iż już nietylko na dworze, ale przy boku swoim zatrzymał go.

Rzymianin też wynagrodził go kilkoma denarami srebrnemi, które ledwo przyjął, mówiąc, iż łaska króla, której dostąpił, sowicie mu wynagradza wszystkie barany zjedzone i wędliny, miód i obroki.

Reny niesłychanie spodobały się królowi i żałował śniegu i zimy, że się nie można było sankować dłużej.

Owa wszyscy byli zadowoleni.

Dunaj też był znać uradowany iż się pozbył lodów, co go przygniatały; wesoło igrał falami a pławnicy gdy się rzeka z kry oczyściła, puszczali się nań czółnami.

Więc też b r o d i a g i rzymskie wojenne wyruszyły z przystani zimowej, pławiąc okazale b r o d i a za b r o d i ą.

Rzymianka tęskno spoglądała, pragnąc, żeby ich to jako przywabić.

Sylwan rzekł:

— Zawołam kunigsa z trąbą, jak pocznie trąbić to ich przywabi.

Zawołał, a kunigs nadął policzki: jak huknie raz i drugi najpierw przeciągle, potem urywkiem, szybko jak na łowach »pojezdnego« — dorozumieli się brodiagi, przybili do lądu.

— Czego tak okrutnie trąbisz?

— Na was!

— Czegoż chcesz?

— Byście przewieźli posłów cezarskich, co od morza wiozą jantar!

— Jantar? to i Spekul wrócił?

— Nie wiem, ale przywołam ich, to wam powiedzą.

Z okrętu wyskoczył setnik, zdążył za kunigsem, a w drodze już spotkał Skribę, biegnącego naprzeciw i z ust jego usłyszał smutną wiadomość, iż Spekul nie żyje!

Podróżni zabrali się na okręt i wylądowali w Karuntum.

Przydoń legii trzynastej zwołał radę mierników wojskowych na wysłuchanie sprawozdania Skriby, o śmierci swego pana.

Skriba na stole radnym złożył: prześcieradło azbestowe, w którem spalił zwłoki nieboszczyka Spekuła, złożył jego zbroję i oręż, złożył klepsydry i tabliczki zapiskowe. Więc też i kilka sesterców, mówiąc iż resztę pieniędzy wydał na chorobę nieboszczyka, na pogrzeb jego i na swoją podróż dalszą; gdyż docierał wraz z tamtymi aż do morza, przebywając góry, doliny, rzeki i jeziora, a po drodze zapisując dalej oddalenie miejsc i osobliwości nadarzone.

— Jakżeż mierzyłeś oddalenie?

— Z nieboszczykiem jeszcze sprawdzaliśmy, ile kroków przebyliśmy na godzinę; więc ściśle obliczyłem liczbę godzin, zaznaczając w którą stronę świata idziemy. Ot tu są zapiski.

Starszyzna wojskowa badała ściśle i uznała doskonałość pracy, gdyż podług tych zapisków oddalenia i zwrotów, można obliczyć szerokość i długość tych krajów.

Skriba w nagrodę otrzymał oręż i zbroję swego przełożonego i jego urząd. O pieniądze zaś i ruchomości drogie pozostałe, ani się kto zapytał; pozostały Skribie, który też ani pisnął o tem.

Śnieżna góra już ozieleniała, bezdroża obeschły, cesta kupiecko-wojskowa od Italii ożywiła się podróżnymi. Podróżni nasi wypoczęci przez kilka tygodni, odżywieni, wykąpani, rozweseleni pożyciem z Rzymiany, wyruszyli.

Skriba obecnie mianowany *spekulem* z przeznaczeniem zarządu wyrobem cegieł wojskowych w Petowii, udawał się tamże do legii XIII.

Rzymianie w krajach zdobytych wznosili koszary wojskowe, mosty, wodociągi, łaźnie — a wszystko z cegieł palonych, których wyrobem słynęli. Na cegłach tych wytłaczano nazwę Legii t. j. pułku, którego wojacy robili cegłę.

Znaki te, obecnie wyczytane na cegłach wydobytych z rumowisk, są pomnikami pobytu i rozszerzania oświaty Rzymian i stanowią wcale ciekawy przedmiot badań dziejowych.

Skriba z rzemiosła zdun, przećwiczony w miernictwie, otrzymał posadę oną wojskowego rządcy ceglarni w Petowii — dzięki wyprawie po jantar.

Z wdzięcznością więc był dla całej drużyny jantarowej, a radością napełniło go polecenie władzy, odprowadzenia ich do Petowii i ułatwienia podróży dalszej.

Pod Śnieżną górą wstąpili do Syryjczyka i Sylwina zięcia Jantumarowego, gdzie stali z starego Jantumara.

Starość poczęła go już przygniatać, wystąpił więc z urzędu wojskowego, który piastował w oddziale konnicy i osiadł przy córce. Z radością słuchał sprawozdania wyprawy skutecznej, podziwiał ogrom zdobyczy i rzekł:

— Przyczyniłem się do tego, jak przyznacie sami.

— Bez wskazówek twoich nie bylibyśmy nawet przebyli gór sarmackich, a tem mniej puszcz północnych!

— Cezar będzie wam wdzięczny, obsypie was łaskami... moglibyście też pamiętać o mnie.

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym! Jestem wysłużony wojskowy, mam prawo do chleba łaskawego, do kawałka ziemi, do kawałeczka tej pustyni Bojów, leżącej odłogiem. Powiedzcie moją zasługę względem wyprawy, a cezar nada mi kęs pola i łąki.

Skriba słuchając wyprostował się i rzekł:

— Ja ci napiszę poświadczenie! ja który byłem na tej wyprawie i wskutek tego otrzymałem dostojeństwo. Słuchaj mnie, boć dobrze życzę. Podanie musi iść przez dowództwo wojskowe, przez tych samych, co mnie wynagrodzili, a u wojaków świadectwo wojaka więcej znaczy niż obywatelskie. Więc ja cię wyświadczę, powołując się na Aeliusza, a będzie skuteczne.

Fenik i Syryjczyk uznali słuszność mowy doświadczonej, a Skriba napisał poświadczenie zasług Jantumara.

Ugoszczeni uczciwie jechali dalej błoniami pustyni Bojów na Skarabancyą (Edenburg) do Petowii.

Pułkownik pułku 13-go Fabius Fabullus, acz schorzały i mimo zdrojów cieplic (warazdyńskich) jeszcze cierpiący, przyjął ich łaskawie i cieszył się, iż będzie miał co słuchać z opowiadania Skriby o wyprawie. Cieszył się równie, że cezarowi dogodzi się jantarem.

Więc zatrzymał ich kilka dni, obmyślając środki podróży dalszej i wyprawił, polecając opiece Bogów i straży wojskowej przydanej dla bezpieczeństwa.

Uppon i Kaluppa.

Do Cellei gdy się zbliżali, serce Uppona biło jak gdyby chciało rozsadzić klatkę piersiową; przeczuwał, że zastanie tam jeszcze swoją ukochaną Kaluppę, której pani zwykła tam zimować i dopiero w lecie udawać się w góry, kędy mąż jej kopał i kował żelazo.

Nadzieja niezawiodła go, Sabina była jeszcze w Celei.

Albana, służąca jej wesoła, najpierw spostrzegła zbliżających się do jej gospody, pobiegła do Kaluppy wołając: — Uppon jedzie Kaluppa! Uppon jedzie.

Litwinka zajęta była pracą ręczną, a przywykła, że ją w podobny sposób już raz zwiodła przyjaciółka, nie odzywała się wcale, nie przerywała pracy. Ale Albanka stanąwszy przed nią nieudanym głosem radości powtórzyła wieść wskazując ręką, że już stanęli, już zsiadają, toć spojźrała, pokraśniała rumieńcem i łzy radości stanęły jej w oczach, nogi pod nią zadrżały, niemogła iść.

Uppon skoczył z wozu, chwycił na ramię swą skórę łosiczą z jantarem, przybiegł chwaląc Boga! wyciągnął ku oblubienicy rękę, a ona nieśmiało podała mu swoją i zaczęła rzewnie płakać, on także. Albana patrzy się zdziwiona, a czując iż sama wpada w rozrzewnienie, wyszła mówiąc: — A toż to głupie stworzenia, zamiast coby się mieli całować to płaczą.

Pobiegła z tą nowiną do swej pani, uradowanej przybyciem miłych gości.

Radości miara dopełniła się tego dnia jeszcze, gdy przybyły podwody z żelazem a z nimi wraz Sabiny mąż Licyusz. Z ciekawością dowiadywał się szczegółów wyprawy, cieszył i życzył skutku osiągnio-

nego, a poglądając po drużynie zapytał: — A gdzież Uppon?

Albana śmiejąc się rzekła: — Płacze tam razem z swą Kaluppą.

— Czegóż mają płakać, przecież mają obiecaną wolność.

— Obiecałem wykupić i wykupię oboje, bo Uppon oddał nam przysługi wielkie. Ileż wynosi wykup?

Na to zapytanie Aeliusza odrzekł Licyusz:

— Jużcić co prawda Uppon dla mnie a Kaluppa dla mej żony są wielce użyteczni a nawet potrzebni, z żalem przychodzi mi pozbyć się ich. Że jednak zaskarbili sobie na miłość naszą, odprzedam ich za tyle ile za nich dałem, a jest to nie wiele, bo kupowałem ich od wojaków, jako lichych i zbiedzonych jeńców. Jeżeli im więc zaraz dasz wolność, to wróć mi cenę kupna.

Wymienioną cenę znalazł Aeliusz bardzo skromną i natychmiast wyliczył, kazał ich przywołać i wobec świadków zeznał, iż ich obdarza wolnością, a oprócz tego Upponowi z życzeniami pomyślności składa zasługę całoroczną, zapracowaną w służbie Najjaśniejszego Cezara.

Oboje usamowolnieni, padli do nóg Rzymianinowi a potem Lucyuszowi i Sabinie i wyszli cieszyć się szczęściem swojem.

Za chwilę wraca Kaluppa, niosąc w chustę zawinięty przedmiot jakiś bryłowaty, składa przed Rzymianinem i mówi:

— Obdarzyłeś mnie wolnością a Uppon przywiózł mi dar od pomorskiego Kriwego w krainie jantaru, proszę więc przyjm odemnie ten dar w zamian za wolność moją.

Rozwinęła chustę i przed zdumionym złożyła bryłę jantaru tak ogromną, że się wszyscy nie posia-

dali z podziwu. Fenik stary uburącz chwycił się za głowę wołając:

— Waj! waj! co ona robi?... tać to warta tylo co połowa całego naszego jantaru!... Ileż to waży? dajcie wagi!

Bryła ważyła trzynaście funtów.

Aeliusz zamyślił się i mówiąc: — To dar dla Cezara samego, to się złotem płaci! — wydobył pieniądze złote i wręczył jej kilkanaście.

Uradowana pobiegła do Uppona okazując i mówiąc:

— Atrympos bóg morza i wody dał nam to, pobłogosławił nam za wierną cześć Załtysa (węża) jego. Bo też w niebytności twej codziennie udoiłam mleka koziego i paliłam świeczkę woniejącą przywabiając go. I zawsze wyłaził z naczynia wodnego, syczał, łasił mi się koło ręki i wypijał do dna. Więc zaraz mieniłam to wróżbą dobrą i nabierałam otuchy i niezawiodłam się. O teraz będziemy mu mogli palić świece woskowe i kadzić jantarem!

Rzymianin bez trudności dał się nakłonić do używania gościnności serdecznej ludzi obcych, między którymi rozpatrywał się ciekawie. Boć to był świat całkiem inny aniżeli rzymski, do którego lękał się powrócić. Podróż daleka między narody zwane dzikiemi, odsłoniła mu część ludzkości, rozwiała pomrokę przesądu: iż w Rzymie tylko, w zgiełku wielkoświatowym, w rozkoszy i rozrywce bezustannej, warta życie pędzić bezmyślnie. Poznawał tu życie pracy i przyjemność zaciszy domowej, szczęścia rodzinnego. Zazdrościł onym górnikom, kowalom, podwodnikom, onym barwiarzom purpury i tkaczom przemyślnym i olejkarzom ich wyrobów woniejących. Nieraz zbierała go chętka porzucić Rzym, jąć się rzemiosła lub przemysłu.

Siostra jego, ta już na prawdę myślała uciekać

z Rzymu na zawsze! niewiedziała jednak dokąd się udać i co poczynać. Szczerze zazdrościła Kaluppie i Upponowi.

Przykro im było rozstać się z tymi ludźmi.

Luciusz po wysłaniu żelaza do Akwiley, zabrał żonę i sługi do gór, kędy na powietrzu zdrowem miała lato całe przepędzić.

Uppon z żoną swą nierozłączał się, dążył z nimi wraz pozostając jak dotąd wiernym sługą.

Aż w jesieni gdy z kopalń i kuźnic odsełano żelazo ku północy, do Windobony i Karuntu, zabrał się i on ku swoim, ku Łotwie i państwu króla Sydona.

Kaluppa z swoich pieniędzy sprawiła pomnik sobie, mężowi i przyjaciółce, ku przypomnieniu i pamiątce. Pomnik ten miał napis rzymski, boć obyczajem rzymskim:

— *Calupa Sabinae serva, viva fecit sibi et Upponi conjugi Karissimo annorum 25 et Albanae Sabinaes ancillae vivae,* t. j. Kalupa Sabiny niewolnica wzniosła sobie i Upponowi mężowi najdroższemu 25 letniemu i Albanie Sabiny słudze, za żywota [1]).

Tablica ona napisowa niezaginęła i odnaleziona tamże w miejscu w Sanct Lamprecht koło Neumarkt w Styryi. W Karyntyi zaś w Viktring, dochował się głaz pomnikowy z napisem:

Alfiae P. f. Sabinae ann. 18 L. Licinius L. f. fab. syracius uxori Karissimae et p. Alfio epitynchano, Alfiae Daphne parentibus piissimis fecit, t. j. Alfiownie Palatina córce Sabinie ośmnastoletniej, Lucyus Licyniusz Lucyowicz, kowal syryjski, żonie najdroższej i palatinowi Alfii w miejscu spotkania i Alfiowej Dafnie, rodzicom najukochańszym wystawił [2]).

---

[1]) Corpus inscript. Momsen-Noricum N. 5061. — [2]) N. 4877.

Drużyna rzymska w podróży dalszej zdybała pomnik z napisem;

— J. O. M. M. Trebus M. Fil. Palat. Alfius, equo p*(ublico)* Praef. j*(ure)* d*(icundo)* Aquil*(ejae)* C*(onductor)* Ferrarium N*(oricarum)* v*(otum)* s*(olvit)* l*(ibens)* m*(erito)*, t. j. Jowiszowi Najlepszemu Największemu, Trebus Markowicz *(zwan)* powidlarzem krostowatym, koniem państwowym (obdarzon), wójt ławicy w Akwiley, podwodnik żelaziw noryckich, ślub wypełnił ofiarując wedle powinności [1]).

Kamień z tym napisem znalezion w Tiefen koło Feldkirch.

Wyrobnik więc powidła figowego, dostąpiwszy godności sędziowskiej i zaszczytu nagrody państwowej, gdy się do tego doczekał pociechy, iż go kochała córka a miłował i czcił zięć poczciwy, wzniósł pomnik na cześć, chwałę i podziękowanie Bogu najdobrotliwszemu i wszechmocnemu.

Nabożny ten napis ogromne wrażenie zrobił na Rzymiance owładniętej już uroczem wpływem miłości chrześciańskiej. Poznała całą rodzinę oną miłującą siebie i bliźnich, pracującą uczciwie. O takich ludziach marzyła, między takiemi żyć pragnęła.

Zwierzyła się z tem bratu swemu, który jej przyznał słuszność i że sam zamyśla o tem.

W Akwilei zatrzymali się jakiś czas oczekując przybycia okrętu rządowego. Bywali w gościnie u wójta Alfiusa, któremu przywieźli najserdeczniejsze pozdrowienie od córki i zięcia, dziękując zarazem od siebie za pomoc doznaną w dogodzeniu woli cezarskiej.

Gospodą po staremu stali u Hormusa purpurnika, gdzie ich jako miłych gości witał gospodarz wraz z pokrewnymi i spólnikami purpurnikami, bracią Pul-

---

[1]) N. 4788.

lio (t. j. szaraczek), z których jeden zwał się Kastus (czysty), drugi Fuscus (smaglawy), siostra ich Prima (przednia, osobliwa), wszystko dzieci Szaraczka Marka t. j. zwiędłego, bladego. Więc też i January zwiędły i żółty [1]).

Aelius Augustus, pieszczoszek i marnotrawca rzymski, którego bieda nauczyła zapomnieć o przesądach stołecznych, rozmawiając z rękodzielniczą rodziną pracowitą, sam nabierał chęci do pracy i zarobku uczciwego w ukryciu, daleko od Rzymu. Nie umiejąc jednak rzemiosła żadnego, nie wiedział czego się jąć.

W tem od rzeki Lechy z Wendowlechii stolicy Augusty (Augsburg dzisiejszy), przybywa kupiec po płótna barwione, mianowicie czerwone, zakupuje na ile go stać i żałuje że niema więcej pieniędzy, boby odbyt był na odzież uszytą z tych barwionek, gdyby je rozwozić tam po kraju.

Aeliusz słucha, wypytuje się co on zacz? Dowiaduje się, że to człek bardzo zacny i przemyślny. Bez długiego więc namysłu oświadcza mu chęć wejcia w spółkę.

— Ja dam pieniądze i będę prowadził liczbę i zapiski, ty będziesz robił szaty, a ten oto szwagier mój Makedo będzie rozwoził i przedawał, w czem ja sam będę dopomagał.

Pomysłowi przyklasnęli, Fenik, Hormus i Alfius; zawarto ugodę a Makedonowa, której rzecz bardzo do serca przypadła, oświadczyła, że nie wróci do Rzymu, ale natychmiast przystępuje do spółki kupieckiej z ocalonem ostatkiem spadku rodzicielskiego. Pieniędzy tych, jak na Rzym, było mało, ale na zakupno barwionek płóciennych wystarczyło i pozostało jeszcze.

Makedo jął się zaraz pomocy, ucząc się kupna i opakowania, więc pośradał drużbów niedoli i po-

---

[1]) Momsen Regio X. N. 1044.

dróży, puścił się z żoną wraz i jej niewolnicą do Augusty w Wendowlechii. Rozstanie się z Gajem było rzewne: rozstawali się na całe życie.

Aeliusz obiecał z Rzymu przybyć do nich, jak skoro tylko będzie można, i przywieść wełnianek purpurowych, jakich nie wyrabiają w Akwilei.

Makedonowa, że się bez namysłu rzuciła w świat nieznany i w zajęcie nieznane dotąd i bezmal pogardzane: powodem była trwoga, że może w Rzymie utracić męża. Do Akwilei bowiem dolatywały wieści o prześladowaniu chrześcijan.

Toć znów było pobudką Gajowi dążenia tam, gdzie prześladują braci w Chrystusie.

Okręt wojenny przybyły zabrał ich i odstawił do przystani, zkąd podwodami rządowemi przybyli do Rzymu.

Rządca igrzysk Juliusz niezmiernie się ucieszył gdy na kupy złożono jantaru mnóstwo takie.

Nero cezar też był zadowolony, a bryła ona trzynastofuntowa wprawiła go w zachwycenie. Rozkazał sowicie wynagrodzić wszystkich, co brali udział w wyprawie, a za oną bryłę osobno kazał zapłacić wedle wartości, słysząc iż kupiona od kapłana ludów dzikich.

Fenik doświadczony układał liczby godne skarbu cesarza rzymskiego, a skarbnik wypłacił złotem i byli zadowoleni obadwa: Fenik i Aeliusz.

Aeliusz zabrawszy pieniądze, nie czekając wyniósł się z Rzymu, umykając przed dawnymi przyjaciółmi i przyjaciółkami i przed wszystkiemi rozkoszami dworu cecarskiego. Ani ciekaw był zapowiedzianych igrzysk jantarowych.

Nero rozkazał, żeby w dniu przeznaczonym wszelkie a wszelkie ozdoby, dotyczne igrzysk, były od jantaru.

Więc tokarze i rzeźbiarze jęli się opracowania i oprawy. Tysiące gałek i cętków rozmaitych wytoczonych, wyrzeźbionych i upolerowanych, dano sieciarzom, co sporządzali obierze łowieckie z sieci grubej, porozpinane dołem wedle najniższych siedzeń igrzyskowego okola: dla ochrony siadających tam osób dostojnych: gdyż tam najbliżej igrzysk siedzieli państwowi urzędnicy na krzesłach swoich, a tuż w pobliżu świątobliwe zakonnice Westalki i sam cezar. Sieci te więc ogromne w nawiązkach miały gałki i centki jantarowe, aby odstraszały zwierza dzikiego.

Mieczników też (gladyatorów) oręż wszelki i zbroja nasadzane były lśniącym jantarem; a nawet mary pogrzebowe, na których wynoszono poległych. Zgoła wszelkie a wszelkie ozdoby dnia tego były od jantaru, którego wystarczyło na wszystko.

Aeliusz Augustus jednak nie był ciekaw tych igrzysk; jako przyrzekł, wrócił do Akwilei z zapasem szat rzymskich i płócien białych i barwistych. Ztamtąd zdążył do Augusty wendolechickiej i założył sklep kupiecki, ożenił się, miał syna Antoniego Aeliuszyca, któremu zostawił sklep z zabudowaniami i urządzeniem wszelkiem, a któren na głazie pomnikowym pisał się obywatelem tegoż miasta i szlachcicem rzymskim.

Napis ten dochował się tamże dotąd [1]).

Fenik grube pieniądze uzyskał jeszcze ze sprzedaży puchu łabędziego, w który opakowany był jantar, i za skóry łosie, które dał wyprawić na miękko, więc też i za czapki kunie i skórki sobole, kunie i bobrowe, a w końcu za oną żółtą glinkę z okolicy Dąbrówki sądeckiej. Bo u Rzymianek była wtedy moda

[1]) Momsen, Corp. inscr. rom. pars VII, N. 5800.

barwienia włosów na żółto lub noszenia peruk z jasnożółtych włosów Niemkiń północnych.

Urso i Sylwan wynagrodzeni zapłatą zasługi rocznej i drugie tylo podróżnej, więc mianowani łowcyma starszymi.

Gaj nieborak w nagrodę trudów otrzymał uwolnienie od gladyatorów i wojska, cokolwiek pieniędzy na drogę i ów płaszcz wojskowy darowany. Uszczęśliwiony pospieszył do ojczyzny, a ztamtąd do brata swego do Koryntu, o którym mu powiedzieli chrześcijanie rzymscy, że gościł u siebie Pawła apostoła, kiórego list ztamtąd pisany dali mu czytać, dodając zarazem smutną wiadomość, że Paweł z powodu Żydów uwięzion w Cezarei, ma być odstawion do Rzymu.

Spieszył więc do brata, aby wspólnie z nim radzić nad uwolnieniem męża świętego.

Nie uwolnili go jednak. Jako obywatel rzymski odstawion Paweł do Rzymu, przez dwa lata trzyman w więzieniu straży cesarskiej przybocznej. Dowódca Afranius Burrus nie bronił doń przystępu znajomym i ciekawym, między którymi był Seneka, na którym wrażenie zrobiła nauka, że wszyscy ludzie a więc i niewolnicy mają równe prawo do życia.

Ustnie i pisemnie z więzienia krzewił Paweł naukę Jezusa, nietylko w pośród mieszkańców Nad-Tybrza, ale nawet między dworzanami cezara.

W końcu Paweł skazan na śmierć, a wkrótce i kilku zwolenników jego.

Gaj opłakał śmierć męczeńską nietylko Pawła, ale i brata swego.

Jantumar w skutek poświadczenia Skriby i wojskowej władzy otrzymał przywilej weteranów, darowiznę ziemi w dzisiejszym Wiedniu, kędy też dochowan ułamek głazu napisowego:

»*Nero Claudius... imp. VII... Jantumaro Andedunis filio Varciano*« (Momsen III, p. 845).

Plinius dowódca siły morskiej Rzymian, wielce uczony ziemiopis i przyrodnik, obaczywszy takie mnóstwo jantaru, wywiadywał się kto go dostarczył, lecz Aeliusz już wyjechał. Więc zapisał:

»Sześćdziesiąt tysięcy bezmal kroków od Karuntu panońskiego, oddalone pomorze Germanii, zkąd przywożą dobrze dziś znany jantar. Widział to bowiem szlachcic rzymski, po nabycie onegoż posłan od Juliana, rządcy igrzysk gladiatorskich Nerona cezara. Podróżował po cestach onych kupieckich i pomorzach; przywiózł tego takie mnóstwo, że nawięzywano jantarem sieci, chroniące od zwierza siedzenia poziome; a broń, pogrzebowe przyrządy i cała wystawa dnia jednego była od jantaru. Bryła największa, którą przywiózł, ważyła trzynaście funtów«.

Zapisał to w swej »Historyi naturalnej« (lib. 37 — 45) którą ukończył R. P. 78 i umarł roku następnego.

W kilkadziesiąt lat później, Ptolomeus Klaudius w Alexandryi, sławny gwiaździec i ziemiopis, napisał rozgłośną swoją »Geografię« z wymiarami odległości krajów. Spożytkował zapiski władz wojskowych, a między innemi władzy w Karuntum co do cesty jantarowej. Wymienił miejsca stanic od Dunaju aż do morza, jako to: *Celemantia*, *Singone*, *Arsicua*, *Pariena*, *Setvia*, *Asanca*, *Carrhodunum*, *Arsenium*, *Calissia*, *Setidava*, *Ascaucalis*, *Vistulae ostia*. Przestrzeń obliczył na $122^1/_2$ mili — o $2^1/_2$ mili więcej niż Plinius.

Wojna przeczuwana wybuchła R. P. 167 zwana markomańską; gdyż głównie walczono w Markomanii t. j. na Szląsku i Morawach, przeciw połączonym Kwadom, Wandalom, Sarmatom i Szwedom, t. j. Łotwie, Finom, Sławianom i Szwedom-Gotom. Wojska rzymskie wyginęły zupełnie, przeważnie od morowej za-

razy. Cezar Marek Antoni całe trzylecie zamieszkał w Karnutum jako wódz główny. Panonia i Markomania pokryte tablicami pomnikowemi nieprzeliczonemi. W naszych czasach zebrał i objaśnił je Momsen, nauczyciel prawa w Zurychu i wydał w dziele: *Inscriptiones romanae*. Nieocenione to źródło dziejowe. W Peszcie też płyty pamiątkowe *chromolitografowane*, niezmiernie ciekawe, z francuskiem objaśnieniem wydaje Jardinier.

W Świdniku od wieków orzą smętarzysko sądeckie: wyorano popielnic, brązów i szkieł co nie miara; ale to wszystko zmarniało. Za moich czasów, roku 1868 wyorano żalkę z szczątkami i ozdobami niewieściemi: brązy i szkła fenickie, które posiadam i które opisałem dokładnie w dziele: »Prasławianie i Prałotwa« (str. 190).

Tamże (str. 188) opisałem odkopany grób w Dąbrówce.

W Moszczenicy też i Rdziostowie znaleziono brązy, które posiadam — i w grodzisku Na-Sączowicach, które ale zmarniały.

Znać tędy wiodła cesta jantarowa.

Jantar nazwa (fenickie: *jain-itar*, morska żywica) dochowana w ustach ludu na Mazowszu i Pomorzu, powszechną była u Sławian panońskich, od których Madziary przejęli swoje *dzianta (gianta)*; dotrwała też w Rosyi.

Niemiecka uczoność wprowadziła do nas swój wyraz *Brennstein*, *Börnstein*, — przedzierżgnięty na b u r s z t y n.